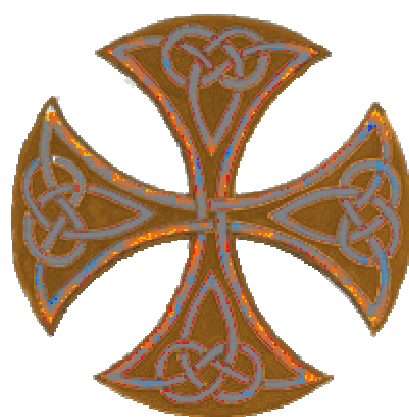


Craig Smith

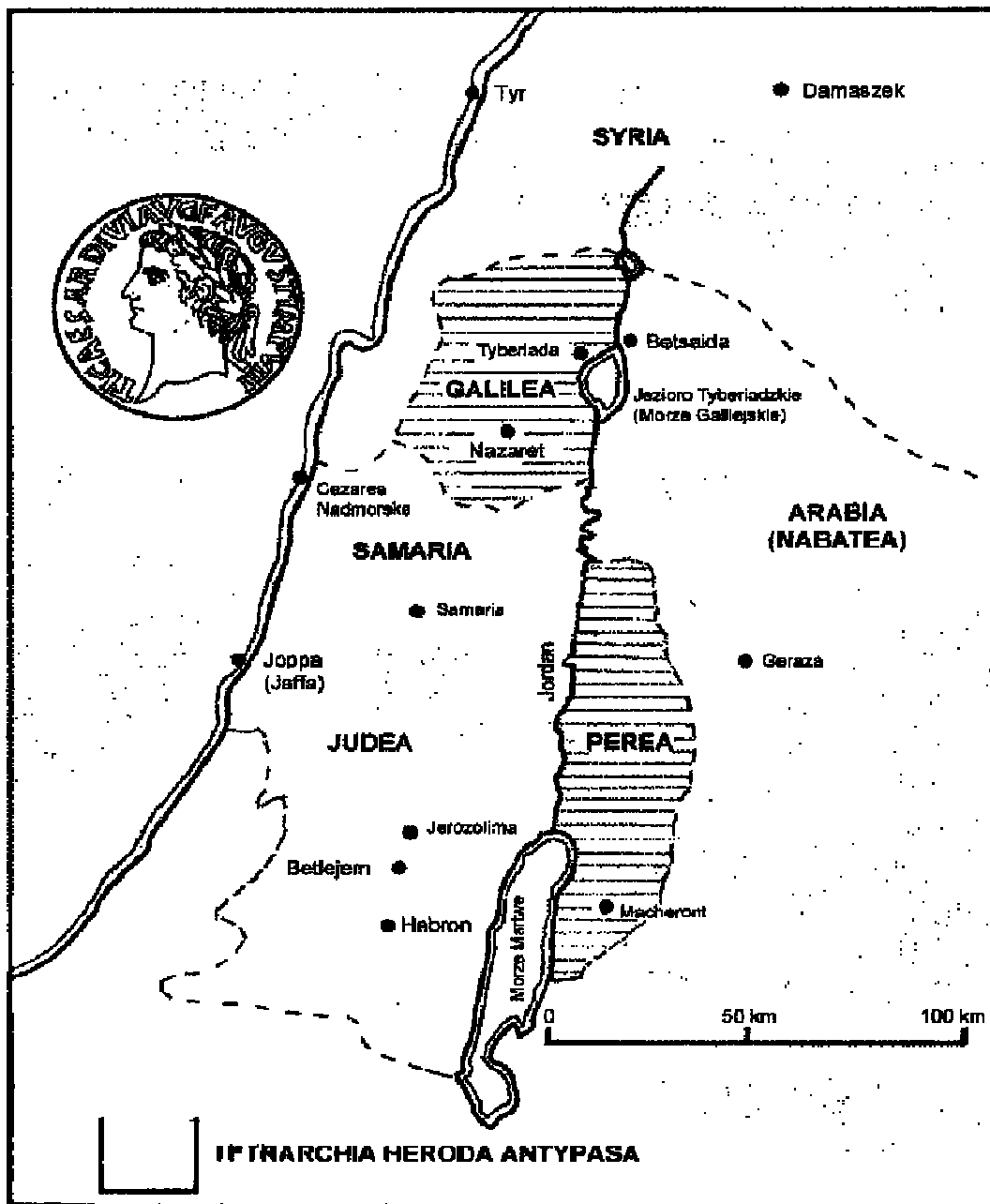
Przeklęty Zakon

Tytuł oryginalny: The Painted Messiah

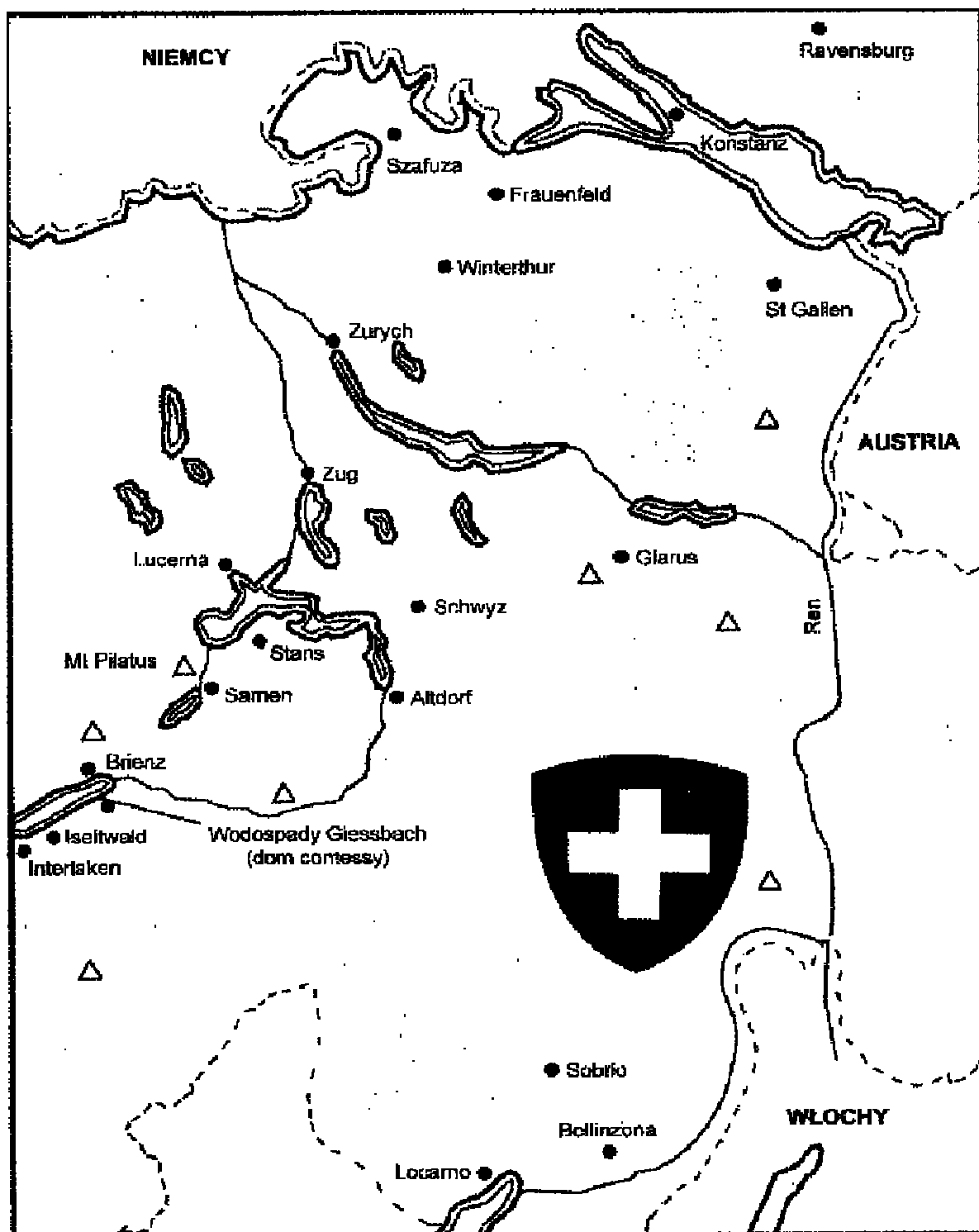


*Książkę tę dedykuję Shirley Underwood i Marcie Ineichen.
Błogosławieństwem jest dla mnie Wasza obecność w moim życiu.*

Palestyna. I wiek n.e.



Szwajcaria Centralna, czasy nam współczesne



Prolog

Jerozolima

Święto Paschy A.D. 30

- Czy ci, którzy widzieli go za życia, rozpoznają go na tym portrecie, Teofanie?

- Z całą pewnością, panie - odpowiedział niewolnik, choć nie miał żadnych podstaw, by w to wierzyć. Ci, którzy znali owego żydowskiego mesjasza, sami byli Żydami, wszyscy zaś wiedzieli, że Żydzi odmawiają nawet zerknięcia na jakąkolwiek podobiznę człowieka.

- A jednak wizerunek nie jest zbyt wierny - stwierdził Piłat z powątpiewaniem.

Teofanes przyjrzał się krytycznie swojemu modelowi. Mężczyzna miał na sobie łańchmany i koronę cierniową. Jego głowa była krwawym skupiskiem ran.

Namalował tego Żyda tak, jak ów wyglądał, pomijając jedynie upokarzające skutki przemocy, a dzięki umiejętnemu przedstawieniu oczu obraz tchnął uniwersalnym spokojem szlachetności. Teofanes był szczególnie uzdolniony w oddawaniu tego efektu. We wszystkich innych kwestiach pozostał wierny naturze. Mężczyzna był dobrze zbudowany, rysy miał regularne, nos duży i szeroki, a spojrzenie pogodne.

- Jak może zauważyłeś, panie, wszyscy przestępcy wyglądają tak samo w tym szczególnym momencie swej kariery. To - Teofanes wskazał na malowidło - jest portret człowieka, którego widziałeś, kiedy wjeżdżał do Jerozolimy.

W odpowiedzi prefekt uniósł nieco podbródek, a jego twarz przyoblekła się czymś na kształt triumfu. Ów człowiek! Słowa niewolnika podbudowały jego pewność siebie. Ów człowiek wkroczył do miasta jako król Żydów.

-Fryzura jest niewłaściwa - oświadczył na koniec, gdyż nie spocząłby, dopóki by nie znalazł wad w pracy swego sługi - a broda za krótka, Teofanesie!

Nie było to prawdą, ale Teofanes nauczył się już wiele lat temu pod uderzeniami różgi, że jego pan nie jest w stanie pojąć tego, na co patrzy. Sztuka - wszelka sztuka - interesowała go jedynie o tyle, o ile mogła wyrzeć wrażenie na innych Rzymianach i rzucić na kolana resztę ludzkości. Nie potrafił zrozumieć, że to, co widzi, zabarwione jest jego własnymi odczuciami. Włosom i brodzie nie można było nic zarzucić. Niewolnik namalował po prostu, jak jego zdaniem mógł wyglądać ów człowiek wyłaniający się z rzymskiej łaźni późnym popołudniem, choć nigdy progu takiej nie przestąpił. Zamiast jednak bronić tego punktu widzenia, Teofanes odpowiedział pierwszym kłamstwem, jakie przyszło mu do głowy:

-Włosy i brodę wzorowałem na tym, jak nosi je twój żydowski przyjaciel, Nikodem, panie. Mam nadzieję, że nie było to uchybieniem.

Piłatowi bardzo się ta odpowiedź spodobała. Nikodema uważał za Żyda, z którego powinni brać przykład wszyscy jego rodacy. Współpracował z rzymskimi władzami i całkiem nieźle płacił za przysługi, o czym sam Piłat wiedział najlepiej.

-Teraz to dostrzegam - rzucił z namysłem. - Dobrze więc. Umocuj go na sztandarze na miejscu Tyberiusza... I nie zapomnij o napisie, I.N.R.I. Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski. W końcu o to właśnie chodzi!

Prefekt już wcześniej poinstruował niewolnika w tej sprawie, ale Teofanes zdążył przywyknąć do dwukrotnego wysłuchiwanie rozkazów. Rzymianie jako nacja żywili przekonanie, że przedstawiciele innych narodowości przywiązują mniejszą wagę do szczegółów.

- Chcę mieć sztandar z wizerunkiem tego człowieka na ścianie mojej sali biesiadnej, kiedy wrócę do Cezarei.

- Mam więc opuścić Jerozolimę przed tobą, panie?

Teofanes poczuł dreszcz strachu. W Jerozolimie z pewnością wybuchnie jawny bunt, kiedy ukrzyżują tego człowieka. Wewnątrz pałacu, pod osłoną tarcz straży prefekta, czułby się w miarę bezpiecznie. Błąkanie się po ulicach w takich okolicznościach to kuszenie losu. Grasujące tłumy będą szukać łatwych celów, kiedy już na tyle upoją się odwagą, by zapomnieć, jaki los czeka buntowników.

- Wyruszysz o zachodzie słońca. Będzie to początek żydowskiego szabatu, więc nikt ci nie przeszkodzi, jeśli szybko się uwiniesz. - Piłat rozważył tę sprawę krótko, po czym dodał z lekkim, mrozącym krew w żyłach, uśmiechem: - Przy najmniej dopóki nie zobaczą, co ze sobą niesiesz.

Wydawszy te rozkazy, prefekt wezwał Korneliusza, swego najstarszego setnika, by odprowadził więźnia na miejsce przeznaczenia. Potem nie zajmował się już Teofanese.

Można by równie dobrze powiedzieć, że historia na tym się kończy, gdyż nie prowadzono zapisów dotyczących losów niewolników. Za szczególnie wyróżnionych mogli się oni uważać, jeżeli panowie w ogóle znali ich imiona. Poza woźnicami rydwanów, życie niewolników nie wywoływało komentarzy i nawet kiedy najwięksi mistrzowie z Circus Maximus w Rzymie opuszczali arenę po raz ostatni, do grobu nie odprowadzał ich choćby szept.

**Jeziro Czterech Kantonów,
Szwajcaria 5 sierpnia 2006 roku**

Kate bezszelestnie wskoczyła do jeziora. Jeszcze pod wodą odepchnęła się nogami od rufy i zniknęła w długim, krętym i ciemnym przesmyku pomiędzy innymi łodziami. Ethan poszedł w jej ślady niecałą minutę później, wynurzając się z wody równie cicho, jak się w niej pograżył. Sprawdził, czy ludzie na innych łodziach nie zwrócili na nich uwagi, ale wszyscy patrzyli na długie, pierzaste smugi złotych iskier, gasnących na wieczornym niebie. Nikt nie dbał o to, co działo się w czarnych wodach poniżej.

Jeziro poza linią łodzi było lekko wzburzone - efekt chłodnego wiatru wiejącego latem od strony Alp. Światło bladego, zamglonego księżyca było zbyt słabe, by Ethan mógł w nim odnaleźć Kate. Dopiero kiedy niebo zapłonęło na moment w kolejnej iluminacji, dostrzegł jej sylwetkę na tle połyskującej powierzchni wody.

Kiedy do niej dołączył, Kate zdążyła już zdjąć niepotrzebną garderobę i miała na sobie tylko kombinezon piankowy do nurkowania. Właśnie nakładała na policzki kamuflaż nocny, leniwie wykonując nożyce, żeby utrzymać głowę ponad wodą. Wyglądała niczym piękna dama poprawiająca makijaż przed lustrem. Ethan przypatrywał się jej rysom, zdejmując własne

ubranie. Twarz Kate była uderzająco piękna: udane połączenie kobiecej delikatności z arystokratyczną wyniosłością. Była to twarz, jaką uwielbiają kamery. Brwi, nos i szczeka, jednocześnie wydatne i subtelne, dodawały jej wyrazistości, a pięknie wykrojone oczy i pełne usta - słodczy. Słodka była też w chwilach namiętności, ale gdy ją coś rozgniewało, wpadała w furję. Lubił się z nią prze-

komarzać, bo jej śmiech brzmiał figlarnie i melodyjnie. Zarówno ojciec, jak i matka Kate pochodzili w linii prostej od bękartów brytyjskiej rodziny królewskiej, a ona sama poślubiła angielskiego lorda i szybko owdowiała. Była wysoką blondynką, błyskotliwą i świetnie skoligaconą. Uwielbiała ryzyko i wciąż szukała nowych wyzwań. Potrafiła snuć plany z cierpliwością starszej pani, której nikt nie bierze na serio, a potem realizowała je z szybkością ulicznego łobuziaka.

Spotkali się kilka lat temu zupełnie przypadkowo, przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Później dowiedział się, że Kate to kobieta, która zawsze zdobywa to, na czym jej zależy, i niczego nie pozostawia przypadkowi. Był wtedy w Alpach z dwoma innymi wspinaczami. Przytaszczyli swój sprzęt pod bardzo trudną skałę i planowali wdrapywać się na nią przez cały dzień. Kate była sama, za całe wyposażenie miała litr wody i bluzę przewiązaną w talii. Pojawiła się, kiedy wciąż jeszcze przygotowywali liny i karabinki. Choć pozwoliła sobie zerknąć z przelotnym zainteresowaniem na szczupłą, umięśnioną sylwetkę Ethana, nie odezwała się do nich ani słowem, tylko podjęła wspinaczkę. Ethan obserwował ją przez chwilę, po czym ruszył za nią. Po raz pierwszy wspinał się bez liny asekuracyjnej, ale prawie nie dostrzegał grożącego mu niebezpieczeństwa. Miał myśli całkowicie zaprzątnięte kobietą wchodzącą na skały ponad nim ze zręcznością pantery. Chociaż czuł, że był w szczytowej formie, nie mógł jej dogonić.

- Często wspinasz się bez liny? - zapytała, kiedy wreszcie dołączył do niej na szczycie.

Przygładził dłonią krótkie, ciemne włosy i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- To mój pierwszy raz.

Mówił wtedy z wyraźnym akcentem z Tennessee. Jednak w przeciwieństwie do większości Europejczyków nie okazała niechęci. Właściwie miał wrażenie, że jej się to spodobało.

- I ostatni? - spytała z ciekawością, a jej oczy przybrały lekko wyzywający wyraz. Ethan wciąż pamiętał, że się uśmiechnął i pokręcił głową. To były najbardziej upajające chwile w jego życiu.

- Mam nadzieję, że nie.

- Kate Kenyon - powiedziała i podała mu rękę. Następnego ranka skierowali się w stronę Alp Tyrolskich.

Jeśli się dało, podróżowali autostopem, jeśli nie - autobusami lub pociągami. Pewnego popołudnia, gdy trzymali się kurczowo małej grani skalnej, jakieś trzysta metrów nad polem gładzów, Kate powiedziała do niego:

- Myślisz, że moglibyśmy tak zarabiać na życie?

Ethan uznał, że miała na myśli zawodowych alpinistów, i zaśmiał się. Ona mogłaby się z tego utrzymać, ale jemu wiele brakowało do jej poziomu. Za kilka dni będzie w drodze do Stanów, by zacząć studia prawnicze na Uniwersytecie Waszyngtona, a wszystko to, razem z Kate Kenyon, stanie się tylko miłym wspomnieniem. Nie mówiła jednak o skałach. Żartowała tylko, jak powiedziała mu tej nocy, gdy leżeli razem w łóżku. Ale ten żart nie dawał mu spokoju. Spytała, dlaczego musi wracać. Powiedział jej więc, że mogłaby pojechać razem z nim.

- I co robić? - dążyła.

- Cokolwiek albo zupełnie nic.

- To możemy robić i tutaj - zauważyła.

Na dwa wieczory przed jego odlotem, po wspinaczce, która, jak sobie obiecali, miała być ich ostatnią, kiedy przechodzili pod jakimś murem w Como, Kate zaśmiała się i powiedziała do niego:

-Chodź!

Chwilę później zniknęła w pograżonej w mroku posiadłości. Ethan wiedział, co zamierzała zrobić. Wiedział też, że powinien odejść, ale porzucenie jej wła-

ściwie nie wchodziło w grę. Ruszył za nią i przeżył przygodę życia, kradnąc naszyjnik jakiejś damy i kochając się z Kate w cudzej jedwabnej pościeli. Odtąd wciąż przeskakiwał mury w ślad za nią. A jej nic nie odstraszało. Ożywiała się dopiero tam, gdzie nawet najodważniejsi by się zawahali. Uwielbiała ryzyko, tak jak inni uwielbiają podziw, pieniądze czy też sławę. Jeśli coś było możliwe, próbowała tego. Jeśli nie, próbowała wymyślić sposób, by uczynić to możliwym. Jej kondycja i siła fizyczna wciąż były w stanie go zadziwić.

Na tle ciemnego nieba rozbłysła teraz złota palma. Fajerwerk utrzymywał swój kształt, dopóki nie zgasły ostatnie rozżarzone punkciki. Ale już po chwili rozległo się dudniące staccato towarzyszące kolejnej iluminacji, a z łodzi stłoczonych pośrodku jeziora dobiegło do nich gremialne westchnienie.

- Gotów?

Kończąc kamuflaż twarzy, otrząsnął się ze wspomnień tamtych pierwszych tygodni z Kate. Po chwili wyrzucił puszkę i włożył czepek.

- Gotów.

Jakby to była po prostu kolejna praca. Płynęli, wystawiając nad powierzchnię wody jedynie czubki głów i przemieszczając się szybko w kierunku ciemnego półwyspu, do którego mieli najbliżej. Od czasu do czasu Kate odwracała się spokojnie i spoglądała do tyłu, ani na chwilę nie przestając płynąć. Ethan obejrzał się tylko raz i zobaczył światła policyjnej łodzi patrolowej, poruszającej się wzdłuż linii brzegowej po przeciwnej stronie jeziora. Za półwyspem zaczynały się płytkie mokradła. Wśród błota i wodorostów odnaleźli swój ponton, model Sea Eagle 9.2. Był dokładnie tam, gdzie go zostawili poprzedniej nocy, dobrze zamaskowany i wyładowany ich sprzętem. Ukradli go sześć tygodni wcześniej, ponieważ był lekki, łatwy w obsłudze i wystarczająco szybki, by przewieźć ich na drugi brzeg jeziora i z powrotem.

Gdy Kate czyściła szczotkę w silniku, Ethan nadmuchał kil i sprawdził ciśnienie w pozostałych komorach. Chwyając za liny na burtach, zaciągnęli ponton do wody i wskoczyli do niego, kiedy tylko wydostali się z bagna. Ethan opuścił na pozycję silnik zaburtowy o mocy dziesięciu koni mechanicznych i włączył zapłon. Gdy honda z cichym warkotem budziła się do życia, wyprowadził ich z dala od brzegu. W ciągu następnych trzech minut minęli trzy duże posiadłości. Wielkie domy pogrążone były w ciemnościach, najwyraźniej puste. Łatwe cele, ale dziś ich nie interesowały. Płynęli dalej, aż wreszcie dotarli do małego, gęsto zalesionego pagórka. Jego wierzchołek zajmowała samotna rezydencja. Po obu jej stronach, w odległości kilkuset metrów, nie było żadnych domów, żadnych świateł, żadnych dróg. Gdy tylko teren zaczął pięć się ostro w górę, ślizgiem osiedli na brzegu.

Kate wyskoczyła z pontonu pierwsza i wciągnęła go na pas żwiru, Ethan zajął się sprzętem. Po chwili weszli z powrotem do jeziora z ekwipunkiem zapakowanym w nieprzemakalną torbę i przepłynęli jeszcze około pięćdziesięciu metrów, zanim dotarli do szarej skały, wznoszącej się niemal pionowo nad jeziorem. Kate przejęła sprzęt i popłynęła do brzegu. Ethan skręcił w kierunku prywatnej przystani należącej do posiadłości, chronionej wysokim kamiennym murem i stalowymi wrotami. Wewnątrz mieścił się obszerny hangar dla łodzi, wybudowany jako replika samej rezydencji. Na nabrzeżu, w jednym z dwu miejsc postojowych, zacumowana była luksusowa łódź motorowa Fountain 48 Express Cruiser, w drugim - Pantera 28, najszybsza łódź na jeziorze. Obok kołysały się dwa skutery wodne WaveRunner. W hangarze ani wokół portu nie świeciły się żadne lampy. Terenu strzegła elektronika: najmniejszy ruch spowodowałby włączenie się i alarmu, i świateł. Ethan chwycił łańcuch do przypinania roweru, który miał przyczepiony wokół talii, otworzył go kluczykiem i zanurkował. Na ślepo badał wej-

ście do portu, aż natrafił na stalowe pręty. Otoczywszy je łańcuchem, zamknął zapięcie, wypuścił kluczyk z dłoni i odpłynął od wrót.

Kate wyszła już z wody i zdażyła posegregować ekwipunek na dwa schludne stosiki, jeden dla niego, drugi dla niej. Zanim zrobił cokolwiek innego, wziął ręcznik i zaczął się wycierać. Nie zdejmując piankowego skafandra, włożył na siebie kamizelkę kuloodporną Cobra, czarne spodnie, pasującą do nich kurtkę, a wreszcie parę czarnych sportowych skarpet i buty do wspinaczki. Zarówno spodnie, jak i kurtka, zostały zmodyfikowane przez pewną szwaczkę w Mediolanie, z której usług Kate korzystała przy wszystkich swoich misjach. Każdy przedmiot i każde narzędzie, które miało im się przydać, musiało być odpowiednio zabezpieczone i umocowane blisko ciała. Przeliczył je wszystkie, wsuwając w odpowiednie miejsca i ponownie analizując kolejne punkty planu Kate: ultradźwiękowy gwizdek do przywoływania psów, para cienkich skórzanych rękawic, kajdanki, kilka długości liny, mały płaski, stalowy łom, półautomatyczny pistolet Navy Colt kaliber 45 z tłumikiem i pierwszym nabojem już w komorze, nóż bojowy, mała latarka, czekan i granat ręczny - w razie, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

Rozmieściwszy wszystko, Ethan sięgnął po mały plecak, do którego przymocowana była strzelba z pociskami usypiającymi. Plecaczek był idealnie dopasowany do jego ciała i dawał dostęp do starannie ukrytej linki wyzwalającej. Jedno pociągnięcie, a momentalnie otworzyłaby się czasza spadochronu. Po strzelbę z pociskami usypiającymi wystarczyło sięgnąć za głowę. Na koniec włożył kominiarkę, gogle noktowizyjne i zestaw słuchawkowy z mikrofonem.

Kate zaczęła obwiązywać wodoodporną plandekę i linę jednym z ręczników. Wrzucili ją do wody, razem z ręcznikami, a kiedy już zatoneły, Kate szepnęła do mikrofonu:

- Dwójka, gotowi?

Drugi zespół zgłosił się natychmiast i Ethan usłyszał dwa głosy potwierdzające kolejno:

- Gotowi, Jedyńka.

Kate zwróciła się do Ethana:

- Gotów, Walecie? Skinał lekko głową.

- Gotów, Damo.

Kate podeszła do skały i zadarła głowę w górę, po raz ostatni planując trasę wspinaczki. Ethan zrobił to samo, mimo że wcześniej wiele razy przyglądał się tej skale z jeziora. Jej uwarstwienie było typowe dla tego regionu. Na całej trasie do wierzchołka dawała nieco punktów zaczepienia dla palców rąk i nóg. Na wysokości jakichś piętnastu metrów, po przebyciu jednej trzeciej wysokości, ściana stawała się pochyła, pozwalając na odpoczynek, gdyby go potrzebował. Kiedy jeszcze myślał nad następnym ruchem, zobaczył, że Kate rozpoczęła już wspinaczkę. Pierwsze trzy metry pokonała błyskawicznie.

Ethan kilkanaście razy przećwiczył wejście w podobnych warunkach, na ścianie o wiele trudniejszej. Kiedy Kate przygotowywała się do jakiejś operacji, była uosobieniem staranności. Jednak do nocnych treningów używali karabinków i lin. Teraz po raz pierwszy wspinał się w ciemności bez zabezpieczeń i to sprawiało, że na początku czuł się trochę nieswojo. Ryzykując spojrzenie w stronę Kate, kiedy już ruszył na skałę, zobaczył, że ma za sobą połowę trasy. Nasłuchiwał przez chwilę i uchwycił stabilny rytm jej oddechu. Poczul się nagle zakłopotany własną mozolną wspinaczką i zmusił się do naśladowania partnerki, co nigdy nie jest mądrym posunięciem. Kiedy spojrział w dół, odległość była idealna, żeby zginać: zbyt mała, by na czas otworzyć spadochron, a zbyt duża, żeby nawet pomyśleć o jakimś fartownym upadku. Widział dokładnie skałę, na której zakończyłby życie. Rozzłoszczony, przyspieszył wspinaczkę. Przypominał sobie, jaka łatwa jest ta ściana. Poruszał się szybko, odpychając się od jednego chwytu i

sięgając po następny, bez przerwy na sprawdzenie go czy choćby na myślenie. Dokładnie tak jak wspinała się Kate.

Przystając wreszcie, choćby tylko po to, żeby się przekonać, ile już przeszedł, poczuł nagle, że nerwy go zawodzą. Już zaczął sięgać po następny chwyt, ale zawahał się. Kate czekała teraz tuż pod szczytem klifu i obserwowała go. Czy widziała, że pakuje się w kłopoty? Czy słyszała to w jego oddechu? Wyciągnął nogę najdalej jak potrafił i stwierdził, że nie jest w stanie dosięgnąć porządnego punktu zaczepienia dla palców stopy. Cofnął nogę i badał dokładniej. Nic. Spojrzał w dół na swoją skałę i poczuł, że ręce zaczynają mu się pocić. Przypomniała mu się wspinaczka sprzed kilku lat. Tamta skała w dolinie Bergell przeraziła go, zanim jeszcze zaczął. W połowie drogi, na której walczył o każdy centymetr, jego palce nagle rozluźniły uchwyt, jakby kierował nimi jakiś własny umysł. Zdarzało się to czasami, kiedy wspinacz był spięty, sfrustrowany lub przerażony. Jeśli miał na sobie uprząż, mógł odepchnąć się od skały, zawisnąć spokojnie i czekać, aż odzyska zdolność koncentracji. Jeśli wspinał się bez zabezpieczeń - był już martwy.

Przez chwilę Ethan nie mógł dojść do ładu z lewą ręką. Tak samo było tamtego dnia w Bergell. Najpierw mięśnie się zablokowały, a potem otworzyły się palce. Wciąż przywierając do skały, wodził po niej czubkiem buta, aż wreszcie znalazł małą szczelinę, na której nie mógł się co prawda solidnie oprzeć, ale zdołał odciążyć nieco dłoń. Szukając teraz kolejnego występu skalnego, uświadomił sobie, że w lewej ręce zaczyna go chwytać skurcz.

Przenosząc ciężar ciała na palce stóp, uwolnił wreszcie dłoń i próbował, potrząsając nią, przywrócić krążenie krwi. Gdy już tego dokonał, wyciągnął lewą nogę, żeby znaleźć następny przyczółek, i o mało nie odpadł, czując bolesny skurcz w biodrze. To był ten moment, kiedy odepchnąłby się od skały i zaśmiał,

ufając linie i partnerowi ubezpieczającemu go z dołu. Przegrał, ściana wygrała. Może jutro spróbuje znowu, a może zajmie się zwykłymi wycieczkami.

W tym momencie usłyszał Kate.

- Idź w lewo. Nie dalej niż trzy metry od siebie masz porządną półkę skalną. - Ethan próbował ją znaleźć. - Zaufaj mi. Ona tam jest. Dojdź do niej teraz. Daj sobie czas, ale zrób to, a nie myśl o tym. - Nie chodziło o to, co mówiła, ale o fakt, że tam była i rozumiała, że ma kłopoty.

Ethan skoncentrował się na jej głosie z tym delikatnym, kobiecym akcentem brytyjskim. Zapomniał o swoich stopach, swoich palcach, swoich skurczach. Zapomniał o samej śmierci.

- Lewą stopę masz już na niej. Troszkę wyżej. Dobrze. Podciągnął się wyżej, wchodząc na wąską półkę, i znalazł kolejny chwyt na palce dłoni, zaledwie dziurkę w skale. Poczul, że ręce ma wiotkie, a skurcz w biodrze słabnie. Strzepnął ręce, ale tylko z nawyku. Krew krążyła, siły mu wracały. A potem znalazł się dokładnie naprzeciw Kate. Oboje byli tuż pod skrajem klifu.

- Myślałam, że cię stracę - wyszeptała.

- Skurcze - powiedział.

- Nieważne, jak to się stanie. Chodzi o to, jak daleko jest w dół. Dobrze się czujesz?

- Dobrze.

- Dwójka, jesteśmy na miejscu. Powtarzam. Jesteśmy na miejscu.

Hotel Palace, Lucerna

Na dachu hotelu Paace sir Julian Corbeau oderwał wzrok od eksplozji kolorów na niebie nad Lucerną, by skoncentrować spojrzenie na contessie Claudii de Medici, szczupłej kobiecie w średnim wieku, stojącej przy balustradzie. Była w

tym kraju już prawie dwie dekady, a nigdy wcześniej nie skusiła się na tego rodzaju spotkanie towarzyskie. Corbeau zastanawiał się, dlaczego wreszcie ustąpiła. Nie z powodu słabości do fajerwerków, tego był pewien. Bankierzy oczywiście zawsze ją zapraszali, ale była to raczej kwestia pewnej kurtuazji.

Jej jedyną ekstrawagancją był coroczny bal dla około setki osób spośród szwajcarskiej śmietanki towarzyskiej. Bywał na nim każdy, kogo Corbeau znał. Mówiło się, że to wydarzenie roku, pełne wybitnych osobistości z całego świata. Kiedy zaczęła je wydawać, kłopoty Corbeau w Ameryce stworzyły wokół niego atmosferę skandalu, co mogło być powodem, dla którego pomijała go w zaproszeniach, ale ostatnio, gdy nagonka na Amerykę stała się czymś więcej niż tylko pozą, Julian Corbeau cieszył się w Europie coraz lepszą reputacją. Jeśli już się chwalić, sir Julian był znowu w modzie. A jednak ona wciąż nie dopisała go do listy swoich gości.

Nie mógł oczywiście podejść do niej wprost, niczym uczeń w rumieńcach, spragniony jej uwagi. Nie dałby jej takiej satysfakcji. Wmieszał się w tłum. Rozmawiał o polityce i sprawach społecznych, jak wszyscy. Przez chwilę mówił nawet o przedsięwzięciu biznesowym z francuskim koncernem. Wreszcie wypłynęło nazwisko contessy. Te słynne bale, które wyprawia. Czy nie był na którymś z nich? Corbeau odparł, że nie. Właściwie, powiedział, ma wrażenie, że ona jest Żydówką.

Na to lekkie zdziwienie.

- Ależ skąd!

- Widocznie się pomyliłem - rzucił z lekkim uśmiechem, odnotowując z satysfakcją nagły cień wątpliwości na twarzy rozmówcy.

- Jest warta wiele milionów - oświadczył mężczyzna, jakby to mogło zrekompensować słabość krwi.

- Zapewne nie są to miliony rodziny Medici.

- Z tego co wiem, wyszła za biednego kuzyna. - Jego rozmówca ostrożnie, z namysłem pociągnął łyżeczek szampana. - A ten tytuł to dla niej tylko kłopot, tak to odbieram. Myślę jednak, że wniosła w małżeństwo pieniądze.

- Jest rozwiedziona?

- Naprawdę nie wiem. Jest bardzo tajemnicza, gdy chodzi o jej życie prywatne. Kiedy już o tym myślę, wydaje mi się, że jej mąż zmarł.

- Ma pan jakieś pojęcie, jak doszła do pieniędzy?

- Nie jestem pewien, ale ręcę, że ma ich mnóstwo. Ponieważ człowiek, z którym w tej chwili rozmawiał, był urzędnikiem jednego z głównych banków szwajcarskich, Corbeau był najzupełniej pewien wypłacalności contessy. Prawdę powiedziawszy, rzadko widywał taką pasję w oczach szwajcarskiego bankiera.

- A jednak nigdy się jej nie widuje - rzucił Corbeau, jak gdyby zdumiony jej nieumiejętnością wejścia w lokalną społeczność.

- Powiedziałbym: rzadko. Contessa ceni sobie swoją prywatność. Przyjmując zaproszenie na dzisiejszy wieczór, upewniała się, że nie będzie tu kamer.

- Ciekawe dlaczego.

- Jeśli potrafi pan w to uwierzyć, myślę, że jest osobą naprawdę skromną.

- Miałem wrażenie, że skromność wyszła z mody. Bankier zaśmiał się uprzejmie.

- To niezwykła kobieta, jakkolwiek by na to patrzeć. Czy mogę pana przedstawić?

Contessa miała cudowne oczy, tak cudowne, że można było nie zauważyć, iż nie wyciągnęła do niego ręki.

- Wiele o panu słyszałam - odezwała się po francusku, choć nie była Francuzką. Jej smagła cera i chłodne, ciemne oczy zdradzały rasę o wiele starszą. Na szyi miała wspaniałą rubin w oprawie, która wyglądała na zręczną imitację biżuterii ze starożytnego Rzymu, jeśli nie na oryginał. Zamiast obrączki ślubnej con-

tessa de Medici nosiła niezwykle antyczny pierścień z kameą. Przedstawiał dwoje kochanków trzymających się za ręce. Mogło to być barokowe naśladownictwo arkadyjskiego oryginału, warte obecnie setki tysięcy dolarów, choć skłonny był przypuszczać, że to jednak oryginał, wart prawie milion.

Corbeau odpowiedział na jej uprzejmość żartobliwą skromnością. Była to sztuka, którą zdołał opanować z najwyższym trudem.

- Nigdy nie należy słuchać plotek. Są zawsze tak boleśnie trafne.

- Plotki to wszystko, na co mogę sobie pozwolić. Widzi pan, praca zbytnio mnie zajmuje, żebym mogła wiele czasu spędzać wśród ludzi.

- Nie powinna pani być niewolnicą swojej pracy. Życie trzeba przeżyć!

- Jestem niewolnicą swojej pasji, sir Julianie, którą jest nauka.

- Contessa jest cenioną pisarką - wtrącił bankier dobrze wyuczoną francuszczyzną, która jednak w porównaniu z francuskim contessy brzmiała jak marna imitacja.

- *Zapomniana Jerozolima* - odpowiedział Corbeau, używając angielskiego tytułu. - Uważam ją za najlepszą książkę, jaką kiedykolwiek czytałem na temat rzymskiej okupacji w I wieku.

- Czy dużo książek historycznych czytał pan, sir Julianie?

- Nie tak wiele wartościowych, obawiam się, ale co do liczby, zapewne więcej niż inni. Tego jestem pewien. Tak się składa, że książki są moją pasją. Oczywiście, mimo to udaje mi się niekiedy wygospodarować wolny wieczór na spotkanie z przyjaciółmi, więc być może moja pasja nie jest tak pochłaniająca, jak być powinna.

Bankier, odgrywając swoją rolę, wyjaśnił, iż Corbeau posiada zbiór literatury okultystycznej, przez wielu uważany za najwspanialszą kolekcję prywatną w całej Europie.

Ze słabym uśmiechem, który miał złagodzić jej aż nazbyt widoczny niesmak, zapytała:

- Jest pan więc czarownikiem?

Było to pytanie, które zazwyczaj budziło pogardę Juliana Corbeau. Contessa jednak zdawała się rozumieć, o co pyta. Z pewnością była kobietą, która pojmuje różnicę pomiędzy jarmarcznymi sztuczkami a dziełami prawdziwego maga.

- Nie wierzę w nonsensy.

- Być może powinnam była powiedzieć: adeptem magii.

- Ach, to zupełnie zmienia postać rzeczy. Niestety, jestem jedynie amatorem. Chętnie czytam o mężczyznach i kobietach posiadających prawdziwie tajemne moce, ale do tego się ogranicza moje zainteresowanie. Nie jestem pewien, czego zażądałbym od ducha, gdyby rzeczywiście udało mi się jakiegoś wywołać!

- A miałam wrażenie, że jest pan człowiekiem, który dokładnie wie, czego chce. Wybacz mi pan?

- Niezwykła kobieta - stwierdził bankier, gdy contessa już odeszła.

Czerwieniąc się ze złości, Corbeau nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć głupcowi. Niezwykła, to prawda, ale było w niej coś więcej. Corbeau znał setki niezwykłych ludzi. To była jego praca, znać niezwykłych ludzi! Ona jedna była inna. Ona jedna się go nie bała.

Jezioro Czterech Kantonów

Wkładali rękawiczki, czekając, aż odezwie się drugi zespół. Przez chwilę nie było odpowiedzi i Kate powtórzyła po raz trzeci:

- Zespół pierwszy na miejscu. Słyszycie? Wreszcie głos starszego mężczyzny odpowiedział:

- Już prawie dotarliśmy, Damo. - Ten sam głos dodał po chwili: - U celu!

Kate i Ethan ruszyli. Na chwilę przed tym, gdy wyszli zza skały i chwycili się muru oporowego, całą posiadłość zalały światła reflektorów, a ciszę przerwało wycie syren. Potem rozległo się kilka ostrych dźwięków klaksonu i wibrujące buczenie urządzeń elektronicznych. Ethan usłyszał w słuchawkach kobietę wyklinającą niemiecką gwara.

- Kto postawił bramę pośrodku drogi?! Mężczyzna uspokajał ją.

- Źle skręciliśmy, kochanie.

Rozmawiali głośno, szyby mieli opuszczone, by ich głosy mogły być słyszane w budce strażniczej.

- Nie pomyliłam zakrętu! - odpowiedziała kobieta ze złością. - Ktoś postawił bramę na drodze!

Był to dobrze przygotowany scenariusz: dwoje podpitych austriackich turystów w letni wieczór, ze zderzakiem wbitym w bramę frontową posiadłości milionera, upierających się, że wypadek jest wyłączną winą właściciela posesji. W tym czasie Kate i Ethan wdrapali się na wierzch klifu i rozdzielając się, ruszyli w mrok, który otaczał rezydencję.

Kucnęli w pozycji snajperskiej, z jednym kolaniem opartym na ziemi, mając strzelby na naboje usypiające wyciągnięte i gotowe do strzału. Przez chwilę nic się nie działo i mogli po raz pierwszy z tak bliska przyjrzeć się posiadłości. Dom wyglądał niczym zamek obronny, ale było w tym coś z iluzji. Jedynie wieża wznosząca się nad jeziorem była naprawdę średniowiecznej konstrukcji. Dom, choć miał ponad sto lat, zbudowany został z myślą o wygodzie jego właścicieli. Na parterze otwierał się kilkoma parami szklanych drzwi na obszerny taras. Ponad nim balkon z kolumnkami dawał kolejną okazję do podziwiania jeziora. Posesję otaczał z obu stron niewielki las. Chroniły ją także wysokie kamienne mury, z wyjątkiem tyłu posiadłości, gdzie pionowa ściana skalna schodziła aż do jeziora, broniąc dostępu wszelkim intruzom, prócz tych najodważniejszych.

Od domu do skraju klifu, na jakichś sześćdziesięciu metrach, rozciągał się trawnik, pośrodku którego widać było małe, wybetonowane lądowisko dla helikopterów. Poza tym otwarta, pełna zieleni przestrzeń dawała widok na jezioro i góry. Wzdłuż murów ogrodnik pozwolił sobie kilka lat wcześniej posadzić kwitnące krzewy i małe drzewka owocowe. Zacieniały one miejsca położone najbliżej muru, nawet gdy włączone były światła, i dawały naturalną osłonę, w razie gdyby ktoś patrzył z wnętrza domu lub monitorował teren za pomocą kamer.

Można było jednak przyjąć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że nikt nie patrzy na tył posesji. Zbyt wiele interesujących wydarzeń zaplanowała Kate w scenariuszu przedstawienia przy bramie wjazdowej. Ethan usłyszał w słuchawkach, że dwoje drzwi samochodowych otworzyło się i zamknęło. Wycie syren nagle ustało, choć światła pozostały włączone.

- Pewnie zamierzasz tu stać w tym swoim wymyślnym mundurku i mówić, że to moja wina! - wykrzykiwała starsza kobieta do wartownika.

Wiedzieli, że właściciel rezydencji jest w miasteczku, jako ważny gość przyjęcia odbywającego się na dachu hotelu Paace w trakcie corocznego pokazu sztucznych ogni. Jeśli wszystko dobrze poszło, towarzyszy mu pięciu ludzi z jego ochrony osobistej, a w rezydencji pozostało jedynie dwóch strażników. Skoro jeden jest na podjeździe, drugi zapewne kontaktuje się z policją, miejmy nadzieję, informując ich, o co gorąco się modlił, że to fałszywy alarm i nie ma powodów do interwencji.

Teraz Kate i Ethan musieli się uporać z dwoma psami, które wypadły ze swoich bud przy pierwszym sygnale alarmowym. Podobnie jak strażnicy, skupione były na sytuacji przy bramie wjazdowej. Kiedy Kate dmuchnęła w swój ultradźwiękowy gwizdek, wbiegły na niewielki pagórek i stamtąd, zaniepokojone, szukały źródła dźwięku. Nie miały zbyt wielkiej chęci porzucić rozrywki przy bramie dla mniej obiecujących perspektyw, ale były zaciekawione.

- Psy się zbliżają - szepnęła Kate.

Ethan nie słyszał dźwięku gwizdka, ale psy - owszem. Zaczęły biec w tym samym tempie, najpierw jakby dla zabawy, niepewne, dokąd się skierować. Kiedy przebiegły już około połowy odległości pomiędzy domem a Kate, zdawało się, że ją zlokalizowały, bo natychmiast przeszły do ataku. Wtedy dmuchnął w swój gwizdek i pies znajdujący się bliżej niego zmienił kierunek biegu, nie wybijając się z rytmu. Ethan, wycelował w ciemną masę psiego ciała i nacisnął spust. Doberman drgnął, wywrócił się, a potem zdołał ponownie wstać. Kopał zawzięcie tylnymi łapami, usiłując kontynuować atak.

Ethan upuścił strzelbę i wyjął nóż. Zwierzę rzuciło się do przodu, ale środek usypiający przytępił jego reakcje. Upadło tuż przed nim i stękając, sunęło po wilgotnej trawie. Jeszcze raz machnęło łapami, próbując wstać, potem zamruczało niczym człowiek we własnym łóżku i zapadło w sen. Ethan spojrzął na Kate. Już wciągała drugiego psa w gęste listowie, trzymając go za skórę na karku. Włożywszy nóż do pochwy, Ethan zaciągnął psa w zacienione miejsce i ruszył wzdłuż muru w stronę domu. Tymczasem przedstawienie przy bramie wjazdowej trwało nadal. Nieproszeni goście chcieli się widzieć z właścicielem. Oświadczyli, że nie odjadą, dopóki ich żądanie nie zostanie spełnione.

Kiedy Ethan dobiegł już prawie do domu, usłyszał Kate:

- Zaczynamy!

Przebiegli przez trawnik, w kierunku tarasu, każde z nich od swojej strony. Długa pętla liny wspinaczkowej wisiała na ramieniu Kate niczym pas na naboje. Spotkali się pod domem. Kate zwolniła nieco kroku i wskoczyła najpierw na udo Ethana, a potem na jego ramię, pozwalając, by siła rozpędu wyniosła ją w górę. Dotarła do rynien balkonu na drugim piętrze, zamachnęła się nogą i wdrapała bezpiecznie przez balustradę. Stamtąd mogła już przerzucić linę z kotwicą na

dach wieży. W tym czasie zadaniem Ethana było unieszkodliwienie drugiego strażnika, w razie gdyby zespołowi drugiemu nie udało się go zdjąć.

Wyjąwszy colta, ruszył biegiem w stronę narożnika domu. Umundurowany strażnik wyszedł z budki i leniwie powlókł się w kierunku bramy, przy której coś się działo. Ethan cofnął się w mrok. Zespół drugi ściągnął na siebie uwagę obu mężczyzn. Kobieta zasygnalizowała ten fakt swoją bełkotliwą wymową.

- I jeszcze ty! Czego chcesz? Powiedziałam, że będę rozmawiać tylko z właścicielem tej nory! Nie potrzebuję oglądać jeszcze jednego munduru!

Jej mąż znowu próbował ją uspokajać. Nie powinna kląć na tych biednych gości, powiedział. Oni po prostu wykonują swoją pracę, tak jak każdy.

Drugi strażnik mówił takim samym zgrzytliwym wysoko-niemieckim jak jego partner. Powiedział im, że znajdują się na terenie prywatnym. Muszą go opuścić, jeżeli nie chcą zostać aresztowani. A może wolą spędzić noc w więzieniu? Zamiast odpowiedzi usłyszał niewyraźny dźwięk dwóch pocisków usypiających, wystrzelonych jednocześnie z dwóch pistoletów, a potem odgłos dwóch ciał upadających na żwir. Kate i Ethan mieli około dwudziestu minut na wykonanie zadania, ponad dwa razy więcej niż potrzebowali, według oceny Kate.

Spojrzał w górę i zobaczył, że jego partnerka wspina się po ścianie wieży, jej lina zwieszała się z dachu. Wyciągnął z pochwy przytwierdzonej do uda płaski łom. Włamał się do środka przez przeszklone drzwi tarasu jednym ruchem nadgarstka. Światła wewnątrz domu były zapalone. Włożył łom z powrotem do pochwy. Przemieszczając się z pokoju do pokoju, plecami do ściany, przeczesywał puste przestrzenie celownikiem broni.

W słuchawkach usłyszał szefa drugiego zespołu:

- Dwóch śpiących przy bramie. My się zmywamy! - Połączenie zostało przerwane.

Ethan skończył przeszukiwanie parteru i wszedł na główne schody. Na podęście usłyszał przytłumiony dźwięk wybuchu - i w słuchawkach, i bezpośrednio nad głową. To Kate wysadzała szczyt wieży czeskim semteksem. Ethan sprawdził pokój po pokoju na pierwszym piętrze. Szybko i pobieżnie, tak na wszelki wypadek. Kate musztrowała go w tej kwestii. Dom powinien być pusty, ale muszą zakładać najgorsze: jakiś gość, który został na noc, strażnik, o którym nie wiedzieli, sam Corbeau, jeśli zmienił plany. Nazywała to czynnikiem katastrofy. Ethan, znalazłszy się znowu w głównym holu, ruszył wąskim korytarzem.

Ten, według planów, które kilka miesięcy wcześniej skradli z biura architekta miejskiego, powinien był go doprowadzić do biblioteki i wieży.

- Wchodzę, Damo - powiedział.

Kopnięciem otworzył zamknięte drzwi i znalazł się w niezwykłym pomieszczeniu. Wzdłuż dwóch jego ogromnych ścian ciągnęły się wbudowane półki na książki. Trzecią zajmował rząd okien z widokiem na jezioro i duże, doskonale ustawione biurko. Pośrodku czwartej znajdował się zestaw maleńkich drzwiczek. Wszystkie były teraz zamknięte. Każde z nich ozdobiono trzema żeliwnymi ornamentami, ukształtowanymi na podobieństwo małych czarnych kruków. Mogły to być klamki albo też część jakiegoś średniowiecznego mechanizmu. Ethan nie dowierzał im, bo wiedział, jaką reputacją cieszy się mieszkający tu człowiek. Pomyślał, że mogą być jakąś gotycką, mechaniczną i śmiertelnie niebezpieczną pułapką albo zawierać ładunek wybuchowy.

- Dom jest czysty - poinformował - ale trzymaj się z daleka od tych drzwi.

Nie podobają mi się.

- Czas ucieka - przypomniała Kate.

- Siedem minut- stwierdził.

- Lepiej pięć.

Hotel Palace, Lucerna

Jeffrey Bremmer, szef ochrony Juliana Corbeau, wyszedł z cienia i dał znak swojemu pracodawcy. Corbeau przeprosił rozmówców i podszedł do niego nieco zdziwiony. Bremmer zazwyczaj wykonywał swoje zadania, nie angażując go.

- O co chodzi? - zapytał.

- Para pijanych przy bramie wjazdowej uruchomiła alarm.

Corbeau spojrział na drugi brzeg jeziora. Nie lubił żadnych zakłóceń, których sam nie spowodował. Oficjalnie wciąż był zbiegiem z USA. Stany Zjednoczone nie mogły wystąpić przeciw niemu, gdyż był pod szwajcarską ochroną, ale nie znaczyło to, że łowcy nagród nie spróbują szczęścia. Amerykański prokurator w przyływie złości, kiedy Corbeau, po postawieniu mu zarzutów, umknął, wyszedłszy za kaucją, wyznaczył milion dolarów nagrody dla tego, kto zdoła go dostarczyć władzom skłonny dokonać ekstradycji. Oznaczało to: wydostać go ze Szwajcarii. W ciągu jedenastu lat dwie różne grupy były tak niemądre, żeby spróbować.

- Prawdopodobnie Austriacy. Kobieta i mężczyzna... po sześćdziesiątce. Poczono ich, żeby odjechali, ale nie są skłonni do współpracy.

- Zawiadom policję, żeby była w pogotowiu, i daj im jeszcze jedno ostrzeżenie.

- Zajmę się tym.

Kiedy patrzył na Bremmera oddalającego się z telefonem komórkowym przy uchu, poczuł dziwny niepokój. To już kolejny raz. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przy trzech różnych okazjach ogarnęła go fala mdłości. Instynkt mówił mu, że wrogowie są bliżej, niż mu się wydaje, ale nie potrafił zlokalizować źródła niebezpieczeństwa. Przekonywał sam siebie, że to nic, ale owo nic stało się

nagle bardzo natrętne. Odruchowo przeszukał wzrokiem dach hotelu w poszukiwaniu contessy. Nie było jej. Pewnie zauważyła jakąś kamerę.

Spojrzał na tłum. Było w nim bardzo niewiele obcych twarzy. Wśród ludzi, których nie znał, nie dostrzegł nikogo zdolnego skutecznie wywabić go z kraju. Być może o to właśnie chodziło, ale bardziej prawdopodobne wydało mu się, że to, co dzieje się w domu, nie było tym, na co wyglądało...

No cóż, policja została zaalarmowana. Mogą zamknąć drogę w ciągu kilku minut. Wszystko powinno być.

Bremmer powrócił. Tym razem nie dawał żadnych znaków. Corbeau zrozumiał i natychmiast ruszył w jego kierunku.

- Budka strażnicza nie odpowiada.

- A co z policją?

- Zamykają drogę.

- Dobrze. Nic więcej. Chcę sam się tym zająć. Uśmiech Bremmera zdradzał, jak bardzo kocha swoją pracę.

- Tak właśnie myślałem, że może pan zechce. Terenówka powinna być przy drzwiach wejściowych, kiedy tam dotrzemy. Drugi zespół już rusza. Powinni być w domu w ciągu trzech minut.

Jeziro Czterech Kantonów

Ethan podszedł najpierw do regałów z książkami, z ciekawości sprawdzając tytuły. Zważywszy na to, kogo okradali, nie zdziwiło go, że większość publikacji poświęcona była ezoteryce. Wypatrzył *Zekerboni Pietra Mory*, siedemnastowieczny traktat o magii, o którym wiedział, że znaleziono go u Casanovy, co posłużyło do oskarżenia słynnego kochanka o czary w 1755 roku.

Obok stały *Wyznania* Aleistera Crowleya i musiał zwalczyć w sobie odruch, by zabrać je z półki. Był pewien, że to pierwsze wydanie. Crowley u szczytu swoich możliwości na początku XX wieku znany był jako człowiek najnikczemniejszy z żyjących. Zobaczył także *Izydę* Madame Blavatskiej, prace Johna Dee, *Przez wrota śmierci* Dion Fortune i arcydzieła Eliphasa Leviego na temat magii: *Dogme et rituel de la hau-te magie* i *Histoire de la magie*, we francuskich oryginałach.

Widział Roberta Fludda, W.E. Butlera, Alice Bailey, Alberta Wielkiego, Pietra de Albano, Papusa, Rudolfa Steinera i tak dalej niemalże bez końca. Sama ta biblioteka, książka po książce, gdyby mógł ją stąd wydostać, warta była na wolnym rynku kilka milionów dolarów. Nie uwzględniono jej jednak w planach na ten wieczór.

Dziś wieczorem chcieli tylko jednego - obrazu - jeśli on w ogóle istniał. Ethan podszedł do regału zajmującego drugą ścianę. Znajdowały się tu biografie i drugorzędne publikacje związane z magią. Kryjówka na widoku? Przepatrywał półki, szukając czegokolwiek, co mogłoby skrywać niewielkie malowidło na desce.

- Znalazłeś coś? - spytała Kate.

- Jeszcze nie.

- Tu nic nie ma!

- Sprawdź w masonerii. Jesteśmy blisko, czuję to!

- A ja czuję, że czas nam się kończy.

- Będzie dobrze. - Łomem rozwalił zamek biurka i poczuł wyrzuty sumienia, że zniszczył tak piękną rzecz. Wewnątrz jedynej szuflady znalazł pióro Mont Blanc i bladokremową papeterię z wytłoczoną tarczą herbową Corbeau, przedstawiającą kruka w locie. Poniżej znajdowały się słowa: *Gare le Corbeau!* Spojrzał na dwa obrazy na ścianie oddzielającej bibliotekę od wieży. Jeden z nich był wyblakłą odbitką obrazka z dziewczynką może dziewięcio- lub dziesięcioletnią, sie-

dzącą nago w scenerii starego cmentarza na czymś, co zdawało się być jej całunem. Oczy miała szeroko otwarte w wyraźnym zaskoczeniu, że wróciła do życia. Obrazek był oprawiony w delikatną szarość, a ramiarz podkreślił tę szarość cienką linią w odcieniu spłowiałego cynobru. Ołówkiem, maleńkimi literami, wypisano tam zdanie: „Tylko to, co piękne, jest prawdziwe”, po którym następowały inicjały „O.W.” i data „29 marca 1899”.

- Mamy właściwego człowieka - powiedział i poczuł gwałtowne uderzenie tętna. O.W., Oskar Wilde. Był tu sto lat temu. Żeby zobaczyć go jeszcze raz? Wezwany? Jako dżentelmen przywiózł coś w darze. Coś, co miało być pamiątką ich pierwszego spotkania. Ethan oddałby wszystko, żeby poznać tę historię!

-Czas nam się kończy, Walecie!

Przeniósł wzrok z odbitki na obraz: mały, mroczny pejzaż Golgoty po egzekucji. Podeszedł do niego. Było to prymitywne, monochromatyczne studium sceny ukrzyżowania, gdy ciała zostały już zdjęte, a tłum rozszedł się do domów. Ethan ostrożnie wyciągnął rękę, by dotknąć malowidła. Ramki były mocno przytwierdzone do ściany. Sprawdziwszy dokładniej, dostrzegł maleńki zawias. Kiedy za niego pociągnął, brzeg obrazu wyjechał ze ściany niczym małe drzwiczki. Wewnątrz znalazł wbudowaną, metalową dźwignię. Pociągnął, ale bez efektu. Spróbował więc ją obrócić. Mechanizm zadziałał, ale wciąż nic się nie wydarzyło.

Bomba pułapka?

Spojrzał na głowy kruków na drzwiczkach. Nie. Te klamki były jedyną pułapką, jakiej Corbeau potrzebował. To było wejście. Templariusze umieszczali trzy puste krzyże, by wskazać skarb, klucz do skarbu lub nawet kryjówkę, zależnie od kontekstu. Nie była to symbolika, którą by powszechnie rozpoznawano, poza kręgami entuzjastów templariuszy. Kruk z kolei stanowił główny element

tarczy herbowej Corbeau, co podkreślały słowa *Gare le Corbeau!* Strzeż się Kruka!

Spróbował pociągnąć za dźwignię w tej nowej pozycji i odkrył ku swemu zdumieniu, że drzwiczki zaczęły się otwierać.

Kate stała w zaciemnionym pokoju, w goglach noktowizyjnych na kominiarce. Podciągnęła je w górę, na czoło, wchodząc do biblioteki. Ethan pokazał jej dźwignię, obraz i odbitkę z wizerunkiem dziewczynki.

- Spójrz na inicjały.

- Oskar Wilde - powiedziała. - Może on go zabrał.

- Ten obraz tu jest, Damo. To pamiątka rodzinna Corbeau. Ethan porzucił bibliotekę i wszedł do ponurej wieży. Nie

było w niej oświetlenia ani gniazdek elektrycznych, a jedynie kandelabry z na wpół wypalonymi świecami. Pomieszczenie miało kształt idealnie kolisty. W mozaice na podłodze rozpoznał Wielką Pieczęć Salomona. Wszystkie magiczne zaklęcia wypisane były greckim alfabetem. Leżała na nich zwinięta lina wspinaczkowa Kate, zwieszająca się z rozbitego sufitu jakieś cztery metry nad ich głowami.

Przed wybuchem na suficie były malowidła, teraz w większości zniszczone, ale Ethan zdołał się domyślić, że było to tradycyjne kabalistyczne Drzewo Życia z dziesięcioma atrybutami Boga, których nazwy wypisane były również greckimi literami.

- Nic tu nie ma - szepnęła Kate. Wydawała się zaniepokojona. Jej serce włamawacza miało swój wewnętrzny zegar.

Ethan przypatrywał się teraz ścianom. Zobaczył masońskie Oko Opatrzności, przed którym stały dwie niewielkie marmurowe kolumny. Dokładnie pomiędzy nimi umieszczony był ołtarz ze zwykłego kamienia. Kamienne były też ławy wbudowane w ściany.

- Gdzie trzymaliby przybory? - Ponownie przyglądał się Pieczęci Salomona.
- Musimy iść.
- On tu jest.
- Nieważne. Nie mamy już czasu.

Ethan nadal wpatrywał się w zawile wzory i litery. Szukał charakterystycznego pęknięcia. Wyjął latarkę i zaczął chodzić po obwodzie pieczęci. Kamień został położony ponad sto lat temu. Były w nim maleńkie szczeliny i odrobina żółcenia, ale nic więcej. Kate odezwała się znowu:

- Czas!

Ethan omiół wzrokiem ołtarz. Skupił się na oku. Czy spoglądało na to, czego szukali? Odwrócił się szybko i popatrzył na ścianę, a potem podszedł do niej, świecąc latarką. Nic. Wszedł z powrotem do biblioteki i dotknął obrazu z pustymi krzyżami. Co oznaczały: skarb, klucz do skarbu czy też kryjówkę?

Kate schwyciła go za ramię.

- Teraz - zażądała.

Ethan wyjął nóż i zaczął ciąć wzdłuż brzegu płótna.

- Jeszcze minuta. Potem znikamy.

Spojrzała na zegarek. Za płótnem nic się nie ukazało. A więc obraz był kluczem. Ethan spróbował obrócić klamkę, ale ta nie dała się ruszyć. Wcisnął ją z powrotem w ścianę i małe drzwiczki zaczęły się przesuwać i łączyć. Poczekał, aż połączyły się całkowicie, a wtedy obrócił uchwyt tak jak poprzednio. Wyciągnąwszy go znowu, obserwował, jak drzwiczki zaczynają się otwierać.

Kiedy wciąż jeszcze się poruszały, spróbował przekręcić klamkę. Tym razem coś mu się udało. Dźwignia łatwo przeskoczyła w inną pozycję. Drzwiczki dalej się otwierały, ale boazeria w dolnej części ściany opadła za listwę przypodłogową, odsłaniając trzy półki. Na górnej Ethan zobaczył czaszkę i skrzyżowane

piszczele ułożone na kawałku białego płótna. W płótno owinięty był mały, prostokątny przedmiot.

- To jest to - powiedział.

Wysuwając pakunek spod kości, w pośpiechu odsłonił tkaninę i znalazł się twarzą w twarz z portretem Chrystusa, namalowanym, jeśli zaufać legendom, wewnątrz pałacu Heroda w Jerozolimie, na rozkaz prefekta Judei, Poncjusza Piłata. Według najstarszej wzmianki o tej relikwii, ktokolwiek na nią spojrzał, miał żyć wiecznie i nigdy nie zaznać starości. Templariusze uważali, że wywołuje ona wizje.

- Zwijamy się.

Ethan wsunął obraz w wodoodporną torebkę i włożył ją w metalową ramę pomiędzy plecami Kate a jej plecakiem.

- Masz już jakieś wizje? - zapytał.

- Tak, wizje kłopotów.

- Więc lepiej się zbierajmy.

Nie skończył jeszcze wypowiadać tych słów, gdy w drzwiach biblioteki pojawił się nieznamy mężczyzna. Miał na sobie smoking, a w prawej ręce trzymał pistolet półautomatyczny z taką swobodą, jakby to była szklaneczka whisky. Był wysoki i szczupły, mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. Nie wydawał się szczególnie zaskoczony, widząc w bibliotece Juliana Corbeau dwoje intruzów w czarnych, jedwabnych kominiarkach. Właściwie wyglądało na to, że spodziewał się ich tu zastać. Kate sięgnęła po broń, a Ethan poszedł w jej ślady, ale ich reakcja była nieco spóźniona. Mężczyzna w smokingu był już gotowy do oddania strzału, a co więcej wydawał się niezwykle rozluźniony, kiedy wymierzył w Kate i nacisnął spust.

Dziewczyna upadła w tył, uderzona pociskiem, kiedy colt Ethana wyszedł wreszcie z kabury. Mężczyzna spokojnie zwrócił broń w jego stronę i strzelił po-

nownie. Tym razem chybił. Jednocześnie z podłogi odpowiedziała broń Kate i człowiek w smokingu zatoczył się na drzwi. Ułamek sekundy

później wypalił colt Ethana, trafiając upadającego mężczyznę w szyję.

Kiedy pochylił się, by sprawdzić stan Kate, jej dymiąca broń wciąż jeszcze wycelowana była w drzwi. Znalazł dziurę po pocisku nad jej sercem.

- Nic mi nie jest... jak sądzę - jęknęła.

Ethan zbadał otwór i odnalazł gorący, spłaszczony kawałek ołowiu.

- Musisz pokochać tę cibrę - szepnął.

Kate wstała powoli. Oboje spojrzeli na martwego mężczyznę, rozciągniętego na drzwiach.

- Skąd się tu wziął?

- Nie wiem, ale jeżeli ma kolegów...

Usłyszeli ze schodów głosy nawołujące się po niemiecku. Dwa? Trzy? Ethan nie potrafił powiedzieć ile i nie miał ochoty tego sprawdzać.

- ...to mamy problem - dokończyła Kate.

- Uciekaj z obrazem. - Wskazał na linę. - Ja ich zatrzymam. Podszedł do drzwi biblioteki, zdejmując tłumik ze swojego colta. W lewą rękę chwycił broń zastrzelonego mężczyzny. Ze schodów jakiś głos krzyknął po niemiecku:

- Złapałeś ich?

Ethan obejrzał się i zobaczył Kate wpatrującą się w niego.

- Idź! - wysyczał. - Spotkamy się na dole.

Było to kłamstwo, prawdopodobnie ostatnia rzecz, jaką miał kiedykolwiek jej powiedzieć. To jednak nieistotne. Teraz ważne było, żeby wydostać stąd Kate żywą. Musiał przeżyć wystarczająco długo, żeby dać jej szansę. O resztę zatroszczy się sama. Ruszył bez lęku wąskim korytarzykiem. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej był tak pewny siebie czy też tak odważny. Życie Kate zależało teraz od niego i od tego, co zdoła zrobić w ciągu następnych kilku

sekund. Tylko to się liczyło. Dwóch mężczyzn w smokingach jednocześnie otworzyło ogień, kiedy Ethan przetoczył się przez hol. Podniósł się na jedno kolano, wycelował w nich z obu broni i kolejno wystrzelił. Jeden z napastników upadł śmiertelnie trafiony, drugi zniknął z widoku. Jeszcze inny głos zawołał z dołu. Ethan usłyszał kroki kogoś wchodzącego na schody i wstał. Odwrót miał odcięty. Wtedy właśnie pojawiła się Kate i zaczęła strzelać ze swego pistoletu bez tłumika. Któryś z mężczyzn krzyknął, a reszta się wycofała. Ethan strzelił dwa razy, przecinając otwartą przestrzeń i wpadając znów do ciasnego korytarzyka.

- Uciekaj - powiedział jej. - Zatrzymam ich do czasu, aż się wydostaniesz!

Odwrócił się i strzelił jeszcze trzy razy, żeby zmusić napastników do cofnięcia się, gdy Kate biegła do wieży. Wyjął granat, wyciągnął zawleczkę i rzucił go w wylot wąskiego korytarza. Kate już prawie wydostała się na zewnątrz, kiedy Ethan chwycił linę i zaczął się wspinać szybkimi ruchami. Słyszał głosy dwóch ludzi wchodzących po schodach. Granat wybuchł za wcześnie, ale i tak opóźnił ich na tyle, że Ethan zdążył dotrzeć na dach. Wydostał się za pomocą czekana.

Kate, asekurowując go, wrzuciła z kolei swój granat do wieży i wyciągnęła linę na zewnątrz. Przemieściła bosak i zaczęła schodzić po kamiennej ścianie. Kiedy to robiła, Ethan obserwował teren, ale nikt się nie pojawił. Wybuch granatu usłyszał, kiedy zszedł z dachu i zaczął zjeżdżać na dół. Dotarłszy na ziemię, rzucił się pod ścianę. Wewnątrz domu pogasły światła, a z trzech punktów na parterze popłynęły serie ognia z broni maszynowej.

- AK-47 - szepnęła Kate po tej przedłużonej strzelaninie.

Kiedy zaczęła się następna seria, z domu wybiegł jakiś mężczyzna i szybko skrył się w cień muru naprzeciwko nich.

- Jeden na dziedzińcu - powiedział Ethan, ostrożnie cofając się, aż znalazł drzewo i skałę, które dawały mu coś więcej niż tylko kryjówkę. - Sprowokuję go do strzału!

Wypalił raz na ślepo, w stronę domu. Człowiek na dziedzińcu odpowiedział długą serią. Ethanowi buchnęła w twarz ziemia ze ściółką, a odłamki kamienia poraniły mu szyję i rękę. Kiedy tylko tamten otworzył ogień, Kate odpowiedziała trzema krótkimi wystrzałami w jego kierunku. Zakończył je krzyk bólu, a ona, nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, popędziła w stronę klifu.

Ethan zaczął posyłać serie w kierunku rozbłysków zdradzających wyloty luf wewnątrz domu. Po chwili wstał i ruszył przez jasno oświetlony teren, strzelając, aż skończyła mu się amunicja, wtedy wyrzucił obie sztuki broni i również pobiegł w stronę klifu. Kate już zeskoczyła, czasza ulepszonogo spadochronu rozwinęła się nad jej głową.

Ethan dzięki swoim wysiłkom zyskał prawie dwie sekundy ciszy, ale potem broń maszynowa ponownie bluznęła ogniem. Nogi, dziwnie ciężkie, odmawiały mu posłuszeństwa. Ziemia szaleńczo rozwierała się przed nim, a pociski przelatywały obok głowy. Logicznie rzecz biorąc, wiedział, że te dwadzieścia kilka metrów potrafi przebiec w ciągu trzech czy czterech sekund. Bez osłony, z ogniem z dwóch karabinów maszynowych zbliżającym się niebezpiecznie, ostatnie dwie sekundy dłużyły się niczym dziesięć.

Raz upadł, przetoczył się znów na nogi, ale te nadal nie chciały współpracować, więc do skraju klifu dotarł, zataczając się. Dotknął linki wyzwalającej na krok przed zeskokiem - dokładnie tak, jak ćwiczyli to z Kate. Poczł ciepłł pocisku przelatującego tuż obok i w nagłej euforii uświłdomił sobie: udało się!

Wtedy właśnie ból przeszył mu plecy. Zamiast przeskoczyć, w ślad za Kate, jęknął głośno i potknął się o mur oporowy. Usłyszał trzask otwierającego się spadochronu i poczuł szarpnięcie, które podciągnęło go do pozycji pionowej. Nie

musiał robić nic, spadochron sam unosił go w stronę jeziora. Ponieważ gogle noktowizyjne nadal miał zsunięte na czoło, niewiele widział, wpadając do wody.

Począł, aż siła wyporu wyniesie go na powierzchnię, by wyplątać się z cza-
szy i linek, co okazało się wcale niełatwe. Opił się wody z jeziora i omal znów
nie poszedł na dno, zanim wreszcie się wyswobodził. Szukał wzrokiem uzbrojo-
nych ludzi na szczycie klifu, ale widział tylko masyw skalny i nocne niebo. Za-
pewne ruszyli w stronę łodzi.

Jego uwagę przyciągnął rozbłysk światła na wodzie.

- Widzisz mnie? - wyszeptał. Nie było odpowiedzi. Uderzając w powierzch-
nię jeziora, zgubił słuchawki i gogle. Spróbował zagwizdać, ale wyszło to żało-
śnie, więc odnalazł latarkę i puścił jeden sygnał, zawahał się, a potem mignął
jeszcze dwa razy. Kate odpowiedziała jednym błyskiem i Ethan usłyszał warkot
silnika. Spojrzał znowu na szczyt klifu. Wciąż pusto. Kate podpłynęła do niego
pontorem i wychyliła się, wyciągając rękę. Uchwycił się jej nadgarstka i linki,
wygramolił z wody i padł na pokład.

Corbeau, już za sterami swojej łodzi motorowej, usłyszał oddalający się
dźwięk ich małego silnika przyczepnego. Dał znak Bremmerowi, żeby wziął je-
den z WaveRunnerów, po czym nacisnął klawisz otwierający bramę portu. Po-
trójny silnik motorówki zaryczał, budząc się do życia, ale wrota ani drgnęły.

- Otwórz bramę! - krzyknął do szefa ochrony. Bremmer pochylił się i pró-
bował naciskać klawisze na
panelu.

- Zablokowana! - zawołał.

Corbeau zaklął wściekle i wyłączył silnik.

- Wezwij policję!

Gdy Bremmer rozmawiał przez telefon, Corbeau chodził po pokładzie, przeklinając swoją głupotę. Od wielu dni oczekiwał kolejnej próby porwania, nawet się nie domyślając, jakie jest prawdziwe niebezpieczeństwo.

A teraz było już za późno.

Nowy Jork

3 października 2006 roku

Jane Harrison, ponieważ zawsze musiała mieć teren działania pod kontrolą, nadeszła z zachodniej strony parku i zajęła dogodną pozycję na niewielkim wzniesieniu po to tylko, żeby obserwować, jak Thomas Malloy czyta gazetę. On zaś bardzo się starał tego nie zauważać. Jane zbyt wiele lat była jego szefową, żeby nie przywykł schlebiać jej próżności.

Siedział pod baldachimem złocistych liści przy jednej z alejek biegnących przez Central Park jako przedłużenie Piątej Alei. Za plecami miał głązy, a z lewej flanki osłaniały go strumień i drzewa. Było chłodno i pochmurno, a przy tym dość wcześnie, po parku nie spacerowało więc jeszcze zbyt wiele osób. Dokładnie w tym momencie, który wskazał jako czas spotkania, Jane zeszła z pagórka, przecięła ścieżkę i usiadła obok niego. Wyglądała niczym matrona z Upper West Side. Rozsiadła się wygodnie i zajęła imponującą robótką ręczną. Malloy nie wiedział, że opanowała i tę umiejętność.

- Odkąd przeszedłeś na emeryturę, tracisz czujność, T.K.

Jane Harrison, mając sześćdziesiąt dwa lata, była równie zadbana i równie nieatrakcyjna, jak w dniu, w którym Malloy ją poznał. Od ćwierć wieku nie zmieniła fryzury. Nawet kolor jej włosów, matowy i szarawy, pozostawał niezmienny. Jane pracowała w Langley tak długo, że wszystkim się wydawało, iż tam właśnie zaczynała karierę, ale ojciec Malloya powiedział mu kiedyś, że pierwszym zadaniem Jane było odgrywanie roli zniechęconej do swego kraju Amerykanki, błąkającej się po Europie.

Dopiero po serii porwań i krwawych zabójstw dokonywanych przez włoskich komunistów, którzy mieli zwyczaj przestrzeliwać kolana amerykańskim turystom i innym swoim ofiarom, Jane po cichu przeniosła się do Langley, zamieniając swoje paciorki, długie włosy i wiarę w wolną miłość na kostium urzędniczki. Przez jakiś czas pracowała jako analityk, a potem przeszła na drugą stronę korytarza i znowu zajęła się pracą operacyjną, ale już w roli zwierzchnika. Wśród agentów krążyła pogłoska, choć Malloyowi nigdy nie udało się potwierdzić tej opowieści, że Ted Kennedy startował kiedyś do niej na jakimś przyjęciu - niestety bez powodzenia. Narzekając na jej nieprzystępność, nazwał ją Żelazną Dziewicą. Prawda czy nie, przezwisko przyjęło się i większość ludzi tak właśnie o niej mówiła, przynajmniej za jej plecami.

Malloy poznał Jane wkrótce po tym, jak Reagan rozpoczął drugą kadencję. Pierwsza misja Malloya, wówczas młodego agenta, zakończyła się katastrofą. Spodziewał się dożywocia w Langley, prawdopodobnie jako Piętaszek Żelaznej Dziewicy. Ku jego zaskoczeniu, Jane dała mu szansę zrehabilitowania się, powierzając najbardziej pożądane w agencji zadania, do jakich należały operacje europejskie. Przez trzy lata przebywał w Szwajcarii jako agent pracujący bez oficjalnej przykrywki. Wiele lat później Malloy zdał sobie sprawę, jakiej odwagi to od niej wymagało, ale nawet wtedy, jako młody człowiek, był pod wrażeniem tego, jak bardzo mu zaufała.

- Jane, spotykam się w Central Parku z wiceszefem pionu operacyjnego w agencji rządowej słynącej z paranoicznej podejrzliwości, co oznacza, że otaczają nas tabuny aniołów stróżów. Czemuż więc nie miałbym skorzystać z dodatkowej porcji bezpieczeństwa i nacieszyć się gazetą?

- Niczego nie zakładaj z góry, przyjacielu. Czy nie uczyłam cię tego?

Malloy złożył gazetę i zaczął przeglądać ogłoszenia. Wiadomość Jane dla niego znowu tam była, podobnie jak jego odpowiedź.

Ostatnim razem widzieli się na jego przyjęciu pożegnalnym, kiedy przechodził na emeryturę. Jane powiedziała mu, że gdy nadejdzie właściwy czas, będzie mogła mu zaoferować tyle kontraktów, z ilu tylko zdoła się wywiązać, ale na razie musi sobie radzić sam. To nie była jedna z obietnic, jakie zwierzchnicy składają zazwyczaj na przyjęciach pożegnalnych swoich podwładnych po trzydziestu lub trzydziestu pięciu latach wspólnej pracy. Malloy nie był starym koniem, którego odsyła się na pastwisko, łudzając pięknymi słówkami, żeby mógł zachować twarz.

Był zasłużonym agentem odsuniętym na boczny tor przez nowego dyrektora pionu operacyjnego. Zamiast zestarzeć się za biurkiem, wziął odprawę należną mu po dwudziestu latach pracy i odszedł. A Jane złożyła swoją obietnicę. Ponieważ był dobry w swoim fachu, ustatkował się, stwarzając sobie odpowiednią przykrywkę, i czekał. Co rano czytał ogłoszenia drobne - w „Timesie”, kiedy był w Stanach, i w „Herald Tribune”, gdy był za granicą. Dwa dni temu Jane zamieściła wreszcie w rubryce samotnych serc ogłoszenie, na które się umówili. Odpowiedź Malloya, aranżująca *rendez-vous*, ukazała się następnego ranka.

- Co masz dla mnie? - zapytał.

Jane skoncentrowała się na swojej robótce.

- Nie spodoba ci się.

- Postawię wszystko na jedną kartę i zaryzykuję domysł, że masz dla mnie coś, co wymaga złamania kilku przepisów prawa federalnego, ale nie będę mógł skorzystać z immunitetu.

Jane wykonała kilka ściegów w swoim hafcie, bo właśnie mijał ich kolejny biegacz.

- Nic tak szokującego, jak sądzę. Zadanie równie niewinne, jak przejście przez ulicę na czerwonym świetle, ale biorąc pod uwagę obecny klimat polityczny, dobrze byłoby mieć jakieś wiarygodne alibi, tak na wszelki wypadek. Prze-

wrażliwiony były agent z urazą w sercu i jakaś głupiotka historyjka, powinny wystarczyć na tę okoliczność.

- Pasuję do opisu.

- Przypuszczam, że znasz J.W. Richlanda?

- Tego kaznodzieję telewizyjnego? - Malloy zwalczył w sobie nagłą chęć popsioczenia na niego, ale Jane uchwyciła ten ton w jego głosie.

- Przyjaciel Administracji, T.K.

- Powiedz, że mam mu obciąć język. Zrobię to za darmo. Jane była starym wyjadaczem, ale nawet ona się uśmiechnęła.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć. My z pewnością nie będziemy się tym chwalić, a Richland też tego nie zrobi moim zdaniem.

- Ja będę wiedział. Czy to nie dość?

- Nie mów mi, że poszedłeś i kupiłeś sobie sumienie.

- Myślę o tym, żeby je kupić, odkąd oszedłem z agencji, jeśli tylko nie kosztuje zbyt dużo.

- Kosztuje mnóstwo, T.K., i nie daje ci nic prócz smutku i cierpień.

- Mówisz tak z doświadczenia?

Jane zapatrzyła się w dal, a na jej ustach pojawił się cień uśmiechu. Czy myślała o czasach, kiedy pracowała we Włoszech pod przykrywką? Trudno było sobie wyobrazić Jane prowadzącą życie seksualne, jeszcze trudniej było uwierzyć, że należała do pokolenia wolnej miłości.

- Dawno temu porzuciłam harcerstwo, T.K.

- Może się łudziłem.

- Richlandowi skradziono obraz z jego posiadłości. Kilka tygodni temu zadzwonił do niego jakiś handlarz dziełami sztuki z Zurychu, chcąc mu ów obraz odsprzedać.

- Wykup?

- Kaznodzieja wręcza dwadzieścia pięć milionów i ma swój obraz z powrotem.

- Milionów?

- Kto by pomyślał, że Pan Bóg tak dobrze płaci? Malloy rozważał to przez chwilę, wreszcie postanowił zadać

oczywiste pytanie, po to tylko, żeby usłyszeć odpowiedź Jane.

- Dlaczego nie pójdzie z tym na policję?

- Chodzi o jakieś kwestie związane z pochodzeniem obrazu, jeśli dobrze zrozu-
fniałam.

- Wielebny J.W. Richland ma coś wspólnego z czarnym rynkiem dzieł sztuki?
Czyż „Times” nie byłby zachwycony takim kawałkiem?

- Czarny rynek to bardzo brzydkie słowo, T.K.

- Prawie tak brzydkie jak szmugiel.

- Szmuglowanie to jedyna rzecz, której nie musisz robić. Charlie poprosił Boba Whitefielda, żeby przewiózł obraz w bagażu dyplomatycznym. Ty masz tylko dokonać wymiany i przekazać go Whitefieldowi na lotnisku w Zurychu. A potem kiedy już przejdzie kontrolę celną w Stanach, znowu przejąć towar i dostarczyć go właścicielowi.

- Czemu więc nie zlecisz po prostu całej sprawy Whitefieldowi?

- Jeśli coś pójdzie nie tak, to nie u celników, nie z bagażem dyplomatycznym. Ryzyko spada na ciebie. Richland zresztą wie, że będzie musiał za to zapłacić. Mam nadzieję, że wyświadczysz mi tę przysługę i porządnie go skasujesz.

- Są jakieś oznaki, że coś może pójść źle?

- Pewnie jestem już stara, bo zawsze się tego spodziewam.

- Czy nie czytałem gdzieś, że Richland jest już jedną nogą na tamtym świecie?

- Przeterminowane wieści, T.K. Jakież osiem czy dziesięć miesięcy temu lekarze dawali mu najwyżej sześć miesięcy życia. Według nowej książki kaznodziei, wylał ich wszystkich i padł na kolana.

- Racja. *Módl się o cud*. Próbowałem, ale mój cud nadal tkwi w telewizorze.

Jane milczała, czekając na jego ostateczną decyzję. Nie żeby Malloy miał rozważać, czy w to wchodzi. Zobowiązał się już w momencie, kiedy odpowiedział na ogłoszenie. Jeśli zrezygnuje, wypadnie z gry na dobre. Na to nie był gotowy.

- Więc gdzie go znaję?

Ruchem głowy wskazała południowy skraj parku.

- Jest w hotelu Plaza. Pytaj o pana Gedeona.

Wysuwając z kabury Sigmę kaliber 380, z którą nie rozstawał się w mieście, Malloy próbował ją wręczyć muskularnemu ochroniarzowi w cywilnym ubraniu, strzegącemu apartamentu J.W. Richlanda.

- Nie trzeba - odparł młodzieniec o imieniu Mike dziwnie cichym głosem. - Ale to będę musiał zabrać. - Sięgnął ostrożnie po telefon komórkowy Malloya.

Malloy skinieniem głowy dał znać, że pozwala, i wsunął broń z powrotem do maleńkiej kabury umieszczonej na plecach, na wysokości krzyża. Postawny ochroniarz delikatnie odłożył telefon na stół i wyjął z pochwy, którą nosił na biodrze, jakąś różdżkę. Przeciągnął nią wzdłuż ciała Malloya, za jego zgodą, sprawdzając, czy nie ma przy sobie urządzeń nadawczych.

- Jaki to dziwny świat - zagadnął przyjaźnie Malloy - w którym telefon jest bardziej niebezpieczny niż pistolet.

Mike obmacał go delikatnie, żeby się upewnić, czy nie ma przy sobie czegoś tak staroświeckiego jak miniaturowy magnetofon, i życzliwie mu przytaknął.

Owszem, z pewnością. Ustępując mu z drogi, zapukał potężną dłonią do drzwi. Malloy usłyszał stłumiony głos J.W. Richlanda.

Po chwili znalazł się w gabinecie urządzonej w antycznej bieli: dywan, ściany, meble i nawet zasłony były w tym kolorze. Siwowłosa mężczyzna stojący przy oknie z widokiem na park odwrócił się wesoło, by przywitać Malloya. Na kanapie w pobliżu siedziała młoda kobieta. Richland był średniego wzrostu, niewiele po sześćdziesiątce. Miał na sobie granatowy garnitur bez marynarki, białą koszulę, szkarłatny krawat i pasujące do niego szelki. Kobieta była rok czy dwa po trzydziestce. Miała czarne włosy, tak ciasno związane, że nie wymykał się z nich ani jeden kosmyk, lśniące ciemne oczy, których uwadze nic nie umykało, i zmysłowe pełne wargi. Domyślał się, że za swój biust musiała sporo zapłacić.

Krótko przyjrzała się Malloyowi niczym ktoś, kto lustruje wynajętą pomoc domową, po czym przeniosła wzrok z powrotem na Richlanda. Komu innemu już złamałaby tym serce.

- Pan Malloy! - wykrzyknął Richland z uczuciem. Włączył swój telewizyjny uśmiech, a wyłączył akcent z Południowego Zachodu. Spojrzenie Malloya napotkało jego inteligentne błękitne oczy. Richland nie wyglądał na człowieka, nad którego głową wisi medyczny wyrok śmierci, niezależnie od tego, co mówili jego lekarze. Być może sekretem było to, co ludzie nawiedzeni mają w obfitości: niezachwiany optymizm.

- Dziękuję, że zjawił się pan tak szybko!

Malloy był niezbiecnie przekonany, że w ciągu ostatnich kilku dekad nikt nie zrezygnował ze spotkania z J.W. Richlandem, bez względu na to, czy miało się odbyć bezzwłocznie, czy też na audiencję trzeba było czekać nieco dłużej, ale odpowiedział w tym samym duchu:

- Cała przyjemność po mojej stronie, wielbny pastorze. Kiedy podawali sobie ręce, stała się rzecz dziwna. Richland

spojrzał mu w oczy i pozwolił, by ten moment trwał nieco dłużej, niż było to konieczne. Początkowo nie był pewien, co kaznodzieja chciał przez to osiągnąć, ale potem go olśniło. To był po prostu nawyk. Uścisk dłoni z J.W. Richlandem miał być dla Malloya wielką chwilą, a nie jedynie formalnością, przez którą trzeba szybko przebrnąć. Na pewno kiedyś zechce opowiedzieć o tym przyjacielom. Kochasz go czy nienawidzisz, nieważne. Richland to jest ktoś!

- Słyszałem o panu wiele dobrego od ludzi, których szanuję - obwieścił Richland.

- Miło mi to słyszeć.

Wciąż nie rozluźniając uścisku dłoni, dodał:

- Czy jest pan tak dobry, jak mówią?

Była w tym szczególna nutka wyzwania, ale Malloy puścił ją mimo uszu.

- Wie pan, jak to jest w dzisiejszych czasach. - Uśmiechnął się i wyrwał dłoń z uścisku Richlanda. - Człowiek jest tak dobry jak firma PR, którą zatrudnia.

Richland zaśmiał się z żywym wybuchem wesołości, który nie mógł się Malloyowi nie spodobać.

- Proszę mi wierzyć, prawdziwe niebezpieczeństwo nadchodzi, kiedy zaczyna pan wierzyć w to, co o panu mówią.

- Jestem zatwardziałym sceptykiem, pastorze, szczególnie w odniesieniu do tego, co o mnie mówią.

- Ale zadania wykonuje pan do końca? To właśnie mi o panu mówiono.

Teraz zapytał całkiem serio. Chciał zapewnienia. Malloy nie spodziewał się tego, ale postanowił przemyśleć rzecz później.

- Kiedy miałem dwadzieścia cztery lata, lekarz wojskowy w Bejrucie powiedział mi, że nie umrę zbyt łatwo. To wszystko, co mogę panu obiecać.

Richland zaśmiał się tubalnie i klasnął w dłonie. Malloy widział wcześniej, jak wykonywał ten gest w telewizji. Zwykle potem mówił: „Czy usłyszę: Amen?”.

- Nie umrze zbyt łatwo! A to dobre! - zwrócił się do kobiety, która wciąż siedziała na kanapie przy oknie: - Spotkałem bratnią duszę, Nikki! - Potem, żeby się wytłumaczyć, tak jakby to było konieczne, powiedział: - Panie Malloy, jedenaście miesięcy temu trzech lekarzy powiedziało mi, że nie przeżyję kolejnych sześciu. Wie pan, co zrobiłem?

- Tak, proszę pana.

Richland nie zamierzał dać sobie przerwać opowieści, bez względu na to czy Malloy ją znał, czy też nie.

- Wyrzuciłem ich! Wziąłem lekarstwo, które mi przepisywali, i wylałem je do zlewu! A potem upadłem na kolana i rozmawiałem z Jedynym, który ma coś do powiedzenia w tej sprawie!

Malloy uśmiechał się uprzejmie, starając się zdecydować, jakiej opłaty od niego zażądać.

- Nikki, podejdź tutaj i poznaj jeszcze jednego człowieka, który oszukał śmierć!

Kobieta wstała i zbliżyła się do nich. Jej strój był bardzo oficjalny, granatowy garnitur ze spodniami i biała bluzka ze sznurem lśniących szarych pereł, ale idąc, stawiała stopy w jednej linii, przez co jej biodra wychylały się kusząco, jakby nauczona była chodzić dla przyjemności mężczyzn. Przypominała Malloyowi zatruty likier w kryształowej karafce. Ciekaw był, czy ich romans zaczął się, zanim Richland dowiedział się, że ma raka, czy też zjawiała się niczym anioł śmierci, już po wyroku lekarzy.

- Doktor Nicole North. - Richland dokonał prezentacji. -Pan Thomas Killion Malloy.

- Miło mi - powiedziała nieszczercze. Jej głos zdradzał jedynie cień teksańskiego akcentu, ale Malloy, który miał ucho do języków i niuansów wymowy, był całkiem pewien, że sięga on trzech czy czterech pokoleń wstecz.

- Proszę usiąść! - Richland wskazał dłonią kanapę i krzesło pośrodku pokoju.
- Czy mógłbym panu coś zaproponować? Może rogalika, kawę, sok? My już jedliśmy śniadanie, ale proszę się nie krępować, zaraz coś dla pana zamówimy.

Malloy późno się położył i kawa brzmiała całkiem sensownie, ale nie zamierzał zakłócać spotkania czekaniem na poczęstunek.

- Dziękuję bardzo, ja też już jestem po śniadaniu - odparł.

- W takim razie przejdźmy do interesów. Co pan już wie?

- Potrzebuje pan, żeby ktoś przywiózł obraz do Stanów, bez poddawania go zwykłym formalnościom.

Richland nie zwrócił uwagi na słowa, jakich użył, by opisać zlecenie, za to po raz pierwszy, odkąd Malloy wszedł do pokoju, przestał się uśmiechać.

- Sprawa jest nieco bardziej skomplikowana.

- Może mi pan o tym opowie?

Kaznodzieja spojrzał na swoją towarzyszkę, jak gdyby potrzebował wsparcia, zanim przemówi. Nie było w tym nic niezwykłego. Miał do czynienia z doświadczonym agentem wywiadu i wiedział o tym. Mógł rozsądnie zakładać, że Malloy potrafi rozpoznać kłamstwo równie łatwo, jak on potrafi je wypowiedzieć. Najbardziej ciekawiło go coś, czego nie mógł wyczytać z mowy ciała kaznodziei: czy wszystkim serwuje tę samą wersję.

- Otrzymałem ten obraz wiele lat temu, kiedy nie troszczono się tak bardzo o...

Znowu spojrzał na North, najwyraźniej oczekując pomocy.

- Dziedzictwo kulturowe.

Richland skinął głową i powtórzył to wyrażenie z namysłem.

- Teoretycznie to dobra rzecz - dodał - ale w praktyce, gdybyśmy zaczęli zwracać wszystko, co wykopaliśmy w ciągu ostatnich stu lat... Cóż, równie dobrze można by zamknąć wszystkie muzea w świecie zachodnim!

- Czy sądzi pan, że ktoś może mieć prawnie uzasadnione roszczenia do pańskiego obrazu?

- Tu nie chodzi o legalność roszczeń, panie Malloy. Jakiegokolwiek roszczenie, jakakolwiek w ogóle interwencja i nie zobaczę już swojej własności.

Malloy skinął głową, jak gdyby w to uwierzył, jednak doktor North zauważyła jego wyraźny sceptycyzm.

- Na obraz natrafiono kilka lat temu podczas wykopalisk archeologicznych prowadzonych przez mojego wuja, Jonasa Starra. - Czekala na reakcję, jaką miało wywołać to nazwisko, ale Malloy pozostał obojętny. Nigdy o tym człowieku nie słyszał. - Jest to dwunastowieczny wizerunek Chrystusa.

- Kiedy go zobaczyłem - wyjaśnił Richland - powiedziałem Jonasowi, że tak właśnie zawsze sobie wyobrażałem Chrystusa. I wie pan, co on zrobił? Wręczył mi go i powiedział, że należy do mnie, tak po prostu!

-Gdzie znajdowało się to stanowisko archeologiczne? Kobieta rozważała to pytanie, nie odpowiadając. Malloy

nie mógł zdecydować, czy próbowała na szybko wymyślić jakieś zgrabne kłamstewko, czy też kalkulowała, jaką część prawdy może mu odsłonić.

- Na południu Turcji - odezwała się w końcu. - Niedaleko miasta Altinbasak.

- I uważa pani, że rząd turecki mógłby próbować upomnieć się o niego?

- Jesteśmy najzupełniej przekonani, że to zrobią, jeśli się o nim dowiedzą. Uważamy również, że ich szanse wzrosłyby, gdyby pozwali nas przed sąd poza Stanami Zjednoczonymi.

- Kiedy już znajdzie się z powrotem tutaj - dodał Richland z uśmiechem, który potwierdzał jego przyjaźń z urzędującym prezydentem - nasze problemy się skończą.

- Chodzi o to, że nie jesteśmy pewni, czy możemy zaufać ludziom, z którymi mamy do czynienia - stwierdziła North. - Nie możemy wykluczyć, że kiedy już dokonamy wymiany, ktoś może dać znać celnikom. Szwajcarzy dobrze wiedzą o silnym poparciu doktora Richlanda dla prezydenta i z wielką przyjemnością spowodowaliby incydent, który postawiłby go w niezręcznej sytuacji.

- Szwajcarzy? - zapytał Malloy zaskoczony. Nigdy nie podejrzewałby Szwajcarów o chęć wywołania międzynarodowego incydentu z czyimkolwiek udziałem.

- Nie zapomnieli, jaką presję wywarli na nich Amerykanie w sprawie kont bankowych ofiar Holocaustu.

Tak się składało, że o kontaktach bankowych ofiar Holocaustu Malloy wiedział całkiem sporo. Był też, w wybranych kręgach, uznanym ekspertem od relacji szwajcarsko-amerykańskich. Fakt, że doktor North usiłowała udawać autorytet w tych sprawach, wskazywał, że nie miała o tym pojęcia.

- Kiedy dokładnie utracił pan swój obraz, wielbny?

- Ostatniej zimy - odpowiedział Richland, utkwivszy w Malloyu spojrzenie, jakim posługuje się amator, kiedy usiłuje wmówić komuś Wielkie Kłamstwo, co wydawało się dziwne w przypadku tak mało istotnego szczegółu. Bardziej z ciekawości niż z jakichkolwiek innych powodów, Malloy popatrzył nieufnie na kobietę. W przeciwieństwie do kaznodziei, nie bała się jakoś szczególnie jego umiejętności wykrywania prawdy. Na tym etapie Malloy nabrał pewności, że sprzedają wszystkim tę samą wersję. W interesie prezydenta nie leżało zapewne wątpić w prawdomówność starego przyjaciela, ale Malloy był przekonany, że Jane i Charlie nie daliby się tak łatwo nabrać.

- Ostatniej zimy? - postarał się, żeby zabrzmiało to podejrzliwie, jak gdyby zimą rzadko kradziono obrazy.

- W lutym, prawda, Nicole? - Richland poruszył się na kanapie niczym krnąbrny uczeń w szkółce niedzielnej.

- Tak sędzę. - North kłamała lepiej niż kaznodzieja. I wyglądała na zażenowaną jego zakłopotaniem.

- Poszedł pan na policję, jak przypuszczam? Richland sprawiał wrażenie zagubionego. Pokręcił głową, czerwieniąc się.

- Nie. My... - Jego wahanie wyglądało na zainscenizowane, lecz Malloy pomyślał, że jest co najmniej dobrze wyćwiczone.

- Doktor Richland musi być szczególnie ostrożny w doborze informacji, które przekazuje opinii publicznej – wyjaśniła Nicole. - Uważaliśmy wtedy, że gdyby złożył skargę, wystawiłby siebie i swoją posługę na możliwą krytykę.

Oboje wydawali się zadowoleni z tej odpowiedzi, tym większe było ich zdziwienie, kiedy Malloy zareagował niedowierzaniem.

- Chce pań powiedzieć, że nie złożył pan nawet wniosku o odszkodowanie do firmy ubezpieczeniowej?

Wyglądało na to, że nie pomyśleli wcześniej o odszkodowaniu, jedynie o policji, i oczy kobiety rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy Richland wkraczał na niepewny grunt.

- Nie. Widzi pan, ten obraz był podarunkiem, nie wiedzieliśmy nawet, jaką wartość mu przypisać. Poza tym, moje roszczenie prawdopodobnie zostałyby podane do publicznej wiadomości. Wie pan, jak to jest w tego typu sprawach.

- Poczyniliśmy znaczne wysiłki, żeby odzyskać ten obraz, panie Malloy - powiedziała wreszcie North. Było w tym coś z przygany. W końcu to oni jego za-

trudniali, nie odwrotnie. -Poszukiwali go ludzie zarówno z mojej ochrony, jak i z ochrony doktora Richlanda. Niestety, nasze starania nic nie dały.

- Naprawdę już nie wierzyłem, że kiedykolwiek go odzyskam - potwierdził kaznodzieja. Wyglądał jak aktor teatralny, który niepewnie wraca do tekstu scenariusza.

- Wtem zadzwonił telefon. Jakiś pan Roland Wheeler z Zurychu. - Richland zaprezentował Malloyowi uśmiech, jaki bez wątpienia rezerwował na okazję unicestwiania wrogów wiary. - Chciał wiedzieć, czy nie bylibyśmy zainteresowani nabyciem dwunastowiecznego portretu Chrystusa. - Wyraz twarzy pastora sugerował oczywistość takiego podstępu.

- Wheeler utrzymuje, że reprezentuje właściciela - dodała North. - Oczywiście odmawia uznania praw doktora Richlanda, do którego obraz przecież wcześniej należał. Trzyma go w prywatnym banku Goetz & Ritter w Zurychu. Z tego, co wiemy, Szwajcarzy nie prowadzą banków w taki sposób, jak my tutaj.

Malloy powstrzymał się od uśmiechu na tę uwagę i zmienił temat.

- Czy nie mają państwo żadnych obaw co do autentyczności obrazu?

- Będę tam, zanim zwolnię środki. Lecę w niedzielę, a w poniedziałek rano obejrzę obraz. Jeżeli wszystko będzie w porządku, a pan zgodzi mi się pomóc, dołączy pan do mnie we wtorek, w banku, by dokonać wymiany. Kiedy już przeleję pieniądze, pan przejmie odpowiedzialność za dostarczenie obrazu do Nowego Jorku.

Richland poruszył się nerwowo na kanapie.

- Jeśli coś się stanie po tym, jak przejmie pan obraz, panie Malloy, powiedzmy na przykład, że zatrzyma pana policja w Zurychu, jak pan sobie poradzi?

- Jeżeli podejmę się tego zadania, to poukładam sprawy w taki sposób, że nikt mnie nie zatrzyma, wielebny pastorze.

- Nie odpowiedział pan wprost na moje pytanie.

- Pozwoli pan, że coś wyjaśnię: jak pracuję, to moja sprawa. Mogę jednak panu obiecać: albo przywiozę obraz, albo zginę i dostarczy go ktoś przeze mnie zatrudniony.

Wielebny J.W. Richland odchylił się do tyłu i rozważał to przez chwilę. Malloy był spokojnym, ciemnowłosym mężczyzną dobijającym pięćdziesiątki. Nigdy nie przypominał muskularnego komandosa. Swoją karierę zbudował na znajomości natury ludzkiej, umiejętności przekonywania i wzbudzania lojalności u ludzi, których zatrudniał. Kiedy coś obiecał, dotrzymywał tego. Kiedy pracował nad jakimś zadaniem, wykonywał je, w taki czy inny sposób. Przez ćwierć wieku potrafił radzić sobie ze wszystkim, czego się podjął, więc nie czuł się szczególnie zobligowany, żeby się tłumaczyć amatorom.

- Mocno powiedziane - stwierdził w końcu Richland.

- Wynajmuje mnie pan, żebym wykonał zadanie, które, jak pan wie, przerasta możliwości pańskich ludzi. Nie trzeba dodawać, że potrzebuje pan kogoś gotowego na każdą okoliczność. Kiedy mówię panu, że policja mnie nie zatrzyma, to tak właśnie będzie.

- Dobrze więc - odparł wielebny - przypuszczam, że pozostało mi tylko przekonać pana, by podjął się tej misji! - Wyraz twarzy kaznodziei sugerował, że jest człowiekiem nawykłym do stawiania na swoim, ale nie ma nic przeciw angażowaniu się w twarde negocjacje. - Proponuję zaliczkę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów na pokrycie pańskich wydatków i kolejne sto tysięcy gotówką, płatne w chwili, kiedy wręczy mi pan obraz. - Richland wydawał się dumny ze swojej oferty, tak jakby zakładał, że Malloyowi nawet się nie śniło prosić o taką sumę.

- Opłacam dwa zespoły zabezpieczające, jeden w Szwajcarii i jeden tutaj. Ci ludzie nie są tani, wielebny pastorze. Ja także nie jestem.

Richland wydawał się zaskoczony, ale zdołał zapytać uprzejmie:

- Ile dokładnie pan potrzebuje?

- Sto tysięcy dolarów zaliczki. Czterysta tysięcy gotówką, kiedy dostarczę panu obraz.

- Pan żartuje! - Kaznodzieja próbował się śmiać, ale niezbyt dobrze mu to wychodziło.

Malloy wstał i ruszył w kierunku drzwi.

- Przepraszam, że zajmowałem panu czas. Myślałem, że rozumie pan, jakie zadanie mi pan zleca.

- Chwileczkę!

Z ręką na klamce Malloy odwrócił się i uśmiechnął serdecznie, ignorując protest Richlanda.

- Było mi bardzo miło poznać państwa.

- Mówi pan o wielkiej sumie pieniędzy! - wykrzyknął Richland.

- Jestem pewien, że znajdzie pan kogoś w swoim przedziale cenowym - odpowiedział Malloy z protekcjonalnym uśmiechem.

- Umowa stoi, panie Malloy - odezwała się Nicole North. Malloy spojrzał na kaznodzieję, oczekując potwierdzenia, lecz J.W. Richland nagle wydał mu się bardziej pieskiem pokojowym niż kimś, z kim można by zawrzeć umowę.

Malloy i jego narzeczona mieszkali w dawnym magazynie przy Dziewiątej Alei. Po obu jego stronach i z tyłu znajdowały się puste parcele. Dwa lata temu pewien kontakt operacyjny z Europy, poprzez ileś fikcyjnych firm dla zatarcia śladów, zaaranżował kupno tego budynku i poprosił Malloya, by nadzorował jego odnowienie, a potem nim zarządzał. Trzy dolne piętra wciąż były jeszcze szkieletem, ale winda towarowa, należąca wcześniej do tego budynku, przeszła wreszcie kontrolę i Malloy urządził na ostatnim poziomie niewielkie mieszkanie z obszerną pracownią dla Gwen.

Gwen była malarką, jedną z niewielu, którym rzeczywiście zdarzało się sprzedawać obrazy po przyzwoitej cenie. W chudszych czasach, a było ich mnóstwo w ciągu ostatnich dwóch dekad, zarabiała na swoje wydatki jako kelnerka. Tak właśnie się poznali. Tydzień później długotrwały zły czar prysł i Gwen sprzedała obraz za prawie czterdzieści tysięcy dolarów. Jej notowania w świecie sztuki od tego czasu wciąż rosły.

Była niską, szczupłą i wysportowaną kobietą, z niewyczerpanym zapasem cichej determinacji i energii. Miała prześmiewcze poczucie humoru i tę najrzadszą ze wszystkich cech, przynajmniej w czasach współczesnych - zdrowy rozsądek. Jej oczy były ciemne, o inteligentnym wejrzeniu, włosy czarne i krótkie, a cera bladokremowa. Opowiadała, że jako żydowskie dziecko dorastające w Queens, była dziewczynką przez nikogo niezauważaną. Wydawało się to niemożliwe, kiedy patrzyło się na nią teraz. Przez większą część swojego życia wyznawała radykalne poglądy. Nie mając jednak nic wspólnego ze strukturami władzy, swój radykalizm urzeczywistniała w życiu prywatnym, nieufna wobec każdego, kto zachęcał ją do umiarkowania, odpowiedzialności i przystosowania się, zwłaszcza do przystosowania. Pierwszą dekadę dorosłego życia, przeżyła w sposób, który, według jej własnych słów, trudno byłoby nazwać rozważnym. Po trzydziestce dostrzegła zalety życia w pojedynkę, szczególnie dla artystki, i zadowolila się serią związków wygodnych, acz przeżywanych na dystans, które trwały rok lub dwa, a potem rozpadały się bez złamanych serc. Namiętność zdarzała się w przerwach. W wieku lat czterdziestu Gwen wciąż miała w sobie coś z córy rewolucji, ale w przeważającej mierze doszła już do ładu z samą sobą i swoim talentem. Spośród wszystkich znanych Malloyowi osób, była jedną z tych nielicznych, które niczego nie żałowały.

Ilekcroć był tak niemądry, by próbować ułożyć spis powodów, dla których się w niej zakochał, lista ta, bez względu na to jak długa była, zawsze jakoś omijała

sedno sprawy. Owszem, Gwen była utalentowana i mądra, i szelmowsko bystra. Miała w sobie piękno, humor, ogień i zachwycającą delikatność. Była uczciwa, ofiarna i wciąż ciekawa wszystkiego, co nowe. Przyjaźnie, jakie zawierała, były trwałe, co uważał za dowód jej prawości. Miała też łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, co wydawało się rzeczą wręcz niemożliwą dla większości czterdziestolatków. Potrafiła niekiedy milczeć godzinami, za co Malloy ją uwielbiał, gdyż tej umiejętności nie posiada prawie nikt poza mizantropami. Bywała markotna, kiedy wszystko szło dobrze, a gdy inni rozpaczali, tryskała optymizmem.

W jej sposobie kochania się było coś uporczywie wstydliwego, choć nie mógłby zarzucić jej braku namiętności, ale czasami, z rzadka, potrafiła zdobyć się na ekstrawagancję: wyznanie dawnego zainteresowania czy też fantazyjną propozycję. Kiedyś, po to tylko, by go zaskoczyć, zaprowadziła go za rękę w parkową alejkę i potraktowała jak dekadentckiego dżentelmena z czasów wiktoriańskich. Nic nie opisywało Gwen w pełni, ale to, co cenił w niej najbardziej, nie było kwestią charakteru, urody ani stylu. Był to sposób, w jaki Gwen postrzegała swój świat.

Miała zdolność odnajdywania potencjału tam, gdzie inni widzieli tylko gruzy. Popatrzyła, na przykład, na pusty szkielet budynku, który miał stać się centrum ich życia, i wiedziała od razu, że chce tam zamieszkać. Potrafiła zobaczyć jakąś twarz na ulicy, żebraka, włóczęgę, policjanta albo robotnika, i dostrzec piękno tam, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy go szukać. Malloy widział, jak Gwen zmienia spustoszenia dokonane przez starość w medytację nad wiecznością, i już choćby za to mógłby ją pokochać.

Wciąż pielęgnował w sobie miłe złudzenie, że Gwen odnalazła w nim niewykorzystany potencjał tego właśnie rodzaju. Kiedy się poznali, był czterdziestek i lku letn i m emerytem oczekującym na telefon, który, jak zaczynał właśnie są-

dzić, może nigdy nie zadzwoni. Wyobrażał sobie, że lepsza część jego życia na pewno już się skończyła. Gwen nauczyła go wierzyć, że ma ją wciąż przed sobą.

Wszedł do mieszkania, jak zwykle przez pracownię Gwen, gdzie zaskoczył go nieco widok nagiego mężczyzny siedzącego na rozwalonej kanapie z czasów Drugiego Cesarstwa. Był to Rudy, jeden z modeli, którzy regularnie pozowali Gwen. Choć rok czy dwa po sześćdziesiątce, był zaskakująco dobrze zbudowany i mimo najgorliwszych starań, nie zdołał całkowicie zatrzeć śladów tego, co było niegdyś bardzo przystojną twarzą. Miał długie, brudne, siwe włosy i trzydniowy zarost. Gwen i drugi artysta szkicowali go z odległości około pięciu metrów. Gwen siedziała, rysując kawałkiem węgla w dużym szkicowniku. Miała na sobie dzinsy i ulubioną bluzę NYC. Ponieważ zerknęła na niego tylko przelotnie, uznał, że sesja jest udana.

- To nie to, co myślisz, Tommy! - zaskrzeczał Rudy. - Ona tylko patrzy!

- Tak to się zaczyna - odpowiedział mu Malloy, przechodząc za Gwen. Na tablicy korkowej przyczepiła wcześniejsze szkice Rudy'ego w trzech całkiem różnych pozach. Wszystkie były dobre, ale czwarty, ten, nad którym właśnie pracowała, miał w sobie coś szczególnego.

Mniej było w nim detali anatomicznych, a jednocześnie szkic sugerował potencję seksualną, której brak było na innych rysunkach. Choć Rudy nie miał klasycznych atrybutów: rogów i kopyt, Gwen zdołała uchwycić istotę starzejącego się satyra. Jego siła była w tym, czego na rysunku nie pokazała. Jak w większości wybitnych prac, nie było to coś, co się przydarzyło przez zwykłe przeoczenie. Siła ekspresji leżała w ambiwalentnych niuansach. Trochę tak, jak w jego pracy, pomyślał, nie mógłby jednak wyjaśnić tego Gwen w ten sposób.

Prawda była taka, że nigdy nie był z nią zupełnie szczery w rozmowach na temat swojej pracy. Gwen poznawała ją po kawałku. Wiedziała, że znaczna część czasu upływa mu na zbieraniu informacji, ale nie miała pojęcia, co z tymi infor-

macjami robi ani jakich ludzi najczęściej obserwuje. Poczuliby się niezręcznie, gdyby o to zapytała, ale ona szanowała jego prywatność. Tylko raz powiedziała coś o jego skrytości: „Nigdy nie będę wiedziała, czy się z kimś spotykasz, prawda?”.

Miał to być żartobliwy komentarz, ale jak w przypadku większości żartów, było w nim sporo prawdy. Niekiedy chciał wyznać jej wszystko, odrzucić skrywane tajemnice i lata ostrożności, ale dawne nawyki powstrzymywały go. Podzielił swoje życie na części. Tu była Gwen. Tam była praca. Jego tajemnice w końcu zrujnowały mu poprzednie związki, nawet wczesne, nieudane małżeństwo. Na szczęście Gwen była inna. Milczenie na pewne tematy uznała po prostu za część jego osobowości.

Kiedy już przyjrzał się jej szkicowi, przeszedł zobaczyć, co zrobił z tym samym modelem drugi artysta, Paul Sorrento. To Paul pomógł doprowadzić do sprzedaży tamtego obrazu, który kupiono od Gwen wkrótce po tym, gdy Malloy ją poznał. Zazwyczaj dzielili się z Gwen kosztami wynajęcia modeli, szczególnie męskich, jeśli zdarzało się tak, że Malloya miało nie być przed południem w domu. Szkic, nad którym teraz pracował, przedstawiał wyłącznie penis Rudy'ego. Skończenie doskonałe ujęcie pozbawionego związku z ciałem detalu. Na podłodze leżał pomięty jego pierwszy rysunek, studium tego samego szczegółu. Malloy popatrzył na niego, ale nie mógł znaleźć żadnego uchybienia. Oczywiście, nie był przecież Paulem Sorrentem. Malarz wskazał na szkic, który właśnie skończył, j

- Sto dolarów za ten, T.K., jeśli go chcesz.
- Jestem pewien, że znajdziesz kogoś, kto go doceni.
- W to nie wątpię. Pomyślałem po prostu, że może chciałbyś poszerzyć sobie horyzonty.

Rudy zaczął się śmiać, aż się zakrztusił.

- Hej, Tommy - wyrzeźbił - jeśli nikomu nie powiesz, możesz mieć oryginał za pięćdziesiąt.

Malloy uśmiechnął się do starego człowieka.

- Ty sam byś wszystkim powiedział, Rudy. Najlepszym obrazem, jaki Gwen kiedykolwiek namalowała,

był portret olejny Rudy'ego w staromodnym smokingu. Gdy jej pozował, ubrany w biały krawat i postrzępioną czarną marynarkę, wydawał się studium sprzeczności. Kiedy Gwen skończyła ten obraz, było to coś wspaniałego. Rudy był na nim człowiekiem, który upadł, a upadając, pozbył się resztek strachu. Jego chłodne spojrzenie ani nie wyrażało współczucia, ani o współczucie nie prosiło.

Gwen sprzedała płótno za siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Malloy uważał, że pozbyła się go zbyt tanio. Powiedziała, że mogłaby namalować kolejny obraz, specjalnie dla niego. Edvard Munch słynął z powtarzania swoich najlepszych dzieł, czemu i ona nie miałaby spróbować? Malloy nie wiedział, dlaczego, ale zdawał sobie sprawę, że nigdy by jej się to nie udało. Światło nie byłoby dokładnie takie samo. Rudy byłby starszy o miesiąc albo dwa. Inaczej by się nachmurzył, porządniej zawiązałby muszkę. Gwen też to wiedziała. Malloy sądził, że to dlatego postanowiła nagle namalować portret całej postaci. W tej kompozycji osiągnęła wizualną mieszankę wieku, biedy i erotyzmu - nagi król włóczęgów w całej swej okazałości.

- Jeśli nie będziesz uważał, jeszcze staniesz się sławny.

- Sława postawi mi kolejnego drinka, prawda, Tommy? Paul Sorrento spojrział w górę znad swojego szkicownika.

- Sława może dać człowiekowi tyle drinków, ile tylko zdoła wypić, Rudy.

Paul Sorrento wiedział, o czym mówi, ale do Rudy'ego to nie przemawiało. Ze śmiechu aż zmienił pozycję.

- Na całym świecie nie ma tyle wody, Paul!

- Już prawie skończyliśmy - wtrąciła się Gwen. Była to niezbyt subtelna wskazówka dla Malloya, żeby dał im popracować. Zakłócał spokój modelowi. - Potrzebujemy jakichś dziesięciu minut, jak sądzę. Wytrzymasz jeszcze dziesięć minut, Rudy?

Rudy znów przyjął odpowiednią pozycję.

- Ty masz pieniądze, złotko, ja mam czas!

Malloy wszedł do swojego gabinetu, włączył komputer i zaczął pracować nad e-mailem do kapitana Marcusa Steinera z zuryskiej policji miejskiej. Chociaż obaj mieli zabezpieczone połączenia, posługiwał się słowami ustalonego wcześniej kodu. Beztroska nie popłacała w jego zawodzie, nawet wśród swoich. Nauczył się tego w Bejrucie. Napisał, że potrzebuje podstawowych informacji na temat banku Goetz & Ritter w Zurychu i pełnego dossier handlarza dzieł sztuki Rolanda Wheelera. Marcus Steiner był jednym z kluczowych agentów Malloya, kiedy ten pracował w Zurychu. W ciągu tych lat podejmował się także niebezpiecznych zadań, z których większość związana była z ochranianiem interesów jednego z zuryskich bossów świata przestępczego, który, tak się składało, był dla Malloya źródłem niemal wszystkich informacji wywiadowczych spoza kręgów szwajcarskiej finansjery.

Kiedy już skończył pisanie listu, zadzwonił do dawnego kolegi. Dla urzędników rządowych był to dzień pracy i Gil Fine podniósł słuchawkę na swoim biurku już po drugim dzwonku. Od wielu lat Gil był analitykiem w Langley. Współpracowali ze sobą w różnych momentach kariery Malloya, choć rzadko bywali po tej samej stronie oceanu. Ponieważ zaledwie kilka tygodni temu dość długo rozmawiali o pewnym zbiegłym finansjście, którego namierzał Malloy, byli na bieżąco ze sprawami osobistymi i szybko przeszli do właściwego tematu.

- Ten J.W. Richland? - zapytał Gil. Prośba Malloya najwyraźniej zbiła go z tropu.

Malloy zaśmiał się.

- Czy usłyszę: Amen?

- O co w tym chodzi, T.K.? - Gilowi nie było do śmiechu.

- Richland potrzebuje przysługi, Gil, a mnie wybrano, żebym mu ją wyświadczył.

- Mogę dać ci ogólnie dostępne materiały. - Nawet to nieszczególnie uszczęśliwiało Gila.

- Wystarczą. Chcę po prostu kilku podstawowych informacji o facecie. Potrzebuję też czegoś o Jonasie Starze i Nicole North. Najwyraźniej ten Starr cieszy się renomą wybitnego archeologa, a North jest...

- Boska.

- To ta.

- Szkoda, że się żenisz. Jest samotna i do tego warta kilka miliardów. Miliardów, nie milionów, rozumiesz?

- Właśnie wydawało mi się, że czuję pieniądze. Ona nie jest zresztą tak całkiem wolna, na jaką wygląda. Stawiam moją emeryturę, że coś jest pomiędzy nią a Richlandem.

- Wiesz, że Richland jest nieuleczalnie chory?

- Przeczytaj jego książkę, Gil. Staruszek odwołuje się od wyroku.

Gil zaśmiał się wesoło.

- Czytałem ją. Nie jest taka zła! Słuchaj, zgram ci, co o nich mam, ale jeśli będziesz potrzebował czegoś więcej...

- Poproszę Jane Harrison, żeby zwróciła się o to do twoich szefów.

- Znów pracujesz dla Żelaznej Dziewicy, T.K.?

- Jane jest mi winna przysługę, Gil. Jeśli będę tego potrzebował, powołam się na nią.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożny. Jane ma pamięć selektywną. Ja przynajmniej rozumiem to w ten sposób, że ona pamięta jedynie te przysługi, które wyświadczyła innym.

Tym razem to Malloyowi nie było do śmiechu.

- Jane zawsze była wobec mnie lojalna.

- To dlatego, że zawsze dbałeś o jej dobre imię. Wejdz jej w paradę, a zobaczysz, jak cię potraktuje.

Gwen wślizgnęła się do gabinetu Malloya i pocałowała go w kark, gdy kończył rozmowę z Gilem.

- Miałaś udany ranek? - zapytał, kiedy już odłożył słuchawkę.

- Myślę, że zdecydowałam, co chcę namalować. Jeśli światło będzie dobre, powinno coś z tego wyjść.

- To ujęcie, nad którym pracowałeś, gdy wszedłem? Skinęła głową z uśmiechem.

- Nie sądziłam, że ci się spodoba. Inne były bardziej realistyczne.

- Inne oddawały wygląd. To ostatnie uchwyciło jego duszę. Gwen uśmiechnęła się na tę uwagę, ale nie odpowiedziała.

Udawała, że ceni jego opinie o sztuce, ale oboje wiedzieli, że jest w tej materii profanem.

- A jak tobie minął ranek?

- Rozmawiałem z kilkoma osobami o pracy.

Malloy postarał się, by Gwen uważała, że pracuje dla Departamentu Stanu w Zurychu, specjalizując się w finansach. Po większej części to nudna praca, za-

pewniał ją. Teraz wskazała ruchem głowy czarną, nylonową torbę na ramię, którą położył obok biurka i rzuciła:

- Nie tylko rozmawiałeś.
- Trochę pieniędzy na podróż.

Wydawała się zaskoczona, ale nieszczególnie zmartwiona.

- Na podróż dokąd?
- Muszę się zająć pewną sprawą w Zurychu. Pobędę tam kilka dni i przylecę z powrotem.

Gwen zamrugła, zaskoczona.

- To coś nagłego.
- Mnóstwo pieniędzy, a niewiele pracy. Naprawdę nie mogłem tego odrzucić.
- Jakiej pracy?
- Takiej samej jak zawsze. Rozmawiam z bankierami i próbuję sobie wyobrazić to, czego mi nie mówią.

- Czy nie mogłabym polecieć z tobą? Wiesz, zobaczyć swojego mężczyznę w akcji...

- Zasnęłabyś z nudów. Może innym razem, kiedy będziemy mieli okazję choć trochę pozwiedzać.

- Czy dużo masz do zrobienia przed wyjazdem?
- Nie tak wiele. A dlaczego pytasz? Włożyła mu ręce między nogi.
- Miałam nadzieję, że trochę potrenujemy w ten weekend.
- Potrenujemy?
- No wiesz, przed miesiącem miodowym.

Cezarea Nadmorska

Wiosna A.D. 26

Cezarei Nadmorskiej nie sposób byłoby sobie wyobrazić, nie widząc jej, stwierdził Piłat, gdy jego flota po raz pierwszy wpływała do wspaniałego portu tego miasta. Było ono rzymskie w każdym calu, a jednocześnie zupełnie różne od Rzymu. Wieczne Miasto wzrastało przez stulecia, Cezareę zbudowano siedemdziesiąt lat temu, według planu. Ulice w centrum Rzymu były szerokie i proste, place rozległe, przejścia harmonijne, a na każdym rogu stały ogromne posagi. Poza centrum jednak, uliczki biegły według dawnych ścieżek. Były kręte, wąskie i błotniste. Całe dzielnice wypełniały byle jakie budynki, jedną ulicę po drugiej, aż nawet słońce nie mogło już przebić się przez nie, by oświetlać te zakamarki dłużej niż przez godzinę czy dwie dziennie. W powietrzu unosił się przez to wszechobecny zapach zgnilizny i pleśni.

W Cezarei natomiast wszystko było czyste, świeżo wyszorowane. Każda droga w mieście była prosta i na tyle szeroka, by mogły minąć się na niej dwa rydwany, co stanowiło rzymski ideał. Było to miasto zbudowane według zasad, nie według kaprysów, a już z całą pewnością nie według zachcianek historii: nigdy przecież nie zdarzyło się tu nic istotnego.

Kiedy przybysz spoglądał od wejścia do portu, nad pejzażem dominowała świątynia boskiego Cezara Augusta, oddając cześć imiennikowi miasta i obwieszczając każdemu, przyjacielowi czy też wrogowi, zachodni charakter tego miejsca, pomimo jego umiejscowienia w samym sercu Wschodu, niecałe dwa dni drogi od Jerozolimy. Był tam amfiteatr, jakiego nie miał nawet Rzym. Stworzono go specjalnie, by urządzać igrzyska z udziałem gladiatorów, dzięki czemu cyrk

na obrzeżach Cezarei, w przeciwieństwie do Circus Maximus w Rzymie, mógł być używany nie tylko do wyścigów. Budowano też teatr i wszystko wskazywało na to, że będzie to klejnot w koronie miasta, dedykowanego klasycznym ideałom.

Piłat obserwował z zainteresowaniem, jak jego okręt flagowy zbliża się do brzegu. Nie było tu naturalnego portu, więc go stworzono, budując dwa ogromne mury, opasujące część morza. Nie tylko chroniły one setki statków, ale także pozwalały na jednoczesny załadunek i rozładunek kilku z nich.

Posławszy swą straż przyboczną, by zabezpieczyła nabrzeże, zanim on sam zejdzie na ląd, Piłat czekał cierpliwie, aż ostatni z jego okrętów przybije do brzegu. Były na nim dwie centurie złożone z rodowitych, italskich oddziałów, które miały wzmocnić czwartą kohortę Legionu Freteńskiego okupującego prowincje Syrii i Judei. Kiedy oddziały te, wraz z jego strażą przyboczną, zabezpieczyły już nabrzeże, Piłat posłał przodem żonę, aby przyjęła powitania urzędników. Na koniec on sam gotów był zejść na ląd ze swej gotowej do boju triremy. Szkarłatna szata, którą miał na sobie, była zbyt ciepła jak na końcówkę kwietnia, ale dodawała mu powagi, a przez to pewności siebie, kiedy kroczył w dół trapu, naśladując senatorów opuszczających swe statki, których obserwował niegdyś, jako dowódca portu na należącej do imperium wyspie Capri.

Miał trzydzieści dwa lata, z czego niemal piętnaście spędził w armii, najpierw w jeździe, w walkach przeciw Germanom, następnie jako trybun w straży pałacowej pod komendą wschodzącej gwiazdy imperium, Eliusza Sejana. Jego włosy były czarne i kręcone, a twarz zwodniczo wesoła. Utracił już gibkość właściwą młodości, przybierając znacznie na wadze, ale kompensował to większą siłą fizyczną i zręcznym, godnym doświadczonego sportowca, trzymaniem w ryzach swego ciała.

Na nabrzeżu zgromadził się tłum, by obserwować przybycie nowego prefekta, on sam jednak nie dostrzegał nikogo prócz Waleriusza Gratusa. Piłat oczywiście

i tak rozpoznałby swego poprzednika po zdobionej szkarłatem todze ekwity, którą miał na sobie, ale jego twarz także była mu znana - wąska i przebiegła, dokładnie taka, jaką widział na posągach tego człowieka w Rzymie, kilka lat temu. Obaj znali swe szacowne rodziny, ale sami nigdy wcześniej się nie spotkali. Gratus, co najmniej dziesięć lat starszy od Piłata, ostatnią dekadę wytrwał na swym stanowisku w Judei.

Podczas gdy ich małżonki jechały konnym powozem, Piłat zasiadł sam na sam z Gratussem w pozłacanej lektyce prefekta Judei, niesionej przez ośmiu potężnie zbudowanych niewolników. Skierowali się na południe, do pałacu prefekta, który Piłat widział wcześniej przez chwilę, wpływając do portu - lśniący bielą kompleks budynków, położony w pobliżu murów miejskich. Pozwalając sobie zerknąć od czasu do czasu przez przysłonięte okno, Piłat zauważył mieszaninę ludzi, barw i strojów. Kiedy o to zapytał, Gratus wyjaśnił mu, że ponad połowę mieszkańców miasta stanowią zhellenizowani Syryjczycy, a resztę - Żydzi, Arabowie i Egipcjanie. Po chwili dodał:

- Najwięcej problemów sprawiają nam Żydzi. - Widząc zaś dociekliwe spojrzenie Piłata, zapewnił pospiesznie: - Nie znaczy to, żebyśmy tu w Cezarei mieli jakieś poważne problemy. Nie, wcale, skądże znowu. W każdym razie nie takie, jak w Jerozolimie. - Miał na myśli jedynie to, że Żydzi donośnie wyrażają swe pragnienia, zazwyczaj odmienne od pragnień władz miasta, namiestnika cesarskiego i pozostałych mieszkańców - szczególnie wspomnianych syryjskich Greków. Z coraz większym zapalem informował Piłata, że w Cezarei Żydzi są właściwie tylko hałaśliwą mniejszością. Nie znoszą zbytków tego miasta, ale cenią sobie możliwość prowadzenia interesów. W Tyberiadzie, stolicy Galilei, gdzie nie ma tak dobrych warunków dla handlu, Herod Antypas daje ziemię za darmo każdemu Żydowi, który zechce przenieść się do miasta. Gratus wzruszył obojętnie swymi szczupłymi ramionami.

- Tylko nieliczni, i to z najpodlejszego gatunku, zainteresowali się tą propozycją.

- Ależ Antypas sam jest Żydem, jeśli dobrze to rozumiem - odparł Piłat.

Gratus uśmiechnął się, ale jego uśmiech zdradzał wyczerpanie. Był to grymas człowieka gotowego do drogi powrotnej. Owszem, Piłat właściwie rozumie tę kwestię, powiedział. Żydzi jednak wciąż mają problem z jej pojęciem.

- Widzisz panie, Hasmoneusze, z których rodu wywodzą się Herodowie, byli początkowo Samarytanami i Idumejczykami. Przyjęli judaizm zaledwie przed stuleciem, nie są więc prawdziwymi Żydami, tylko konwertytami ze względów politycznych. Herod dał przykład, a obecne pokolenie go naśladowe, ostentacyjnie uczestnicząc w publicznych ceremoniach religijnych. Poza tym, Herodowie są Rzymianami, nie mniej niż ty i ja.

- To dziwny lud, jak słyszałem - odparł Piłat - ci prawdziwi Żydzi.

- Obawiam się, że nie sposób ich zrozumieć - stwierdził Gratus, wykrzywiając usta w dziwnym grymasie.

- Sejan uważa, prefekcie, że z każdym ludem można sobie dość łatwo radzić, jeśli rozumie się podstawy rządzenia.

- Sejan był chłopcem, kiedy wyjeżdżałem z Rzymu. Powiedz mi jednak, co on uważa za owe podstawy?

- Ludzie, razem wzięci, są niczym konie, które pogania się batem, a powstrzymuje wędzidłem. Ten powozi nimi skutecznie, kto nie nadużywa żadnego z tych narzędzi.

Oczy Gratusa momentalnie odnotowały niezamierzoną obelgę, zawartą w tej uwadze, zamiast jednak okazać rozdrażnienie, udawał rozbawionego.

- Mając do czynienia z Żydami, jedziesz, panie, na koniu, którego uszy nieuchronnie leżą płasko na jego głowie.

Piłat wolał nie dawać na to pochopnej odpowiedzi. Nigdy w życiu nie spotkał Żyda, prawdziwego czy też jakiegokolwiek innego.

- Mam nadzieję wiele skorzystać z twoich doświadczeń, panie - odparł.

- W takim razie muszę cię rozczarować. Odpływam jutro o pierwszym brza-sku.

- Co za szkoda - wymamrotał Piłat z satysfakcją człowieka niecierpliwie oczekującego, by wreszcie przejąć rządy i szczególnie skłonnego wysłuchi-wać wykładów na temat historii z ust starego, zmęczonego urzędnika.

Piłat tak długo mieszkał na wyspie Capri, że niemal zapomniał już o przy-jemnościach, jakie może zaoferować wielkie miasto. Cezarea nęciła wyścigami rydwanów i zawodami gladiatorów, występami żonglerów, tancerek i wręcz nie-kończącymi się spektaklami tragedii i komedii. Rzadko mijał tydzień, w którym nowy prefekt nie gościłby setek osób, niezwykłych ze względu na swój kosmo-polityczny charakter: jednego wieczoru Rzymian, następnego - Syryjczyków, Egipcjan czy też Greków, a raz nawet delegację Partów, którzy przybyli specjal-nie po to, by złożyć hołd piękności żony prefekta, to znaczy, rzecz jasna, by uczcić jej dalekiego kuzyna, imperatora Tyberiusza.

Piłat cieszył się takim życiem, ale nie dał mu się uwieść. Jego prawdziwą na-miętnością była praca, której też oddał się natychmiast, gdy tylko statek Gratusa odbił od brzegu. Służba na stanowisku trwała trzy lata i rozumiało się samo przez się, że po tym okresie, jeśli tylko zdołał wytrwać przez całą swą kadencję, urzęd-nik powinien powrócić do Rzymu jako człowiek zamożny. Lepiej, żeby udało mu się zrealizować ten plan, gdyż oczekiwali tego jego liczni krewni. Poza tym, jeśli żywił jakiejkolwiek ambicje poza emeryturą na prowincji, potrzebował pie-niędzy, by zdobyć kolejne stanowiska.

Na Capri przez całe sześć lat swego pobytu wytrwale zajmował się przedsięwzięciami budowlanymi i portem. Ale możliwości zysku były ograniczone. Nie dość, że na wyspę nie zawijało zbyt wiele okrętów, to jeszcze lwią część przedsięwzięć budowlanych dotyczyła Willi Jowisza należącej do Tyberiusza - jedyne go człowieka w imperium, od którego nie opłacało się wymuszać łapówek. Teraz będzie miał dla siebie trzy prowincje, dwa główne miasta i największy port na całym wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego pomiędzy Antiochią a Aleksandrią.

Sam port wystarczyłby, żeby uczynić z niego bogacza. Pozyskując tutaj figę, tam daktyla, pomyślał, w ciągu dnia można zapełnić sklep owocami! A jutro kolejny. Ponadto jest tu miedź, ruda żelaza, drewno, cenne kamienie budowlane. Przyprawy, owoce, zboża, sól, woły, konie, owce, świnie, gęsi - lista nie miała końca. Ludzie interesu wiedzą, że wszystko idzie gładko przy dobrej woli rzymskiego prefekta, a co bystrzejsi z nich wiedzą również, że dobra wola ma swoją cenę.

Nowy prefekt po raz pierwszy zetknął się z Żydami zaraz na początku swej kadencji, a było to spotkanie nader osobliwe. Kapłani ze Świątyni Jerozolimskiej przybyli do Cezarei drogą lądową, około dwóch tygodni po tym, jak Piłat wprowadził się do pałacu. Przybyli, pomyślał, o dwa tygodnie za późno. Nakazał im więc czekać na dziedzińcu, zaraz za salą przyjęć, aż skończy swe zajęcia. Późnym popołudniem, w porze, w której zazwyczaj szedłby już do łaźni pałacowej, aby oddać się ćwiczeniom, Piłat rozkazał adiutantowi, setnikowi Korneliuszowi, przyprowadzić kapłanów przed swe oblicze.

Korneliusz miał już za sobą wymagane dwadzieścia pięć lat służby w wojsku. Choć za rok czy dwa miał skończyć lat pięćdziesiąt, zachował jednak niezwykłą witalność człowieka, któremu właśnie kondycja fizyczna zapewniała utrzymanie.

Będąc zaledwie o kilka centymetrów wyższy od przeciętnego mężczyzny, dźwigał na sobie niemal sto czterdzieści kilogramów, z czego większość stanowiły mięśnie. Nigdy nie wygrałby w wyścigach, ale też nigdy nie musiał uciekać z pola bitwy. Tam, gdzie stanął, potyczka zawsze miała dobry przebieg. O szybkości, z jaką posługiwał się krótkim mieczem, krążyły już legendy, a jego odwaga była tego rodzaju, jaki uczynił Rzym stolicą świata.

Zwyczajem Rzymian w ich pokoleniu było golić się każdego ranka, ale niewolnik Korneliusza golił mu całą głowę, obnażając przez to niezliczone blizny, guzy i wgniecenia. Setnik miał szerokie, zacięte usta i długi, płaski nos, noszący wyraźne ślady kilkakrotnych złamań. Jak niemal wszyscy starsi setnicy, Korneliusz cieszył się poważaniem godnym bohatera wojennego, z racji samej swej rangi. Tacy ludzie stanowili kościec rzymskiej piechoty i wiadomo było, że są najwspanialszymi wojownikami w armii. Spędziwszy całe życie na wojnie, stawali się tak zręczni w boju, że dowódcy rzadko podejmowali istotne decyzje bez uprzedniej konsultacji ze swymi najstarszymi setnikami. Setnik, po dwudziestu pięciu latach w armii, mógł zazwyczaj spodziewać się odesłania na prowincję i wygodnego życia na roli do końca swoich dni, ale dla ludzi takich jak Korneliusz, wciąż w dobrej kondycji, możliwe było przedłużenie okresu służby. Wtedy zazwyczaj pełnili obowiązki przy dowódcach.

Piłat miał pod sobą tuzin trybunów - dzieci zamożnych senatorów i ekwitów, próbujących poznać smak wojskowego życia. Nie byli oni zbyt użyteczni, a jako przyszłość Rzymu, wymagali mnóstwa starań. Żaden dowódca nie mógł, spełniając swe obowiązki, poświęcić im zbyt wiele czasu, więc właśnie najstarszym setnikom przypadał obowiązek dopilnowania, by nauczyli się, jak funkcjonuje rzymska armia.

Korneliusz powrócił do sali przyjęć kilka chwil po tym, jak Piłat wysłał go, by wprowadził kapłanów. Z rzadkim i - dla tych, którzy go nie znali - przerażającym uśmiechem oznajmił:

- Odmawiają wejścia do budynku, prefekcie. Proszę, abyś to ty wyszedł do nich na zewnątrz.

Piłat zamrugał, zaskoczony. To prefekt wyznaczał arcykapłana Świątyni Jerozolimskiej. Kapłani służyli mu, tak jak on służył imperatorowi. Czekaliby raczej sześć miesięcy, niż dał im tę satysfakcję i jako pierwszy wyruszył do Jerozolimy, niezależnie, jak pilną miałby do nich sprawę. Przybyli do niego z niewybaczalnym opóźnieniem czternastu dni, a teraz odmawiają spotkania, jeżeli nie wyjdzie im naprzeciw poza swoje atrium?

- Odmawiają? - zająknął się. - Oni odmawiają?

- Boją się, że się skalają, wchodząc do pogańskiego domu.

- To śmieszne. Każ ich wprowadzić!

Korneliusz wskazał na sztandar, do którego przytwierdzona była maleńka główka Tyberiusza wykonana z brązu, potem powiódł ramieniem po całej sali, by wskazać na inne sztandary i proporce oddziałów, którymi dowodził Piłat. Na wielu z nich wyhaftowane były zwierzęta. Poza tym w sali naturalnie znajdowały się kamienne rzeźby przedstawiające bogów i ludzi - wszystkie nieczyste wedle żydowskiej wrażliwości.

- Ich religia zabrania im nawet spoglądać na wizerunki ludzi i zwierząt, prefekcie.

- Powiedz Annaszowi...

- Nie ma tu arcykapłana. Przysłał swoich synów, by pozdrowili nowego namiestnika cesarskiego.

Piłat wstał, czując ból w udach i dysząc ciężko.

- Nie ma tu arcykapłana?! Czy dobrze cię rozumiem, setniku?

Korneliusz zdawał się nagle tracić pewność siebie. Powtórzył tylko, co mu powiedzieli kapłani, a właściwie, co mu powiedzieli niewolnicy kapłanów, i nie miał ochoty znosić gniewu urzędnika cesarskiego, szczególnie jeśli powinien on być skierowany gdzie indziej.

- Takie sprawiali wrażenie, prefekcie. Być może się mylę, ale nie sądzę, żeby tu był.

Piłat, który powstał już i wyczerpał swą cierpliwość, wy-maszerował z sali. Zanim dotarł na dziedziniec, furia zupełnie już nim owładnęła.

- Przyprawdźcie do mnie kapłanów, jeśli ich religia pozwala im stać w świetle słońca!

Jego strażnicy zareagowali na komendę Korneliusza, spokojne skinienie głową starego setnika. Kapłanów przywleczono przez bramę pałacu niczym przestępców, gnanych przez rzymską piechotę. Było ich tuzin czy może piętnastu, wszyscy brudni i brodaci, a ich przywódca krzychał coś niezrozumiale do prefekta.

- Będiesz mówił po łacinie - odpowiedział spokojnie Piłat. Nie miał wprawy w posługiwaniu się greką, jeśli nie liczyć sześciu bolesnych lat czytania Homera i helleńskich tragików. Był w stanie zrozumieć jedynie najbardziej podstawowe zdania ohydneho greckiego *koine*, jakiego używano w tym regionie.

Korneliusz odpowiedział za kapłana:

- Twierdzą, że znają tylko aramejski, grecki i hebrajski, prefekcie.

Piłat zażyczył sobie wiedzieć, co ów człowiek mówił wcześniej, więc Korneliusz zwrócił się do niego po grecku. Kiedy przywódca mu odpowiedział, Korneliusz rzekł do Piłata:

- Mówi, że czynimy ich nieczystymi, zmuszając do przejścia pod złotym orłem przedstawionym na bramie wiodącej na dziedziniec.

- Nieczystymi? - Piłat sięgnął po swój krótki miecz. Gdyby miał go u boku w jednej chwili, rzuciłby się na nich.

- Potrzebujemy kogoś do tłumaczenia, prefekcie. Ja znam grekę tylko na tyle, by kupować wino i kobiety.

Piłat uśmiechnął się, nawet nie spojrzawszy na Korneliusza.

- Będę o tym pamiętał, setniku, następnym razem, kiedy zabraknie mi którejś z tych rzeczy. Znajdź nam więc tłumacza.

Korneliusz zlecił to zadanie trybunowi, Piłat tymczasem stał na stopniach swego pałacu, naprzeciw hałastry żydowskich kapłanów, w niezmaconej ciszy. Oni są, pomyślał, dokładnie tacy, jak opisał ich Gratus: niczym konie z uszami położonymi po sobie. W tej chwili rozmawiali o czymś w podnieceniu. Zdawało się, że chcą odejść sprzed jego oblicza, choć obecność straży czyniła to zgoła niemożliwym.

Młody Syryjczyk przydzielony do oddziałów pomocniczych wyszedł z wnętrza pałacu i przemówił do kapłanów. Kiedy skończyli rozmowę, która zdawała się być ostrą wymianą zdań prowadzoną po grecku, Syryjczyk zwrócił się do Piłata:

- Kalasz ich, prefekcie, wymagając, by stali przed sztandarami Freteńczyków.

Piłat odwrócił się i ujrzał znajome sztandary, chorągwie i proporce, rozmieszczone nad wejściem. Kiedy wciąż jeszcze im się przypatrywał, rozważając, co chce uczynić z bezczelnymi kapłanami, Syryjczyk mówił dalej:

- Ich religia nie pozwala im spoglądać na wizerunki ludzi i zwierząt.

Piłat obdarzył Korneliusza miłym uśmiechem, który ten bez trudu mógł zrozumieć.

- Czy mamy w pałacu więcej niż jednego tłumacza, setniku?

- Mamy wielu, prefekcie.

- W takim razie powiesz temu mężowi, że jeśli znowu zacznie mnie pouczać własnymi słowami lub mówić do tych ludzi cokolwiek innego niż to, co właśnie powiedziałem, każę go wypatroszyć i wywiesić na bramie pałacu.

Korneliusz zwrócił się do tłumacza po łacinie, tak jakby ten potrzebował jeszcze raz to usłyszeć:

- Przyjmij radę, panie. Wypowiadaj jedynie słowa prefekta cesarskiego i kapłanów. Nic ponadto, jeśli ci życie miłe.

Młody człowiek już miał odpowiedzieć, jednak zastanowił się i tylko skinął głową.

- Powiedz im - rzekł Piłat - że albo będą patrzeć na sztandary legionów rzymskich, albo umrą z rąk tych samych ludzi, których obrażają. Wybór należy do nich.

Przekład nastąpił szybko, a Żydzi zawyli wściekle. Niektórzy zwracali się do Piłata, inni do siebie nawzajem. Ponieważ nie mówili po grecku, ale po hebrajsku, tłumacz zaczął prosić ich po grecku, by mówili w języku, który potrafiłby przetłumaczyć.

- Stracić go - rzekł Piłat.

Korneliusz wydawał się przez chwilę nie pojmować, ale ponieważ Piłat wpatrywał się w tłumacza, zrozumiał i nakazał swym strażnikom, by wzięli Syryjczyka za ramiona. Nieszczęśnik zapomniał teraz o swym pragnieniu nakłonienia Żydów, by mówili po grecku, i krzyczał do Piłata po łacinie, by się ulitował.

Piłat przemówił spokojnie do Korneliusza:

- Dlaczego ten człowiek wciąż jeszcze mówi, setniku? Korneliusz tym razem nie wydał żadnego rozkazu, ale wyjął

własny miecz i postąpił naprzód. Pionowym ruchem przeciągnął końcem ostrza wzdłuż tułowia Syryjczyka. Młodzieniec wciąż jeszcze stał z wyrazem zaskoczenia na twarzy, a z jego wnętrzości na białe, marmurowe schody wypłyne-

ła krew. Korneliusz rozkazał wywiesić go na bramie wiodącej do pałacu i dwóch żołnierzy, którzy trzymali nieszczęśnika, zaczęło go odciągać, nadal wrzeszczącego, gdyż nie wyzionął jeszcze ducha wskutek swej rany. Trzeci żołnierz poszedł po linę. Kapłani wreszcie zamilkli.

Młody trybun, blady i wstrząśnięty tym, co przed chwilą ujrzał, został posłany po kolejnego tłumacza. Kiedy go przywiódł, Piłat wskazał przybyłemu jego poprzednika, który kołysał się teraz ponad drogą prowadzącą do pałacu prefekta z wnętrznościami na wół zwisającymi z ciała, i zapytał, czy sądzi, że potrafi lepiej wykonać swą pracę.

Człowiek ów wyraził żarliwą nadzieję, że potrafi, a Korneliusz bez cienia emocji wytłumaczył mu, na czym polegają jego obowiązki.

- Gdzie jest Annasz? - zapytał kapłanów Piłat. Tłumacz powtórzył jego pytanie po grecku.

Żydzi naradzali się ze sobą po cichu, kto ma mówić w imieniu ich wszystkich. Prędko wybrali człowieka, który przemówił do Piłata z szacunkiem, jaki okazuje się cesarskiemu prefektowi.

- Arcykapłan żałuje, że nie jest w stanie podjąć długiej podróży do Cezarei Nadmorskiej. Nie pozwala mu na to wiek, ale ma on nadzieję spotkać się z tobą, panie, kiedy przybędziesz do Jerozolimy.

- Nie interesują mnie żale. Jest w zwyczaju, że to arcykapłan służy cesarskiemu prefektowi, nie odwrotnie. Zechcesz więc poinformować Annasza, że skoro wiek go ogranicza, nie dźrzy on już swego tytułu.

- Wedle twego życzenia, panie. Czy mogę zapytać, kogo pragniesz wyznaczyć na jego miejsce?

Piłat przypatrywał się twarzy owego człowieka, kiedy tłumacz powtarzał po łacinie jego słowa.

- Którzy spośród was są synami Annasza? Przedstawili mu się. Człowiek, którego wybrali na swego

rzecznika, nie należał do tej wybranej grupy. To dlatego jego właśnie skłonni byli poświęcić.

- A jak tobie na imię?

- Kajfasz.

- Czy jesteś kapłanem, Kajfaszu?

- Wszyscy jesteśmy kapłanami Świątyni, panie.

- Jakie pokrewieństwo łączy cię z Annaszem?

- Nie mam z nim związków rodzinnych, panie.

- Gratuluję ci, przyjacielu. Jesteś nowym arcykapłanem Świątyni Jerozolimskiej. Staraj się mnie zadowolić, a staniesz się drugim z najpotężniejszych ludzi w Judei. Stawiaj mi opór, a pozazdrościsz śmierci temu nieszczęsnemu Syryjczykowi, który wisi u mojej bramy.

Słyszając te słowa po grecku, Kajfasz nawet nie mrugnął ani nie odwrócił się, by popatrzeć na człowieka, którego jedyną winą był fakt, iż prosił kapłanów, by mówili w języku, który potrafiliby zrozumieć.

Piłatowi spodobało się to u nowego arcykapłana. W istocie, niezmiernie go polubił. Później przyjrzał się innym kapłanom, by nie zapomnieć ich twarzy, szczególnie uważnie zlustrował synów Annasza, a następnie odwrócił się i wszedł z powrotem do swego pałacu.

Zastanowiwszy się nad spotkaniem z jerozolimczykami, Piłat posłał po jednego z urzędników, każąc wezwać go przed swe oblicze. Podobnie jak kapłani żydowscy, kiedy opuszczali dziedziniec, człowiek ów przeszedł pod wiszącym ciałem Syryjczyka, nie śmiejąc spojrzeć na otwartą ranę.

- W Cezarei - rzekł do niego Piłat - wywieszamy wszelkie sztandary imperium, w tym także *imago*, na którym widnieje odlane z brązu popiersie Tyberiusza. Czyż nie jest to prawdą?

Był to, rzecz jasna, fakt niezaprzeczalny, ale urzędnik, który także był Syryjczykiem, w odpowiedzi nie potrafił się powstrzymać przed gadulstwem. Sztandary zdobią każdy plac i każdy budynek publiczny. Czyż stanowi to jakiś problem?

Piłat zapytał, jak Żydzi mieszkający w Cezarei radzą sobie z takim afrontem wobec ich religii. Urzędnik stał się bardziej ostrożny.

- Znoszą to, prefekcie. Jak wiesz, ich religia...

- Muszę cię przestrzec - przerwał mu Piłat. - Człowiek, który ostatnio próbował mi objaśniać religię żydowską, wisi u bramy prowadzącej na dziedziniec mojego pałacu.

- Oczywiście, prefekcie.

- Taka jest więc twoja odpowiedź? Znoszą to?

- Cezarea to miasto rzymskie, więc Żydzi się dostosowują. Odwracają wzrok od tych symboli.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że w Jerozolimie nie ma ani jednego wizerunku imperatora?

- Wybacz, że to powiem, ale wywołałoby to wielkie oburzenie, prefekcie.

- Nie jestem pewien, czy ci wybaczę. Sztandary cesarskie z mocy prawa zdobią każde miasto imperium. Każde!

- Nie Jerozolimę, prefekcie.

Piłat poruszył tę kwestię przy wieczornym posiłku, który spożywał z żoną. Czyż ta odmowa uczczenia cesarza nie wydaje jej się obrażą dla religii Rzymian? Na Wschodzie wszakże Tyberiuszowi należało oddawać cześć boską. Prokula odrzekła, że wydaje jej się niezmiernie dziwne, żeby jakieś miasto obrażało Tyberiusza w taki sposób.

- W Cezarei - mówił do niej - gdzie mamy mnóstwo Żydów, pozwalają nam oni łaskawie wywieszać sztandary cesarskie, jak też złotego orła, sztandary Legionu Freteńskiego i wszystkich jego kohort i centurii. Może ty potrafisz mi wyjaśnić różnicę pomiędzy Cezareą a Jerozolimą.

- Nie ważyłabym się wyjaśniać tobie spraw politycznych, panie.

Klaudia Prokula miała owe czarne włosy i duże, lśniące, brązowe oczy, które wyróżniały wszystkie kobiety z rodu Klaudiuszów, nieodmiennie czczone przez Rzymian jako najpiękniejsze damy w imperium. Założycielką tego klanu był przecież nie kto inny, lecz sama Liwia, legendarna żona Cezara Augusta i matka Tyberiusza. W przeciwieństwie do swej wspaniałej ciotki, Prokula nie przejawiała szczególnego pociągu do władzy. W wieku dwudziestu jeden lat Liwia zdążyła już rozwieść się z pierwszym mężem, ojcem Tyberiusza, aby poślubić Augusta, który z jej pomocą przejął władzę cesarską i dzierżył ją przez kolejne pięćdziesiąt lat. Jak mawiali mężowie rzymscy, kiedy mieli całkowitą pewność, że mogą bezpiecznie wygłosić takie spostrzeżenie, August władał światem, a Liwia Augustem.

- Nie chcę, byś mi objaśniała sprawy polityczne. Chcę jedynie twej opinii. Obiektywnego sądu - odparł. - Co o tym myślisz, pani?

- Ależ proszę cię, panie. Nie mam pojęcia o takich sprawach.

- Dlaczego Jerozolima odmawia uczczenia wizerunku Tyberiusza? Zostawiam Żydom ich Świątynię, ale czy nie sądzisz, że w zamian powinni oddać cześć swemu ziemskiemu władcy?

- Tak by mi się wydawało, panie.

- Mnie także.

Skończywszy posiłek, Piłat posłał niewolnika, by odszukał Korneliusza. Setnika jednak nigdzie nie można było znaleźć. Następnego ranka, kiedy fryzjer go-

lił Piłata, a on sam dyktował list do Sejana, informując go o swej decyzji, by „podrażnić wrażliwość” Judejczyków, pojawił się Korneliusz.

- Jesteśmy o dwanaście godzin spóźnieni względem planów, setniku, gdyż tej nocy nie mogłem cię znaleźć na kwaterze.

- Gdyby tylko prefekt powiedział mi, że będę potrzebny...

Piłat zbył sprawę machnięciem dłoni z przyjacielskim uśmiechem, przynajmniej tak przyjacielskim, na jaki potrafił się zdobyć tego ranka.

- Czyżbyś praktykował swą grekę, setniku? Korneliusz w odpowiedzi niemal się uśmiechnął.

- Syryjskie kobiety, prefekcie, są ponad wszelkie porównania, jeśli wolno mi mówić swobodnie.

Setnik powiedział kiedyś Piłatowi, że jedna kobieta to zbyt wiele, a dwie to nie dosyć, więc bierze je trójkami i to go uszczęśliwia.

- Wszystkie, czy też masz swoje ulubione trio? - Brzytwa fryzjera zatrzymała się, gdy jego wzrok spoczął z uznaniem na ogromnym setniku.

- Mam pewien ulubiony dom, prefekcie. Tamtejsze wino ujdzie, a kobiety są ponad...

- .. .wszelkie porównania. Zgoda. W przyszłości zechciej jednak, proszę, zostawiać adres, kiedy pójdziesz odwiedzić swe żony, by imperator nie stracił cierpliwości względem swego prefekta. Chcę, żebyś podążył z trzema centuriami do Jerozolimy i wywiesił sztandar z portretem cesarza nad główną bramą pałacu Heroda. Jeśli dobrze przypominam sobie plany, znajduje się ona naprzeciw Świątyni, tak więc każdy, kto przyjdzie zobaczyć boga pustyni, będzie wiedział, że bóg żyjący również na niego patrzy.

- Tak, prefekcie.

- Zawiadomisz Kajfasza, oddając mu list z moją pieczęcią, że jeżeli umieszczenie tej podobizny wywoła w mieście jakiegokolwiek niepokoje, masz rozkaz

ukrzyżować Annasza i wszystkich jego synów. A jeśli i to nie pomoże zajmiesz się mieszkańcami Jerozolimy, biorąc co setną duszę, niezależnie od stanowiska, wieku i płci.

- Tak, prefekcie.

- I powiedz Kajfaszowi, że moja religia nakazuje czcić wizerunki wszelkich żyjących stworzeń. Jeżeli życzyłby sobie omówić ze mną tę kwestię, lepiej, by przyprowadził własnego tłumacza, gdyż zdaje się, że zaczyna mi ich brakować.

- Stanie się, jak powiedziałeś, prefekcie.

Nad północnym Atlantykiem

6-7 października 2006 roku

Malloy zgrał sobie wszystko, co przesłał mu Gil Fine, mając nadzieję, że uda mu się to przejrzeć podczas lotu do Zurychu. Były tu materiały pozbierane z różnych źródeł, drukowanych i elektronicznych, takie, jakie można by zebrać w dobrej bibliotece, jeśli ktoś byłby gotowy spędzić tygodnie na przeszukiwaniu bibliografii i kopiowaniu kilku tysięcy stron. Ze sposobu uporządkowania materiału jasno wynikało, że służby wewnętrzne interesowały się już wcześniej Nicole North, Jo-nasem Starrem i J.W. Richlandem. Duża część artykułów na temat wielebnego dotyczyła jego nieugiętej postawy wobec grzechu. Najwięcej było autopromocji skrytej pod pozorami wiadomości, ale natrafił też na niezbyt obfity, choć wciąż obecny, wątek prawdziwych informacji: życie Richlanda oczami jego wrogów. Dobra rzecz.

Pomimo wysokiego statusu i długiego przebywania na szczytach, skandale wywoływał wielebny jedynie we wczesnej młodości. Wiele lat temu, kiedy dopiero walczył o swoją pozycję, bardzo je rozdmuchiowano, ale nawet wtedy były

to już stare historie, nic takiego, czego ludzie nie potrafiliby wybaczyć albo przynajmniej przymknąć na to oko. W końcu któż z nas nie był kiedyś młody?

Tak czy inaczej, skandale były soczyste. Wyglądało na to, że Richland zaczął życie zawodowe jako szesnastolatek, urządzając imprezy ewangelizacyjne pod namiotami. Głosił potępienie i ogień piekielny, leczył raka, sprawiał, że chromi chodzili, a niewidomi odzyskiwali wzrok. Mając lat dziewiętnaście, sprzedał swój namiot, a wynajął kościół w śródmieściu Fort Worth. Przez jakiś czas sprawy wyglądały obiecująco. Ludzie tarzali się po podłodze w religijnej ekstazie, mówili niezrozumiałymi językami i śpiewali przez całe noce. Ale wtedy, według relacji osób, które go wówczas znały, po wieczornym nabożeństwie pojawiła się w jego kancelarii delegacja młodych mężów i ojców w średnim wieku, sugerując kaznodziei, by rozważył karierę wojskową. Pomysł ten najwyraźniej przypadł mu do gustu, gdyż następnego dnia Richland zaciągnął się do armii. Trzy miesiące później był już w Wietnamie.

Według własnych opowieści wielebnego o tamtych czasach, na kilka lat pograżył się w marnościach tego świata. Jego wrogowie podawali więcej szczegółów. Bez wątpienia w grę wchodziła marihuana i mocne trunki. Niektóre źródła mówiły o kokainie, amfetaminie i strumieniu partnerek seksualnych, ze szczególną preferencją dla mężatek. W wojsku Richland lubił przechwalać się swoimi dokonaniem z czasów namiotowych. Rozповідаł o ładnych dziewczynach i młodych mężatkach, które potrzebowały „specjalnej porady”. Wszystko to wolne żarty.

Po odbyciu służby, z której został zwolniony z honorami, zapisał się do jednej ze szkół średnich w Fort Worth. Oceny miał marne, ale nie oblewał. Trybu życia nie zmienił. Według relacji Richlanda o własnym nawróceniu, kiedy już sięgnął dna, na wpół pijany natknął się na staromodne spotkanie modlitewne pod namiotem. Była to impreza z rodzaju tych, które sam z takim powodzeniem prowadził,

kiedy był jeszcze zbyt młody, by docenić dary, które posiadał. Nawet znając reguły gry, a wtedy była to dla niego tylko gra, nie był odporny na jej siłę. Tamtego wieczoru kaznodzieja mówił, a Richland siedział w tylnym rzędzie i płakał.

Był to początek długiej drogi powrotnej do wiary. W kółku biblijnym spotkał kobietę, którą poślubił rok później, a wkrótce potem przeniósł się do chrześcijańskiego college'u. W seminarium szlifował swoje zdolności oratorskie i wypracowywał mniej radykalne dogmaty. Kiedy powrócił do duszpasterstwa, nie było już oburzonych mężów i nie pojawił się nawet cień niestosowności. W istocie powrót Richlanda na ambonę zdawał się być motywowany szczerym nawróceniem.

Jego posługa miała nawet cechy pewnego wyrafinowania, zdaniem ludzi, którzy znają się na takich rzeczach. Już nie uzdrawiał chromych, nie leczył raka i nie przywracał każdego wieczoru wzroku ociemniałym. Zamiast tego zapewnił sobie szerokie poparcie wśród klasy średniej i stworzył kluczowe sojusze z ludźmi, którzy gwarantowali jego posłudze solidne podstawy finansowe.

Najważniejszą z jego wczesnych przyjaźni okazała się ta z ojcem Nicole North. To właśnie Nicolas pomógł Richlandowi wykorzystać w latach siedemdziesiątych telewizję kablową, co pozwoliło mu konkurować z takimi kaznodziejami jak Jimmy Swaggart, Jim Bakker, Pat Robertson i Jerry Falwell.

Początkowo nie był najważniejszą postacią telewizyjnej ewangelizacji, ale po tym, jak Swaggart wpadł szpetnie z prostytutką w Nowym Orleanie, a Bakker poszedł do więzienia, przejął ich udziały w rynku. Podczas gdy niektórzy kaznodzieje, w tym Pat Robertson i Jerry Falwell, zaczęli nadawać ruchowi ewangelickiemu kierunek polityczny, J.W. Richland uparcie odmawiał odejścia od swojego nauczania. Ta strategia zaczęła przynosić efekty we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, w której to dekadzie jego zdjęcie po raz pierwszy trafiło na okładkę „Time'a”, a nazwisko stało się powszechnie znane. Z początkiem nowego tysiąclecia pokonał wreszcie swą niechęć do polityki. Ponieważ wcześniej nie był

skłonny udzielać nikomu poparcia, niektórzy uważali, że nowa sytuacja wiele zmieniła. Z pewnością spore grono polityków miało wobec niego dług wdzięczności.

Najnowsze artykuły na temat Richlanda mówiły o jego chorobie i dramatycznej odmowie poddania się leczeniu. Według niektórych spośród najbardziej cenionych recenzentów jego ostatniej książki, kaznodzieja powrócił do dogmatów z najwcześniejszego okresu swojej posługi, głosząc w istocie, że człowiek nie potrzebuje lekarzy, jeśli ma silną wiarę. Istniał pewien niepokój co do skutków takiego uproszczonego nauczania, ale ogólnie rzecz biorąc, media traktowały Richlanda z zaskakującą delikatnością, co wynikało niewątpliwie z przekonania o jego nieuchronnie nadchodzącej śmierci.

Przechodząc do Jonasa Starra, wujka Nicole North, Malloy odkrył człowieka całkiem innego rodzaju. Założyciel NorthStarr Institute całe życie poświęcił promowaniu wykopalisk archeologicznych, które, zgodnie z misją Instytutu, „weryfikują historię biblijną”. Co ciekawe, długoletnim członkiem rady dyrektorów NorthStarr Institute był nie kto inny, tylko J.W. Richland. Jonas Starr z kolei zaangażował się w powrót Richlanda.

W istocie, to właśnie dzięki wpływom Starra Nick North pomógł pastorowi dostać się do telewizji kablowej. Ojciec Nicole, aż do śmierci z entuzjazmem wspierał ich obydwu i sprawy, które reprezentowali, a miał pieniądze, by podać za wszystkim, co wzbudziło jego entuzjazm. Pochodził z rodziny starych teksaskich bogaczy, którym fortunę przyniosło bydło i ropa naftowa. Do połowy lat osiemdziesiątych zdywersyfikował swoje źródła dochodu pomiędzy kilka gałęzi przemysłu i otarł się o takich ludzi jak bracia Hunt czy Ross Perot. Jonas Starr, dla odmiany, pochodził z biednej rodziny. Posiadając wyjątkowy - choć niezdyscyplinowany - umysł i wiarę tak silną, że zadziwiała nawet jego ziomków z Teksasu, Starr już u początku życia uświadomił sobie, że chce służyć Bogu.

Nie miał ani głosu, ani wyglądu odpowiedniego dla kaznodziei, lecz na Uniwersytecie Tekszańskim odkrył swoje prawdziwe powołanie: archeologię.

Odkąd skończył dwadzieścia lat, Jonas Starr wciąż przemierzał Bliski Wschód w poszukiwaniu dowodów na to, że wszystko w Biblii jest dosłownie prawdą. Siostra Nicka Norma, wówczas studentka archeologii na tymże Uniwersytecie Tekszańskim w Austin, wzięła udział w jednej z pierwszych wypraw Starra, a on był dość bystry, żeby się do niej zalecać.

Pobrali się i już wkrótce ich nazwisko stało się głośne, nie tylko w kręgach naukowych. Najwspanialszy moment dla Jonasa Starra nadszedł w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy odkrył w górach wschodniej Turcji łódź rybacką sprzed sześciu tysięcy lat. Starr i jego żona nazwali ją Arką Noego i wybudowali w Fort Worth muzeum, by przechowywać w nim swój skarb.

Dziennikarze, którzy sympatyzowali ze sprawą, podkreślali, że Starr znalazł ową łódź w miejscu, w którym nie istniał żaden zbiornik wodny, co dowodziło, jak się zdawało, że zaniósła ją tam powódź. Badanie izotopem węgla również potwierdziło tę tezę, datując znalezisko niemal dokładnie na czasy biblijnego Noego. J.W. Richland, który najwyraźniej znaczną część swego czasu antenowego poświęcał relacjonowaniu „zadziwiającego odkrycia doktora Jonasa Starra”, obwieścił swym widzom, że nauka potwierdziła wreszcie to, co wierni zawsze wiedzieli: Biblia jest prawdziwa nie tylko w sprawach duchowych, ale także w kwestiach historii i ewolucji!

Oczywiście zlaicyzowany świat ruszył do kontrataku. Jonas Starr odnalazł ów kadłub łodzi w regionie, który był niegdyś częścią morza. Poza tym wykopanie jakiejś łodzi nie oznacza, że jest to mityczna arka Noego. Jak to ujął pewien humanista: „Jedynym źródłem mniej wiarygodnym niż biblijna wersja historii jest Jonas Starr”. Niezrażony tą krytyką archeolog kontynuował dzieło swego życia,

uważając tylko, by trzymać się blisko pieniędzy szwagra i popularności, jaką potrafiły zrodzić.

Jednak po śmierci żony jego kariera zdawała się utknąć w martwym punkcie. W połowie lat dziewięćdziesiątych, podczas wykopalisk badawczych niedaleko miejsca usytuowania starożytnej Antiochii, Starr odkopał kielich z czasów rzymskich i obwieścił, że jest to legendarny Święty Graal, kielich, który Jezus podawał swym uczniom podczas Ostatniej Wieczerzy. Media z początku zareagowały na to odkrycie dość entuzjastycznie. Wszystko zmieniło się jednak, gdy ktoś z ekipy Starra oskarżył go, że kielich ten kupił od beduińskich szabrowników.

Przez jakiś czas archeologa wspierali przyjaciele. Rzecznik J.W. Richland należał do najzagorzalszych obrońców. Kaznodzieja podkreślał, jak ważna jest całość prac Jonasa Starra. Mówił, że ludźmi, którzy go atakują, kieruje strach przed faktem, iż Biblia głosi prawdę. Richland i inni napiętnowali studenta, który ujawnił oszustwo Starra, ale atmosfera skandalu nie słabła. Wręcz przeciwnie, zaczęły wyciekać inne opowieści, które nasuwały podejrzenia, że rozpaczliwie starając się dorównać chwalebny odkryciom z czasów młodości, Starr nieustannie poszukiwał na czarnym rynku skarbów, które mógłby przedstawić jako własne znaleziska.

Po niepowodzeniu ze Świętym Graalem, które, jak później przyznawali nawet przyjaciele Starra, nadszarpnęło jego reputację, oskarżenia o oszustwa się nasiliły. Nastąpiło też kilka głośnych porażek, z których najpoważniejszą było poszukiwanie zaginionego skarbu Salomona we wschodniej Etiopii. Ekspedycja miała zdecydowane poparcie, zanim wyruszyła, jednak fakt, że nie znalazła nic prócz głodujących Etiopczyków, został szeroko nagłośniony przez media, które nie traktowały już archeologa poważnie. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, po serii sporów z władzami izraelskimi, urząd do spraw zabytków tego kraju odmówił

Starrowi zgody na prowadzenie prac wykopaliskowych. Mówiono nawet o zakazie wjazdu dla niego samego.

Czy był to zbieg okoliczności, czy też rezultat owych problemów, w każdym razie w kolejnym roku Jonas Starr zrezygnował ze stanowiska dyrektora instytutu na rzecz bratanicy swej żony, Nicole. Kiedy doktor Nicole North, wówczas dwudziestosiedmioletnia, przejęła władzę w instytucie, ludzie, którzy zadali sobie trud skomentowania tego, sugerowali, że jego upadek jest nieunikniony. Nie wzięli jednak pod uwagę, że North potrafiła zapewnić placówce nieograniczone wręcz fundusze. Jak bardzo jest to istotne, stało się jasne już w następnym roku, gdy Nicolas odszedł z tego świata. W testamencie zapisał darowiznę na rzecz instytutu: siedemdziesiąt pięć milionów dolarów. Co więcej, jako jedyna spadkobierczyni ogromnej fortuny ojca, Nicole dostała całą resztę: przyzwoitą sumę siedmiuset milionów dolarów w gotówce i aktywach płynnych, a także władzę nad interesami ojca, wartymi około trzech miliardów dolarów. Nieruchomości i wyposażenie wyceniane na kolejny miliard podnosiły wartość spadku do mniej więcej pięciu miliardów dolarów. Prawdziwe pieniądze, jak mawiają w Teksasie. Wszystko to przy założeniu, że można ufać księgowym.

Ostatnie ogólnodostępne informacje dotyczące Jonasa Starra pojawiły się po opublikowaniu przez niego autobiografii. Krótco tylko wspomniał w niej o Świętym Graalu z Antiochii, zaprzeczając oskarżeniom o oszustwo, ale nie podawał żadnych konkretnych dowodów prawdziwości tych zapewnień, rzucając na szalę jedynie swą nadszarpniętą już przecież reputację. Jedyną interesującą rzeczą w tej książce była opowieść Starra o jego najwcześniejszych przygodach. Choć miejscami pomniejszał w niej zasługi żony, co najmniej jeden życzliwy recenzent napisał o nich obojgu jako o „pani i panu Indiana Jones”.

Archeolodzy uniwersyteccy, którzy zechcieli zrecenzować książkę, zapewniali, że w dorobku życiowym Jonasa Starra nie ma nic wartościowego. Jedno pismo

naukowe nazwało jego autobiografię publikacją dla zaspokojenia własnej próżności. Inne cytowało słynnego francuskiego antykwariusza, który był jeszcze mniej łaskawy. Nazwał Jonasa Starra „oszustem, kłamcą i złodziejem”.

W tym momencie Malloy zmuszony był wyłączyć komputer. Samolot, którym leciał, miał wkrótce lądować w Zurychu.

Zurych, Szwajcaria

7 października 2006 roku

Malloy, mijając urzędnika imigracyjnego, pokazał szwajcarski paszport. Wziął z taśmy z bagażami swoją jedyną walizkę i przeszedł bez przeszkód kontrolę celną, a dziesięć minut później wsiadł do pociągu jadącego do centrum Zurychu.

W hotelu Gottard przy Bahnhofstrasse mówił szwajcarskim niemieckim i zameldował się pod jednym z czterech nazwisk, których używał wcześniej przez lata. Były one częścią wypracowanych przez CIA tożsamości, które agent zachowywał nawet po przejściu na emeryturę, zgodnie z założeniem, że stare konie bojowe zawsze się jeszcze mogą przydać. Nie było rzeczą zwyczajną, żeby agent usiłował uchodzić za mieszkańca kraju, w którym wykonywał zadanie. Trudno mówić bez akcentu, więc taka próba byłaby chyba najłatwiejszym sposobem zwrócenia uwagi na fałszywą tożsamość, ale Malloy był spokojny o swój szwajcarski niemiecki.

W przeciwieństwie do wysokoniemieckiego, szwajcarski niemiecki jest językiem, którego chcą się uczyć tylko nieliczni cudzoziemcy, a już niemal nikomu z nich nie udaje się go dobrze opanować. Nie ma on formy pisanej, więc aby nim swobodnie władać, trzeba mieć niezwykle talent do języków lub dorastać w Szwajcarii. Malloy mógł się pochwalić i talentem, i doświadczeniem, nauczyw-

szy się języka na ulicach Zurychu w ciągu siedmiu lat, kiedy jego ojciec pracował w konsulacie amerykańskim, który wówczas działał w tym mieście. Ojciec Malloya, jednocześnie dyplomata w konsulacie i agent wywiadu pracujący dla Langley, mówił biegle wysokoniemieckim, językiem literackim Szwajcarów. Drugim językiem jego matki był francuski, który uwielbiała tak, jak niektórzy uwielbiają czekoladę. Szwajcarski niemiecki, nazywany niekiedy wiejskim, należał wyłącznie do niego. Jego przyjaźnie wymagały znajomości tego języka, a w wieku lat siedmiu człowiek dostosowuje się do okoliczności, jakiegokolwiek by one były.

Malloy wierzył niezachwianie, że to właśnie ta szczególna umiejętność mówienia jak rodowity Szwajcar, skłoniła Jane Harrison do powierzenia mu zadania w Zurychu na początku jego kariery. Dla Szwajcara znajomość szwajcarskiego niemieckiego jest równoznaczna z wypowiedzeniem hasła lub wymianą tajnego uścisku dłoni. Uzyskanie dostępu do prywatnych rachunków w banku szwajcarskim wymagało wszystkich tych rzeczy.

Kiedy już znalazł się w swoim pokoju, sprawdził pobieżnie, czy nie ma w nim kamer i urządzeń do podsłuchu. Zadowolony, że pokój jest czysty, ułożył się do długiej drzemki. Wstał, kiedy słońce właśnie zachodziło. Wciąż cierpiąc po nieprzespanej nocy, zamówił do pokoju filiżankę kawy i poświęcił kilka godzin na zapoznanie się z resztą materiałów, które przesłał mu Gil Fine. Dotyczyły one głównie Nicole North i North Industries i okazały się najmniej przydatne z trzech folderów. Choć doktor North nie była osobą publiczną jak J.W Richland ani nie szukała rozgłosu jak Jonas Starr, departament spraw wewnętrznych miał o niej informacje zaczerpnięte z kilkuset artykułów.

Oczywiście, jako główny udziałowiec większości koncernów medialnych rozpowszechniających te informacje, Nicole North wychodziła z nich bez szwanku. Malloy nie mógł o niej znaleźć właściwie nic negatywnego. Była

ozdobą towarzystwa w Dallas, głównym źródłem darowizn na cele dobroczynne, szanowaną uczoną, pełnym energii dyrektorem NorthStarr Biblical Institute, siłą napędową wielu spraw związanych z Kościołem i oczywiście prezesem zarządu firm ze sławnej pięćsetki „Fortune”. Jeśli o jej zdolnościach menedżerskich wyrażano się wyłącznie w superlatywach, to wszelkie wieści o życiu prywatnym utrzymane były w jeszcze bardziej pochlebnym i powierzchownym tonie. Jej dom był jednym ze skarbów Dallas. Jej hojność najczęściej dotyczyła dobra publicznego, ale bywało też, że oferowała swą pomoc obcemu człowiekowi w potrzebie. Wszystko to pod staranną opieką piarowców. I ani cienia skandalu.

NorthStarr Biblical Institute był jej prawdziwą pasją. Kiedy już formalnie przejęła nad nim władzę, zrezygnowała z ambicji kolekcjonerskich swego wuja i zaczęła reorganizować placówkę w taki sposób, że obecnie wielu uważało ją za czołowy ewangelicki *think-tank* w kraju. Nie trzeba było mówić, że skutkiem tego nowego kierunku działalności instytutu był rozwój całkiem poważnego koncernu wydawniczego. Muzeum oczywiście wciąż było otwarte, ale z wyjątkiem pojawiających się niekiedy wystaw gościnnych nic się tam nie zmieniło, odkąd Jonas Starr przekazał szefostwo córce swojego szwagra. Na głównym piętrze wciąż dominował kadłub starej łodzi, był też mosiężny kielich przechowywany z należnymi honorami w nowoczesnej, przezroczystej, dobrze zabezpieczonej gablocie. Były tam narzędzia, zwoje, mapy i filmy wideo, wszystko jak w prawdziwym muzeum. Tylko bez tłumów.

Malloy łudził się, że gdzieś w tej masie plików znajdzie coś na temat życia prywatnego North, a zwłaszcza jej związku z J.W. Richlandem, ale ten sekret był zbyt pilnie strzeżony. Oczywiście nie miała problemów ze znalezieniem kogoś do towarzystwa, kiedy zaistniała taka potrzeba, nie było jednak żadnych domysłów na temat jej seksualności. Przez krótki okres była mężatką, prawie dziesięć lat temu, ale na zaślubinach cieniem kładł się fakt, że pan młody miał raka w fa-

zie terminalnej. Umarł kilka miesięcy później. O ile Malloy mógł się zorientować, od tej pory nikogo w jej życiu nie było. Z kontekstu różnych artykułów jasno wynikało, że J.W. Richland jest przyjacielem rodziny, ale tylko tyle. Nikt nie łączył tych dwojga w sferze miłosnej. Oczywiście, nie był to ten rodzaj znanych osób, które wywołują plotki.

Malloy wyłączył komputer i mając teraz więcej pytań niż na początku, wyszedł z hotelu, by przespacerować się słynną zuryską Bahnhofstrasse. Wszystkie sklepy były zamknięte, a najdroższa ulica miasta właściwie pusta. Malloy wykorzystał ten spacer, żeby przeprowadzić rozpoznanie banku Goetz & Ritter położonego blisko jeziora. Kiedy skończył, złapał tramwaj, raz przesiadając się, by sprawdzić, czy nie ma ogona, i wreszcie tuż po jedenastej wieczorem, wszedł do pubu Jamesa Joyce'a.

Wyposażenie lokalu pochodziło z dublińskiej tawerny zwanej Drury, o której mówiono, że była czynna za życia Jamesa Joyce'a, choć nie opisał jej w podróży Leopolda Blooma po tym mieście 16 czerwca 1904 roku w *Ulissesie*. Kiedy złote czasy pubu minęły i skazany został na rozbiórkę, miasto Zurych, by uczcić pamięć najślynniejszego swego literata wygnańca, kupiło wnętrze i przewiozło je do Szwajcarii. Drinki kosztowały tu fortunę, bez wątpienia wciąż wliczano w nie koszty transportu, ale warto było płacić, choćby ze względu na te mosiężne lampy, uchwyty, mahoniowy kontuar i dekoracyjne płytki ceramiczne. A przynajmniej tak uważał kapitan Marcus Steiner, który twierdził, że to jego ulubiona knajpa -jeśli tylko rachunki regulował Malloy.

Spotkali się ponad czterdzieści lat temu, gdy byli parą siedmiolatków. Tak jak kiedyś, Marcus był niski, chudy i bystry. Miał ciemne kręcone włosy i intensywne brązowe oczy. Najbardziej uderzającym z jego talentów była zdolność do przybierania absolutnie niewinnego wyglądu, bez względu na to, co przed chwilą robił. Przynosiło to efekty kiedyś, gdy rozzłoszczony straganiarz szukał dziecka-

ka, który ukradł mu jabłka, a także dzisiaj, wewnątrz zuryskiej *Stadtpolizei*. Mając twarz uczciwego obywatela, Marcus był jednak urodzonym przestępcą. Jednak jako Szwajcar oparł się syreniemu śpiewowi swego geniuszu, wybierając stałe godziny pracy i uposażenie, ale zdecydował się na karierę w policji - choćby po to tylko, by być blisko tego, co kochał.

W porównaniu z prawie każdym innym krajem na świecie, w Szwajcarii życie policjanta było nudne ponad wszelkie granice. W Zurychu jedno zabójstwo na miesiąc to już zbyt wiele. Złodzieje znani byli z tego, że kradli portfele, a potem, dręczeni wyrzutami sumienia, zwracali je pocztą wraz z pisemnymi przeprosinami. Szczytem poniżenia był fakt, że jeśli zdarzyło się czasami włamanie i kradzież samochodu, to zazwyczaj udaremniał je czujny szwajcarski obywatel, a na głowę policjanta spadała tylko cała ta upierdliwa papierkowa robota. Marcus mówił Malloyowi, że kiedyś nuda w policji była jeszcze większa, ale w ostatnich dekadach Szwajcaria zaczęła importować element przestępczy, by móc sama siebie przekonać, że ma te same problemy, co reszta cywilizowanego świata. Marcus był kieszonkowcem amatorem, niedzielnym włamywaczem z pewnymi osiągnięciami i przy trzech osobnych okazjach - płatnym mordercą. Przy dwóch z tych trzech zabójstw, z których wszystkie zlecił mu i opłacił Malloy, Marcus był później odpowiedzialny za śledztwo.

Kilka minut gawędzili o sprawach bieżących, w tym o zbliżającym się ślubie Thomasa. Kiedy nadszedł czas na sprawy zawodowe, Marcus wyciągnął teczkę z dossier Rolanda Wheelera. Siedzieli w jednej z luksusowych kabin na końcu pubu. Poza barmanem i kelnerką było tam jeszcze pięć innych osób: wszystkie pachnące zuryskimi pieniędzmi i szacownością i wszystkie stosownie oddalone od ich rozmowy.

Gdy Malloy przeglądał informacje na temat Wheelera, Marcus tłumaczył mu, że Goetz & Ritter jest dokładnie tym, za co chce uchodzić: małym, ekskluzyw-

nym i niezmiernie solidnym bankiem prywatnym. Za pięćdziesiąt tysięcy pozwolą ci wejść głównym wejściem. Za parę milionów masz osobistą obsługę, a przy rachunkach powyżej dziesięciu milionów zajmie się tobą sam pan Goetz. Bank od pięciu pokoleń pozostaje w rękach tych samych dwóch rodzin. Poza tym Goetz & Ritter sprzedawał różnym monarchiom europejskim żołnierzy najemnych, czyniąc ich wielkim źródłem zamożności kraju, który wówczas nie posiadał zbyt wiele.

Nie trzeba było dodawać, że Goetz i Ritter nie prowadzili banku w sposób nienagannie legalny w amerykańskim sensie tego słowa. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, po skandalu związanym z zaginionymi rachunkami ofiar Holocaustu, rząd amerykański wynegocjował ze Szwajcarią nowe traktaty zobowiązujące banki do ujawniania informacji o wątpliwych kontaktach, szczególnie tych należących do dilerów narkotyków, terrorystów i bogatych Amerykanów próbujących ukryć swe dochody przed urzędem skarbowym. Teoretycznie Ameryka zrobiła wreszcie wyłom w skarbcu najbogatszych na świecie przestępców. W rzeczywistości międzynarodowe konglomeraty współpracowały, choć niechętnie, gdyż były podatne na ewentualne kroki odwetowe, podczas gdy banki prywatne, takie jak Goetz & Ritter, działały dalej tak jak od kilku stuleci.

Rząd szwajcarski wprowadził przepisy. Banki miały ich przestrzegać. Ameryka wciąż naciskała, by uzyskać dalsze ustępstwa, ale dobrobyt tego kraju w tak znacznym stopniu zależy od instytucji finansowych (dwanaście procent produktu narodowego brutto), że była to batalia bez szans na zwycięstwo. Szwajcarzy nie bez powodu mają słaby rząd centralny. Zresztą dawno już doszli do przekonania, że niemądre jest mieszanie pieniędzy z moralnością. Wolter doskonale podsumował tę postawę jeszcze przed rewolucją francuską i od tamtej pory nie zmieniło się nic prócz stóp procentowych: „Jeśli zdarzy ci się widzieć, że bankier

szwajcarski wyskakuje przez okno, skacz za nim i bądź pewien, że zanim dotrzesz na dół, zarobisz pieniądze".

- Wheeler to inna historia - obwieścił Marcus. Malloy skinął głową i kontynuował przeglądanie raportów

Interpolu na temat handlarza dziełami sztuki. Właśnie trafił na informację o jednym z wielu śledztw dotyczących skradzionych obrazów. Podobnie jak w przypadku innych dochodzeń, między wierszami wyraźnie można było wyczytać, że marszand jest przez rząd szwajcarski chroniony w stopniu, jakiego nie tolerowano by w innych krajach. Nie trzeba było zbyt wiele wysiłku, by się domyślić, dlaczego. Wheeler przeprowadził się do Zurychu na początku lat dziewięćdziesiątych, ale miał rozległe kontakty biznesowe, sięgające trzydziestu lat wstecz. W ciągu tego okresu przekazał na rzecz miasta piętnaście milionów dolarów w postaci różnych darowizn, co zdaje się wystarczało, by zawrzeć trwałe przyjaźnie w liczących się kręgach.

- Jest ostrożny - wyjaśnił Marcus, kiedy Malloy wspomniał o niechęci miasta do współpracy z Interpołem w różnych śledztwach dotyczących kradzieży dzieł sztuki.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie okrada Szwajcarów? Marcus się uśmiechnął. Dokładnie to miał na myśli.

- Co ludzie robią poza naszymi granicami, tak naprawdę nas nie interesuje, Thomas.

Z tego co Malloy zdołał wyczytać z raportów, Interpol podejrzewał, że Wheeler w jakiś sposób aranżował pozyskiwanie niektórych dzieł, a potem sprzedawał je kolekcjonerom, często szwajcarskim, nie zanedo zainteresowanym pochodzeniem obrazu, jeśli tylko podnosił on wartość ich kolekcji. Ponieważ prawo szwajcarskie, poprzez zaledwie pięcioletni okres przedawnienia, chroniło mecenasów sztuki, którzy bez złego zamiaru nabyli własność skradzioną, było to dla

wszystkich bardzo wygodne. Z punktu widzenia zuryskiej policji, głównej instytucji śledczej, największym problemem był fakt, iż Interpol nie potrafił powiązać Wheelera z żadnymi kręgami przestępczymi w Europie. Jak więc wchodził on w posiadanie tych obrazów? Nikt nie wiedział. Czy był ofiarą i wrabiano go w kupowanie skradzionych dóbr? Interpol nie potrafił odpowiedzieć, a Szwajcarzy nie byli skłonni dociekać. Poza niezobowiązującymi rozmowami - kiedy przyjaciel z przyjacielem snuli domysły o różnych kradzieżach - nie było żadnych niepodważalnych dowodów, które pozwalałyby przypisać Wheelerowi jakiegokolwiek nielegalne działania, a tym samym nie można go było aresztować ani zlecić inwigilacji jego samego czy też jego rodziny lub firmy. Marcus znowu uśmiechnął się chytrze.

- Przez ponad dwadzieścia pięć lat służby w policji, Thomas, nauczyłem się, że jedna rzecz zawsze pozostaje prawdą: niezwykle trudno jest znaleźć dowody, jeśli odmawiasz dostrzeżenia ich.

- Zdaje się, że on nie zajmuje się falsyfikatami.

- To jest sztuka. Oni wszyscy mają do czynienia z falsyfikatami, czy tego chcą, czy nie, ale z tego, co wiem, Wheeler się w to nie bawi. Jest specjalistą. Chcesz Moneta, znajdzie ci Moneta. Chcesz Leonarda da Vinci, być może ma na strychu kilka jego obrazów, które może ci sprzedać, jeśli tylko cię na nie stać.

Przewróciwszy stronę, Malloy zobaczył Wheelera w towarzystwie trzydziestoparoletniej nordyckiej piękności. Typowe dla podstarzałych playboyów, pomyślał i już miał przewrócić kolejną kartkę, kiedy jego wzrok zatrzymał się na słowie *Tochter*.

- To jego córka? - spytał, wskazując fotografię.

- Piękna, prawda?

- Mieszka w Zurychu?

- Mieszka, gdziekolwiek zechce, Thomas.

- Katherine Kenyon.

- Właściwie lady Kenyon. Tata miał pieniądze, więc mała Katie poślubiła błękitną krew. W czasie miesiąca miodowego wspinali się po północnej ścianie Eigeru. Jej mąż i trzech inni mężczyźni już tam zostali.

- Pamiętam. Kiedy to było? Dziesięć... jedenaście lat temu?

- Coś koło tego. Sądziłbym, że takie doświadczenie zniechęci ją do gór, ale przekonało ją tylko, żeby nigdy nie wspinać się z liną. Najwyraźniej lorda Kenyona pociągnęło tamtych trzech. Lady Kenyon zdołała odciąć linę i nie dołączyła do nich. Zeszła stamtąd sama, bez lin, i odtąd już ich nie używa.

- Wciąż się wspina?

- Szwajcarska telewizja około trzech lat temu zrobiła o niej specjalny program. Mówiono wtedy, że należy do piątki najlepszych wspinaczy w Szwajcarii, co czyni ją jedną z najlepszych na świecie. Nie odchodzi się od czegoś takiego.

Malloy zamknął dossier i włożył je do torby na zakupy, którą Marcus umieścił pomiędzy nimi. Przyjaciel odpiął od pasa Sigmę kaliber 380 razem z kaburą.

- Naładowana i całkiem czysta. Oddaj mi ją przed wyjazdem, jeśli będziesz mógł. - Chciał przez to powiedzieć: „jeśli będzie nieużywana”.

Malloy starł odciski palców Steinera z broni i kabury, po czym włożył ją sobie za pas na plecach, przy kręgosłupie, tak jak nosił w Stanach swoją Sigmę.

- Zakładam, że twoje stawki się nie zmieniły. - Wyjął z kieszeni kurtki sportowej dwa pliki banknotów tysiącdola-rowych i podał je przyjacielowi pod krawędzią stołu.

Marcus z satysfakcją schował pieniądze do kieszeni i wysłuchał instrukcji Malloya. Kiedy ten skończył, uśmiechnął się.

- Zupełnie jak za dawnych czasów. Poza tym, że nikogo nie zabijamy.

- Brzmi to tak, jakbyś się za mną stęsknił.

- Każdy glina w Zurychu tęskni za tobą, Thomas. Odkąd wyjechałeś, wskaźniki przestępczości runęły w dół. Niedługo zaczną mówić o zwolnieniach.

Kiedy Malloy wrócił ze spotkania z Marcusem Steinerem, w jego pokoju hotelowym siedział w ciemności Bob Whitefield ze szklanką whisky w dłoni. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną o bladym uśmiechu i cichym, nerwowym głosie. Miał kilka podbródków, nieliczne kosmyki czarnych włosów rosnących w poprzek czaszki i małe, brązowe oczka, nieustannie wykonujące nerwowe tiki. Malloy po raz pierwszy widział się z Whitefieldem w Paryżu, gdy jako nowy szef tej placówki wywiadowczej wezwał go na spotkanie. Przypominał sobie każde słowo, jakie padło tamtego popołudnia. Whitefield nie należał do tych, którzy bawią się w grzecznościowe pogaduszki. Powiedział Malloyowi, że Charlie Winger życzy sobie, by cały personel liniowy z Europy Zachodniej składał raporty bezpośrednio do Paryża, to znaczy do samego Whitefielda. Kiedy Malloy zauważył, że od wielu lat swoje raporty przedstawia Jane Harrison i to się sprawdza, Whitefield powiedział mu: „Pracujesz zgodnie z wytycznymi, T.K., albo odchodzisz”.

Malloy odpowiedział pojednawczym tonem. Tak się pracowało w agencji. Zgadzasz się, fałszujesz księgi, ślesz raporty, pomijając dyskretnie to i owo i robisz, co konieczne. Zdaniem Jane Harrison, z którą natychmiast się skontaktował, były to ustalenia tymczasowe. W jej języku oznaczało to, że Charlie Winger nie utrzyma się zbyt długo na swoim stanowisku. Był to jeden z niewielu przypadków, kiedy Jane Harrison nie udało się przebić, ale patrząc wstecz, doskonale to rozumiał. Charlie Winger szturmował twierdzę, wiedząc, że może liczyć na przyjaciół na górze i na dole. Miał zamiar zdobyć to, co chciał. Jane Harrison wciąż dysponowała budżetem wystarczającym, by prowadzić swoją prywatną wojnę, ale nagle się okazało, że składa dyrektorowi raporty za pośrednictwem Charliego.

Malloy, spoglądając wstecz, uświadamiał sobie, że to był początek końca jego własnej kariery.

Drugie spotkanie było równie pamiętne. Whitefield powiedział mu, że jego doświadczenie potrzebne jest w Langley. „Przypuszczam, że to dobry moment na gratulacje”, stwierdził bez najmniejszego cienia ironii.

To miało być ich trzecie sam na sam. Teraz przynajmniej obejdzie się bez niespodzianek.

- T.K., jak miło cię widzieć! - obwieścił Whitefield uprzejmie, jak gdyby to Malloy wpadł z wizytą. - Masz ochotę na szklaneczkę swojej szkockiej?

Malloy rozsiadł się wygodnie w fotelu i nalał sobie whisky.

- Sądziłbym, że szef placówki ma lepsze zajęcia niż załatwianie sprawunków dużym chłopakom.

Whitefield zaprezentował swój wypróbowany blady uśmiech.

- To zależy, jak duży jest chłopiec. Powiedziałbym, że pomoc przyjacielowi prezydenta jest tego warta. Muszę ci powiedzieć, T.K., że byłem zaskoczony, kiedy usłyszałem, że zgodziłeś się wrócić do akcji. Naprawdę. Myślałem, że masz nas dość.

- A ja zawsze sądziłem, że jest odwrotnie. Whitefield wydał mu się nagle bardziej rozluźniony.

- Jeśli dobrze rozumiem, Charlie chciał, żebyś nabył doświadczenia na różnych polach, by móc cię awansować o parę stopni w kolejności dziobania, a ty się trochę o to nabzdyczyłeś.

- Byłem wewnątrz każdego ważniejszego banku w Szwajcarii, Bob. Jak teraz stoimy?

Whitefield się skrzywił.

- Nabieramy rozpędu, ale jest ciężko. W związku z tym nowym traktatem Szwajcarzy obiecują wszelką możliwą współpracę, a dotrzymują słowa, kiedy im

się podoba. Jeśli chcemy coś sprawdzić, zwracamy się do tych samych ludzi, którymi ty się posługiwałeś, ale nie chcą z nami współpracować, a jeśli już, dają nam wczorajsze wiadomości po jutrzejszych cenach.

Wcale go to nie dziwiło. Większość kontaktów, które umieszczał w raportach, to byli pośrednicy, a nie ludzie dostarczający prawdziwych informacji. Wyglądali dobrze na papierze i dostawali pensje za okruchy, które przynosili, ale nie za wiele wiedzieli, a przekazy wali jeszcze mniej. Ludzie z prawdziwą wiedzą byli zbyt istotni, by ryzykować umieszczenie ich nazwisk w raportach. Bejrut nauczył go, jaką głupotą jest zapisywanie prawdy.

- To kwestia zaufania - skomentował. - Zgodzą się nadstawić karku tylko wtedy, gdy wiedzą, z jaką osobą mają do czynienia.

Whitefield miał sceptycyzm wypisany na twarzy, ale nic nie odpowiedział.

Chcąc zmienić temat, Malloy wstał, przeszedł przez pokój i wyjrzał za okno.

- Czytałem niektóre twoje raporty z tego lata - rzucił.

- O Julianie Corbeau?

- Corbeau jest moim osobistym hobby.

- Corbeau to hobby nas wszystkich, T.K., przynajmniej dopóki nie zdołamy mu czegoś udowodnić.

Corbeau mieszkał teraz w Szwajcarii, a za jego głowę wyznaczona była nagroda: milion dolarów. Opuścił Stany dziesięć lat temu, uykając przed oskarżeniem. Jego interesy na Bliskim Wschodzie były rozległe i skomplikowane, co skłaniało sceptyków do rozważań, czy nie jest jednym ze źródeł finansowania terrorystów, ale Szwajcarzy odmawiali traktowania go inaczej niż jako tego, za kogo się podawał: legalnego biznesmena. Według raportu z terenu przesłanego przez jednego z agentów Boba Whitefielda, Amerykanie odkryli wreszcie jakieś namacalne powiązanie pomiędzy Corbeau a znaczącym agentem neonazistów, używającym pseudonimu Xenos.

Powiązanie to, choć wydawało się kuszące, obejmowało tylko pojedyncze spotkanie Xeno z szefem ochrony Corbeau, Jeffreyem Bremmerem, w Hamburgu. Nie było żadnych przechwyconych rozmów telefonicznych, żadnych kolejnych spotkań. Jeśli ci dwaj posługiwali się teraz pośrednikami, wychodziło im to zadziwiająco dobrze. Nic nie wskazywało na ponowne bezpośrednie kontakty organizacji Corbeau z tym człowiekiem. Co to mogło oznaczać? Dla Malloya był to dowód, że Julian Corbeau ma coś na sumieniu. Formalne dochodzenie w sprawie Corbeau na podstawie tego jednego spotkania było jednak niemożliwe.

Biznesmen był oskarżony o unikanie płacenia podatków i nielegalne transakcje. Nie były to przestępstwa, za które groziłaby ekstradycja ze Szwajcarii. Z punktu widzenia Szwajcarów rząd amerykański zaangażowany był w nękanie Corbeau. Uważali, że wszelka obserwacja Corbeau byłaby nieuzasadniona i kleli się, że bez pardonu wydalą każdą osobę podejrzewaną o próbę monitorowania jego aktywności w interesach. Oczywiście Szwajcarzy rzadko odmawiali współpracy, więc i tu obiecali pomoc. Zadeklarowali, że będą mieć na oku Xeno, gdyby kiedykolwiek przekroczył granice ich kraju.

- Więc co się stało tego lata? - Malloy miał na myśli to, co się stało, a nie to, co zostało ujęte w raportach.

- Mieliśmy szczęście. Obserwowaliśmy pewnych ludzi w Hamburgu i pokazał się Jeffrey Bremmer.

- Tyle zrozumiałem. Kontaktował się z podziemiem neonazistowskim. Ciekaw jestem, dlaczego.

- Tego lata ktoś zaatakował Corbeau. Nie ma tego na papierze, ale stracił trzech ludzi, a kilku jego ochroniarzy zostało rannych. Zgaduję, że chce dopaść tych, którzy to zrobili, i sprowadził sobie zespół morderców. Czy Xeno nim dowodzi, czy tylko go nadzoruje, tego nie wiem, ale wiem jedno: latem Corbeau o każdej porze miał wokół siebie pięciu ochroniarzy. Teraz nie potrafimy nawet

powiedzieć, ilu ich zatrudnia. Wchodzą i wychodzą przez cały czas. Jeden z szanków mówi o trzydziestu pięciu ludziach pod bronią.

- Więc albo kogoś ściga, albo paranoicznie się boi. Nie byliśmy w to zaangażowani? W to co stało się latem?

- Myślimy, że to jakaś akcja wolnych strzelców, ale nie wiemy na pewno. Corbeau nie było nawet na miejscu, kiedy to się stało. Bawił na imprezie dla v i p-ów w mieście i wysłał swoją ochronę, żeby się zajęła intruzami. Nawet nie jestem pewien, czy był przy tej strzelaninie.

- Może oni wcale nie chcieli Corbeau. Może próbowali zdobyć rzadkie okazy książek, które zgromadził.

- Jeśli chcesz zarobić kilka tysiączków na rzadkich książkach czy obrazach, są łatwiejsze cele, uwierz mi. Jeśli chcesz dostać okrągły milion bez pytania, wtedy Corbeau jest odpowiednim produktem.

- Nie z trzydziestoma pięcioma uzbrojonymi ludźmi pod ręką.

Whitefield uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Faktycznie, nie w tych dniach. - Poprawił się w fotelu i pociągnął łyk whisky. - Rozumiem, że wylatujemy we wtorek o czternastej trzydzieści.

- Miło mi widzieć, że agencja wciąż jest na bieżąco.

- Robimy, co w naszej mocy. Spotkam się z tobą w wagonie pierwszej klasy, pociągu odjeżdżającego trzy po dwunastej z dworca głównego w Zurychu, jeśli ci to odpowiada. Możesz złapać ten pociąg w kilku różnych punktach po drodze, ale przekazmy sobie tę rzecz, zanim dotrzemy na lotnisko. Przechowam ją podczas lotu. Kiedy już przejdziemy kontrolę celną w Stanach, możesz ją przejąć. Gdyby coś się pojawiło, to jest twój telefon.

Malloy sprawdził kontakty w trzypasmowym telefonie, który wręczył mu Whitefield, znajdując wpisane już numery do niego i do Jane Harrison. Kiedy rozmawiali, dopisał tam jeszcze swój numer domowy i komórkę Gwen.

- Orientujesz się, co będziesz przewoził? Whitefield uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Powiedzieli mi, że będzie to bezpieczne do przewozu, poręczne, lekkie i niezmiernie cenne dla ludzi, którzy się liczą.

- Żyjemy w demokracji, Bob. Pamiętasz? Każdy się liczy. Whitefield uśmiechnął się i wstał, kończąc spotkanie.

- Niektórzy z nas bardziej niż inni, T.K.

Cezarea Nadmorska

Kwiecień A.D. 26

Pierwsi z nich pojawili się na horyzoncie tuż po wschodzie słońca. Kolejni przychodzili przez cały poranek - długa linia ludzi w łachmanach idących skrajem drogi z Jerozolimy do Cezarei. Nie byli żołnierzami, najwyraźniej nie byli nawet uzbrojeni. Każdy z nich miał na sobie brudną białą szatę, dźwigał koc na ramionach i tykwę na sznurze, tę ostatnią prawdopodobnie napełnioną wodą. Nie posiadali nic innego, nie jechał też za nimi żaden wóz z zaopatrzeniem, jak można by rozsądnie przypuszczać. Wydawali się zmierzać do bram miasta, ale odwrócili się od nich i pomaszerowali dokładnie w kierunku tego punktu murów miejskich, gdzie znajdowały się apartamenty Piłata i jego żony. Po przybyciu nie przestawali poruszać stopami. Dołączały do nich setki i tysiące. Przez cały czas nucili coś w języku, którego Pro-kula nie potrafiła rozpoznać.

- Czego oni chcą, pani? - zapytał dziewczęcy głos.

Prokula odwróciła się i zobaczyła jedną z kochanek swego męża, czternastoletnią egipską niewolnicę, wpatrującą się nerwowo w brodatych mężczyzn.

- Nie ma się czego obawiać, dziecko - odpowiedziała łagodnie. - Nie są uzbrojeni.

Tego wieczoru Piłat przyjmował na kolacji wysłanników Heroda Antypasa. Przybyli prosić, by prefekt zechciał być obecnym w Perei na obchodach sześćdziesiątych urodzin tetrarchy. Spędzili w mieście już kilka dni, ale dopiero dziś zostali wpuszczeni do pałacu. Piłat nie miał ochoty składać wizyty Antypasowi, ponieważ uważał, że tamten powinien odwiedzić go pierwszy, ale nie było to takie proste. Ojcem Antypasa był Herod Wielki, który przyjaźnił się z Augustem, a

mówiło się, że sam Antypas zaledwie rok temu był przez kilka dni gościem Tyberiusza. Oczywiście ani Antypas nie był odpowiedzialny przed prefektem Judei, ani Piłat nie informował tetrarchy o swoich działaniach. Byli sobie w pewien sposób równi: jeden - żołnierz w służbie cesarza, drugi - księżę i sprzymierzeniec.

Wraz z kolejnymi pucharami wina Piłat stawał się weselszy, choć wciąż jeszcze nie zgodził się na podróż do Perei. Wysłannicy, nie chcąc wrócić do Antypasa z odmową, omijali starannie kwestię dziesięciu tysięcy Żydów obozujących tuż za murami miejskimi, rozprawiając o urokach orientu. Mówili o tym, jak spokojnym miastem pozostaje Tyberiada, ot, chociażby fakt, że wśród jej ludności nie zdarzają się żadne niepokoje. Przesłanie było zarazem subtelne i wyraźne: Antypas wie, jak postępować z ludnością żydowską, i może być użytecznym przyjacielem dla niedoświadczonego rzymskiego namiestnika.

Piłat, obojętny na ich samozadowolenie, odpowiedział pytaniem, na które znał już odpowiedź. Brak jakiegokolwiek znaczącej populacji żydowskiej ma wszak coś wspólnego z faktem, że miasto wzniesione zostało na żydowskim cmentarzu, nieprawdaż?

Obelga najwyraźniej ugodziła ich boleśnie, gdyż odpowiedź, jaka wyszła z ust najstarszego z wysłanników, była celna:

- Wiele rzeczy obraża najgorliwszych spośród Żydów, nawet coś tak zdawałoby się nieistotnego, jak niewielka główka z brązu.

Piłat wzruszył niedbale swymi ciężkimi ramionami.

- Doświadczenie mówi mi, że ludzie dostosowują się, kiedy muszą. I nie tylko Żydzi! Ja sam obudziwszy się dziś rano, zobaczyłem swe miasto obleżone przez jerozolimczyków, z których można by uformować dwa legiony, a którzy przybyli bez zaopatrzenia i bez broni, zdecydowani pokonać mnie modlitwą do swego boga.

- Czy przemówisz do nich, prefekcie? - zapytał jeden z wysłanników. Wydał się szczerze zadowolony.

- Nie zamierzam tego zrobić, ale czekam z najwyższą niecierpliwością, kiedy ich bóg przemówi do mnie!

Poseł się roześmiał.

- Co dokładnie miałbyś usłyszeć od ich boga, by zmieniło to twoje postanowienie? Czego się spodziewają?

Tym razem roześmiał się Piłat.

- Można przypuszczać, że trzęsienia ziemi albo gromów z nieba.

- Nie wytrzymają zbyt długo - zauważył jeden z ludzi Heroda. - Jak mogliby, poszcząc tak jak dotąd?

- Nie byłbym taki pewny - wtrącił inny. - To straszni fanatycy, ci Żydzi z Jerozolimy.

- Niech się modlą, aż ich głosy wsiąkną w piach - wycedził Piłat. - Sztandar z wizerunkiem cesarza, który kazałem wznieść w poprzednim tygodniu, pozostanie w Jerozolimie tak długo, jak długo żyje Tyberiusz. Może nie uszczęśliwi to pustynnego boga, ale na bogów, którzy się liczą, uszczęśliwia to mnie!

Wysłannicy wznieśli puchary i toastem sławili odwagę Poncjusza Piłata, dopełniając swego zwycięstwa, Piłat bowiem oznajmił ambasadorom, że on i jego żona będą zaszczytzeni, biorąc udział w obchodach urodzin Heroda Antypasa. Najmniej ostrożni spośród nich odpowiedzieli z zapalem:

- Możesz wkroczyć do Perei pod swymi sztandarami, prefekcie! My nie jesteśmy tak wrażliwi jak nasi sąsiedzi z południa.

Następnego ranka Żydzi byli tam nadal. Piłat przyszedł do Prokuli i rozkazał przynieść sobie śniadanie, gdyż z jej sypialni roztaczał się najlepszy widok, tak przynajmniej twierdził. Zdarzyło się to po raz pierwszy od czasu ich zaślubin.

- Powinniśmy cieszyć się wspólnie tym niezwykłym widokiem! - powiedział wesoło do Prokuli. - Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej tego nie robiłem.

Ze swego tarasu Prokula mogła oglądać morze na zachodzie, pustynię na południu lub patrzeć na wschód, w kierunku gór.

Kiedy czekali na posiłek, Piłat wstał i skierował spojrzenie na poranną krzątanicę handlową w porcie - jedyny widok, który naprawdę go cieszył. Prokula stała tak, by móc patrzeć w kierunku morza, wciąż jednak obserwując Żydów. Z północy napływała świeża, poranna bryza, trzymając w ryzach nadchodzący upał, ale nie docierała do Żydów. Oni byli już w słońcu, mruczając swą modlitwę niczym pszczoły w pełni lata.

- Co znaczy to, co oni mówią?

Piłat odwrócił wzrok od portu i spojrzał na żonę.

- Kto, moja droga? Prokula zerknęła na Żydów.

- Ci ludzie. Nucą coś wciąż i wciąż od nowa. Rozróżniam słowa, ale nie wiem, co one znaczą.

- Nie pozwól, by widzieli, że na nich patrzysz, Prokulo. To by ich tylko zachęciło.

- Przepraszam.

- Odejdą, kiedy zrozumieją zupełną daremność swej modlitwy.

- Oczywiście. Wiem o tym. Byłam po prostu ciekawa.

- Mówią: „Boże, odmień jego kamienne serce”. Można by pomyśleć, że jestem człowiekiem o kamiennym sercu.

- Wszystko to z powodu jednego sztandaru z wizerunkiem cesarza w Jerozolimie?

- Kapłani ze Świątyni nie mieli odwagi umierać na rzymskim krzyżu za swego boga, zebrali więc armię głupców i posłali ich przez pustynię, by w mojej obecności modlili się do niego, myśląc, że to mnie skłoni do usunięcia małej,

brązowej główki z portalu pałacu Heroda. Ona nie jest nawet wielkości twojej piąstki, moja droga. Nie mogą nawet jej widzieć. Skarżą się tylko dlatego, że wiedzą, iż tam jest. O to właśnie chodzi, czysty nonsens!

Prokula o zmierzchu znów wyszła na taras. Mówiła sobie, że chce zobaczyć zachód słońca. Pamiętając radę męża, starała się nie patrzeć na wznoszących modły. Nie wiedziała, jak ktokolwiek z nich może wytrzymać przez cały dzień, mrucząc z cicha to samo zdanie. Co to dokładnie było? Próbowała przypomnieć sobie słowa męża. Coś o tym, że ma on kamienne serce.

Pewnego wieczoru, niedługo po ich przybyciu na Capri, Piłat miło z nią rozmawiał przy kolacji. Nagle uderzył usługującego im niewolnika. Z furją, jakiej nigdy nie widziała, podniósł się ze swego posłania i zaczął kopać owego chłopca. Kiedy skończył, niewolnik leżał na marmurowej podłodze, skrwawiony i nieprzytomny, bliski śmierci. Wezwawszy kogoś, by usunął stamtąd rannego, jej mąż powrócił na posłanie i zaczął rozmawiać znów swoim zwykłym tonem. Potem, kiedy była pewna, że już ochłonął, zapytała go, co ów niewolnik uczynił, czym zasłużył sobie na bicie. „Patrzył na ciebie dłużej, niż uważałem za stosowne”. Gdy chłopiec wyzdrowiał, Piłat nakazał go wykastrować i sprzedał z zyskiem kapitanowi statku handlowego.

Niekiedy tygodniami wydawał się zupełnie normalnym człowiekiem, takim, jakiego sądziła, że poślubia, ale nigdy nie trwało to dłużej. Władza kusiała go, a on poddawał się jej pokusom z furją, która przyprawiała Prokulę o dreszcze. W Cezarei zdarzyło się to po raz pierwszy pewnego popołudnia, kiedy Prokula zeszła do kuchni. Usłyszała pełne podniecenia rozmowy niewolników, a wyszedłszy, odkryła wypatroszone ciało bystrego młodego Syryjczyka przydzielonego do oddziałów pomocniczych, zawieszony u bram pałacu. Jaką zbrodnię popełnił? Niewolnicy mówili, że tłumaczył nie dość szybko jak na wymagania swego pana.

A więc wróciło, po nadspodziewanie spokojnych miesiącach. Właściwie nie było w tym nic zaskakującego. Piłat odzyskał już grunt pod nogami, a skoro tak, życie ludzkie znów było tanie.

„Boże, odmień jego kamienne serce!” To właśnie szeptali Żydzi, podczas gdy słońce zagłębiało się w morze. Nie dbała o to, co mówił Piłat. I tak nie było go tutaj, by mógł ją widzieć. Odwróciła się i patrzyła na nich, nie udając wcale, że robi coś innego. Byli teraz cieniami, a ich głosy brzmiały jak świergot nocnych stworzeń. „Boże, odmień jego kamienne serce. Boże, odmień jego kamienne serce”.

Słyszała ich modlitwy, nawet kiedy leżała w łóżu. Nie mogła spać już od dłuższego czasu, ale nie z powodu hałasu, jaki czynili. Z powodu samej modlitwy. Niczym ci dziwni Żydzi, Klaudia Prokula zaczęła powtarzać to zdanie wciąż i wciąż od nowa - modlitwę o to, co niemożliwe, szeptaną przez uciemionych.

Przy kolacji, następnego wieczoru, Piłat wydawał się rozdrażniony. Był tym razem sam na sam z Prokulą, odwoławszy bez uzasadnienia zaplanowane spotkanie. Chciał wiedzieć, skąd pochodzi wino. Wydawało mu się nie dość wyborne. Nie był pewien, czy wołowina jest należycie ugotowana. Czy owoce zostały sprowadzone z Egiptu, tak jak polecił, czy też pochodziły po prostu z judejskich plantacji? Kiedy służący nie potrafił odpowiedzieć na to ostatnie pytanie, zażądał, żeby przyszedł zarządca majątku. Ten pojawił się przed obliczem pana, mocno zdenerwowany. Sytuacja była napięta. Żadne bicie jednak nie nastąpiło.

Potem nastąpiła cisza, aż wreszcie Piłat z uśmiechem, którym posługiwał się, kiedy chciał zmylić kupców i dyplomatów, spytał Prokulę zniecierpliwionym:

- Czy dzień miło ci upłynął, moja droga?
- Bardzo miło, panie.

Zdawało się, że uśmiech zwarzył mu się na wargach, spojrzenie pochłodziło, ale głos pozostał równie mocny i wesoły, jak gdyby mówił o pięknej pogodzie.

-Nasi goście z Jerozolimy... czy ci przeszkadzają? Jego grzeczność miała wszelkie cechy wytrenowania.

W pierwszych dniach ich małżeństwa Piłat zachowywał się w sposób mniej wystudiowany, z większą szczerością. „Boże, odmień jego kamienne serce”, wyszeptła w duchu Prokula, wpierw po łacinie, potem po aramejsku lub raczej w sposób tak bliski temu językowi, jak tylko potrafiła naśladować jego dźwięki. A wreszcie, tak by mąż usłyszał, powiedziała:

- Zaczynają mi się podobać. Myślę, że będzie mi ich brakowało, kiedy już odejdą.

Piłat zaśmiał się, gdyż sądził, że żartowała.

- Zdaje mi się, że dziś wieczór czuję ich zapach - powiedział, a jego uśmiech po prostu zniknął. - Wiatr zmienił kierunek albo może ich smród po prostu przeniknął nasze pokoje. Zastanawiam się nad cofnięciem ich dalej od murów miasta z tego powodu.

- Ale oni mają prawo zanosić prośby do prefekta?

- Mają takie prawa, na jakie ja się zgodzę, i żadnych więcej!

- Czy to rzecz tak bardzo ważna, ten wizerunek Tyberiusza?

- To kwestia zasad. Ci ludzie uważają, że tylko ich religia jest ważna. Tak się składa, że uważam moją za równie istotną.

- Oni nie protestują przeciw sztandarom cesarskim w Cezarei, panie. Proszą tylko, by zrobić wyjątek dla Jerozolimy, tak jak było od czasu przyjaźni Augusta z Herodem Wielkim.

- Być może powinienem wezwać Korneliusza i posłać go, by im powiedział, że ich modlitwy działają. Żona Piłata broni Żydów!

Następnego ranka Prokula uśmiechnęła się ze swego tarasu na widok Żydów, wciąż mruczących tę samą modlitwę. „Boże, odmień jego kamienne serce. Boże, odmień jego kamienne serce”. Wciąż maszerowali w miejscu ze znużoną cierpliwością świętych. Obserwowała ich teraz jawnie, każąc przynieść sobie śniadanie, tak by móc pozostać na zewnątrz i cieszyć się ich widokiem.

Kiedy faworyta Piłata zapytała ją o tych dziwnych ludzi i o to, co też oni mówią, Prokula odpowiedziała niewolnicy szczerze:

- Modlą się za twojego pana, ponieważ jest on ważnym człowiekiem.

Na kolacji Piłat podejmował przyjaciół Filipa, owego skłóconego z rodziną przyrodniego brata Heroda Antypasa. Słyszeli oni już nowinę, iż Piłat ma odwiedzić Antypasa, i nalegali na niego w najdelikatniejszy z możliwych sposobów, aby jeszcze rozważył tę decyzję. Antypasa Żydzi nie cierpią z całego serca, mówili. Taki pokaz przyjaźni mógłby mieć poważne konsekwencje.

- Wystarczy tylko spojrzeć przez okno, by się przekonać, do jakiej determinacji zdolni są Judejczycy, kiedy wpadną w gniew.

Piłat, który w zwykłych okolicznościach być może posłużyłby się tymi ludźmi w rozgrywkach z wysłannikami Heroda Antypasa, tym razem tylko słuchał ich z ponurą miną. Kiedy jednak napomknęli o dziesięciu tysiącach Żydów stojących pod oknami jego sypialni, nie mógł już dłużej zachować milczenia.

- Czyżbyście sobie roili, że prefekt cesarski obawia się modlitw szaleńców?!

Zdawało się, że wysłannicy pojęli swój błąd, gdyż uciekli się do bardziej ogólnego omawiania zepsucia Antypasa. Ten człowiek, w końcu, poślubił żonę swego brata. Był oczywiście taki czas, kiedy Anty pas sprawiał dobre wrażenie na Rzymianach, ale to już przeszłość. Odziedziczył on imię swego ojca, mówili, ale nie jego talenty.

Piłat zapytał wysłanników Filipa, czy chcieliby go skłonić do obrazu Heroda Antypasa, człowieka, którego zaledwie rok wcześniej podejmował łaskawie w swym pałacu Tyberiusz?

- Zanim zgrzeszył - odparł jeden z nich, z irytującą pewnością swej wyższości moralnej.

- Muszę szanować przyjaciół cesarza tak długo, jak długo są jego przyjaciółmi. Dobrze postąpicie, zwracając się do Tyberiusza, by ukarał Filipowego brata, jeśli tego pragniecie.

Co do mnie, modłę się jedynie o pokój i pomyślność w naszych czasach.

Wyszedł gwałtownie, aby wiedzieli, że ten temat jest już na zawsze zamknięty. Wydał rozkazy, by mężom tym pozwolono cieszyć się wieczorem w pałacu prefekta. O wschodzie słońca miano wskazać im bramę wyjściową. Tak naprawdę nie był na nich zły. Czynie to, co czynią wysłannicy. Miał większe zmartwienia - a mianowicie dziesięć tysięcy Żydów stojących mu kością w gardle! Słyszał ich podczas uczy, słyszał ich w swoim łóżu, a nawet w sali przyjęć. To już cztery dni. Przez cały ten czas nie jedli, a on nie potrafił cieszyć się posiłkiem. Ani chwili spokoju! Ta noc była najgorsza. Mruczeli nieprzerwanie, ich głosy brzmiały tak jakby się dobywały z jednego gardła i nie mógł zasnąć. O brzasku wszedł do sypialni Prokuli. Stała na tarasie, obserwując ich, pomimo jego poczeń.

- Wedle moich obliczeń już od ośmiu dni obchodzą się bez jedzenia - powiedział.

Prokula zarumieniała się, przyłapana na nieposłuszeństwie, ale nie przeprosiła za nie.

- Przestraszyłeś mnie, panie.

- Jak ci się spało? - zapytał.

Prokula patrzyła na zewnątrz, na Żydów, odpowiadając mu:

- Nie mam do nich pretensji, panie. Ich modlitwa jest jak pieśń. Właściwie zaczęła mi się bardzo podobać.

- Jej znaczenie czy jej dźwięk? Zarumieniła się, ale mu nie odpowiedziała.

- Nieważne - stwierdził. - Nie mogę dłużej tego znosić.

- Może powinieneś dać im to, czego pragną.

- Może powinnaś bardziej kochać swoje życie. - Widząc jej zaskoczone spojrzenie, mówił dalej: - Nie przyjmuję pouczeń od niewolników ani od kobiet, Prokulo. Ci, którzy są tak głupi, by mi je dawać, wystawiają się na niebezpieczeństwo.

- Pytałeś mnie, zanim to wszystko się zaczęło, czy sędzę, że to dobry pomysł.

- Uważałaś, że to wspaniały pomysł.

- Ty uważałeś, że to wspaniały pomysł! Ja po prostu się zgodziłam. Teraz myślę, że popełniłam błąd.

- Błąd, który popełniasz, to opieranie się woli swego męża!

Następnego ranka Piłat obudził się wcześniej na dźwięk modlitwy. Wezwał swego adiutanta, zanim jeszcze wstał z łoża. Korneliusz pojawił się przed jego obliczem, wciąż walcząc ze skutkami pijaństwa z poprzedniego wieczoru i śmierzdząc swymi syryjskimi dziwkami.

- Chcę, by kohorta piechoty w pełnym wyposażeniu bojowym zgromadziła się na wielkim stadionie, setniku, z kohortą konnych w odwodzie. Oprócz tego chcę, by jedna centuria przeprowadziła naszych gości na stadion, gdzie oznajmie im moją decyzję. Dopilnuj, aby wszyscy poza tą centurią pozostali w ukryciu do chwili, gdy dam sygnał do ataku. Będą mieli jeszcze ostatnią szansę. Jeśli odmówią przyjęcia mojej decyzji, zakończymy tam sprawę, zabijając ich wszystkich, do ostatniego człowieka.

Korneliusz odpowiedział, że poczyni przygotowania.

Piłat przeszedł następnie do swego balwierza, u którego podyktował kilka listów. Potem cieszył się śniadaniem złożonym z namoczonego w winie chleba, jaj oraz *mulsum*, napoju przyrządzanego z miodu i wina. W połowie przedpołudnia nakazał niewolnikom, by nałożono mu zbroję i pojechał konno na wielki stadion. Towarzyszyło mu pół tuzina służących i oddział oficerów. Dołączając do Piłata w bramie stadionu, Korneliusz zameldował, że wszystko jest przygotowane. Kiedy prefekt wjechał na arenę, Żydzi napadli go tą samą brzęczącą modlitwą, a on gratulował sobie w duchu, że wreszcie położy temu kres. Osadził konia przed nimi i rozkazał Korneliuszowi ich uciszyć.

Setnik wzniosł ramię. Powoli, nieuchronnie, modlitwa ustawała.

- Teraz powiecie prefektowi, co pragniecie, aby wam uczynił! - wykrzyknął po łacinie.

Rozkaz został przetłumaczony i jeden z protestujących wystąpił naprzód. Mówił po łacinie z zaskakującą łatwością.

- Pragniemy, aby żaden obraz, ani człowieka, ani zwierzęcia, ani pogańskiego bóstwa, nie przebywał w obrębie murów świętego miasta Jeruzalem. Jest to miejsce naszej Świątyni, miejsce, gdzie przebywa nasz Bóg, a Jego przykazania zabraniają nam spoglądać na takie obrazy.

- W całym imperium tylko jedno miasto opiera się prawu nakazującemu publiczne wywieszanie sztandaru z wizerunkiem cesarza - odpowiedział Piłat. - To, o co mnie prosicie, oznacza obrazę imperatora. Tego nikt inteligentny nie ośmiela się czynić. Ja jednak będę dla was łaskawy. Jestem wszak człowiekiem rozsądnym. Zaakceptujcie sztandar, który umieściłem wewnątrz Jerozolimy, a ja nie będę nalegał na dalsze ustępstwa. Jerozolima zawsze wyróżniała się spośród innych miast imperium, gdyż Żydzi okazali Juliuszowi Cezarowi przyjaźń, kiedy pilnie potrzebował sojuszników. Uznawał to cesarz August, a i Tyberiusz podtrzymuje tę tradycję. Ja niczego nie zmieniam. Wymagam jedynie, aby po-

wszechne prawo było powszechnie stosowane! Jest to kwestia zasad, które moi poprzednicy na stanowisku prefekta powinni byli wprowadzać w życie, ale nie czynili tego z powodu braku zdecydowania.

- Kalasz nasze miasto! - odparł ich rzecznik.

Piłat, który tego właśnie oskarżenia miał najserdeczniej dosyć, poczuł ukłucie wściekłości i wpatrzył się w młodzieńca, który tak beztrosko szafował owym zarzutem. Był to szczupły, ciemnowłosy mężczyzna średniego wzrostu i takiej piękności, jaką Piłat nieczęsto widywał u mężczyzn. Miał oczy fanatyka i głos człowieka, który pociąga za sobą tłumy.

- Co się tyczy prawa - kontynuował jerozolimczyk, jak gdyby był wyćwiczony w sztuce retoryki - twój rozkaz jest sprzeczny ze wszystkimi umowami pomiędzy obydwoma naszymi narodami. Pokornie cię więc prosimy, byś usunął ten wizerunek!

- Jak cię zwa, człowieku, abym wiedział, z kim mam do czynienia?

- Zwa mnie Judaszem - odpowiedział młodzieniec.

- Idealne imię dla buntownika. To przecież Judasz, jak sobie przypominam, niemalże wyniszczył Żydów wojną po śmierci Heroda. Setniku, przedstaw naszymu Judaszowi moją odpowiedź na jego modły.

Korneliusz wyjął swój miecz i wykrzyknął komendę:

- Żołnierze rzymscy! Przygotować się do boju!

W chwilę później pojawiły się jazda i piechota, z obnażonym orężem połyskującym w słońcu południa. Nadeszli w oddziałach i centuriach, ściśle pogrupowani, tak jakby wkraczali na pole bitwy. Wyślizgnęli się spomiędzy kamiennych ław stadionu i spod podłogi toru wyścigowego, wzdłuż podjazdu, którego używają powożący rydwanami. Otoczyli nieprzyjaciela, który znalazł się całkiem nagle na łasce i niełasce Piłata. Ów wydał swemu setnikowi rozkaz, który ten powtórzył. Oddziały przerwały pochód.

- Oto moja odpowiedź na twą modlitwę, Judaszu! Co na to powiesz? - Przeświadczenie o nieuchronnej śmierci rozlało się wśród tłumu, a Piłat obserwował ten efekt nie bez satysfakcji. Pozwolił, by się w nim utwierdzili, nim puści swe oddziały na rzeź. - Powiedz mi teraz, człowieku, czy jesteście gotowi umrzeć z powodu jednej niewielkiej główki z brązu pozostającej w obrębie murów Jerozolimy?

Judasz padł na kolana, rozdarł tunikę na piersiach i ceremonialnym gestem odgarnął włosy z karku, wystawiając swą szyję na rzymski miecz.

- Do ostatniego człowieka! - oświadczył i opuścił głowę, tak by ścinający mógł wykonać czyste cięcie. Ci, którzy stali najbliżej niego, również upadli na kolana i odgarnęli z karków swe długie włosy za jego przykładem. Gdy inni ujrzeli, co zrobili ci ludzie, także uklękli, aż na całym stadionie widać było jedynie żołnierzy rzymskich z obnażonym orężem i Żydów klęczących ulegle, do ostatniego człowieka, dających swe karki pod miecz.

Zwycięstwo Piłata nabrało cierpkiego smaku, on jednak rozkazał setnikowi przygotować swych ludzi do ataku.

- Żołnierze rzymscy! Naprzód, do boju! - krzyknął Korneliusz.

- Twój czas się kończy, Judaszu! - zawołał Piłat. Judasz był tym, który zainicjował śpiew: „Boże, odmień

jego kamienne serce". Najpierw setki, później tysiące głosów podchwyciły modlitwę. „Boże, odmień jego kamienne serce". Wreszcie wszyscy nucili ją, czekając na kolanach na śmierć.

Wystarczyło, by Piłat zachował milczenie, a tor wyścigów spłynąłby krwią - z powodu jednego wizerunku, równie rozpowszechnionego, jak imperialny orzeł! Był tego bliski. Powinien to zrobić, wiedział o tym, ale coś go powstrzymało. Być może absurdalność tej zasady. Oni gotowi byli oddać za nią życie, ale on nie

mógł zabić tylu ludzi z powodu czegoś tak nieistotnego. To po prostu nie było warte takiej rzezi.

- Wstrzymaj ich, setniku.

Korneliusz wydał rozkaz, a żołnierze usłuchali sprawnie, zatrzymując się w marszu zaledwie o kilka kroków od pierwszych klęczących Żydów. Pomaszerowałyby naprzód równie niewzruszenie. Czy ci Żydzi o tym wiedzieli? Czy wyobrażali sobie, że to ich bóg ich uratował? Nie, pomyślał, to Poncjusz Piłat oszczędził wasze nędzne życie, ale nie uczyni tego po raz drugi! Judasz, gdy tylko zrozumiał, że zwyciężył, natychmiast wstał. Jego ludzie poszli w jego ślady i modlitwa ustała.

- Dam wam to, czego pragniecie - powiedział do niego Piłat. - Sztandar z wizerunkiem zostanie usunięty, zanim wrócicie do swego miasta. Wygraliście małą bitwę, Judaszu, ponieważ wasze życie nie jest warte zachodu, jakiego wymagałoby jego odbieranie, nie tym razem, ale nadejdzie taki dzień, kiedy położycie głowy, a ja je zetnę. Wasze, a także waszych kobiet i dzieci!

Kiedy słowa Piłata przetłumaczono na aramejski, wyczerpani ludzie wybuchli spontaniczną modlitwą, nareszcie inną niż ta, którą wcześniej nieprzerwanie wyśpiewywali. Tylko Judasz nie mówił do swego boga. Oczy miał utkwione w Piłacie. Piłat rozpoznał wyzwanie, ale nie dał się w nie wciągnąć. Wydał już rozkaz. Jak dla niego, sprawa była zamknięta.

Odezwał się do Korneliusza:

- Setniku, dopilnuj, aby sztandar z wizerunkiem cesarza został jak najszybciej usunięty z Jerozolimy, a potem wskaż naszym gościom drogę. Jeśli będę musiał znosić ich zapach przez kolejny ranek, zmienię rozkazy!

Powiedziawszy to, Piłat odwrócił konia i odjechał z wielkiego stadionu.

Jezioro Czterech Kantonów, Szwajcaria

7 października 2006 roku

Kilka dni po włamaniu Julian Corbeau zaczął przeglądać taśmy z kamer monitorujących. Z początku nie za bardzo się orientował, co widzi, ale Jeffrey Bremmer pokazał mu, na co powinien zwrócić uwagę. Corbeau patrzył zadziwiony, jak dwie sylwetki przebiegają przez trawnik, co było właściwie niemożliwe, tylko że odwrócono uwagę jego strażników na dwie sekundy, akurat tyle, ile to zajęło. Mężczyzna przeczesywał dom, pokój po pokoju. Kobieta wspięła się przy użyciu liny na jego wieżę. Potem nie widział jej, aż do momentu gdy weszła do biblioteki - w wieży nie było urządzeń technicznych. Kiedy jednak pojawiła się w bibliotece, mikrofon zarejestrował jej szepty. Była Angielką. Konsultanci Bremmera sugerowali, że mogła mieszkać za granicą, gdyż jej akcent słabł i zdradzał wpływy języka włoskiego i niemieckiego. Jej współnik był Amerykaninem, całkiem prawdopodobne, że z Tennessee lub Kentucky, ale od wielu lat mieszkał w kraju niemieckojęzycznym. Osoba nazywana Damą była przywódcą, ale Walet wiedział, czego szukali. Odbitka, którą przywiózł Oskar Wilde, kiedy przyjechał z wizytą w 1899 roku, była dla nich obojga dowodem, że obraz jest w posiadaniu Corbeau -co było niezmiernie dziwne.

Przemoc ma tę niezwykłą właściwość, że na taśmie wydaje się czymś całkiem zwyczajnym. Człowiek w smokingu wchodzi do pokoju. Padają strzały. Mija sekunda. Ów człowiek nie żyje. Oglądanie w zwolnionym tempie nie czyni tego bardziej sensownym. Trzy strzały padają w niecałe pół sekundy. Dwoje ludzi pada. Jedno z nich wstaje ponownie. Drugie leży w rogu ekranu, z piersią i szyją rozerwaną pociskami kalibru 45. Oglądając taśmy ponownie w następnym tygodniu, gdy całe śledztwo tkwiło w martwym punkcie, Corbeau wreszcie coś zoba-

czył. Ściślej mówiąc, dostrzegł coś, czego rzadko jest się świadkiem: perfekcję ruchów kobiety.

Człowiek Corbeau wszedł do pokoju i strzelił do niej. To było interesujące. Padając, wyjęła z kabury broń wyposażoną w długi tłumik. Zanim uderzyła o podłogę, strzeliła. Obserwując Waleta, którego sylwetkę kamera uchwyciła, gdy Dama upadła za biurko, Corbeau i Jeffrey Bremmer początkowo sądzili, że ich człowiek przy drugim strzale chybił. W istocie jednak pocisk z broni kobiety dosięgnął strażnika, kiedy ten próbował zastrzelić Waleta. Na podstawie dźwięku ani krwi nie można było tego uznać za pewne. Złodzieje mieli broń z tłumikami i wszystkie trzy strzały zdawały się padać jednocześnie, ale dym z pistoletu Damy pojawił się o ułamek sekundy wcześniej, zanim jeszcze strażnik oddał kolejny strzał, co oznaczało, że pocisk trafił go, kiedy pociągał za spust. Po kilku przewinięciach taśmy jasne było, że zareagowała instynktownie. Nie była nawet w stanie wycelować. Corbeau osobiście obejrzał ranę. Pocisk, który wystrzeliła, trafił jego pracownika prosto w serce.

- Potrafiłbyś tego dokonać? - zapytał Bremmera. Szef ochrony był w istocie jedynym człowiekiem na świecie, którego Corbeau uważał za przyjaciela. Lubił żartować z osobami niewtajemniczonymi, że on i Bremmer przeszli razem przez ogień. Oczywiście nie był to dobry temat do żartów wewnątrz Zakonu.

Bremmer odpowiedział uśmiechem. Tamtego wieczoru został trafiony, ale miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Siła uderzenia, jak stwierdził, była obywatelska.

- Szczerze mówiąc - odpowiedział - nie sądziłbym, żeby to w ogóle było możliwe, szczególnie z taką precyzją.

- To był czysty odruch, panie Bremmer.

- Co pan sugeruje? Oddziały specjalne? CIA? SAS?

- Nie można wytrenować tego rodzaju odruchów. Myślę, że ta kobieta jest wyczynową sportsmenką.

Jeffrey Bremmer uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Angielka mieszkająca za granicą... i światowej klasy sportsmenka. Może da się coś z tym zrobić.

- Chcę dostać listę. Wszelkie publiczne wzmianki o sportsmenkach pasujących z grubsza do opisu Damy z ostatnich pięciu, powiedzmy, siedmiu lat. Zaczynamy od mediów w Niemczech, Szwajcarii i Austrii. Jeśli to nie da nam odpowiedniej liczby nazwisk, z którymi dałoby się coś zrobić, włączymy Włochy i Anglię. Potem zajmiemy się całą Europą, jeśli będzie trzeba, ale nie ustaniemy, dopóki jej nie znajdziemy.

Bremmer spojrzał z niedowierzaniem na swego pracodawcę.

- To zajmie mnóstwo czasu.

- Nie, chcę mieć tę listę najszybciej jak się da. Wszystko mi jedno ilu ludzi będzie musiało się tym zająć i ile to będzie kosztowało, panie Bremmer. Proszę zatrudnić tysiąc osób, proszę zatrudnić dziesięć tysięcy! Nasze życie od tego zależy. Czyżby pan o tym zapomniał?

- Nie zapomniałem.

Trzy dni później Bremmer pojawił się w biurze Corbeau z listą trzystu nazwisk, ale było wśród nich dziesięć, które najbardziej mu odpowiadały. Corbeau przejrzał te dziesięć nazwisk i wskazał lady Kenyon na samym szczycie listy.

- W ciągu czterdziestu ośmiu godzin chcę mieć pełne dossier na jej temat.

Do końca tygodnia Corbeau miał swoich złodziei: lady Katherine Kenyon i Ethana Branda, właściciela antykwariatu w Zurychu. Wiedział, że ojciec Kenyon, Roland Wheeler, handluje kradzionymi przez nich dziełami sztuki i znał bank, w którym najchętniej dokonywał transakcji. Prześledziwszy połączenia telefoniczne Wheelera i jego loty zagraniczne, poznał tożsamość osób, które szy-

kowały się do kupna jego obrazu, a także dowiedział się, że wynajęły one Thomasa Malloya i Boba Whitefielda, żeby przewieźli obraz do Stanów w bagażu dyplomatycznym.

Pukanie do drzwi biblioteki przerwało mu rozmyślenia o kradzieży. Zawołał po francusku:

- Proszę!

Do pokoju wszedł Xeno. Kiedy po raz pierwszy znalazł się w obecności Wielkiego Mistrza, przyklęknął i ucałował jego pierścień. Teraz obywali się bez formalności, które niegdyś charakteryzowały Zakon. Czasy się zmieniają, jak lubił komentować Corbeau, i człowiek dobrze robi, jeśli zmienia się wraz z nimi. A jednak brakowało mu tych oznak szacunku, które kiedyś były nieodłączną częścią jego władzy. W dzisiejszych czasach jedynie tytuł wyróżniał go spośród innych i choć na zewnątrz okazywał akceptację dla współczesnego sposobu życia, pozostawiało to pewną pustkę w jego starodawnej duszy.

- Eminencjo! Amerykańscy kurierzy właśnie zakończyli spotkanie. Padły tam nasze nazwiska.

Corbeau, który dawno już nauczył się panować nad emocjami, okazał tylko lekkie zainteresowanie tą wiadomością, unosząc podbródek i jedną brew. Xeno zrelacjonował spotkanie. Whitefield wiedział o włamaniu do willi Corbeau. Tego należało oczekiwać. Od czasu podróży Bremmera do Hamburga, Amerykanin był już nie tylko przelotną troską. Był wręcz zagrożeniem. Przyjaźń Corbeau ze Szwajcarami pozostawała wciąż nienaruszona, ale pogłoski o jego powiązaniach z rzekomymi neonazistami zaczęły podkopywać jednogłośnie wcześniej poparcie dla niego.

- Zapomnij o tym, co oni wiedzą i co im się wydaje, że wiedzą. We wtorek z nimi skończymy. Upewnij się, że zorganizowałeś wszystko tak, żeby nic nie zagroziło obrazowi.

- Sam się tym zajmę.

- Jesteś zbyt znany, Xeno. Nie możesz zbliżyć się do Whi-tefielda. Poza tym chcę, żebyś poprowadził zespół, który przejmie lady Kenyon. - Widząc wyraźne rozczarowanie Xeno, dodał: - Dostarczysz mi ją bez jednego draśnięcia, a na twój osobisty rachunek bankowy wpłynie milion dolarów.

- Jest pan zbyt hojny, Eminencjo. Corbeau uśmiechnął się.

- Zechcesz być może przeżyć lady Kenyon, zanim zaczniesz mówić o mojej hojności.

Zurych, Szwajcaria

7 października 2006 roku

Kate weszła do antykwariatu Ethana na kilka minut przed zamknięciem. Sean Burri, przy kasie, zawołał do niej, kończąc zajmować się zakupami jakiegoś starszego mężczyzny. Ethan podszedł do balustrady i patrzył na nią z drugiego piętra, gdy wchodziła na górę krętymi schodami.

W oryginalnym projekcie tego szesnastowiecznego budynku część mieszkalna mieściła się nad sklepem rzeźnika. Trzecia kondygnacja służyła za sypialnię. Odnawiając kamienicę, kiedy kupił ją siedem lat wcześniej przez podstawioną firmę, którą pomógł mu założyć ojciec Kate, usunął środkową część drugiego piętra i zupełnie pozbył się poddasza, z wyjątkiem ogromnych dębowych belek stanowiących legary podłogowe.

Potem zainstalował świetliki i balustradę z kutego żelaza wokół otworu na drugim piętrze. W efekcie pierwsze piętro zostało zintegrowane z drugim, a do parteru docierało światło dzienne, co czyniło sklep Ethana jednym z najpiękniejszych w mieście pełnym pięknych sklepów. Słabą stroną tego projektu był brak

prywatności. Żeby go zrekompensować, urządził na drugim piętrze małe biuro. Tam właśnie się skierowali, kiedy tylko Kate dołączyła do niego.

Gdy już zamknęli za sobą drzwi, powiedziała mu:

- Doktor North i doktor Starr przylatują jutro rano. Wieczorem chcą porozmawiać z tobą o obrazie, a w poniedziałek pójść do banku i obejrzeć go.

- Porozmawiać ze mną? To zadanie Rolanda. Pamiętasz? My kradniemy, on sprzedaje.

- Nie dali się nabrać na jego opowiastkę. Wiedzą, że obraz jest kradziony. To nie problem. Doktor Starr chce znać jego pochodzenie.

- Powiedzieliśmy mu. Jest to artefakt templariuszy. Co jeszcze chce wiedzieć?

- Prosi o dowody, na podstawie których łączysz go z templariuszami, jeśli dobrze rozumiem. Powiedz im wszystko, pomijając tylko Corbeau. Tej części się nie dowiedzą, nawet za dwadzieścia pięć milionów.

- Sądzisz, że strach ich obleciał?

- Myślę, że po prostu chcą wiedzieć wszystko to, co my wiemy. Doktor Starr wygląda mi na kogoś, kto upewniwszy się, że to, co mamy, to oryginał, będzie gotów zabić, byle go mieć.

- Nie tylko on, nieprawdaż? Rysy Kate wyostrzyły się.

- Nie wracajmy znowu do tego.

- Ludzie zginęli, dlatego że my chcieliśmy tego obrazu, Kate.

- Żli ludzie.

- Nie obchodzi mnie, jacy byli. Ważniejsze, że byli żywi do momentu, kiedy ty i ja postanowiliśmy zdobyć obraz Corbeau.

- Ten pomysł był twój, Ethan. Pamiętasz?

- Mówię po prostu, że już dość tego.

- Dość?

- Skończyłem ze skokami.

- Wiedziałam, że chodzi ci to po głowie. Znam cię, Ethan. Wiem, kiedy cię coś dręczy.

Ethan nie odpowiedział. Potrafił wyczytać skutek swojej decyzji w oczach Kate. Kiedy we wtorek sfinalizują transakcję, koniec z nimi.

- Nie możesz stać się kimś innym, niż jesteś, Ethan. Jesteś złodziejem, i to dobrym. Dlaczego nie miałbyś tego po prostu zaakceptować?

- Jestem tylko zakochany w tobie. Wszystko inne mogę zmienić.

- Jeśli mnie kochasz, lepiej pokochaj to, co robię, bo w żaden inny sposób to nie zadziała.

- Kiedy z tym skończysz?

- Kto powiedział, że muszę z tym skończyć?

- Nie będziesz szczęśliwa, dopóki nie dasz się zabić.

- Czy sądzisz, że to właśnie staram się osiągnąć?

- Chcę normalnego życia, Kate.

- W takim razie znajdź sobie normalną kobietę.

- Hej, nie miałem na myśli...

- Mówię poważnie. Jeśli tego właśnie chcesz, znajdź sobie kogoś innego.

- Nie spróbowałabyś robić tego uczciwie? Możemy podróżować, wspinać się, jeździć na nartach, skakać na spadochronach, urządzać ekspedycje polarne... Wszystko mi jedno. Cokolwiek chcesz robić. Dokądkolwiek zechcesz iść. Tylko żadnej broni i żadnych włamań. Wciąż widzę tego człowieka w bibliotece.

- Tego, który strzelił do mnie bez słowa ostrzeżenia?

- Tak... tego właśnie.

- A jeśli nie zechcę przestać?

Było w jej spojrzeniu wyzwanie, ale był na nie gotów, przynajmniej w takim stopniu, w jakim można się przygotować na coś takiego.

- Wtedy może będę musiał przemyśleć pewne sprawy.

- Co to znaczy?

- Żyjemy uczciwie... albo odchodzę.

- Wcale tak nie myślisz. - Jej uśmiech stał się trochę niepewny, ale w oczach wciąż malowała się stanowczość.

- Jeśli nie wierzysz, że tak myślę, to nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje.

Kate wpatrywała się w niego przez długą, pełną napięcia chwilę. Gotowa była powiedzieć coś, co niełatwo byłoby cofnąć. Jednak powstrzymała się. Została jeszcze praca do wykonania i wciąż potrzebowała Ethana, czyjej się to podobało, czy nie. Tak w każdym razie to odczytał.

- Zadzwoń do ciebie po transakcji i powiem ci, co postanowiłam. A tymczasem nie zapomnij: hotel Savoy, jutro o ósmej wieczorem, apartament doktor North.

- Kate... - Ethan próbował wziąć ją za rękę. Wyrzuciła w górę rozcapierzone dłonie. Nie chciała być dotykana.

- Pomyślę o tym. Tylko mnie nie naciskaj. Wychodząc, zostawiła otwarte drzwi.

Ethan patrzył za nią, wiedząc, że może to być ostatni raz, kiedy w ogóle ją widzi. Ta myśl przyprawiała go o mdłości, ale przynajmniej miał to już za sobą. Powiedział wreszcie to, co musiał powiedzieć. Jego udział w zyskach z tego skoku, osiem milionów dolarów po odliczeniu wydatków, był jak garniec złota dla krasnala, jak bajkowe „żyli długo i szczęśliwie”, ale kosztował straszliwie dużo. Mając trzydzieści jeden lat, Ethan powinien był wiedzieć, że tak będzie. Nie ma nic za darmo i nikt nie wie tego lepiej od złodzieja. To zawsze gdzieś tam było. Ćwiczyli umiejętności strzeleckie. Na każdy skok zabierali broń, wiedząc, że może być jedynym sposobem ocalenia własnej skóry. Ponieważ nigdy wcześniej

się to nie zdarzyło, Ethan przekonywał sam siebie, że tak będzie zawsze. Kate zbyt dobrze wszystko planuje.

Potrafił żyć z tym, co zrobił - to byli źli ludzie, bez dwóch zdań - ale nie podobało mu się to i ani myślał robić to ponownie. Więc pozostało mu tylko powiedzieć Kate prawdę. Musiał być wobec niej uczciwy. W jej świecie nie ma jutra, nie ma długotrwałych zobowiązań. Wiedział o tym, kiedy w to wchodził. Bierze się ją taką, jaka jest. Jej się nie zmienia. Nie ma co łudzić samego siebie wyobrażeniem, że miałyby kiedykolwiek ustatkować się i wieść normalne życie. Pochodzi z zamożnej rodziny. Ma tytuł. Ma wszystko, co tylko można sobie wymarzyć, świat przywilejów, jakich większość kobiet nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić, ale satysfakcję potrafi znaleźć jedynie, ryzykując to wszystko. Jest dobra w tym, co robi, to nie ulega wątpliwości. Możliwe, że nigdy jej nie złapią, ale nie o to naprawdę chodzi. Po prostu Ethanowi przestało się to podobać, gdy zobaczył tamtego zastrzelonego człowieka w bibliotece. Kiedyś wyobrażał sobie, że dla Kate mógłby zrobić wszystko. Wszystko! Ale w końcu są granice.

- Myślałem, że Kate do nas dołączy.

Ethan podniósł wzrok i zobaczył Seana stojącego w otwartych drzwiach. Nie słyszał, jak przyjaciel wchodził po schodach. A przynajmniej odgłos kroków nie dotarł do jego świadomości. Jeśli już o tym mowa, nie był nawet pewien, jak długo trwał oparty o biurko, próbując dojść do ładu z własną decyzją.

- Chyba właśnie zerwaliśmy ze sobą.

Sean uśmiechnął się, jakby sądził, że Ethan żartuje.

- Kpisz sobie ze mnie? Pokręcił głową. Nie żartował.

- Ma kogoś?

Dokładnie tak, uświadomił sobie z nagłą jasnością. Tylko że ten ktoś jest już martwy od ponad dekady.

- Nic z tych rzeczy - wymamrotał. - Po prostu...
- Wy dwoje idealnie do siebie pasujecie. Jeśli nie chodzi o innego faceta, to o co?
- Chcesz kupić to miejsce?
- To miejsce? Jasne, ale nie stać mnie na nie. Wiesz przecież, ile zarabiam.
- Chcesz je czy nie?
- Pewnie, że chcę.
- Zrobię cię partnerem za tysiąc franków. Poprowadzisz interes i będziesz płacił mi czynsz za budynek.
- To szaleństwo. A co z wyposażeniem? A książki? Są warte majątek!
- Policz to wszystko, a potem spłacisz, ile będziesz mógł i kiedy będziesz mógł.
- Oddajesz mi swój interes, ot tak? Co się z tobą dzieje?
- Myślę, że czas zacząć nowe życie.

Jezioro Brienz, Szwajcaria

8 października 2006 roku

W niedzielę, wczesnym rankiem, Malloy poszedł na dworzec kolejowy i pierwszym pociągiem wyostał się z miasta. W cztery godziny i sześć przesiadek później, pewien, że zgubił ogon, jeśli jakiś w ogóle istniał, dotarł do miasta Brienz akurat na czas, by złapać autobus jadący do Axalp. Wsiadł na trzecim przystanku i ruszył przez las.

Kiedy Malloy po raz pierwszy przyleciał do Zurychu, założył niezależne biuro jako redaktor i tłumacz. Razem z lekcjami w szkołach handlowych, które mu niekiedy zlecano, dawało ono niewielkie, ale stałe dochody, w każdym razie wystarczające, żeby usprawiedliwić jego niekonwencjonalny styl życia. Ogłaszając

się rutynowo w zuryjskiej gazecie, wzbudzał pewne uzasadnione pytania. Aby oddalić podejrzenia, zazwyczaj przyjmował wszystkie oferowane mu zlecenia. Ważne było, żeby mieć oficjalną pracę, usprawiedliwiającą dochody i działania. Redagowanie tekstów było idealne. Pozwalało mu pracować w dziwnych godzinach, a czasami grać na zwłokę, kiedy jego prawdziwe zajęcie zmuszało go do pośpiechu. Dawało mu też możliwość nawiązania kontaktów z szerokimi kręgami zuryjskich intelektualistów i ludzi wolnych zawodów.

Pewnego ranka, mniej więcej rok po tym, jak ustalił sobie ten rytm życia i zaczął wchodzić w środowisko pracowników zuryjskich banków, zadzwoniła do niego kobieta, która chciała wiedzieć, czy podjąłby się zredagowania jej manuskryptu. Niezależna badaczka, dość bogata, by sobie na to pozwolić, Contessa Claudia de Medici, wydawała się tym, za kogo się podawała, a jej opowieść brzmiała wiarygodnie. Swoją książkę opublikowała już po włosku, a teraz przygotowywała wersję angielską. Mówiła, że zanim zwróci się do amerykańskiego wydawcy, chciałaby, żeby *native speaker* z doświadczeniem edytorskim poświęcił nieco czasu na przejrzanie manuskryptu. Malloy odparł, że brak mu wykształcenia w dziedzinie historii i religii, ale gdy tylko spróbował zasugerować, kto mógłby jej pomóc, przerwała mu. Pieniądze nie grają roli, a ona nie chce, żeby ktokolwiek inny pracował nad jej manuskrytem. Chce go powierzyć jemu.

Tak zaczął się taniec. Malloy zapytał, skąd zna jego dokonania. Przyjaciel go polecił. Czy ów przyjaciel posiada nazwisko? Oczywiście, ale contessa nie uważa za stosowne, by je wymieniać. W tym momencie Malloy uznał za całkiem prawdopodobne, że contessa jednak nie jest tym, za kogo się podaje, ale zaintrygowała go. Przyjął manuskrypt i zaczął sumiennie go redagować, za swoją zwykłą stawkę.

Malloy nigdy nie przeżył flirtu z religią, nawet jako młody człowiek. Właściwie nic nie wiedział o początkach chrześcijaństwa i nie bardzo go to obchodziło.

Wszystko jednak zaczęło się zmieniać, kiedy wciągnął się w pracę nad manuskrytem. Powiedzmy, że odkrył w nim znajomość rzeczy, doświadczenie, pasję. Cokolwiek to było, pisarstwo contessy zauroczyło go. Opowiadała o dawnej Jerozolimie tak, jakby przechadzała się jej piaszczystymi uliczkami. Mówiła, jak mógł czuć się Żyd pod rzymską okupacją, a potem, z nie mniejszym przekonaniem, czego doświadczał rzymski żołnierz, stacjonujący z dala od swego domu i kultury, zwykle bez żony i innych bliskich.

Ryzyko nawrócenia religijnego nie istniało. Malloy był skończonym sceptykiem we wszystkich sprawach, szczególnie w kwestii cudów, ale mógł z czystym sumieniem przyznać, że książka wyzwoliła w nim wielkie, osobiste zainteresowanie historią Bliskiego Wschodu i jeśli już o tym mowa, historią w ogóle. Skończywszy pracę, odesłał jej manuskrypt, tak jak sobie życzyła, wraz z rachunkiem za redakcję.

Ku jego zdumieniu, contessa nie zapłaciła. Jako żądny zysków biznesmen, zmuszony był wysłać zawiadomienie o tej zaległości. Odpowiedziała na nie listem z przeprosinami, wciąż jednak nie płacąc. Gdyby zechciał przyjechać do Interlaken, z przyjemnością zaprosiłaby go na lunch w hotelu Jungfrau, w charakterze oficjalnych przeprosin za niedogodności, na jakie go naraziła, i oczywiście zapłaciłaby mu należność w całości.

Malloyowi nie udało się znaleźć żadnych fotografii contessy, był więc ciekaw jak wygląda. Lunch wydawał się doskonałą okazją, by dopasować twarz do tej tajemniczej postaci. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, nie wiedział, co myśleć. Była na pewno starsza od niego, mogła mieć trzydzieści pięć - czterdzieści lat, coś pomiędzy, a jednak zdawało mu się, że nigdy wcześniej nie spotkał kobiety, której chłodny dystans i opanowanie tak bardzo by go podniecały.

W czasie lunchu sypała zajmującymi anegdotami z dworu Tyberiusza, jakby to były ploteczki, a nie historia, rozwodząc się swobodnie nad cechami charakte-

ru cesarza. Polemizowała nawet z tym, co uważała za błędne spostrzeżenia Tacyty i Swetoniusza. Mówiła ze znanstwem, jednocześnie uroczym i przekonującym.

Malloy czekał na nieuniknione pytania o życie prywatne, delikatnie sondujące kwestię związków damsko-męskich. Ku jego rozczarowaniu, w ogóle się nie pojawiły. Kiedy skończyli posiłek, contessa podała mu przez stół kopertę i podziękowała za wspaniałe wykonaną pracę. Potem przeprosiła, wyszła na dziedziniec hotelu, skąd jej człowiek, René, odwiózł ją do domu. Malloy, kiedy już doszedł do siebie, był tym spotkaniem w jakiś nieokreślony sposób urażony. Rozważał nawet możliwość, że contessa może być dokładnie tym, za kogo się podaje: poważną uczoną, wciąż raczej młodą, jak na osobę tego rodzaju, która zapomniała zapłacić rachunku w terminie i chciała mu to wynagrodzić.

Kilka miesięcy później otrzymał zaproszenie na przyjęcie w willi contessy nad jeziorem Brienz.

Niemal dekadę po tamtym pierwszym przyjęciu skłonny był brać pod uwagę możliwość, że Claudia de Medici zorganizowała ten wieczór, żeby mu pomóc. Wtedy wydawało mu się, że po prostu ma szczęście - oficer wywiadu ocierający się całkiem niespodziewanie o ludzi mających dostęp do tego, czego potrzebował. Przyjęcie było niezwykłym wydarzeniem, przyciągającym elitę kraju, w tym bankierów, przemysłowców i polityków. Prawdziwe marzenie każdego agenta! Podczas tego pierwszego przyjęcia nawiązał kontakty, które doprowadziły później do zdobycia kluczowych informacji o kontaktach bankowych dwóch kolumbijskich potentatów narkotykowych i jednego byłego prezydenta Filipin. W następnym roku otrzymał kolejne zaproszenie i odtąd był już zapraszany regularnie. Contessa zazwyczaj znajdowała chwilę, by go przywitać, a niekiedy także przedstawić kolejnemu luminarzowi szwajcarskiej finansjery, ale prawie w ogóle z

nim nie rozmawiała. Tak było przez kilka lat. Zapraszała go na swoje przyjęcia. Wysyłała później list z podziękowaniem. I tylko tyle.

Ale pewnej nocy zadzwoniła do niego. Było już po północy, nie przeprosiła jednak za tę późną porę. Powiedziała, że potrzebuje pomocy i nie może czekać do rana. Dojechał do jej willi tuż przed trzecią i spotkał tam młodego człowieka, który przedstawił się jako strażnik nocny jednego z największych szwajcarskich depozytariuszy w Bernie. Miał na sobie mundur prywatnej agencji ochrony, a przy sobie identyfikator ze zdjęciem, który jednak mógł być sfałszowany. Malloy nie miał możliwości sprawdzenia tego w tak krótkim czasie.

Tego wieczoru, opowiadał strażnik, robiąc jak zwykle obchód, znalazł rejestry bankowe ofiar Holocaustu, ułożone w skrzynkach przed jednym z pieców. Do skrzynek dołączone było polecenie dla pracowników banku, by rano spalili te materiały. Na poparcie swej opowieści młodzieniec ukradł kilka dokumentów i pokazał je Malloyowi.

- Czy możesz do kogoś zadzwonić, Thomas? - zapytała contessa.

Gdyby miał więcej czasu, Malloy mógłby wypracować sobie wiarygodną przykrywkę, ale czasu nie było. Przez kilka ostatnich miesięcy przeciw głównym bankom Szwajcarii toczyło się śledztwo warte wiele miliardów dolarów, w sprawie celowego zatajenia dowodów dotyczących kont ofiar Holocaustu. Społeczność bankierska tego kraju powtarzała zapewnienia, że rejestry zostały zniszczone dziesiątki lat temu. Niewykluczone, jak przyznawali bankierzy, że pewne osoby zdeponowały pieniądze w latach trzydziestych, a później ich spadkobiercom nie udało się odzyskać zgromadzonych środków. Żeby zamknąć rachunek, potrzebny był akt zgonu, a nazistowskie obozy zagłady nie były najlepsze w ich wystawianiu. To godne ubolewania, stwierdzali, ale w tym momencie niemożliwa jest weryfikacja tych roszczeń.

Fakt, że kłamią, był oczywisty dla każdego, kto znał szwajcarskie zamiłowanie do prowadzenia rejestrów, ale dowieść tego - to była zupełnie inna sprawa. Nagle Malloy był w stanie przyłapać ich na tym kolektywnym kłamstwie. Była to kusząca perspektywa, ale wiedział również, że może dać się złapać w pułapkę, ujawniając swą prawdziwą tożsamość, i za swoje starania nie uzyskać nic prócz wydalenia z kraju. Właściwie, gdyby zadzwonił ktokolwiek inny, nie contessa, zawahałby się. Według kryteriów zawodowych, jakie wbijano im do głowy podczas szkolenia, był to z pewnością podejrzany kontakt, ale nie zrobił nic, by prześledzić jej pochodzenie, gdyż nigdy nie oferowała mu ani nie żądała od niego informacji - ani czegokolwiek innego. Ze wszystkiego, co wiedział, skłonny był przypuszczać, że contessa pracowała dla banków szwajcarskich, a nie przeciw nim.

A jednak jej zaufał. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego. To był instynkt, mówił sobie później. Kiedy bywał wobec siebie szczery, przyznawał, że był w niej na wpół zakochany od tamtego popołudniowego lunchu w Interlaken. Co za dziwna myśl. Młodzi mężczyźni dają się niekiedy zauroczyć starszej, pewnej siebie kobiecie, a ona, tak naprawdę, nie była zbyt wiele starsza. Po prostu wydawała się wtedy poza jego zasięgiem. Przynaglany przez miłość czy też instynkt, wciąż nie potrafił tego rozstrzygnąć, zaryzykował i zadzwonił do konsulatu amerykańskiego w Paryżu. Ujawnienie jego tożsamości w Szwajcarii groziło biletem do domu bez prawa powrotu, ale tamtej nocy zaryzykowałby nawet życiem. Oto, ile wiary wzbudzała contessa.

Następnego ranka konsulaty amerykański i izraelski energicznie wkroczyły do akcji. Strażnik nocny był w dobrych rękach, a contessa i Malloy po cichu odsunęli się od nieuniknionego medialnego zgiełku. Nikt się nigdy nie dowiedział, że za tym stali. Później zapytał contessę, skąd przyszedł jej do głowy pomysł, żeby zadzwonić właśnie do niego. Z jej kontaktami w Bernie... Dlaczego nie

zwróciła się do kogoś z amerykańskiego konsulatu? Skąd wiedziała, że może jej pomóc?

- Zrobiliśmy to, co należało, Thomas. Pozostańmy przy tym, dobrze?

I pozostali.

Malloy skłonny był potem wyłożyć całą rzecz Jane Harrison, ale wymagałoby to zmiany jego wcześniejszej wersji i nadużycia zaufania contessy. Poza tym, ujawnienie prawdy wystawiałoby go na zarzut, że działał jako nieświadome narzędzie zagranicznego wywiadu - wciąż miał wrażenie, że contessa może pracować dla Izraela. Głupota to nie zbrodnia, ale mogła być wystarczającym powodem, by zaoferowano mu inną posadę, nawet jeśli sprawy przypadkiem przybrały dobry obrót. Milczenie natomiast pozostawia nasze błędy i wątpliwe decyzje pogrzebane w niepamięci.

Przez pozostały czas, jaki spędził w Zurychu, Malloy nadal bywał na corocznych przyjęciach contessy, ale nigdy już nie spotkał się z nią prywatnie. Ponieważ miał teraz wolny dzień, a nie widział jej już od kilku lat, pomyślał, że przyjemnie byłoby do niej wstąpić. Oczywiście było to coś więcej niż zwykła wizyta. Od kilku dni czytał o dwunastowiecznych portretach Chrystusa i nie potrafił zrozumieć namiętności J.W. Richlanda do bizantyjskich ikon. Zakładając, że uda mu się wpleść ten temat w zwykłą rozmowę, miał nadzieję, że jego dawna znajoma co nieco mu wyjaśni.

Willa contessy leżała na zboczu Axalp, z widokiem na jezioro Brienz. Sam budynek był dziewiętnastowiecznym hotelem, który popadał w ruinę do czasu, gdy go kupiła. Odkąd go wyremontowała i uczyniła swą całoroczną rezydencją, rzadko opuszczała swoją posiadłość. Jediną jej ekstrawagancją były coroczne przyjęcia. Jeżeli odwiedzała przyjaciół lub bywała na ekskluzywnych bankietach, Malloy nic o tym nie słyszał, a goście jej przyjęć byli strasznymi plotkarzami. Była uczoną i pisarką. Jeśli czegoś potrzebowała, posyłała po to, od książek po

jedzenie. Gdyby chciała towarzystwa, nie kupowałyby tak oddalonej posiadłości. Samotność tego miejsca również sprawiała silne wrażenie. Budynek posadowiony był na niewielkim skrawku równego gruntu, w pobliżu grzmiącego wodospadu. Otaczały go ze wszystkich stron gęste, ciągnące się kilometrami lasy. Z werandy *contessy* można było dostrzec miasteczko Interlaken na jednym krańcu jeziora i Brienz na drugim. To był jedyny kontakt z cywilizacją, na jaki sobie pozwalała.

Jej *man*, jak go nazywała po angielsku, René, stał przy jednym z wejść do domu i obserwował, jak Malloy schodzi z góry dość stromą i chwilami zwodniczą ścieżką obok wodospadu. Kto inny być może pozdrowiłby go przyjaznym ruchem dłoni, ale René po prostu się gapił. Podobnie jak w przypadku *contessy*, jego wiek był nie do określenia. Mógł mieć pięćdziesiąt lat, mógł i siedemdziesiąt. Dziwnie poturbowaną głowę miał ogoloną i choć był smagły, nic nie pozwalało określić, do jakiego pokolenia należy. Miał wielkie bary i tors atlety.

Pomimo swego wieku i wymiarów, poruszał się sprawnie niczym sportowiec w najlepszym okresie kariery. W przeciwieństwie do swej pracodawczyni, nie miał talentu do języków. Malloy nigdy nie był w stanie określić, jaki jest jego język ojczysty. Narzecze, którym rozmawiał z *contessą*, mogło być jakąś odmianą włoskiego, ale swobodnie wtrącał w nie wyrazy niemieckie, francuskie i angielskie, z nieuchronnie złym akcentem, a gramatyka, którą się posługiwał, była, jak Malloy stwierdził już dawno temu, kapryśna.

Jedynym, co do czego nie miał wątpliwości, była lojalność René względem kobiety, której służył. Patrzył na nią z żarliwością i nieustępliwością wyszkolonego rottweilera.

Zbliżywszy się już na odległość pięciu metrów, Malloy przystanął i zapytał go:

- Czy *contessa* jest w domu, René?

Ponieważ pytanie było niewątpliwie absurdalne, René nie zadał sobie trudu, by na nie odpowiedzieć. Rozluźnił tylko swe ogromne pięści i odszedł. Malloy wszedł na werandę, zamierzając zapukać do drzwi frontowych, ale Claudia de Medici już na niego czekała.

- Thomas! Co za miła niespodzianka! Przeprowadził się pan znów do Zurychu?

- Przyjechałem w interesach na kilka dni. Okazało się, że mam wolne popołudnie, pomyślałem więc, że wpadnę do pani. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w czymś ważnym?

- Nie robiłam nic takiego, co nie mogłoby zaczekać. Proszę wejść.

Malloy znalazł się w elegancko umeblowanym przedpokoju. Contessa zaprowadziła go do salonu i nałapała im obojgu po szklaneczce whisky.

- Czy pracuje pani nad nową książką?

- Napisałam już swoją książkę. Jeśli napiszę jeszcze jakąś, to dopiero po pewnym czasie. - Jej uśmiech był niemalże nieśmiały, a jej piękność uderzająca jak zawsze. Miał wrażenie, że w ogóle się nie zmieniła w ciągu tych lat, odkąd po raz pierwszy się spotkali. Wciąż wydawało się, że nie ma jeszcze czterdziestu lat, co czyniło ją, uświadomił sobie, czując nagłą rozpacz, ponad dekadę młodszą od niego!

- A pan? - zapytała z uśmiechem, który wskazywał, że przed chwilą czytała w jego myślach - Czy wciąż jest pan niezależnym redaktorem? - Było w tym coś figlarnego, coś ze starego żartu, który tylko oni mogli zrozumieć, i Malloy też się uśmiechnął.

- Emerytowanym, obawiam się.

- Mam nadzieję, że nie tak zupełnie. Jest pan o wiele za młody na coś tak okropnego jak emerytura.

- Staram się być zajęty.

- Mieszka pan w Nowym Jorku, jak słyszałam.

- Musi pani mieć dobre źródła.

- To jedna z zalet posiadania interesujących przyjaciół. -Malloy oparł się chęci zapytania o te źródła. Contessa potrafiła z łatwością zdobywać zaufanie i nigdy go nie nadużywała, uparcie dochowując lojalności. - Jest pan szczęśliwy. Tyle mogę wyczytać z pańskich oczu.

- Żenię się na wiosnę.

- I zdecydował się pan wrócić do tego życia, aby się ratować przed tym szczęściem?

Malloy zaśmiał się z przytyku. Nie pomyślał o tym w ten sposób, ale przypuszczał, że można na to tak spojrzeć. Z pewnością nie będzie pierwszym mężczyzną psującym idealny związek. A jednak niechętnie by się do tego przyznał, nawet w żartach. Zresztą, nigdy tak naprawdę nie porzucił swego zawodu - jedynie pracę w terenie.

- Jeśli będę dłużej zwlekał z powrotem do tych spraw, będzie już za późno - wyznał.

- Może nie są panu przeznaczone.

- Uważam, że sami kształtujemy swoje przeznaczenie, contesso.

- A w moim przekonaniu, ludzie nie są wrzucani do piekła z powodu swoich pasji, Thomas. Myślę, że sami tam wskakują z ich powodu, ale nie zmienię pańskiego postanowienia. Widzę to. Proszę mi powiedzieć, co pana tu sprowadza? Ma to coś wspólnego z interesami, jak sądzę.

Contessa postępowała tak, jak magicy odnoszący sukcesy w odczytywaniu myśli. Analizowała język ciała i ryzykując śmiałe stwierdzenie, czekała na reakcję. Fakt, że była w tym urocza i zdawała się naprawdę cieszyć jego obecnością, sprawiał, że nieco mniej mu to przeszkadzało, ale w istocie jej wgląd w jego na-

turę zawsze kazał mu się zastanawiać, czy ona naprawdę nie jest jednak jasnowidzem.

- Pomyślałem, że może będzie pani w stanie mi coś wyjaśnić. - Gontessa lekko przechyliła głowę, z zaciekawionym wyrazem twarzy. - Co pani wie o dwunastowiecznych ikonach Chrystusa?

- Wiem, że bardzo mi się podobają, choć zgaduję, że jestem chyba w mniejszości. Co chciałby pan wiedzieć?

- Bizantyjska ikona Chrystusa z XII wieku... Ile taka rzecz byłaby warta, powiedzmy, w idealnym stanie?

Contessa uśmiechnęła się, jakby miała do czynienia z przedwcześnie rozwiniętym dzieckiem.

- Trudno powiedzieć. Zakładając, że byłaby w doskonałym stanie, trzeba by wiedzieć, czy została odnowiona. Potem jest kwestia jej pochodzenia, która miałaby bardzo znaczący wpływ na cenę. Ludzie zainteresowani obrazami tego rodzaju, cenią sobie ich historię równie wysoko, jeśli nie wyżej, niż wartość artystyczną. Wiele ikon sprzedaje się wraz z przenośnym ołtarzem. Może to być niepotykana obudowa lub szkatułka podróżna. Wiele z nich to również dzieła sztuki, a niektóre są inkrustowane klejnotami, co również podniosłoby cenę ponad konkretną wartość artystyczną. Ikonę mogła posiadać znana osoba. Z tamtych czasów mamy mnóstwo wiadomości o rodzinie królewskiej z Konstantynopola. Księżniczka Anna Komnena na przykład, która poznała pierwszych krzyżowców, napisała nawet książkę, umieszczając w niej swe spostrzeżenia na temat przywódców tej armii, w tym również niezbyt wówczas znanego Baldwina de Boulogne, którego obrano później pierwszym chrześcijańskim królem Jerozolimy. Gdyby ta ikona była jej osobistą własnością i gdyby miał pan dokumenty mogące to potwierdzić, taka rzecz byłaby niezmiernie atrakcyjna dla pewnych nabyw-

ców, także dla mnie, choć nie jestem kolekcjonerem. Ale żeby zacząć choćby zgadywać, potrzebowalabym znacznie więcej informacji.

- Mam tylko jej ogólny opis. Jest to deska drewniana, grubości może sześciu milimetrów, wysokości trzydziestu trzech lub trzydziestu pięciu centymetrów i szerokości dwudziestu lub dwudziestu trzech centymetrów.

- Złoto? Klejnoty? Pokręcił głową.

- Tu jest właśnie zagadka. Ludzie, o których chodzi, płacą za nią dwadzieścia pięć milionów dolarów. - Wyraz twarzy contes-sy nie zmienił się, ale Malloy był pewien, że coś się stało. Może był to jakiś błysk w oku czy też moment rozpoznania. - Kiedy próbowałem ustalić ceny porównywalnych obrazów, okazało się, że kosztują czterdzieści lub pięćdziesiąt tysięcy, najwyżej pół miliona. Nie ma nic w cenie bliskiej temu, co płacą moi ludzie.

- W jakim charakterze jest pan w to zaangażowany, Thomas?

- Przewożę dla nich ten obraz.

- Przemyca pan?

- Po prostu przewożę.

- Jeżeli ci ludzie oszukują pana co do rodzaju przedmiotu, z którym ma pan do czynienia, albo ceny, którą płacą, moja rada brzmi: odejść. A jeszcze lepiej: uciekać i to szybko.

Malloy uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Tak nie mogę postąpić. To moja szansa powrotu do tego, co robię najlepiej.

- W takim razie nie sądzę, żebym mogła panu inaczej pomóc, jak tylko ostrzec, że może się pan natknąć na coś takiego, co spotkało pana w Bejrucie.

Malloy poczuł się jak ktoś, komu właśnie ziemia usuwa się spod nóg.

- Skąd pani wie o Bejrucie?

- Ludzie mówią, Thomas. A raczej powinnam powiedzieć: szepczą.

- Nie ci, którzy wiedzą o Bejrucie.

- Świeżo upieczony oficer wywiadu dziedziczy pół tuzina agentów niskiego szczebla, którzy przekazują przeterminowane informacje. Kilka miesięcy później zawiaduje siecią dwudziestu czterech agentów i przechwytuje wiadomość o planowanym ataku na bazę amerykańskiej piechoty morskiej. Informuje o tym przełożonych i stara się wybadać szczegóły. Następnego dnia trafia do szpitala wojkowego z sześcioma ranami postrzałowymi. Ośmiu z jego ludzi nie żyje, pozostali zostają ewakuowani. Dwa dni później dwustu czterdziestu żołnierzy piechoty morskiej ginie, a Reagan nakazuje wycofanie wojsk amerykańskich z Libanu.

Malloy próbował się uśmiechnąć, ale nie za wiele zdołał.

- Mawiają, że uczymy się na własnych błędach - stwierdził w końcu.

- Tak naprawdę - odparła - mawiają, że powinniśmy się na nich uczyć. A w rzeczywistości większość ludzi ma pożałowania godną tendencję do ich powtarzania.

- Czy wie pani coś, czego ja nie wiem, contesso?

- Wiem o wiele więcej niż pan, o bardzo wielu sprawach. Na przykład wiem, że po Bejrucie nigdy już nie ufał pan swoim przełożonym i dlatego działał tak skutecznie, że powodowało to problemy, o jakich się nawet panu nie śniło. Wiem też, że pańskie umiejętności nie są już takie jak dawniej. Utracił pan ów sceptycyzm, którym tak się pan pysznił, może pan zaprzeczać, ile pan chce, ale sądzi pan, że wykonanie tego zadania nie przysporzy panu żadnych problemów, gdyż wydaje się, że nic nie może pójść źle. Spodziewa się pan, że po tej misji znowu będzie nabierał pan naiwnych na swoje stare sztuczki, a nie leżał w grobie.

Malloy poczuł, jak dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie.

- Proszę mi powiedzieć, co pani wie.

- Wiem, że stoi pan w dole pełnym żmij, ale ich pan nie widzi, ponieważ jest pan na wpół uśpiony.

Malloy miał ochotę spierać się, wyjaśniać albo przynajmniej bronić, ale oparł się temu odruchowi. Kobieta zdolna rzucić na kolana szwajcarski system bankowy nie była osobą, której zdanie mógłby zlekceważyć.

Pałac Heroda Antypasa,

Perea Lato A.D. 26

Choć Herod Wielki był człowiekiem niezwykłym, powszechnie uznawano, że jego synowie takimi nie są. Udawali, oczywiście, że jest inaczej. Na kolanach ojca pobierali nauki, jak przydawać sobie dostojęstwa. Filip, z luksusowego dworu, rządził tetrarchią położoną na północ od Galilei. Antypas podróżował pomiędzy Galileą a Perea, wraz z wielkim orszakiem sług i urzędników. Każdy z synów marzył o ponownym zjednoczeniu ojcowskiego królestwa, dawno jednak minął już czas, kiedy którykolwiek z nich mógł poczynić jakieś rzeczywiste wysiłki w tym celu. Sejan wyjaśnił to Piłatowi, kiedy proponował mu obecne stanowisko. Judea, Samaria i Idumea należały do cesarza, ponieważ najstarszy z synów Heroda był nieudolny.

Zamiast zastąpić go Filipem lub Antypasem i pozwalając z upływem czasu zrujnować kwitnące niegdyś królestwo, August przejął sporne prowincje i przywrócił pokój. Zdaniem Sejana decyzja ta oznaczała zmianę na lepsze. Przez minione trzy dekady Antypas wielokrotnie demonstrował to samo kapryśne okrucieństwo, jakim wykazał się jego starszy brat, Archelaus, natomiast gnuśność Filipa tak wzrosła, że stracił własną żonę na rzecz swego brata i nie podniósł się nawet od stołu, przy którym ucztował, by ją ścigać.

Piłat, przyjmując zaproszenie Antypasa do Perei, spodziewał się napotkać osobę nie zanadto inteligentną, zastał tymczasem sześćdziesięcioletniego światowca, o aksamitnym głosie, bystrym umyśle i pociągającym poczuciu humoru. Antypas odziedziczył po ojcu niezbyt okazałą sylwetkę, jak również tendencję do nadmiernego przybierania na wadze. Pomimo to sprawiał wrażenie energicznego,

a jego żywym, czarnym oczom nie umykało nic, co działo się w wielkim triclinium, gdzie ucztowano. Piłat stwierdził, przynajmniej na początku wieczoru, że choć nie ufa tetrarsze, jednak bardzo go lubi.

Okazało się, że Herodiada, nowa żona Antypasa, jest od niego mniej więcej o połowę młodsza. Uderzyło Piłata, że jest to kobieta o wyraźnie widocznych zdolnościach intelektualnych i władczym sposobie bycia, w jaki popadają panie, których inteligencja przewyższa inteligencję ich mężów. Pierwszą reakcją Piłata była pełna zaciekawienia myśl, czy Antypas nie uwiódł żony własnemu bratu ze względu na jej urodę. Zastanawiał się właśnie, jakich napojów miłosnych użyła Herodiada, kiedy Antypas wezwał do sali jej córkę, by dla nich zatańczyła. Salome była kuszącą dziewczeczką, w wieku mniej więcej dwunastu - trzynastu lat, jeszcze niegotową do małżeństwa, ale bardzo tego bliską - i o wiele piękniejszą od matki. Piłatowi podobał się występ, ale ciekaw tej rodziny, odwrócił spojrzenie od tańca, żeby popatrzeć, jak reaguje na niego Antypas. Zobaczywszy, pojął, że tetrarcha jest zadurzony w swej pasierbicy.

Wywiad, jaki Piłat zebrał na temat tego nagannego małżeństwa, wskazywał, że Antypas zakochał się w Herodiadzie na krótko przed swoją wizytą w Rzymie i przekonał ją, poprzez tajną korespondencję, kiedy był jeszcze za granicą, żeby po jego powrocie porzuciła Filipa i dołączyła do niego – jako żona. O roli Salome w tym wszystkim nie wspominało, ale Piłatowi zdawało się, kiedy patrzył na nowożeńców, że była ona czynnikiem decydującym, a działała niemal na pewno, myślał, na polecenie matki. Z jakiego powodu - mógł tylko zgadywać.

Oczywiście nie było to sprawą Piłata, ale możliwości, jakie niosły w sobie skomplikowane oddziaływania wewnątrz tej świeżo uformowanej rodziny, interesowałyby Sejana i Piłat zamierzał sporządzić o nich wyczerpujący raport, kiedy tylko powróci bezpiecznie do Cezarei.

Antypas, choć zapewne cieszył się przewagą wynikającą z faktu, że nowy prefekt cesarski odwiedza go, zanim on sam pofatygował się do Cezarei, dokładał wszelkich starań, by Piłat czuł, że jest jego gościem honorowym - przynajmniej do czasu, gdy wypił tak dużo wina, że przestało mu na tym zależeć. Piłat i Prokula zajmowali swe półleżące miejsca po jego prawej i lewej stronie u szczytu stołu, w rzadko stosowanym i raczej denerwującym pomieszaniu obu płci podczas uczty.

Jako pierwszych też przedstawiono ich publiczności złożonej z około dwudziestu dworzan i pań. Antypas poświęcił im obojgu długie mowy pochwalne. Szczególnie istotny zdawał się być związek Prokuli z rodem Klaudiuszy, ale Herodowi wystarczyło zręczności, by wychwalać bardziej jej urodę niż powiązania rodzinne, a Piłat pławił się w blasku chwały swej małżonki.

Sam posiłek był zdecydowanie orientalny i prezentował się nie mniej wyrafinowanie niż to, co jadano na dworze Tyberiusza. Podczas jednego z późniejszych dań Antypas zaczął bardziej niż jedzeniem, ekscytować się jakością wina, które podawał. Należał do tego rodzaju alkoholików, którzy nie tracą nic ze swych zdolności motorycznych, natomiast w miarę, jak pił, stawał się coraz bardziej ożywiony i gadatliwy. Zapytał Piłata, czy jego wino korzystnie wypada w porównaniu ze szlachetnymi trunkami italskimi. Rzeczywiście przewyższało większość win, jakich Piłat dotąd kosztował, zanadto był jednak patriotą, żeby to przyznać. Odpowiedział więc, że w Rzymie pija się wina z całego świata, co oznacza: rzymskie wina.

Antypas, który prawdopodobnie powinien był już zrozumieć, że wprawia prefekta w zakłopotanie, wytknął mu, że w ogóle nie wyraził swego osądu. Piłat zwrócił się do Herodiady, która piła znacznie ostrożniej. Był najzupełniej pewien, że żona Antypasa dobiera słowa w sposób bardziej przemyślany.

- Choć jedzenie i wino sprawiają mi przyjemność, jednak dalece ponad nie przedkładam wdzięczne towarzystwo tego wieczoru.

Ten komplement powinien był zakończyć sprawę, jednak Antypas wyraźnie chciał dopiąć celu, a jego celem była obraza gościa.

- Dobrze jest dostrzegać różnice pomiędzy naszymi kulturami, nie sądzisz, prefekcie? To nie tylko kwestia klimatu i sposobu uprawy winogron. Różnice sięgają nawet sposobów rządzenia. Słyszałem na przykład opowieść, w której prawdziwość mam wszelkie powody wierzyć, że miałeś w ostatnich tygodniach, nazwijmy to, pewne kłopoty z Jerozolimą. Czy to prawda?

- Prefekt Judei nieustannie ma do czynienia z Jerozolimą, tetrarcho. Wahałbym się nazwać cokolwiek, czego jak dotąd doświadczyłem, kłopotami.

- Mój ojciec zmagał się z niemal tym samym problemem trzydzieści lat temu.

- Jaki to problem?

- Awersja Żydów do obrazów. Nie myśl panie, że sugeruję, jakoby sposób postępowania mego ojca przewyższał twój.

Podnoszę tę kwestię jedynie po to, by dać przykład, jak do problemu podchodzi umysł człowieka Wschodu. Mój ojciec, o czym bez wątpienia słyszałeś, był wielkim przyjacielem i sprzymierzeńcem cesarza Augusta. Podobnie jak ty, panie, poczuł się urażony, kiedy Jerozolima odmówiła wywieszenia choćby najskromniejszego z emblematów imperium. Po zakończeniu ekspansji i odnowieniu drugiej Świątyni Salomona postanowił umieścić złotego orła na zewnętrznej bramie kompleksu świątynnego. Był to ten sam wizerunek, który twoje oddziały umieszczają przed każdym legionem w służbie imperium. Oczywiście, ojciec mój spodziewał się oporu pewnych radykalnych elementów spośród ludności żydowskiej, podobnie jak z pewnością ty, panie, przewidywałeś go, kiedy wywiesiłeś sztandar z wizerunkiem cesarza ponad wielką bramą pałacu. Kiedy jednak przyszli, by z nim o tym rozmawiać, po prostu zamknął przed nimi drzwi i spr-

wa była skończona. Taka już była istota charakteru mojego ojca, że nikt - nikt! - nie ośmielił się prowokować go demonstracją.

- Jak sobie przypominam - odparował Piłat, czując, że twarz okrywa mu, niestety, rumieniec zdradzający irytację -był jakiś problem w związku z tym orłem. Czy może się myłę?

Antypas uśmiechnął się, jak gdyby oczekiwał, że jego oponent to powie.

- Wielki problem! Ale nie dla Heroda. Widzisz, kapłani, kiedy dowiedzieli się, że Herod leży już na łożu śmierci, postanowili uderzyć jeszcze raz. Pomysł był dosyć rozsądny. Rozumieli, że następca Heroda w Judei, mój brat przyrodni, Archelaus, musi zareagować, ale obstawiali, że reakcja będzie umiarkowana. Protest nie był skierowany bezpośrednio przeciw Archelausowi, a on sam nie mógł jeszcze czuć się całkiem pewnie u władzy. Kapłani zorganizowali to tak, że dwóch sprawnych młodzieńców spuszczone na linach z dachu Świątyni, podczas gdy ich towarzysze odwrócili uwagę straży pałacowej. By zniszczyć orła, wystarczyła tylko chwila. Kiedy żołnierze przybyli do bramy, był już zupełnie rozbity.

Mój ojciec wpadł w taką furję, że wstał z łoża i spotkał się z przestępcami w sali przyjęć. Chciał wiedzieć, czy ci młodzieńcy się go nie lękają. Odpowiedzieli, że nauczyciele wyjaśnili im, iż Bóg obdarzy ich życiem wiecznym za służbę w obronie Jego Świątyni. Przy użyciu tortur Herod poznał imiona owych nauczycieli, a następnie kazał powiązać z nimi uczniów, by móc spalić ich jednocześnie i w ten sposób pozwolić im wspólnie uczestniczyć w chwale Niebios. Potem rozkazał wymordować pierworodnych poniżej pewnego wieku w całej Judei, gdyż szerzyła się plotka, że panna powiła mesjasza, a on chciał ochronić swych następców. Kiedy i to zostało wykonane, powinienem powiedzieć: kiedy ulice spływały krwią, powrócił na swoje łożo i umarł spokojnie.

- Czy więc Żydzi wierzą w życie po śmierci, tak jak wierzą w nie Rzymianie i Grecy? - zapytała Prokula.

Być może, pomyślał Piłat, nie pojęła obelgi, jaką Antypas przemycił w tej opowieści. Właściwie nie miało to znaczenia. Tetrarcha, którego zabolęła ta nieistotna z punktu widzenia jego intencji uwaga, stracił część satysfakcji.

Herodiada uśmiechnęła się, widząc niezamierzony skutek owego pytania, i odpowiedziała Prokuli:

- Esseńczycy wierzą w nie, pani, podobnie jak zeloci, którzy nie należą do żadnego stronnictwa, lecz jednoczą się jedynie w służbie anarchii. Faryzeusze nie wypowiadają się jednoznacznie w tej kwestii, jak zresztą w żadnej z wyjątkiem Prawa, podczas gdy saduceusze, których rodziny rządzą Świątynią i posiadają większość interesów w mieście, utrzymują, że obecne życie jest jedynym, które mamy.

- Równie dobrze można by być ateistą - odparł Piłat, czując coś na kształt oburzenia na myśl o kapłanach wyznających tak zeświecczone poglądy. Znał ateistów w Rzymie, sam jednak przeszedł inicjację w starożytne misteria eleuzyjskie i w związku z tym ufał, że szczęście wieczne po śmierci ma już zapewnione.

Antypas natychmiast zapalił się do tego nowego tematu.

- Z moich doświadczeń, prefekcie, wynika, że ateści są najlepszymi kapłanami.

- Czy sam jesteś więc ateistą, panie? - zagadnęła Prokula. Herodiada, być może widząc zakłopotanie gości, a może

po prostu korzystając z okazji, jaką ich zakłopotanie stwarzało, delikatnie zbeształa męża odpowiedzią, której udzieliła za niego:

- Mój mąż jest ateistą jedynie późnym wieczorem, kiedy bogowie śpią, a on upija się do nieprzytomności. W ciągu dnia i godzin wczesnego wieczoru uznaje wszelkie przesady, jakie tylko są znane ludzkości, a nawet wymyśla nieco swo-

ich własnych. Gdyby było inaczej, wydaje mi się, że już dawno okazałby odwagę swych przekonań, aresztując proroka Jana za jawne podburzanie do buntu.

- Tego, którego nazywają Chrzcicielem? - zapytała Prokula.

- Tego właśnie. Nie jest tak, żeby trudno go było znaleźć. Ten człowiek stoi w rzece Jordan każdego dnia, o tej samej porze, w tym samym miejscu.

- Uważam, że więcej Żydów powinno pójść za jego przykładem - zażartował Piłat. - Ja na przykład nie mogę pojąć ich awersji do kąpieli.

- Czy chcecie wiedzieć, dlaczego się waha? - nalegała Herodiada, zupełnie ignorując żart Piłata.

- Cisza! - wrzasnął Antypas.

Rozmowy w sali ustały. Herodiada dobrze wiedziała, że Antypas kierował swój rozkaz do niej jedynie, ale udawała, że uciszył wszystkich, by mogli lepiej słyszeć jej przemowę, i kontynuowała w sposób, na jaki nie poważyłaby się wobec męża żadna Rzymianka:

- Ponieważ się boi, że ten człowiek rzuci na niego urok, jeżeli to zrobi. Pytam was więc, czy ateista bałby się klątwy świętego męża? Słyszeliście kiedyś o czymś podobnym?

- Niczego takiego się nie boję! Jan byłby po prostu bardziej niebezpieczny jako męczennik niż jest teraz, gdy błąka się po pustyni niczym wariat.

- Twój ojciec nie miał takich skrupułów.

- Czasy się zmieniły.

- Ludzie także. - Widząc, że mąż nie znajduje na to odpowiedzi, Herodiada uśmiechnęła się miło do Prokuli. - Antypas uważa, że twój mąż, pani, sprowadził na siebie kłopoty z Żydami, kiedy odstąpił od zabicia dziesięciu tysięcy z nich. Czyż nie tak, Antypasie?

- Sądzę, że to była świetna okazja, by dać im nauczkę, ale każdy rządzi inaczej i dla innych celów, jak już powiedziałem.

Piłat sięgnął po puchar wina, przypominając sobie, że tego wieczoru jest gościem i że ten człowiek, niezależnie od tego, jak nieznośne byłyby jego zniewagi, cieszy się swego rodzaju przyjaźnią Tyberiusza.

- Byłem przygotowany na nieposłuszeństwo - odpowiedział, cytując własny list do Sejana, który napisał tamtego ranka, po owym zdarzeniu. - Nie napotykając żadnego nieposłuszeństwa, nic zupełnie prócz modlitw do Boga, bym jednak zmienił zdanie, postanowiłem raczej nagrodzić tych ludzi, którzy zwracali się do mnie z prośbą w sposób całkowicie legalny, niż dawać przykład brutalności. To kwestia różnicy między Wschodem a Zachodem, jak sądzę.

- Czy chcesz powiedzieć, prefekcie - odparła Herodiada z respektem, który wydał się Piłatowi całkiem miły, wzięwszy pod uwagę okoliczności - że nie obawiałeś się duchów dziesięciu tysięcy mężczyzn?

Piłat pozwolił sobie na lekki uśmiech kosztem swego gospodarza. Lubił tę kobietę o wiele bardziej niż jej męża!

- Wyznaję, pani, że ta myśl nie przeszła mi przez głowę. Piłat nie przełknął tak gładko afrontu, który go spotkał

ze strony Antypasa. Próbował przekonać sam siebie, że jest zadowolony ze swej decyzji, by okazać miłosierdzie. Złościło go ponad miarę, że tetrarcha, a z pewnością także inni, nie zauważyli jego rozsądku, ale błędnie uznali jego postępowanie za niechęć do rządzenia z pozycji siły. Przypominał sobie, co było oczywiste, że Antypas nic nie znaczy i że jest on jednocześnie okrutny jako władca i tchórzliwy jako człowiek. Tym, co się liczyło, była opinia Tyberiusza, a nie plotki pałacowe w jakiejś zaściankowej tetrarchii, rządzonej całkowicie, choć nieoficjalnie, przez kobietę.

Opinia imperatora czekała na niego, kiedy powrócił do Cezarei. Autorem listu był sam Tyberiusz - nie Sejan. Piłat nie został posłany do Judei, pisał, by wywołać wojnę. Został posłany, by zachowywać pokój i pobierać podatki. Wzburzenie

wrogię miasta uczyniło jego pracę trudniejszą. Z drugiej strony imperator nie mógł pochwalić decyzji Piłata, by, skoro już wywołał opór, zakończyć sprawę bez aresztowania jednego choćby człowieka. Cesarz zapewniał, że swą opinię wyraża dopiero teraz nie z powodu opieszałości, ale dlatego, że podjął pewien wysiłek, by zdobyć obiektywne spojrzenie na sprawę, zanim dokona osądu.

Obiektywne spojrzenie to niewątpliwie opinia Antypasa, zdecydował Piłat po zastanowieniu. Monarchowie muszą trzymać się razem, bez względu na różnice pomiędzy nimi. W tym wypadku oznacza to naganę dla ekwity. No dobrze, przekonał się przynajmniej, jak ważny jest Antypas.

- Czy dobrze się bawiłaś w towarzystwie Herodiady? - zapytał żonę tego samego wieczoru przy kolacji, którą jedli tylko we dwoje, w prywatnej części pałacu.

- Wydała mi się impertynentką, panie. Nie odezwałabym się do ciebie na osobności tak, jak ona mówiła do swego męża przy nas. Nie rozumiem, jak Antypas może to znosić.

- Byłbym bardzo zadowolony, gdybyście się zaprzyjaźniły. - Prokula przypatrywała mu się, pólżąc przy nakrytym do kolacji stole. - Ona mogłaby nauczyć się od ciebie dobrych manier - powiedział z uśmiechem. - Ty z kolei mogłabyś dowiedzieć się mnóstwa interesujących rzeczy.

- Nie jestem pewna, czego pragniesz, panie.

- Można sobie wyobrazić, że Antypas jest tak naprawdę tchórzem, podobnie jak jego brat, Filip. Ale nie dotyczy to Herodiady. Jeśli dostrzeże korzyść, myślę, że po nią sięgnie.

- Tą korzyścią jest moja przyjaźń? - spytała Prokula.

- Będzie cię to kosztowało jedynie trud odwiedzin, jeśli odpowie na twoje pragnienie lepszego poznania jej kraju i miejscowego języka. Poślę Korneliusza i

centurię ludzi, by cię strzegli, więc nie będziesz musiała martwić się o swoje bezpieczeństwo.

- Czy mam po prostu zaprzyjaźnić się z tą kobietą, czy też pragniesz czegoś jeszcze, panie?

- Cesarz uwierzy w to, co Antypas powie mu o nas, Pro-kulo. Dopóki Antypas postrzega nasze cele jako sprzeczne z jego własnymi, będzie umniejszał moje zasługi. Jeśli natomiast dostrzeże przyjaźń pomiędzy tobą a Herodiadą, i jeśli sama Herodiada będzie aktywnie zabiegać, by jej mąż spojrział na nas bardziej życzliwie, nasze stanowisko tutaj stanie się początkiem wspaniałej kariery, a nie końcem skromnej. Nie chcę od ciebie nic prócz szczerzej przyjaźni z kobietą, która może być użyteczna dla naszych interesów.

- W takim razie natychmiast do niej napiszę.

Tyberiada nad jeziorem Genezaret

Jesień A.D. 26

Druga wizyta Prokuli na dworze Heroda Antypasa miała miejsce w Tyberiadzie w prowincji Galilea i trwała niemal dwa miesiące. Nastąpiła po wymianie listów, w których Pro-kula wyrażała zainteresowanie nauką języka i kultury Żydów.

Herodiada z początku wydawała się sceptycznie nastawiona, jak gdyby aż nadto jasno odczytywała motywację Piłata, ale gdy odkryła w Prokuli młodą kobietę, bardziej skłoną uczyć się od niej niż szpiegować, stopniowo porzuciła swe uprzedzenia lub być może, czego Prokula była świadoma, zaakceptowała je i szukała w tej przyjaźni korzyści dla siebie.

Herodiada uważała, że w obrębie pałacu nigdy nie należy mówić nic, czego nie chciałoby się, aby inni powtórzyli Antypasowi. Zaproponowała więc prze-

jażdżki powozem, a po nich spacer. Przy takich okazjach żołnierze Antypasa i strażnicy Korneliusza dyskretnie zachowywali taką odległość, która pozwalała obu paniom na szczerą i swobodną wymianę myśli - jedyną, na jaką się ośmielały.

- Tutaj - Herodiada wskazała na wiejski krajobraz - możemy rozmawiać tak swobodnie, jak tylko zaufanie obecne w naszej przyjaźni pozwala.

- Mam nadzieję, że oznacza to: tak swobodnie, jak to tylko możliwe - odpowiedziała Prokula.

Herodiada z namysłem przyjrzała się młodszej kobiecie. Od przyjazdu Prokuli minął mniej więcej tydzień i wiedziała już całkiem sporo o jej pochodzeniu, o pobycie w Syrii na dworze Germanika, przerwany przez jego śmierć, o powrocie do Rzymu i późniejszym ślubie z Piłatem w wieku lat czternastu.

- Jeśli rozmawiamy swobodnie, może wyjawisz mi, pani, jak to się stało, że córka senatora i członka gwardii książęcej poślubiła niczym się niewyróżniającego ekwite?

- Cesarz - odpowiedziała Prokula tak prawdopodobnie, jak tylko mogła - wiedział, że jestem zakochana, a ponieważ nasze małżeństwo nie było przeciwne jego własnym interesom, zezwolił na nie.

- Zakochana! W Piłacie? - zaśmiała się Herodiada. Widziała utuczzonego, apodyktycznego biurokrata w średnim wieku, więc stwierdzenie Prokuli wydało jej się całkiem nieprawdopodobne. Cóż, Herodiada nie widziała Poncjusza Piłata takiego, jakim ona go poznała - szczupłego, młodego trybuna jeżdżącego na czarnym koniu, w szykownym czarnym mundurze gwardii pałacowej.

- Piłat eskortował procesję pogrzebową Germanika z Brun-disium do Rzymu, podróż około trzydziestodniowa.

- I wtedy zostaliście kochankami?

- Nawet nie rozmawialiśmy ze sobą. - Prokula zarumieniła się nagle, gdyż tamte dni były najcenniejszymi w jej życiu i nigdy nikomu o nich nie mówiła. - Piłat starał się każdego dnia jechać przy moim powozie i patrzyliśmy na siebie nawzajem. Pewnego razu powiedział do mnie: „To długa podróż, nieprawdaż?”. Byłam tak przejęta, że nawet nie zdołałam mu odpowiedzieć.

- Czy wciąż jesteś w nim zakochana?

- Wciąż go szanuję, pani.

Herodiada popatrzyła w niebo z wyrazem zamyślenia na twarzy.

- Jesteś zbyt miła dla tego człowieka. Jeśli wolno mi to powiedzieć, sądzę, że on cię zauważy, kiedy będzie obawiał się twojej złości lub, jeszcze lepiej, wyobrazi sobie, iż gotowa jesteś cieszyć się zainteresowaniem innego mężczyzny. Taka piękność jak twoja marnuje się, jeśli nie wyciąga się z niej korzyści. Z twoim pochodzeniem i urodą, mogłabyś mieć każdego mężczyznę w imperium, i Piłat wie o tym. Trzeba mu to tylko od czasu do czasu przypomnieć, a będzie się odpowiednio zachowywał!

- Taką radą uczyniłabyś ze mnie sekutnicę lub nierządnicę.

- Powiedz mi, pani - zapytała Herodiada - czy mąż twój otwarcie mówi z tobą o swoich sprawach, czy też zachowuje co do nich rozsądną dyskrecję?

- Piłat jest wobec mnie prawdomówny.

- Bardzo marnie kłamiesz, Prokulo.

W niektóre wieczory, po kolacji zjedzonej w mieście z ludźmi interesu, których nie musiał rozpieszczać nadmiarem uwagi, Antypas wzywał Herodiadę i Prokulę do swego gabinetu, gdzie pił obficie i wypytywał żonę Piłata o Rzym. Kiedy odkrył w niej kobietę o pewnym formacie intelektualnym i pociągająco bezpośrednim sposobie bycia, nalegał, by usłyszeć jej opinie o klimacie politycznym w Rzymie.

Szczególnie interesował się Sejanem, prefektem gwardii pałacowej i właściwie regentem Tyberiusza. Sejan przejął władzę nad gwardią wkrótce po wstąpieniu cesarza na tron. Podczas gdy inni w Rzymie tracili zaufanie Tyberiusza przez wątpliwe sądy lub chwiejną lojalność, Sejan, choć wciąż bardzo młody, zdołał zmienić ufność cesarza w coś w rodzaju oddania.

- Sejan jest ambitny aż do przesady - wyjaśniała Prokula - lecz politycznie utalentowany. - Tak naprawdę bała się Sejana bardziej niż kogokolwiek w całym imperium. Wiedziała, że jeśli miałby przejąć władzę od Tyberiusza, co było możliwością całkiem realną, niemal na pewno wyeliminowałby resztę rodziny Klaudiuszów, chyba że rozpętałiby przeciw niemu wojnę domową.

- Wszyscy to o nim mówią - odparł Antypas - a jednak Tyberiusz nie przestaje nadawać mu kolejnych tytułów i powierzać coraz więcej władzy!

- Tyberiusz jest zmęczony polityką, a być może także Rzymem.

- Nie wiadomo, któremu z nich dwóch należałoby schlebiać - narzekał Antypas.

- Sejan jest zbyt ostrożny, by się przechwalać - zauważyła Prokula - ale oczekuje tronu. Tyle wiadomo. Tak samo Tyberiusz: jest zbyt mądry, by ogłosić Sejana swym następcą. To wystawiłoby go na niebezpieczeństwo zabójstwa. Tak długo, jak podsyca u prefekta nadzieję na prawowite następstwo tronu, zachowuje jego lojalność.

- Czy sądzisz, pani, że Sejan mógłby wystąpić przeciw Tyberiuszowi, gdyby był... rozczarowany jego wyborem dziedzica?

- Niemal na pewno.

- Czy Tyberiusz mógłby mu się przeciwstawić?

- To jest pytanie, które każdy sobie zadaje. Tyberiusz wciąż ma przyjaciół w wojsku, choć teraz są to raczej synowie ludzi, którymi niegdyś dowodził. Sejan

natomiast nie ma wpływów w legionach. Dlaczego miałyby je mieć? Rzadko opuszcza Rzym.

- Nie ma ku temu powodu - zauważyła Herodiada. -Wszystkie wojny są skończone!

- Wojna wzmocniłaby Sejana - odpowiedziała Prokula bez namysłu i natychmiast dostrzegła swój błąd. Oczy Herodiady zaślnęły, gdyż wcześniej nie przyszło jej do głowy, że Sejan rozpaczliwie potrzebuje poparcia ludu i wojska, jakie zapewniłoby mu wielkie zwycięstwo militarne i powitanie w Rzymie jako bohatera.

- To ciekawe, że Tyberiusz nie abdykuje i nie pozwoli Sejanowi oficjalnie władać imperium - rzucił Antypas. Bardzo wiele wypił tego wieczoru i nie był w stanie jasno myśleć.

- Bogowie umierają, tetrarcho, nie wyjeżdżają na wieś. Tyberiusz żyje tylko dotąd, dopóki zasiada na swym tronie, ani dnia dłużej.

Prokula uznała wieczory z Antypasem i Herodiadą za miłe, gdyż tetrarcha i jego żona traktowali ją poważnie. Cenili nie tylko jej wiedzę, ale także jej opinię.

Jednak nie wszystkie wieczory były tak przyjemne. Antypas zrzędził na tematy historyczne, szczególnie na ruinę, do której jego brat doprowadził ród Heroda. Nieuniknione było, że wypije zbyt wiele, zbyt szybko, i będzie domagał się, by spełniano jego zachcianki. A to czego domagał się tetrarcha, musieli ochoczo przyjmować także ci, którzy dotrzymywali mu towarzystwa. Oznaczało to, że Salome zostanie wezwana, by tańczyć.

Pewnego popołudnia, na wzgórzach ponad Galileą, Prokula zapytała o to Herodiadę.

- Czy nie przeszkadza ci to, pani, że Salome musi tańczyć dla tetrarchy?

- Antypas poślubił mnie, ponieważ był to jedyny sposób, by mógł być blisko mojej córki. Ja po prostu wykorzystałam to na swoją korzyść.

- Czy Antypas sprowadza ją do swego łóża?

- Jest sprawą mojej córki, by myślał, że kiedyś, niedługo, będzie miał na to szansę, a moją - dopilnowanie, by to nie nastąpiło, przynajmniej dopóki nie osiągnę wszystkiego, czego chcę. Przypuszczam, że to mniej więcej sposób, w jaki Tyberiusz postępuje z Sejanem, tylko że tym, czego pożąda Sejan, jest tron imperium, a nie dwunastoletnia dziewczynka.

- A czego ty pragniesz?

- Tego, czego Rzym nigdy nie da Antypasowi: dawnego królestwa Heroda. Nie patrz na mnie tak, jakbym się łudziła. Wiem, że muszę wydać Salome za jednego z jej kuzynów i że władza w królestwie będzie należała do nich, ale jednocześnie i do mnie. A przynajmniej może należeć.

- Nie myślę, że ulegasz złudzeniom. Tylko że Tyberiusz nie zaryzykuje żadnej zmiany w swej polityce.

Herodiada uśmiechnęła się uroczo.

- Ani nie będzie żył wiecznie, choć jest bogiem.

Zurych

8 października 2006 roku

Wszystko, czego Ethan dowiedział się o tym człowieku, a materiałów na jego temat było w Internecie całkiem sporo, wskazywało na to, że Jonas Starr był fantastą, ale fantastą bogatym. Prawdziwa fortuna należała jednak do jego następczyni w NorthStarr Institute, Nicole North.

Podczas negocjacji dotyczących sprzedaży pozyskanych przez nich dzieł ani Kate, ani Ethan nigdy nie rozmawiali z nabywcami. Należało to do obowiązków

ojca Kate, Rolanda Wheelera. Brał trzecią część zysków, ale za to zajmował się wszystkim. Znajdował nabywców. Układał fałszywe historie sprzedawanych przedmiotów. Często wskazywał nawet obrazy, które chciał, by zdobyli. Ten projekt od samego początku był inny. Ethan sam znalazł obraz, posługując się kombinacją badań, zgadywania i szczęśliwego trafu. Nie wchodziły w grę żadne gwarancje. O ile zdołał się dowiedzieć, po 1900 roku nikt nie opowiadał, że widział portret Chrystusa wykonany na zlecenie Piłata. Nawet wzmianka z 1900 roku budziła wątpliwości, mogła być ostatnim żartem umierającego człowieka, ale im więcej się dowiadywał o Julianie Corbeau, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że właśnie on posiada legendarne malowidło. Przed rokiem 1900 jedyna bezpośrednia informacja o nim znajdowała się w pismach świętego Ireneusza, teologa z 11 wieku.

Kate i Ethan przed włamaniem zwrócili się do Rolanda i zapytali go, czy potrafiłby znaleźć kupca, zakładając, że uda im się zdobyć ten portret. Kilka tygodni później odpowiedział im, że znalazł idealnego adresata tej oferty. To była specjalność Rolanda. Miał kontakty w Europie, Azji, na Bliskim Wschodzie, w Południowej Afryce i Ameryce Północnej: kolekcjonerów dzieł sztuki, rzemiosła artystycznego i manuskryptów, nieszczęśliwie drobniarzy, jeśli chodzi o kwestie prawne. Wykonał niezbędne poszukiwania i w tym wypadku był spokojny, że potencjalni nabywcy pospieszą z niezłą sumką, żeby posiadać to, co w jego terminologii było „matką wszystkich ikon”.

Tak był tego pewien, że gdy tylko Kate i Ethan zdobyli obraz, zwrócił się bezpośrednio do Starra w jego domu w Teksasie z indywidualną ofertą, żądając dwudziestu pięciu milionów dolarów. Najstarszym zachowanym portretem Jezusa malowanym na desce była ikona z VI wieku, należąca do typu zwanego *Christus Pantokrator*. Ten konkretny egzemplarz ikony, przechowywany od swego

powstania w monasterze św. Katarzyny na górze Synaj w Egipcie, był darem cesarza Justyniana z okazji fundacji monasteru A.D. 530.

W odniesieniu do obrazu niemal pięćset lat starszego i zupełnie niepowtarzalnego uzasadniona była tak wysoka cena, mimo iż jego posiadacze nigdy nie będą mogli pokazać go publicznie. Jonas Starr, wiedząc, że będzie mógł przebadać obiekt, zanim ostatecznie zobowiąże się do kupna, udawał, że wierzy w opowieść Rolanda o jego historii, obawiając się być może, że Wheeler gdzie indziej poszuka nabywcy, jeżeli on wyda mu się zbyt dociekliwy w kwestii najnowszej historii obrazu. Teraz, kiedy w ciągu dwudziestu czterech godzin mieli dobić targu, miał pytania.

W wersji Rolanda, jego współpracownik odkrył możliwość istnienia tego obrazu i zwrócił się do właściciela, który naiwnie uważał go za dzieło z epoki renesansu. Kiedy już wykonali datowanie izotopem węgla na Uniwersytecie Zuryckim, właściciel postanowił „wymienić go na to, co się dla niego liczyło - twardą walutę”. Czy Roland już na etapie negocjacji obiecał Jonasowi Starrowi, że będzie mógł porozmawiać z Ethanem, czy też, jak powiedział Kate, Starr dopiero ostatnio wystąpił z tym żądaniem, Ethan nie potrafił rozstrzygnąć. Roland postępował wobec Kate i Ethana tak jak wobec reszty świata: mówił im tylko to, co mieli wiedzieć.

Pojawił się więc w luksusowym hotelu Savoy przy Bahnhofstrasse w niedzielę wieczorem, o ósmej. Ubrany był swobodnie, w skórzaną marynarkę, dzinsy i flanelową koszulę.

Widział wcześniej zdjęcia Nicole North, ale i tak, gdy otworzyła mu drzwi swego przestronnego apartamentu, przeżył moment oszołomienia. Doktor North była niespotykane piękną kobietą. Wysoka i szczupła, o pełnym biuście i uroczo ukształtowanej, nawet jeśli dość bujnej, sylwetce, miała ten rodzaj pewności siebie, jaki daje wzrastanie wśród wielkiej zamożności.

Nie chodziło tylko o to, że inni dbali o nią i mieli dbać do końca jej dni. Było w tym także zrozumienie faktu, iż przy jej zamożności i urodzie ludzie będą uważać, że jest fascynująca, niezależnie od tego, jak się zachowa. Mimo to mówiono o niej, że jest niezmordowana w pracy, przyjazna wobec ludzi w potrzebie i hojna, gdy w grę wchodzi wartościowe przedsięwzięcia - ostatnia osoba, którą Ethan spodziewałby się zobaczyć zamieszaną w tego typu interes. Ale właśnie tu była, odgrywając dobrą bratanicę starego bandyty.

Tym, co najbardziej spodobało się Ethanowi w tej kobiecie, był jej głos. Miał w sobie nutkę Południa, przypominał mu dzieciństwo spędzone w Tennessee, choć Południe z jego młodych lat bardzo się różniło od jej elitarnego środowiska. Najwyraźniej oczekiwała, że współpracownik Rolanda będzie uczonym dżentelmenem, i wzięła Ethana za ochroniarza, ale potem ładnie się z tego wycofała, gdy już się sobie przedstawili. Jej spojrzenie nabrało nagłej i nieodpartej wyrazistości, kiedy zrozumiała, że rozmawia z człowiekiem, który odnalazł obraz, uważany za zaginiony od tysiąca dziewięciuset lat.

- Czy napije się pan czegoś? Mam... wszystko, jak sędzę. - Podeszła niepewnie do barku. - Dotarliśmy tu zaledwie kilka godzin temu. Prawdę mówiąc, wciąż nie jestem pewna, czy to ranek, czy wieczór.

- Dziękuję, proszę się nie trudzić.

Jonas Starr wszedł, jakby czekał za drzwiami. Chętnie się napije, powiedział. Według jego obliczeń w Teksasie jest teraz pierwsza po południu, ale Teksas jest tak daleko stąd! Starr miał około sześćdziesięciu pięciu lat. Jego głowę otaczała burza białych włosów. Emanował tym rodzajem energii, który trudno pomieścić w małych pomieszczeniach. Był chudym mężczyzną, z wielkim nosem i małymi, bystrzymi oczkami. Mówił piskliwym, pełnym entuzjazmu głosem.

Urodził się w rodzinie robotniczej i najwyraźniej był z tego dumny. Nawet pięćdziesiąt lat życia w dobrobycie nie podkopało w nim tej postawy. W istocie,

lata te nie zrobiły w nim żadnego wyłomu. A jednak nie sposób było uznać Jona-
sa Starra za zwykłego człowieka. Był intelektualistą bez pretensji, jakie często
towarzyszą ludziom żyjącym dla idei.

Gdy tylko wkroczył do pokoju i podał Ethanowi rękę, natychmiast przeszedł
do ataku.

- Roland twierdzi, że wasz obraz jest częścią skarbu templariuszy. Muszę ci
powiedzieć, że o mało go nie zlekceważyłem z tego właśnie powodu. Nie jestem
wielbicielem templariuszy, młody człowieku. W mojej książce są oni przecenia-
ną bandą bankierów, mają świetny PR i ani krzty pobożności!

Ethan uśmiechnął się na wspomnienie o bankowości. W obszernej spuściźnie
związanej z templariuszami łatwo przeoczyć ich znaczenie jako wynalazców
współczesnego systemu bankowego. W czasach, kiedy ziemia była odpowiedni-
kiem pieniędzy i podstawowym źródłem dochodów, krzyżowcy mieli ogromne
trudności z wykonaniem najprostszych nawet operacji finansowych. Obchodząc
przepisy zabraniające lichwy, templariusze opracowali metodę, dzięki której mo-
gli wypłacać podróżnikom pieniądze w zamian za papiery dłużne, zabezpieczone
posiadłościami w Europie. Ponieważ zabronione było obciążanie tych pożyczek
procentami, templariusze świadczyli swoje usługi z chrześcijańskiej życzliwości,
prosząc tylko o wniesienie opłaty administracyjnej.

Była to gra słów, opłata zamiast procentu, ale gra sprytna, i w ciągu niemal
dwustu lat, przez cały czas istnienia zakonu, Ubodzy Rycerze Chrystusa stali się
niezastąpieni w handlu i podróżach. System ten przyniósł templariuszom fortunę,
która z czasem przyczyniła się do ich zguby, gdy zgromadzony przez zakon ma-
jątek stał się przedmiotem zazdrości królów.

- Byli świetnymi bankierami, doktorze Starr, ale mówi się też, że byli strażni-
kami Świętego Graala.

- Król Baldwin I, od czasu porażki pod Ar-Ramlą, na każdą większą bitwę zabierał ze sobą relikwie Krzyża Świętego, podobnie czynił każdy jego następca aż do roku 1187, kiedy znalazły się one w rękach Saladyna. Święta Włócznia, zwana też Lancą Longinusa, natchnęła wyczerpaną i prawie że pokonaną już armię, by wyrwała się z Antiochii i popędziła na Jerozolimę. Te relikwie były prawdziwe, młody człowieku! Widzieli je mężczyźni i kobiety, wszelkiej narodowości i wyznania. Relacje wielu naocznych świadków opisują ich oddziaływanie na armie chrześcijańskie i muzułmańskie. Powinien się pan z nimi zapoznać!

- Znam je.

- Cóż, w takim razie powinien był pan wyczytać z tych przekazów, że twierdzenie jakoby byli strażnikami Świętego Graala, czymkolwiek miałby on być, jest jedynie poetycką fantazją, która pojawiła się po raz pierwszy już po tym, gdy krzyżowcy utracili Jerozolimę. Wie pan, dlaczego tak było? Bo potrzebowali PRU! Chcieli wsparcia finansowego z Europy, żeby odbić Jerozolimę. Jedynym Świętym Graalem, którego templariusze kiedykolwiek strzegli, były ich piwnice pełne złota! Jako żołnierze byli bardziej uparci niż dzielni i jeśli którekolwiek z zarzutów, jakie im stawiano, miały w sobie choć ziarno prawdy, nie byli godni nosić na tunikach Chrystusowego krzyża. Fascynacja, jaką wzbudzają, jest całkiem nieproporcjonalna do ich rzeczywistych dokonań. W pewnych sprawach nie zgadzam się z Kościołem rzymskokatolickim, ale jedno panu powiem: papież dobrze zrobił, kiedy zamknął tę bandę!

- Zakładam, że czytał pan o głowie, którą rzekomo czcili templariusze? - spytał Ethan.

- Bafomet - odezwała się Nicole z dobrze wyćwiczoną nutką niesmaku.

- Miała to być głowa diabła - dopowiedział Starr życzliwie - jeśli w ogóle istniała!

- Czy nie sądzi part, że to ciekawe: templariusze mieliby czcić jakąś głowę, a nie Świętego Graala, relikwię, której podobno byli strażnikami?

- Dokładnie tak to ująłem! Nie było czego strzec.

- Sądzę, że Graal i Bafomet to jedna i ta sama rzecz.

- To śmieszne!

- Interesującą cechą Bafometa, podobnie jak Graala, jest brak zgody w kwestii, co to właściwie było. Niektórzy templariusze mówili inkwizytorom, że była to ludzka czaszka. Inni, że zmumifikowana głowa. Jeszcze inni nazywali go obrazem. Podejrzewam, że w rzeczywistości niewielu spośród templariuszy widziało tę rzecz więcej niż jeden raz, a i to tylko podczas inicjacji. Jeśli dobrze zgaduję, byli wtedy pod wpływem substancji halucynogennych. Ważne, że Bafomet, ojciec wszelkiej mądrości, był czymś godnym ich uwielbienia. Ci stojący najwyżej w hierarchii prawdopodobnie wiedzieli dlaczego. Wielki Mistrz wiedział z pewnością: nie był to po prostu obraz Chrystusa, to było Prawdziwe Oblicze namalowane za życia Jezusa z Nazaretu, wewnątrz pałacu Heroda, na rozkaz Poncjusza Piłata.

- Dlaczego nie mieliby go tak nazywać?

- Domyślam się, że po to, by strzec tajemnicy przed światem zewnętrznym.

- Ma pan jakiś dowód?

- Miałem dokument, który stwierdzał właśnie tyle, ale nie miałem dowodów, dopóki nie udało mi się wysledzić tego obrazu w Bibliotece Arsenalu w Paryżu.

- Dzieła sztuki należące do templariuszy zostały zabrane do Watykanu, synu!

- Napoleon przewiózł je do Paryża, gdy wtrącił papieża do więzienia.

Archeolog patrzył na Branda z zaciekawionym wyrazem twarzy. Wyglądało na to, że nie przywykł, by go poprawiano.

- Inne relikwie z wypraw krzyżowych zostały pokazane publicznie. Dlaczego Święte Oblicze nie? - zapytała North.

- Odpowiedź jest w Piśmie Świętym, doktor North. „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”.

Kobieta nie odpowiedziała, ale usta otworzyły jej się, gdy wydała z siebie mimowolny okrzyk. Z jej twarzy zniknęły nagle wszelkie oznaki sceptycyzmu.

- Według legend o Świętym Graalu, ktokolwiek go szuka, musi mieć czyste serce. Inaczej nigdy go nie znajdzie. Takie wymaganie stawiano każdemu rycerzowi, który wstępował do Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona. Swoje osobiste dobra oddawał Zakonowi i wyrzekał się wszelkich przyjemności światowych. Po spełnieniu tych wymogów, adeptowi pozwalano nosić krzyż Chrystusa i jeśli moja teoria jest prawdziwa, oglądać Oblicze Boga.

- Przede wszystkim, jak je zdobyli? - Starr wydawał się nadal nieprzekonany.

- Baldwin posiadał je, kiedy został wybrany pierwszym królem chrześcijańskiego Królestwa Jerozolimskiego.

- Mówi pan tak, jakby to był fakt.

- Baldwin przybył do Jerozolimy przez Edesę, doktorze Starr.

Oczy archeologa zapłonęły. Ethan skinął głową.

- Istnieją trzy odrębne legendy, umieszczające Święte Oblicze w Edessie, a wszystkie sprzed czasu, gdy obraz odnaleziono wewnątrz murów miejskich.

- Święty Euzebiusz - odpowiedział Starr, kiwając głową - nazywa go obrazem nie ręką ludzką uczynionym i mówi, że święty Paweł przysłał go do Edessy.

- Kiedy zobaczy pan mistrzostwo wykonania, zrozumie pan, dlaczego wierzone, że nie stworzyła tego ręka ludzka.

- Święte Oblicze z Edessy zostało przewiezione do Konstantynopola w 900 roku - wtrąciła doktor North - dwieście lat przed Baldwinem. To samo Oblicze zaginęło w 1204 roku, kiedy krzyżowcy splądrowali Konstantynopol, sto lat po śmierci Baldwina.

- Mówi pani o wizerunku, który pojawił się na kawałku tkaniny. Jak głosi legenda, Jezus, dotknąwszy nią swojej twarzy, posłał ją królowi, by go uleczyć z trądu.

- Nie sądzi pan, że to ta sama rzecz?

- Myślę, że jest możliwe, iż ta tkanina była kopią.

- W jaki sposób Baldwin ją znalazł? - spytała North.

- Przyjaciel Baldwina, Ormianin, który skierował go do Edessy, musiał znać tę legendę. Być może powiedział mu, że wizerunek przechowywany w Konstantynopolu jest tylko kopią, że król ma oryginał gdzieś w swoim pałacu. Pewien jestem, że po śmierci Thorosa Baldwin miał dość władzy, by przeszukać jego pałac, nie pytając nikogo o pozwolenie.

- I sądzi pan, że Baldwin dał go templariuszom?

- Zakon templariuszy powstał w roku 1118, w którym Baldwin umarł, ale wszyscy zgadzają się, że działali oni już wcześniej, co najmniej od dekady, pod nazwą Żołnierzy Chrystusa. Myślę, że Baldwin zorganizował ich właśnie po to, by strzegli tej relikwii, co czyni go pierwowzorem Króla Rybaka z legend o Świętym Graalu.

- Król Rybak to mit - burknął archeolog.

- Jak większość mitów o bohaterach, osnuty wokół faktów - odparł Ethan. - Jeśli zna Pan tę legendę, to wie pan, że Król Rybak był starcem, niezdolnym do chodzenia z powodu rany, jaką otrzymał, według niektórych wersji tej historii, w krocze. Dokładnie to spotkało Baldwina w ostatnim roku jego życia, tym samym, w którym oficjalnie założony został zakon. Król Rybak panował w odległym miejscu, które niewielu rycerzom udawało się odnaleźć. Był samotnikiem, miał brata, który poniósł śmierć z ręki wrogów, i w wielkiej tajemnicy trzymał to, co posiadał, wzbraniając się nawet nazwać tę rzecz. Wszystko to idealnie pasuje do informacji, które mamy na temat Baldwina.

- Jak więc wszedł pan w posiadanie tego przedmiotu? -dociekał Starr, nagle podniecony tą myślą.

- Roland już panu powiedział.

- Roland opowiedział mi jakąś bajeczkę! Chcę znać prawdę.

- Proszę pana, powiedziałem panu wszystko, co mogłem. Rozumie pan, jak sędzę, że nie jest to obraz, który mógłby pan wywiesić w swoim muzeum.

Jonas Starr przez chwilę rozważał tę sprawę w milczeniu. Wreszcie zwrócił się do bratanicy:

- Nicole, skarbie, może zrobiłabyś mi nowego drinka?

Kiedy North szła przez pokój, spojrzenie Ethana nieuchronnie przyłgnęło do jej sylwetki. Tego właśnie Starr potrzebował. Wyciągnął spod marynarki poręczny pistolet z zamocowanym tłumikiem i wymierzył Ethanowi w serce.

- Za dwadzieścia pięć milionów, synu, chcę prawdy, całej prawdy i tylko prawdy!

- Woli pan obraz czy prawdę, doktorze Starr?

- Dostanę jedno i drugie, a jeśli się pan pospieszy, pozwolę panu nawet wyjść stąd na dwóch sprawnych nogach! - Wymierzył broń w kolano Ethana.

Ethan podniósł wzrok na Nicole. Obserwowała go z zimnokrwistą obojętnością.

- Musimy poznać nazwisko osoby, której go pan ukradł -powiedziała. - Bez tej informacji obraz nie ma dla nas wartości.

- Dlaczego?

- To nie pańska sprawa! - wrzasnął Starr.

- Czyżby planował pan wyeliminowanie problemu?

- Odpowiedz na pytanie, chłopcze, dopóki możesz jeszcze chodzić.

- Ukradłem ten obraz Julianowi Corbeau.

- Temu zbiegowi z Ameryki? - Nicole zareagowała niedowierzaniem. - To zaprzysięgły satanista!

- To również człowiek, który zrobi wszystko, by odzyskać swoją własność, jeżeli dowie się, że jest w waszym posiadaniu, i mam wrażenie, że nie będzie się bawił w uprzejmości.

- Nie rozumiem jego zainteresowania portretem Chrystusa - naciskała North.

Nie bała się Corbeau. Nie dawał jej spokoju tylko fakt, że święta relikwia znajdowała się w posiadaniu prawdziwego diabła.

- Uważa się, doktor North, że święte przedmioty mają szczególną moc. Dla wiernych oznacza to uzdrawianie, cuda, wizje, natchnienie. Dla zamieszanych w okultyzm, jak Julian Corbeau, takie przedmioty mogą być użyteczne jako media, poprzez które mistrz magii kontaktuje się ze światem duchowym, albo przynajmniej udaje, że to robi. Święte obiekty miałyby rzekomo przewodzić energię i działać jako przejścia pomiędzy światem materialnym a duchowym. Im rzecz jest bardziej święta, jeśli użyć takiego porównania, tym większa potęga magii.

- To ohydne - stwierdziła lodowatym tonem.

- Nie sędzę, żeby Corbeau był pierwszą osobą, która posługuje się tym obrazem w taki sposób. Myślę, że templariusze używali go w trakcie obrzędów obejmujących wywoływanie duchów, a może nawet dzieciobójstwo. Ich zepsucie jest zbyt dobrze udokumentowane, by uwierzyć, że zarzuty, jakie im czyniono, były w całości sfabrykowane przez króla Francji. Po skromnych początkach, gdy jako rycerze zakonni wyrzekali się własności czy też bogactw, templariusze stali się uosobieniem arogancji, a ich nazwa - synonimem hipokryzji. Jawnie zaprzeczali Konstytucji swego zgromadzenia i znani byli z fascynacji okultyzmem. Bafomet zdaje się znajdować w centrum tego wszystkiego. Oczywiście księża, którzy poszukiwali Bafometa w ów niesławny piątek trzynastego października 1307 roku, szukali twarzy diabła, więc go przeoczyli, i tak obraz Chrystusa w koronie cier-

niowej został zapakowany wraz z innymi obiektami rytualnymi i wysłany do Watykanu.

Jonas Starr schował pistolet do kabury.

- Cóż, my położymy kres tym sprawkom z okultyzmem, obiecuję panu! Kiedy już będziemy mieli ten obraz, tylko ludzie kochający Boga będą mogli go oglądać.

- Tak właśnie zaczynali templariusze.

- No cóż... my nie jesteśmy templariuszami! - Starr wstał i wyciągnął dłoń przeproszającym gestem. - Mam nadzieję, że nie chowa pan urazy.

- Wciąż chcą państwo kupić ten obraz?

- Jesteśmy umówieni z Rolandem jutro rano w banku, żeby go obejrzeć - odparł, opuszczając rękę, gdy Ethan odmówił uścisku dłoni. - Zakładając, że wszystko, co usłyszeliśmy od Rolanda i od pana, jest prawdą, gwarantuję, że go kupimy!

Ethan skinął głową i ruszył w kierunku drzwi.

- Jeszcze jedna sprawa, doktorze Starr - spojrzał na starego człowieka beznamiętnie. - Proszę nie myśleć, że może pan dwukrotnie trzymać mnie na muszce.

Uśmiech Jonasa Starra stał się chłodniejszy, ale nie spuścił wzroku z Ethana.

- Będę o tym pamiętał, panie Brand. Z całą pewnością.

Malloy zadzwonił do Gwen w niedzielę wieczorem - dla niej było to popołudnie. Maluje, jak mu powiedziała, autoportret, ale nie sądzi, żeby go zainteresował. Jest zbyt abstrakcyjny. Rozmawiali o nim i brzmiało to ciekawie. Kiedy zapytała o Zurych, czy spotkał tam swoje dawne dziewczyny, miał pokusę, żeby wspomnieć o contessie, ale oparł się temu impulsowi. Powiedział, że nie widuje tu nikogo prócz siwowłosych bankierów.

Poniedziałek upłynął mu na wizytach u dawnych przyjaciół, opowieściach, co się zmieniło w życiu prywatnym, i sondowaniu, na ile są chętni, by odnowić stare kontakty. Późnym wieczorem próbował zadzwonić do Gwen, ale jej nie zastał. Mogła mieć mnóstwo powodów, żeby wyłączyć telefon. Malloy jednak nie potrafił zagłuszyć w sobie niepokoju o nią.

Po jedenastej, tego samego wieczoru, znalazł Marcusa Ste-inera w pubie Jamesa Joyce'a. Przysiadł się, oczekując raportu o przylocie Nicole North do Szwajcarii. Marcus nie zawiódł go.

- Pojawiła się wczoraj w towarzystwie mężczyzny o nazwisku Starr. Doktor Jonas Starr. - Malloy skinął głową z namysłem. Nie spodziewał się go, ale nie był zaskoczony. Doświadczenie i wiedza wuja Nicole mogły być przydatne. - Zameldowali się w apartamencie w Savoyu i mieli jednego gościa, właściciela antykwariatu, Ethana Branda.

- Co masz na niego? Brand Books, prawda? Marcus przytaknął i pociągnął łyk piwa.

- Sklep istnieje od kilku lat. Brand nie był notowany.

- Znam go. Kiedyś ciągle do niego wpadałem. To bystry chłopak. Maniak średniowiecza. Powiedział mi któregoś razu, że był na stypendium w Notre Dame. Zamierzał zostać księdzem, ale kiedy tam przyjechał, odkrył istnienie kobiet.

- Spędził z North i Starrem około dwudziestu minut, potem szwendał się po mieście, wypił cztery kolejki czerwonego Johnnie Walkera i wrócił do swojego mieszkania. Chcesz, żebym dalej go obserwował?

- Chyba nie, ale na pewno chciałbym wiedzieć, co robił z moimi ludźmi.

- W tym nie mogę ci pomóc, wiem natomiast, że twoi ludzie poszli dziś rano do banku. Roland Wheeler już tam był. Po jakichś czterdziestu minutach Starr i North pojechali taksówką na uniwersytet. Było to około południa.

- Co robili na uniwersytecie?

- Sam byłem tego ciekaw. Prześledziliśmy sprawę i dowiedzieliśmy się, że byli umówieni z dyrektorem laboratorium wykonującego badania izotopem węgla.

- Datowali tę deskę.

- Wpadłem tam później i pokazałem blachę. Dyrektor powiedział mi, że mieli odłamek drewna wielkości mniejszej niż główka gwoźdźca i chcieli, żeby im go przebadał. Normalnie czeka się na wynik od czterech do sześciu miesięcy, ale samo badanie nie trwa zbyt długo, a za opłatę, jaką oferowali, ominęli kolejkę.

- Dowiedziałeś się, co wykazało datowanie?

- Z dokładnością do czterdziestu lat, dyrektor ocenił, że drzewo zostało ścięte w połowie i wieku. - Malloy wpatrywał się w przyjaciela, jakby nie pojmował. - Pierwszy wiek, Thomas.

- Powiedzieli mi, że obraz pochodzi z XII wieku.

- Skłamacz.

- Portret Chrystusa z i stulecia... Przypuszczam, że nie ma takich zbyt wielu. - Cena zaczynała teraz brzmieć sensownie.

Marcus uśmiechnął się.

- Hasan może nam znaleźć kupca w Rosji za dziesięć, piętnaście, dwadzieścia milionów? Kto wie? - Hasan Barzani był bossem świata przestępczego, któremu obaj bardzo pomogli w karierze, poświęcając na to wiele czasu i wysiłku. - Odgrywamy małe zamieszanie i pstryk, obraz po prostu znika!

- Przypominam sobie wykład, jaki mi zrobiłeś kilka lat temu na temat szwajcarskich najemników. Kiedy już raz sprzedali swoje usługi, nigdy nie przechodzili na stronę przeciwników, choćby proponowano im wyższą cenę.

- To była przez pięć stuleci kwestia dumy narodowej, Thomas. Sprzedawaliśmy się temu, kto najlepiej płacił, owszem, ale byliśmy warci swojej ceny. W ca-

łych annałach europejskiej historii nie ma ani jednego przypadku, żeby szwajcarski najemnik zdradził tego, kto go opłacił. Pewnie mamy to w genach.

- Więc ty byłbyś pierwszym?

- Ależ Thomas! Ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobił! To ty zawarłeś umowę z tymi ludźmi. A ty możesz robić, co tylko chcesz. Jesteś Amerykaninem. Nie masz żadnej tradycji! Ja natomiast nająłem się do pracy dla ciebie. Powiedz, co chcesz zrobić, a ja się tym zajmę. Chcesz, żeby obraz zniknął w Rosji, zniknie. Chcesz, żeby pojechał do Nowego Jorku, dopilnuję, żeby tam dotarł.

- Ukraść portret Jezusa to jak sięgnąć po pieniądze z tacy w kościele.

Marcus obojętnie wzruszył ramionami.

- Zdarza się.

- Nie zdarzy się jutro.

- W młodości spędziłeś zbyt wiele czasu w Szwajcarii. Myślę, że przejąłeś nasze zwyczaje. - Marcus wydawał się z lekka rozczarowany, ale nic ponadto.

- Jesteśmy umówieni na jutro?

- Będę miał dwóch ludzi na jednym z dachów po drugiej stronie rzeki. Jeśli na zewnątrz banku zdarzy się coś nieprzewidzianego, mają instrukcje, żeby się tym zająć bez konsultacji ze mną.

- Gumowe kule? Marcus przytaknął.

- Ostre naboje w rezerwie.

- Będę potrzebował kogoś, kto pojedzie ze mną pociągiem... i kamizelki kuloodpornej.

Przyjaciel spojrzał na niego z zaciekawieniem, ale nie dopytywał się, skąd ta zmiana planów.

- Mam kogoś idealnego, ale jest drogi.

- Wart swojej ceny?

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał się o tym przekonać.

Malloy podał mu pod stołem kolejny plik banknotów. Marcus wziął pieniądze bez liczenia.

- Ktoś ci podrzuci kamizelkę do hotelu, zanim pojedziesz do banku. Coś jeszcze?

Malloy zawahał się. Nie był pewien, czy chce o tym mówić, ale gnębiło go to od spotkania z contessą.

- Czy sądzisz, że nie jestem już taki dobry jak kiedyś? Marcus wzruszył chudymi ramionami. Popatrzył w głąb sali.

- Ludzie się starzeją.

- Nie odpowiadasz na moje pytanie.

- Nie sądzę, żeby to jutro miało znaczenie. Nie zamierzamy nikogo zabić ani ukraść *Mona Lisy*. Przecież przewozimy tylko przez miasto kawałek drewna!

- Mam przeczucie. Nie wiem, na ile jest trafne, ale sądzę, że mogą być kłopoty, nawet całkiem spore.

- Jeśli chcesz, możemy zmienić plany.

Malloy już to rozważał. Dość łatwo byłoby zniknąć po wyjściu z banku i pojawić się znów w Nowym Jorku, podczas gdy obraz przewiózłby któryś z ludzi Marcusa, ale bagaż dyplomatyczny Whitefielda dawał stuprocentową gwarancję, że nie odkryją go przypadkiem celnicy w Zurychu lub Nowym Jorku. Żaden inny plan nie dawał takiej ochrony.

- Zróbmy wszystko tak, jak ustaliliśmy, ale miejmy oczy szeroko otwarte.

Jerozolima Zima

A.D. 26-27

Jerozolima w niczym nie przypominała Cezarei. Cezarea była nowoczesnym miastem, zrodzonym z potęgi imperium. Jerozolima była nieopisanie stara. Jedynie wielka Świątynia Salomona, wieża Antonia i pałac Heroda były w zasadzie współczesne. Poza tym małym zakątkiem architektury judeo-rzymskiej niewiele można było zauważyć rzeczy, które cieszyłyby oko cudzoziemca. Nawet wielkim budowlom, które Herod odnowił w stylu rzymskim, brakowało wszelkiego rodzaju rzeźb, więc zupełnie nie wyglądały na rzymskie. Łuki i kolumny, liście akantu, jońskie ślimacznice, korynckie medaliony nie były naprawdę rzymskie bez wizerunków bogów, wieńczących dzieło, a słynna wschodnia obfitość nie miała nic do zaoferowania, by to zrekompensować.

Po pewnym czasie poczucie pustki, można by niemal powiedzieć: bezpłodności, wkradło się do serca Piłata. Miał spędzić zimę w tym zatłoczonym, śmierdzącym, niegościnnym mieście, które najchętniej opuściłby po kilku zaledwie dniach. Oczywiście był zbyt dobrym żołnierzem, żeby się skarżyć lub ogłosić nagłą zmianę planów dla wygody własnej lub swojej żony. Cierpiał więc.

W ciągu tej pierwszej, długiej zimy zdarzył mu się moment rozbawienia, który sprawił niezamierzony żart jego żony. Jeszcze dobrze nie zdomowili się w wielkim pałacu i patrzyli właśnie na Świątynię, poprzez ogromny plac, kiedy Prokula całkiem niewinnie oświadczyła, że bardzo by chciała wejść do wnętrza i rozejrzeć się. Czy mógłby urządzić dla niej taką wycieczkę?

- Z trzema lub czterema centuriami żołnierzy, jak przypuszczam - odparł Piłat - choć i tak nie sądzę, byśmy wyszli stamtąd żywi. - Widząc jej zmieszane spojrzenie, dodał: - Nie jesteśmy mile widziani poza Dziedzińcem Pogan, Prokulo. Żydzi uważają, że porządnie wykąpany Rzymianin mógłby zanieczyścić powietrze i obrazić przez to ich Boga.

Oczywiście nie była to ich ostatnia rozmowa o kulturze Żydów. W Jerozolimie nie można było od tego uciec. Widziało się ich każdego dnia, jak gromadzą się przed Świątynią, zapewne konspirując, być może czcząc swego Boga, z całą pewnością prowadząc interesy. Żołnierze stacjonujący wewnątrz miasta nosili specjalne zbroje, pozbawione wszelkich insygniów ludzkich i zwierzęcych. Kohorty trzymały swe sztandary ukryte w wielkiej zbrojowni ponad miastem, na górze Masada. Nawet monety, które wybijał Piłat, były inne niż w całym imperium. Nie było na nich zwierząt ani ludzkich ciał czy twarzy, a jedynie kłosa zbóż dla dekoracji. Rzymianie dostosowywali się tak bardzo, że wydawało się, iż to Jerozolima włada Rzymem, a nie odwrotnie.

- Czy ty ich lubisz, panie?

- Nie jest moją sprawą lubić ich - odpowiedział swej żonie z dostojną obojętnością. - Moją sprawą jest rządzić nimi i nakładać podatki.

Prawda była taka, że Piłat ich nienawidził. Czuł się tak, jakby to pierwsze zetknięcie z nimi w sprawie sztandaru z wizerunkiem cesarza pozostawiło wrażenie, iż jest bezsilny i głupi, i nie rozumiejąc właściwie tego impulsu, przewidywał następny protest, podobnie jak gladiatorzy uczą się w końcu wyczuwać arenę. Protest nadszedł szybciej, niż Piłat to sobie wyobrażał. Nie zdając sobie z tego sprawy, sam wprowadził go w ruch. Był to, nawet w retrospekcji, niewinny błąd, nieprzewidywalny dla żadnej rozsądnej osoby. Podobnie jak wiele innych katastrof, sprawa zaczęła się od nowej przyjaźni.

Nikodema znali wszyscy, Rzymianie, Żydzi, Egipcjanie i Syryjczycy, jako najbogatszego człowieka w Judei. Zjawił się pewnego ranka, wkrótce po tym, gdy Piłat wprowadził się do pałacu Heroda, i błagał o łaskę spotkania z nowym prefektem. Jak inni ludzie z jego sfery, Nikodem zawarł własny pokój z Rzymianami, kiedy najstarszy syn Heroda, Archelaus, o mały włos nie zniszczył Jerozolimy przez swą niekompetencję. Teraz Nikodem był starym człowiekiem. Miał syna o tym samym imieniu, o kilka lat młodszego od Piłata. Ojciec i syn przyszli razem.

Nikodem posłał niewolników, by prosili o audiencję, z cennym darem dla żony prefekta: pięknym rubinowym wisiolem na złotym łańcuszku. Piłat, gdy tylko go ujrzał, wiedział już, z jakiego rodzaju człowiekiem ma do czynienia, i zarezerwował sobie cały ranek na to spotkanie. Dodatkowo, zorganizował w sali przyjęć wartę honorową, by powitała gości. Nikodem przyjął tę oznakę szacunku jako rzecz mu należną, ale był dość mądry, by do swych upominków dodać, z długimi przeprosinami za jego wady, niezwykle pierścień z kameą, przedstawiający postacie mężczyzny i kobiety, trzymających się za ręce. Dla Piłata miał „czworo dzieci Salomona”, które czekały na dziedzicu.

Widząc zmieszanie Piłata, Nikodem wyjaśnił, że według legendy starożytny król Żydów wybił wszystkie konie w swym królestwie, zachowując jedynie cztery klacze, z których zamierzał wyhodować rasę rumaków, jakich nie ma nigdzie na świecie: zwierzę pustynne, wytrzymałe niczym wielbłąd, szybkie jak gazela i niemal tak inteligentne jak człowiek, który je dosiada!

- Oczywiście więc, że nazywamy je Dziećmi Salomona. Czy zechciałbyś, ekscelencjo, zobaczyć te cztery, które wybrałem dla ciebie?

- Są naprawdę wspaniałe! - wykrzyknął Piłat, gdyż zwierzęta wzbudziły w nim nieklamany podziw. Głowy miały małe i subtelne, oczy duże i lśniące, zady wysokie, nogi cienkie, temperament ognisty, a ich bujne grzywy ozdobione były

delikatnymi złotymi frędzlami, z wplecionymi w nie łażkami pereł. - Ale musisz mi powiedzieć, jak mogę się odwdzięczyć za tak wspaniały dar - dodał po chwili podziwu i zauroczenia.

Nikodem odpowiedział ze zręcznością dyplomaty:

- Nie proszę o nic prócz twojej przyjaźni, panie, jeśli nie oznacza to prośby o zbyt wiele.

Od tego dnia Nikodem niejedną raz podejmował Piłata i kilku innych dygnitarzy w swej posiadłości ziemskiej, a urządzone przez niego uczyty trwały całymi dniami - w rzymskim stylu. Nie przestawał ofiarowywać biżuterii, którą zawsze wręczał mężowi, grzecznie jednak wymieniając imię Klaudii Prokuli. Wraz ze swym najstarszym synem Nikodem zabierał też prefekta na długie przejażdżki, by pokazać mu, jak rozległe ma posiadłości. Niekiedy odważał się nawet doradzać Piłatowi, w jaki sposób rządzić Jerozolimą, by uniknąć konfliktów.

Jego zdaniem było to naprawdę proste. Piłat musi tylko zrozumieć, że mógł zastąpić dawnego arcykapłana Świątyni Kajfaszem, ale Kajfasz od tej pory ożenił się z jedną z córek Annasza, teraz więc jest jego zięciem.

-Będąc nim, Kajfasz rządzi Jerozolimą zgodnie z wolą swojego teścia. - Starszy człowiek uśmiechnął się, widząc konsternację Piłata. - Nie myśl, panie - dodał - że możesz wyznaczyć innego i nie mieć żadnych kłopotów, jak tylko kolejne małżeństwo. Prefekt rzymski mianuje arcykapłana, lecz arcykapłan niezmiennie służy Świątyni, która należy do saduceuszów. Miej tę myśl również w pamięci. Kiedy kłócisz się z kapłanami, kłócisz się z całą Judea. Kiedy efektywnie z nimi negocjujesz, wtedy masz za sobą negocjacje z całą Judea. Ponieważ zignorowanie ich życzeń będzie cię wiele kosztować, ich powinna sporo kosztować twoja zgoda. Oni mają pieniądze. W istocie mają ich mnóstwo. Mądry prefekt potrafi ich skłonić, by je wydawali w sposób korzystny dla niego.

Podczas jednej z przejażdżek Nikodem pokazał Piłatowi ziemię, która była sucha i jałowa i obwieścił, że nabył ją całkiem niedawno, po dobrej cenie.

- Właściwie będzie bezużyteczna przez większą część roku - zauważył Nikodem dobrodusznie. - Przyda się jedynie do wypasania gęsi wczesną wiosną. Oczywiście, większość z nich zostanie zabita, kiedy przejdą powodzie, ale poza tym jest to piękny kawałek ziemi, nieprawdaż?

- Dlaczego miałbyś kupować taką posiadłość, Nikodemie? - zapytał Piłat zaskoczony, gdyż owszem, była piękna, jak często są pustynie, ale najzupełniej bezużyteczna.

Syn Nikodema odpowiedział za ojca:

- Potrzeba jedynie wody, by wszystko zmienić. Można by tędy poprowadzić odnogę akweduktu miejskiego, a ziemia ta wyżywiłaby swymi plonami całą Jerozolimę.

- Nie tylko to. Gdybyśmy mieli wodę... - zaczął Nikodem tęsknie.

Piłat rozważał, jakie konsekwencje miałby taki projekt w Rzymie. Tyberiusz był okrutny z konieczności, skąpy z natury. Gdyby się dowiedział, że jego prefekt roztrwonil pieniądze z podatków imperialnych na projekt tego rodzaju, Piłat miałby szczęście, gdyby uszedł z życiem. Milczał więc, niczym człowiek niezdolny zrozumieć, o co się go prosi.

- Opłacenie tego - dodał Nikodem z namysłem, jakby rozumiał wahanie swego przyjaciela - to jest prawdziwy problem.

- W Świątyni jest wystarczająco dużo pieniędzy, by zbudować dwadzieścia akweduktów, ojciec - powiedział młodszy z Nikodemów.

- Co do tego nie ma wątpliwości, mój synu - zgodził się z tym samym namysłem Nikodem - ale skłonić ich, by wydobyli te fundusze, to zupełnie inna sprawa.

- Być może mógłbym porozmawiać z Kajfaszem - zadeklarował Piłat niechętnie. - Byłoby marnotrawstwem nie uczynić ziemi takiej jak ta płodną.

- Kajfasz będzie ci się przeciwstawiał, jeżeli nie dasz mu tego, czego pragnie, prefekcie.

- A cóż to jest, Nikodemie? Nikodem uśmiechnął się.

- To, czego pragną wszyscy kapłani, ekscelencjo.

Kajfasz wahał się w rozmowie z Piłatem, ponieważ, jak mówił, nie był pewien, czy pieniądze są osiągalne. Piłat odpowiedział gładko, przewidziawszy te opory.

- I jest jeszcze dodatkowy problem do rozważenia. - Arcykapłan czekał niecierpliwie. - Musiałbym polegać na was w kwestii utrzymania pokoju w Jerozolimie, gdyż byłbym zmuszony wycofać z miasta wszystkie moje oddziały na rok lub nawet dłużej. Właściwie wątpię, czy udałoby mi się w na

stępnym roku spędzić choć tydzień w Jerozolimie, gdybyśmy mieli przystąpić do tego projektu. Oczywiście zorganizowałbym to tak, by moi żołnierze byli osiągalni w nagłych wypadkach, ale poza tym musielibyście przejąć cały ciężar utrzymania bezpieczeństwa w mieście.

Kajfasz nie był aż tak nieszczerzy, by oczy mu nie zabłyśły na myśl o pozbyciu się z Jerozolimy znienawidzonych legionów i przypisaniu sobie tej zasługi, ale powtórzył swe zrytualizowane wahania. Musi porozmawiać o tej sprawie z innymi kapłanami.

- Czy masz, panie, jakieś szacunki niezbędnych wydatków?

Piłat przedstawił szacunki. Kilka dni później złoto zostało dostarczone do jego skarbcza. Kiedy to się stało, Piłat rozkazał większości swych oddziałów wymarsz z Jerozolimy, by rozpocząć budowę, a z pozostałymi odjechał do Cezarei jako człowiek znacznie bogatszy, niż kiedy ją opuszczał.

Pierwszy sygnał kłopotów nadszedł jeszcze tej samej wiosny, gdy przed pustym pałacem Heroda wybuchł spontaniczny protest w sprawie owej odnogi akweduktu. Jej cień, obwieścili protestujący, pada na cmentarz żydowski. Piłat nie mógł w to uwierzyć, gdy otrzymał relację Kajfasza o zamieszkach. Próbując uspokoić emocje, które bez wątpienia wymknęły się spod kontroli, napisał Kajfaszowi, by oznajmił, że kiedy słońce zmieni swą pozycję po wiosennym zrównaniu dnia z nocą, cień niewątpliwie także będzie padał gdzie indziej. Następny list był bardziej nagły. Uczestnicy zamieszek wdarli się do pałacu, niszcząc wiele z jego wyposażenia. Akwedukt, jak mówili, musi zostać zburzony, inaczej cała Jerozolima zapłonie.

Piłat rozkazał, aby kohorta Legionu Freteńskiego weszła do miasta, ukrywając się wśród miejscowej ludności. Podobnie kawalerii syryjskiej rozkazał pojawić się tam w przebraniu cywilów. Na koniec zwołał straż honorową pod komendą Korneliusza i udał się do Jerozolimy. W liście, który poprzedził jego przyjazd o niecałe dwie doby, obiecał spotkanie ze wszystkimi mieszkańcami, którzy zechcą omówić z nim sprawę akweduktu. Przyjechawszy późnym wieczorem, Piłat zastał pałac po większej części nienadający się do zamieszkania, a w każdym razie za taki go uznał, i spotkanie z mieszkańcami zainteresowanymi sprawą akweduktu zorganizował na wielkim placu przed Świątynią.

Następnego ranka zasiadł do rozmów właściwie sam. Stał przy nim jedynie tłumacz i dwóch osobistych niewolników, którzy mieli sporządzać notatki. Ludzie ci byli oczywiście nieuzbrojeni. Korneliusz w pełnym umundurowaniu bojowym, wraz z tuzinem ludzi z osobistej straży prefekta, stał o kilka kroków za jego mównicą. Piłat miał na sobie togę z purpurowymi pasami, na znak przynależności do klasy ekwitów. Jego miecz i sztylet ukryte były starannie w fałdach ubrania. Wypatrywał w tłumie twarzy Żydów, których widział już wcześniej, ale nikogo nie rozpoznał. Zlewali się w masę oskarżenia i złości. Z pewnością Ju-

dasz nie był już rzecznikiem elementów radykalnych w mieście, ale to było wszystko, co prefekt potrafił ustalić. Pomyślał, że to dziwne, gdyż ludzie tacy jak Judasz nie popadają cicho w zapomnienie, lecz raczej lśnią silnym blaskiem w godzinie swej chwały, by potem zginąć gwałtownie. Miał nadzieję, że to, z czym ma teraz do czynienia, okaże się ostatnim protestem radykalnych Żydów.

Liczbę przybyłych oszacował na pięć tysięcy, było ich więc znacznie więcej niż w początkowych doniesieniach Kajfasza. Jak wskazywał arcykapłan, nie mieli przywódcy ani wyraźnego planu działania. Ludzie po prostu chcieli ochronić cmentarz, kiedy indziej zapomniany, choć przechodziło wszelkie pojęcie, jak cień padający na grób, miałby obrażać zmarłego. Na żądanie Piłata Korneliusz nakazał tłumowi uciszyć się i wezwał, by różni rzecznicy wystąpili naprzód, grupą, aby wyjaśnić cesarskiemu prefektowi Judei naturę problemu i swoją propozycję jego rozwiązania.

Niemal stu ludzi chciało mówić, choć większość z nich zgłosiła się po to jedynie, by mieć przywilej nakrzyczenia na Rzymianina. Piłat nie żałował im tej przyjemności. W jego zamyśle usprawiedliwiała ona to, co miało nastąpić. Jednak, kiedy krzyki zaczęły zagłuszać jego tłumacza, a rozwścieczony tłum pchał się coraz bliżej, w Piłacie zaczęła narastać nieufność. Był późny wiosenny ranek, a już zrobiło się nieznośnie gorąco. Słońce zlewało na nich wszystkich swe promienie, podczas gdy Piłat usiłował odpowiadać na zarzuty w sposób rozsądny i uporządkowany.

Kiedy już wypowiedział swą obronę, nastąpił drugi atak słowny, tym razem ze strony młodego podżegacza, niewiele się różniącego od Judasza, choć nie tak przystojnego ani tak elokwentnego. Kiedy mówił, jego zwolennicy pokrzykiwali z aprobatą. W podnieceniu nie zauważyli ludzi Piłata, którzy wmieszali się pomiędzy nich przebrani za Żydów lub wędrowców z pustyni. Chodzi o dwie sprawy, oświadczył podżegacz, dwa rozwiązania są niezbędne. Po pierwsze, Rzy-

mianie muszą zburzyć akwedukt i zbudować go, jeśli musi zostać zbudowany, ponad ziemią, która nie została poświęcona na pochówek zmarłych, za pieniądze ze skarbcza imperium, nie z zasobów Świątyni. Po drugie, Rzym musi zwrócić pieniądze skradzione ze Świątyni na budowę pierwszego akweduktu.

Gdy przebrzmiały już okrzyki poparcia po tej przemowie, Piłat dał odpowiedź. Powoli, lecz z mocą, wyjaśnił im korzyści z akweduktu. Co więcej, dodał, absurdem jest wyobrażać sobie, że pozbyłby się efektów półrocznej pracy z powodu cmentarza.

-Na miłość bogów! - wykrzyknął. - Czy nienawidzicie wody tak bardzo, że obróciłibyście żyzną ziemię w pustynię dlatego tylko, iż cień akweduktu pada na grób jakiegoś żebraka?!

Gdy tłumacz Piłata powtórzył jego mowę w tłumie zawrzało. Pewna liczba ludzi wybiegła naprzód, krzycząc coś niespójnie, gdyż Żydzi, najwyraźniej byli bardzo przywiązani do swoich zmarłych. Kiedy Korneliusz nakazał im się uciszyć, podżegacz powiedział Piłatowi, iż żebracy i królowie śpią w tej samej poświęconej ziemi.

- Ci, którzy nie czczą zmarłych - zakończył - kalają ich!

- Jerozolima potrzebuje wody - odparł Piłat z wykalkulowanym zapalem. - Dla dobra żywych, zmarli zawsze milczą. Cóż obchodzi zmarłych, czy cień pada na ich cmentarz? Żywi muszą pić. Muszą się myć. Muszą jeść owoce tej ziemi! Od stuleci życie na pustyni. Dzięki rzymskiej technologii nagle macie tyle wody, ile potrzebujecie. Zmieniliśmy pustkowia w ogrody, a ja jeszcze muszę podróżować z Cezarei do Jerozolimy, by wam tłumaczyć powody waszego dobrobytu!

Z tłumy wystąpił inny człowiek. Dobrobyt, powiedział, to dobrobyt Rzymian okupiony życiem Żydów. Namiestnik opustoszył skarbiec Świątyni, dodał, dla swoich kąpiel!

-Mówicie o nieczystości - stwierdził Piłat, pozwalając, by to zdanie wybrzmiało. Był to sygnał dla jego oddziałów. - Nieczystość i zanieczyszczenie! A to właśnie wy zupełnie nie dbacie o czystość! Wskazujecie na rzymskich zarządców, ludzi, którzy myją się codziennie, i macie czelność sugerować, że nie jesteśmy godni wejść do waszej Świątyni, gdyż nie jesteśmy czysti! Mówię wam to, gdyż prawda jest oczywista dla wszystkich prócz was samych. Wasz pustynny bóg nie bez powodu uczynił was niewolnikami Rzymian: sam wasz zapach przyprawia go o mdłości!

Zaczęli wrzeszczeć, zanim jeszcze tłumacz Piłata skończył powtarzać jego słowa. Potrząsali pięściami i przeklinali go. Wzywali swego boga, by ich pomścił.

Dopiero kiedy rozpoznali, że wrzaski rozlegające się za nimi to wrzawa bitewna, zawahali się i wtedy właśnie Korneliusz rzucił się w kierunku mównicy. Piłat zobaczył, jak miecz setnika przecina wyciągnięte ramię. Krew z tej rany bryznęła na jego togę. Ludzie Korneliusza tworzyli teraz zwartą zasłonę wokół prefekta, lecz Żydzi nie myśleli już o Piłacie. Żołnierze, stojący pośród nich, wymachiwali mieczami z należytą gorliwością. Pierwsza fala ataku powaliła tych, którzy stali najbliżej Piłata. Padali niczym pszenica pod uderzeniami kosy.

Kiedy drugi kontyngent żołnierzy przedzierał się przez środek placu, spiesząc ku obronie prefekta, nieuzbrojony tłum zaczął się rozpraszać. Widząc posiłki nadchodzące, by wesprzeć pierwsze dwie centurie, tym razem w pełnym umundurowaniu, Żydzi uciekli z placu i pognali w stronę drogi prowadzącej do niższej części Jerozolimy, znanej jako Miasto Dawida.

Ci, którzy nie mogli poruszać się dość szybko, unieruchomieni przez masę ludzką przed nimi, natychmiast padali od miecza. Pozostali gnali dalej w rozpaczliwym, szalonym pędzie, umykając z placu po to tylko, by wpaść w ręce syryjskiej kawalerii Piłata. Przywódcy, kiedy dostrzegli pułapkę, zatrzymali się i

próbowali zawrócić. Ci jednak, którzy byli za nimi, wciąż biegli naprzód. Wynik był tyleż przewidywalny, co przerażający.

Syryjczycy, nie przepadając za Żydami, uderzyli na nich z większą zaciętością niż chłodni weterani z Legionu Freteńskiego, poganiając swe konie, by trawowały tych, którzy upadli na bruk. Ci spośród Żydów, którym udało się powrócić na plac, napotykali znowu piechotę Piłata i podnosili ręce w geście poddania się, ale to nie było możliwe. Piłat witał ich falangą zdyscyplinowanej rzymskiej piechoty.

W dwanaście minut po rozpoczęciu rzezi nie stał na nogach już nikt, kto nie służyłby Rzymowi. Cztery tysiące żydowskich mężczyzn leżało martwych. Spośród około tysiąca tych, którzy przeżyli masakrę, Piłat zgromadził wszystkich całych i bez widocznych ran i wybrał z nich setkę na chybił trafił, kazać ich ukrzyżować wzdłuż drogi wiodącej do bramy Susim - tak zwanej Bramy Królewskiej.

Pozostałych wypuścił - niech znają jego miłosierdzie.

Zurych

10 października 2006 roku

Bank Goetz & Ritter zajmował cały czteropiętrowy budynek narożny, o jedną przecznicę na wschód od Bahnhofstrasse. Zbudowano go z kamiennych płyt na początku XX wieku. Zgodnie z ówczesną modą budynek epatował neogotycką przesadą. Architekt szczególnie upodobał sobie liście bluszczu, winogrona, anioły i gołębice. Były tu maleńkie balkoniki, niespełniające żadnej funkcji, a pozostałe gdzieś tam puste miejsca pokrywały medaliony. Okna wyższych pięter obramowane były pilastrami we wszystkich klasycznych stylach: doryckim na drugiej kondygnacji, jońskim na trzeciej i koryncym na czwartej. Gmach był całkiem typowy dla Zurychu, ale Malloy i tak przyglądał mu się przez dłuższą

chwile. Drzwi frontowe wychodziły na niewielki okrągły podjazd. Miejsca parkingowe przewidziane były tylko dla garstki klientów, ale dawały im dostęp do trzech różnych dróg wylotowych w ciągu zaledwie kilku sekund.

Problem polegał na tym, że po włączeniu się do ruchu miejskiego, pole manewru było mocno ograniczone. Jeżeli policja byłaby zainteresowana przechwyceniem kogoś, kto opuszczał dzielnicę bankową, mogłaby to zrobić w wielu dokładnie zaprojektowanych „wąskich gardłach”. Sprawiało to, że napad na bank w śródmieściu Zurychu nie miałby większych szans powodzenia. Trudności nie ograniczały się wyłącznie do tego. Goetz & Ritter był odsłonięty z trzech stron, co pozwalało policji otworzyć ogień z kilku różnych dachów. Co było dostępne dla mundurowych, było też dla innych. Po wyjściu z banku wystawi się na strzały. To zagrożenie Malloy wyeliminował, na ile tylko mógł, zatrudniając dwóch policyjnych snajperów, którzy akurat nie byli na służbie, i wkładając dyskretnie pod luźny sweter i marynarkę, kamizelkę kuloodporną.

Bezpieczne i szybkie wydostanie się z miasta, to była całkiem inna sprawa.

Malloy przeszedł na czwartą stronę budynku, gdzie spokojnie płynęła rzeka Limmat. Tak się składało, że w małym porcie, ulokowanym w pobliżu banku Goetz & Ritter, zacumowanych było dwadzieścia lub trzydzieści prywatnych łodzi. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej rzeka przepływała pod niskim, bogato zdobionym mostem i wpływała do Jeziora Zuryskiego.

Stanąwszy znów przed fasadą budynku, Malloy nie znalazł tam uzbrojonych strażników, jedynie zamknięte drzwi. Nacisnął dzwonek, a zapytany o swoją tożsamość, odpowiedział po angielsku: „Pan Thomas”. Usłyszał brzęczenie i kliknięcie zamka, po czym patrzył, jak otwierają się ciężkie drzwi. Po chwili znalazł się w małej, elegancko umeblowanej recepcji i został uprzejmie przywitany przez młodą kobietę, która od razu zadzwoniła na górę. Dwie minuty później pojawiła

się pani Berlini i zaprowadziła go do windy. Powiedziała mu po angielsku, że zarówno pan Wheeler, jak i doktor North, przyjechali przed kilkoma minutami.

Siedzieli już w biurze dyrektora, kiedy Malloy dołączył do nich w towarzystwie swojej przewodniczki. Hans Goetz zajmował strategiczne miejsce za wielkim dziewiętnastowiecznym biurkiem, pasującym do stylu budynku. Nicole North i Roland Wheeler siedzieli naprzeciw niego. Wheeler i Goetz powstali, kiedy wszedł Malloy, przedstawili się i uścisnęli mu ręce z wojskowym klaśnięciem dłoni, w stylu europejskim. Goetz był niskim, schludnym mężczyzną o siwych włosach i wyjątkowo rumianej cerze. Miał przyjazny uśmiech i nienaganne maniere. Jego biurko, na którym nawet spinacze ułożone były w tym samym kierunku, potwierdzało, że jest to człowiek dbający o szczegóły. Malloy widział ten typ już setki razy. Zaludniali kafejki, restauracje i bary w dzielnicach finansowych. Byli rasą wesołą i pewną siebie, choć tylko dopóty, dopóki wszystko układało się dokładnie tak, jak zaplanowali. Ta fasada rozpryskiwała się w momencie, kiedy cokolwiek poszło źle. Tacy byli szwajcarscy bankierzy.

Roland Wheeler, po sześćdziesiątce, wysoki, wyprostowany, o siwych włosach i ciemnej opaleniznie, która wyglądała naturalnie i nadawała mu atrakcyjny wygląd, był uosobieniem angielskiej pewności siebie. Z danych, które przekazał mu Marcus, wynikało, że Wheeler utrzymuje rezydencję zimową w Cannes i drugą na południu Hiszpanii. Mężczyzna miał na sobie grafitowy garnitur, złotą spinkę do krawata i pasujące do niej spinki u mankietów. Ubierał się dobrze, nawet jak na zuryskie standardy. Malloy potrzebował tylko chwili, by uświadomić sobie, że jest to człowiek obdarzony tym wielkomięskim obyciem, które przekonuje zamożnych klientów, by zaufali jego osądowi. Przy całym swym wyrafowaniu w głębi serca był handlarzem. Dbał o innych. Udzielał rad. Godził się na straty w drobnych transakcjach, by klienci tym bardziej mogli mu zaufać, kiedy przyjdzie do kupna rzeczy o wielkiej wartości. Malloy pomyślał, że Wheeler na-

leży do tego typu ludzi, którzy w lot pojmują dynamikę sytuacji czy też niuansy rozmowy, a jednocześnie nie dają się łatwo wyprowadzić z równowagi ani zdekoncentrować. Wszelkie zaś niedogodności rekompensuje sobie wysokimi prowizjami.

Najlepszym świadectwem jego umiejętności był sposób, w jaki włączył w to spotkanie panią Berlini. Nicole North była klientką, Hans Goetz - dyrektorem banku, Malloyowi miano powierzyć wielką fortunę. Wszyscy oni zasługiwali na jego uwagę i szacunek. Pani Berlini natomiast była tylko pracownikiem banku. Pomimo to, traktował ją po partnersku. Nie chodziło też o zwykłą kurtuazję. Najwyraźniej, pomyślał Malloy, zdobyła sobie szacunek Wheelera. Trudno było odgadnąć, jak ożywione są ich kontakty, ale nie ulegało wątpliwości, że Wheeler niejednokrotnie miał już do czynienia z Goetzem i jego asystentką.

Doktor North mogłaby się wiele od niego nauczyć. Każdy jej gest, każda odmowa kontaktu wzrokowego zdradzały nieuświadomione poczucie wyższości. Nie wynikało ono jedynie z faktu, że była tu najbogatszą osobą. Wyglądała, jakby naprawdę wierzyła w swą moralną wyższość nad pozostałymi i niemal spodziewała się, że któreś z nich sięgnie po broń. Kurczowo trzymała swój pakunek, niecierpliwiając się, żeby wreszcie mieć za sobą tę nieprzyjemną sprawę. Nie mogło to jednak nastąpić, dopóki Goetz nie otrzymał potwierdzenia, że dokonany został elektroniczny transfer funduszy.

Skracając sobie oczekiwanie, Malloy rozmawiał z bankierem i handlarzem dzieł sztuki o pogodzie. Zauważył, że jesienią w Zurychu nadzwyczaj rzadko pada deszcz. Czy dobrze zna to miasto? Malloy wyprostował nogi i wygodniej odchylił się w fotelu. Dorastał w Zurychu, powiedział. Pociągnęło to za sobą pytania o jego znajomość niemieckiego. Odparł nienagannym szwajcarskim niemieckim, że jego wysokoniemiecki jest zaledwie znośny, ale w odmianie szwajcarskiej mówi tym językiem całkiem dobrze. Jego akcent i konstrukcja gramatyczna

tego zdania zachwyciły obu panów, szczególnie Goetza. To najzupełniej niezwykle, stwierdził, żeby ktoś nauczył się szwajcarskiej odmiany niemieckiego.

Wheeler zgodził się z nim, mówiąc teraz językiem wysoko-niemieckim. Mieszka w Zurychu już kilkanaście lat. Chociaż przybywając tu, mówił płynnie po niemiecku, wciąż ma problemy ze zrozumieniem miejscowego dialektu. Jego córka posługuje się wysokoniemieckim, powiedział, ale tylko, kiedy musi. Woli włoski, w którym mówi lepiej niż po angielsku, a „wiejskiego niemieckiego” nienawidzi bardziej niż *Brautwiirst* i *Riisti*. Zakończywszy tę przemowę, Wheeler jakby się nagle zreflektował. Przeprosił Nicole North. Pewnie uważa ich za niegrzecznych, powiedział, z powodu tego wykluczenia jej z rozmowy. Malloy pojął, że wykluczenie było celowe, a ów pokaz dobrych manier miał jedynie podkreślić obrazę. Tak po europejsku.

- Ależ nic się nie stało - odparła z miażdżącym potępieniem, które próbowała zamaskować szerokim teksańskim uśmiechem.

Wychwytyjąc to napięcie, Goetz zauważył, że sprawa jest niemalże zakończona. Kobieta ukradkiem spojrzała na drzwi.

Po prawie półtorej minuty niezręcznego milczenia zadzwonił telefon. Hans Goetz odebrał w szwajcarskim dialekcie niemieckiego. Odwieszając słuchawkę, oznajmił im, że transfer środków został dokonany.

Doktor North podała pakunek Malloyowi z twarzą wykrzywioną grymasem, niczym kobieta, która oddaje swoje dziecko pod opiekę obcej osoby.

- Będzie pan się z nim ostrożnie obchodził?

- Jakby od tego zależało moje życie. Wheeler zaśmiał się, odrobinę jedynie udając.

- Jeśli już o tym mówimy, myślę, że tak właśnie jest! Malloy umieścił pakunek wewnątrz teczki, którą przyniósł

ze sobą, i czekał, aż North zbierze się do wyjścia. W tym momencie kobieta wstała szybko, jakby właśnie przypominając sobie instrukcje. Posłała im sztywny uśmiech.

- Miło mi było.

Jej spojrzenie przeskoczyło nagle na teczkę. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego wyszła z biura z pośpiechem. Pani Berlini poszła za nią. Wheeler i Goetz wyglądali, jakby mieli ochotę skomentować jej opryskliwe zachowanie, oparli się jednak tej chęci. Aby przełamać niemą nastroj, Malloy zapytał o prognozę pogody na resztę tygodnia. Obaj panowie odzyskali równowagę. Pogoda ma być znośna dziś i jutro, ale w czwartek rano ma nadejść gęsta mgła. Ich rozmowa o słońcu, mgle i deszczu w krainie czekolady skończyła się nagle wraz z powrotem pani Berlini. Doktor North odjechała sprzed banku bez żadnych incydentów, powiedziała. Malloy uśmiechnął się przyjaźnie do Wheelera i Goetza.

- Było mi bardzo miło, panowie - pożegnał się, a potem zwrócił się do pani Berlini w szwajcarskim niemieckim: - Czy mogę prosić, by wskazała mi pani drogę do wyjścia?

- Ależ oczywiście - odparła młoda kobieta z chłodnym, choć całkiem ładnym uśmiechem.

W windzie Malloy, używając nadal szwajcarskiego niemieckiego, mówił o pięknym wystroju banku. Pani Berlini odpowiedziała, że jest to komfortowe miejsce pracy.

- A pan Goetz? - nalegał Malloy. - Jest dobrym szefem?

- Jest jednym z najbardziej szanowanych bankierów w Zurychu - oświadczyła.

Malloy nie komentował tej wymijającej odpowiedzi, bo świetnie ją rozumiał. Bankier rezerwował wszelką słodycz, jaka pozostała w jego skarłatej duszy, dla klientów. Ci, którzy byli jego podwładnymi, mogli liczyć jedynie na niezmordo-

wany nadzór i pracę, w której najmniejsze uchybienie nie przejdzie niezauważone. Grzeczną odpowiedź pani Berlini łatwo było przetłumaczyć: praca dla Hansa Goetza była koszmarem.

W holu Malloy zapytał, czy mógłby skorzystać z toalety. Pani Berlini skierowała go w wąski korytarzyk biegnący na tył budynku. Gdy już zamknął za sobą drzwi, zadzwonił do Marcusa.

- Za minutę - powiedział.

Wyszedłszy znów na korytarz, zapytał o tylne wyjście. Czy to w tę stronę?

Młoda kobieta zarumieniła się z lekka. Nie przywykła sprzeciwiać się życzeniom klientów, ale nie mogła też pozwolić na najmniejsze nawet pogwałcenie protokołu.

- Obawiam się, że mógłby pan z niego skorzystać tylko w razie nagłego wypadku.

Malloy uśmiechnął się.

- Załóżmy, że to jest nagły wypadek. Czy to w tę stronę?

- Tak, ale...

Nie czekał, aż skończy. Na tyłach budynku przełączył dzwignię alarmu na drzwiach i wyszedł.

Skierował się w stronę doku i nadszedł akurat w chwili, kiedy Marcus dobijał do brzegu skradzioną łodzią motorową, którą wybrał ze względu na jej szybkość. Malloy wskoczył do niej i chwycił karabin M-16, który zorganizował mu przyjaciel. Ładując pocisk do komory, ustawił przełącznik na pozycję w pełni automatyczną.

Marcus wyprowadził łódź z powrotem na środek rzeki, z wściekłym rykiem jej dwóch silników, w tym samym momencie, w którym dwóch ochroniarzy wybiegło na tył banku. Snajperzy Marcusa otworzyli ogień i obaj strażnicy rzucili się z powrotem do wnętrza budynku. Łódź przepłynęła pod niskim mostem od-

dzielającym rzekę od jeziora. Kiedy tylko go minęli, Malloy długą serią z broni maszynowej zmusił przechodniów na moście do rzucenia się na ziemię. Czyniąc to, szukał kogoś, kto nie reagowałby tak jak inni, ale kiedy skończył, nikt nie stał. Załadował karabin drugim magazynkiem - tym razem ostrej amunicji - i spojrzął w stronę jeziora, podczas gdy łódź mknęła po wodzie z prędkością prawie osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Nikt nas nie śledzi? - zapytał Marcus, nie odwracając się. Malloy przepatrywał linię brzegu i port po stronie jeziora.

Wciąż nie było tam widać żadnego ruchu, z wyjątkiem gorączkowego poruszenia na moście, gdzie przechodnie sięgali po telefony komórkowe. Oddaliwszy się już prawie pół kilometra od centrum miasta, mieli jezioro dla siebie.

- Nikt! - odpowiedział.

Marcus wyciągnął telefon komórkowy i nacisnął przycisk szybkiego wybierania.

- Za minutę - rzucił. Dopiero wtedy jego ramiona rozluźniły się nieco.

Wpłynęli do prywatnej przystani w Zurichhorn, w pobliżu kasyna. Znajdowała się w miejscu, do którego w środku dnia niemożliwe było szybkie dotarcie samochodem. Opróżnili łódź, dyskretnie ukryli broń i odnaleźli czekającego na nich kierowcę Marcusa, zuryskiego glinę po służbie. Kwadrans później, w gęstym ruchu śródmieścia, przejechali przez ten sam most, pod którym płynęli wcześniej, i przebili się do wioski Dietlikon, leżącej w połowie drogi między Zurychem a jego lotniskiem.

Malloy musiał złapać pociąg.

Na dźwięk alarmu Hans Goetz sięgnął po telefon. Twarz mu poczerwieniała, kiedy wykrzykiwał pytania. W tym samym czasie Roland Wheeler niespiesznie

podszedł do okna i popatrzył w dół, na rzekę. Kurier doktor North biegł w kierunku portu.

- To pan Thomas - powiedział Goetzowi. - Wyszedł na tył twojego budynku.

Hans Goetz patrzył na niego niezdecydowanie. Bankierzy zawsze wyobrażają sobie najgorsze, gdy słyszą alarm. Z drugiej jednak strony, użycie wyjścia ewakuacyjnego bez zezwolenia trudno uznać za kryzys, nieprawdaż? Wheeler wskazał na rzekę Limmat.

- Czeka na niego wyścigowa motorówka.

Goetz odłożył słuchawkę telefonu i podszedł do okna. Trwało to chwilę, zanim pojął, co widzi. Twarz ostygła mu nieco, była już tylko zaróżowiona, a oddech stawał się mniej gorączkowy. Na dźwięk serii z broni maszynowej obaj, Goetz i Wheeler, odwrócili się od okna i przywarli do ścian. Gdy tylko ogień ustał, Goetz podszedł znów do telefonu i gorączkowo wybrał numer.

- Wiem! - krzyczał. - Ale nie jesteśmy okradani!

Pani Berlini wpadła do jego biura z oczami rozszerzonymi z podniecenia i strachu. Goetz, słuchając niecierpliwie swojego rozmówcy, wykrzyknął w końcu:

- Oczywiście, że musimy wezwać policję!

Rzucił słuchawkę i spojrzał na Wheelera i panią Berlini.

- Mówiłam mu, że nie może tamtędy wychodzić! - powiedziała Berlini.

Goetz wyglądał, jakby chciał ją winić, ale się opanował. Problem spowodował pan Thomas.

- Amerykanie! - wykrzyknął ze złością. - Oni wszyscy są kowbojami!

Wheeler zaśmiał się pogodnie.

- Pan Thomas chce tylko zapracować na swoją zapłatę, Hans! Więc mamy odrobinę przygody.

- Ten alarm będzie mnie kosztował...

- Zapłać. Co ci zależy? Zarobiłeś dziś taką prowizję, że stać cię na to.

- Jeśli chciał skorzystać z tylnych drzwi, mógł poprosić o pozwolenie!
- Pan Thomas nie wyglądał mi na człowieka, który prosi o pozwolenie, cokolwiek robi.

Na stacji kolejowej w Dietlikon Malloy zobaczył trzy osoby: starszego pana trzymającego gazetę, naczelnika stacji, który pozostawał wewnątrz jej budynku, i otyłego mężczyznę w średnim wieku, w brudnym, białym płaszczu typu trencz. Kiedy ich mercedes wjeżdżał na parking, Marcus gestem wskazał na mężczyznę w trenczu.

- Maks - powiedział.

Malloy, który właśnie skończył się przebierać, zerknął przez okno. Maks zdawał się należeć do owej rosnącej rzeszy wschodnioeuropejskich emigrantów, napływającej na Zachód. Wychowani przez wojnę i nawykli brać to, na co mieli ochotę, tworzyli w Europie Zachodniej nową klasę przestępców zdolnych do wszelkich form przemocy. Ten akurat, smagły i łysiejący, dobiegał pięćdziesiątki. Przechadzał się powoli, z obiema rękami zanurzonymi w kieszeniach swojego niechlujnego płaszcza.

- Maks trzyma w podszewce podpiłowaną śrutówkę, załadowaną nabojami na jelenie, więc bądź dla niego miły, Thomas. Jest bardzo wrażliwy na krytykę.

Malloy uśmiechnął się, gdyż Maks wyglądał na kogoś równie wrażliwego, jak hydrant przeciwpożarowy.

- Spotkam się z tobą już na lotnisku. Nie zapomnij mojej walizki i komputera.

- Są w bagażniku - odezwał się kierowca Marcusa. Malloy ze swetra i spodni przebrał się w parę dzinsów

i sportową bluzę, która zakrywała jego kamizelkę kuloodporną. Miał na sobie długi, skórzany płaszcz i czapkę baseballową. Zmienił też buty. Pakunek trzymał

ukryty w porannym wydaniu „Herald Tribune”, a pożyczonego glocka zapakował do kabury zakładanej na ramię, pod płaszczem. Sigmę kaliber 380 jak zwykle miał włożoną w kaburę i wetkniętą za pas na plecach. Kupił w automacie bilet na lotnisko, spojrzął na zegarek i usiadł na ławce naprzeciwko torów. Z tyłu i z prawej strony osłaniały go ściany dworca, a Maks stał przed nim na peronie, więc obaj mieli pod kontrolą wszystkie drogi dojścia na stację.

Tuż przed przyjazdem pociągu na peron weszła dziewczynka z tornistrem. Poza tym na stacji Dietlikon nic się nie działo. Kiedy pociąg już wjechał, dokładnie według rozkładu, wysiadło z niego dwóch nastolatków. Śmiali się i popychali nawzajem jak typowi dorastający chłopcy. Malloy obserwował ich odbicie w szybie, by się upewnić, że są dokładnie tym, kim się wydają. Gdy zbliżył się do wagonu pierwszej klasy, w jego drzwiach pojawił się biznesmen po trzydziestce. Malloy poczekał, aż wysiądzie, a kiedy był już pewien, że mężczyzna się oddalił, wsiadł do pociągu.

Poza Bobem Whitefieldem w wagonie pierwszej klasy były dwie osoby: starsza pani po osiemdziesiątce i dwudziestokilkuletni młodzieniec. Whitefield siedział z przodu i wydawał się zajęty gazetą. Kobieta zajmowała miejsce w środkowej części wagonu, po tej samej stronie co Whitefield, a młody człowiek na samym tyle, również po tej samej stronie. Malloy trzymał swoją gazetę w lewej ręce. Przechodząc obok Whitefielda, pozwolił, by pakunek wyslizgnął mu się spomiędzy jej stronic, a Whitefield natychmiast przykrył go własną gazetą.

Idąc dalej przejściem, wybrał miejsce o jeden rząd za starszą panią, po przeciwnej stronie. Maks wszedł do wagonu z drugiego końca. Malloy nie oglądał się na niego, ale był pewien, że wybrał siedzenie po drugiej stronie przejścia względem młodego człowieka. Było to jedyne miejsce, które pozwalało mu mieć na muszce wszystkich w przedziale.

Kiedy pociąg ruszył, Malloy wyjął glocka i ukrył go w gazecie. Plan był prosty, a szanse, że nic nie zakłóci rutynowej podróży na lotnisko - spore. Malloy i Maks będą szli za Bobem Whitefieldem, aż przejdzie kontrolę przed lotem. Wtedy Malloy zostawi broń w schowku i odbierze swój bagaż. Marcus, w randze kapitana zuryskiej policji, może swobodnie poruszać się po lotnisku, będzie więc uważać na Whitefielda, dopóki on i Malloy nie wsiądą do samolotu. Jedyne prawdziwe niebezpieczeństwo mogło czyhać pomiędzy stacją Dietlikon a lotniskiem, ale tu nie było już przystanków.

Przez pięć minut jazdy w kierunku lotniska nikt nie przychodził do wagonu pierwszej klasy, ale kiedy pociąg wtoczył się w tunel, drzwiami od strony Boba wszedł młody człowiek. Był wysoki i całkiem nieźle zbudowany, miał około dwudziestu pięciu lat. Ubrany niczym punk z lat osiemdziesiątych, który to styl nie zniknął całkiem z niemieckich ulic, miał ogoloną całą głowę, z wyjątkiem jaszkrawoniebieskiego irokeza, który sterczał pośrodku czaszki. Ubrany był w czarną skórzaną kurtkę z metalowymi ćwiekami na ramionach i nadgarstkach. Na wyświechtanej koszulce miał jakiś obsceniczny napis, którego Malloy nie mógł w całości odczytać. Znoszone spodnie z demobilu i ciężkie czarne glany dopełniały jego charakterystycznego wyglądu. Minał Boba, nie spoglądając na niego, ale kiedy zobaczył Malloya, demonstracyjnie wgapił się w niego.

Malloy udawał, że nie zauważa tej oczywistej agresji. Obserwował ręce młodego człowieka. Były na razie puste, ale w całej postaci dostrzegał jakieś natężenie energii sugerujące, że czeka tylko na pretekst, by po coś sięgnąć, najprawdopodobniej po nóż, ale możliwe też, że po spluwę. Irokez zapytał w wysokoniemieckim:

- Na co tak patrzysz?

- O co chodzi, Marco? - spytał swojego kierowcę po włosku Roland Wheeler. Byli o trzy przecznice od banku Goetz & Ritter.

- Policja.

Wheeler rozejrzał się z irytacją, szukając znaków zabraniających ruchu pojazdów. Marco zazwyczaj nie popełniał błędów, ale dzielnicy finansowej nie sposób było przejechać, nie łamiąc tego czy innego przepisu.

Samochód policyjny zwolnił i zatrzymał się w zatoczce. Marco wjechał tam za nim. Dwaj policjanci przez chwilę siedzieli spokojnie wewnątrz samochodu patrolowego. Wheeler przypuszczał, że czekają na najświeższe informacje na temat alarmu w banku. Kiedy się dowiedzą, z kim mają do czynienia, na pewno zażyczą sobie obejrzeć dokumenty jego i samochodu, ale na tym się skończy. A jeśli nawet się myli, cóż, po dzisiejszym poranku stać go na zapłacenie mandatu! Nie oszalał jeszcze na punkcie pieniędzy tak jak Goetz.

Policjanci powoli wysiedli z wozu. Byli to typowi szwajcarscy oficerowie, schludni, muskularni, o nadzwyczaj celowych ruchach. Podeszli z obu stron do mercedesa Wheelera. Ten, który podszedł od strony kierowcy, dał Marcowi znak, by opuścić szybę.

- Zrób to - powiedział Wheeler.

- *Guten Tag* - powitał ich policjant, używając formy wyso-koniemieckiej, zamiast zwyczajowego szwajcarskiego *Griietzi*. - Czy mogę zobaczyć pański dowód rejestracyjny i prawo jazdy?

Mówił tak, jakby wiedział, że są cudzoziemcami, co było dziwne, ponieważ Wheeler miał zuryskie tablice rejestracyjne.

Marco wpatrywał się w policjanta bez słowa, czekając, aż pracodawca przetłumaczy mu polecenia i powie, co ma robić. Wheeler odezwał się po włosku, mówiąc Marcowi, by pokazał swoje prawo jazdy i dowód rejestracyjny samochodu. Szofer sięgnął w kierunku konsoli. W tym samym momencie policjant przeciągnął ręką po jego szyi. Ogromne ciało Marca drgnęło, a krew rozprysła się po desce rozdzielczej i przedniej szybie. Dziwny, zdławiony dźwięk wydobył

się z jego gardła. Zanim Wheeler zdołał się poruszyć, zanim w ogóle zdał sobie sprawę, że nie ma dokąd uciec i nie ma broni, po którą mógłby sięgnąć, drugi policjant wymierzył pistolet w okno. Celował w jego głowę.

- Proszę otworzyć drzwi - powiedział pierwszy z policjantów, wciąż posługując się wysokoniemieckim.

Wheeler nie zareagował. Siedział znieruchomiał z przerażenia. Policjant stojący po stronie pasażera opuścił broń, celując w jego krocze, i odezwał się po angielsku:

- Nie będę więcej powtarzał. Otwórz drzwi.

Wheeler rozglądał się niemądrze, zastanawiając się, które drzwi mają na myśli. Potem szarpnął za klamkę. Była zablokowana. Znalazł przełącznik, a złoczyńca otworzył drzwi i gestem kazał mu się przesunąć na drugą stronę, by zrobić miejsce. Policjant, który podszedł od strony kierowcy, wyszarpywał teraz ciało Marca z samochodu na ulicę. Usadowił się za kierownicą i wrzucił bieg.

Zanim Wheeler w ogóle uświadomił sobie, co się stało, już jechali.

- Doktor North?

Umundurowani policjanci byli młodzi i dobrze ubrani. Grzecznie oddalili od niej wyloty luf przewieszonych przez ramię karabinów maszynowych.

- Tak?

- Czy zechce pani pójść z nami?

Nicole była sama. Miała przy sobie tylko małą torbę podróżną i zwolniła już ochronę.

- O co chodzi?

- Nasz przełożony prosił, byśmy przyprowadzili panią do jego biura.

- Muszę zdążyć na samolot.

- Nie będzie problemu. To nie potrwa długo.

Obraz, pomyślała. Zakładają, że ona go przemyca. Cóż, mogą przeszukiwać, co tylko chcą, ale się rozczarują.

- Czemu nie? - zapytała z nagłym uśmiechem.

Malloy nie odpowiedział młodemu człowiekowi. Odniósłszy moralne zwycięstwo, irokez przeszedł obok niego. W tym momencie pojawił się drugi punk, podobnie jak pierwszy, wchodząc drzwiami od strony Whitefielda. Ten z kolei miał żółtego irokeza i był prawdopodobnie starszy o jakieś pięć lat od pierwszego, a swoją skórzaną kurtkę niósł w prawej ręce. Zachwiał się odrobinę, kiedy odwrócił się tyłem, niby po to, by zamknąć drzwi, a jego kurtka dziwnie się poruszyła. Malloy właśnie to analizował, kiedy ujrzał w szybie po przeciwnej stronie korytarza odbicie lufy broni, która wynurzała się zza jego zagłówka i niemalże dotykała mu czaszki.

Zanim zdołał zareagować, wystrzał z broni Maksa powalił niedoszęłego zabójcę na podłogę. Człowiek z żółtym irokezem zrzucił kurtkę i wycelował broń w pomocnika Malloya, który właśnie ładował następny pocisk do magazynka. Malloy lekko uniósł swojego glocka i wystrzelił, a kiedy punk poleciał na drzwi i osunął się na podłogę, wstał z uniesioną bronią, by mieć w zasięgu ognia chłopaka siedzącego naprzeciw Maksa. Ten jednak leżał już na podłodze, przykrywszy ramionami głowę. Starsza pani wpatrywała się w Malloya bez słowa. Na jej twarzy malowała się dziwna mieszanka zdziwienia i zaciekawienia. Strach jeszcze nie dotarł do jej świadomości. Instynktownie odezwał się do niej w szwajcarskim niemieckim:

- Kręcimy film. My wszyscy jesteśmy aktorami!

Na jej twarzy odmalowała się ulga. W ułamku sekundy wszystko nabrało sensu.

Malloy nie słyszał następnego strzału. Dotarł do niego tylko dźwięk tłuczonego szkła i upadek Maksa na podłogę. Spodziejając się, że mężczyzna wejdzie do przedziału, wycelował glocka w drzwi za Maksem, zabójca jednak wysiadł z pociągu, który właśnie dojeżdżał do stacji, i ruszył wzdłuż peronu, aż dotarł do okna Malloya. Wtedy uniósł broń.

Malloy wystrzelił trzy razy i przeciwnik upadł na beton. Broń wypadła mu z rąk. Ludzie wokół niego rozpierzchli się w poszukiwaniu schronienia, krzycząc w panice. Maks głośno jęczał, próbując wstać. Twarz miał siną i zbolałą. Malloy patrzył w jego stronę, nie zauważył więc mężczyzny, który strzelił do niego z zewnątrz. Poczul tylko, jak coś rzuciło go w tył, na siedzenia po drugiej stronie przejścia. Upadając, usłyszał odgłos strzału, któremu odpowiedziała Maksowa dwunastka na jelenie. Na chwilę zapadła cisza.

Malloy przetoczył się po podłodze. Oddech miał gwałtowny i krótki. Dotknął swojej kamizelki i znalazł w jej warstwach gorącą metalową kulkę.

- Peron jest czysty - rzucił Maks po angielsku. - Jeśli masz iść, to najlepiej teraz.

Malloy wziął głęboki, bolesny oddech i poczołgał się przejściem pomiędzy rzędami siedzeń. Kiedy dotarł na przód wagonu, ujrzał Whitefielda rozciągniętego na siedzeniu, z dziurką od kuli w czole. Wziął pakunek, odepchnął ciało zabójcy sprzed drzwi i wyszedł z wagonu. Miał do wyboru dwoje drzwi. Jedne wychodziły na peron, drugie na pusty tor. Spróbował otworzyć drzwi od strony torów, ale były zablokowane. Peron nadal był pusty, nie licząc dwóch leżących ciał. Po drugiej stronie czekał jakiś pociąg. Malloy widział przez okna ludzi, wpatrujących się z przerażeniem w trupy uzbrojonych mężczyzn. Przez drzwi przeszedł Maks.

- Jeszcze pół minuty i będą tu gliny. Są już na schodach ruchomych.

Malloy obserwował pociąg naprzeciw nich, poszukując oznak jakiegoś ruchu. Niczego się nie dopatrzywszy, ruszył do drzwi. Kiedy to zrobił, Maks wyciągnął do przodu swoją dwunastkę.

- Cofnij się!

Przy schodach przyczał się jeszcze jeden uzbrojony napastnik.

Zamiast się schować, Malloy zeskoczył w dół pomiędzy pociąg a betonową platformę peronu. Wylądował bezpiecznie na podłożu z kruszonego kamienia, poza linią ognia. Maks wystrzelił trzy razy, podczas gdy on przetoczył się pod wagonem. Wstał po drugiej jego stronie i rozejrzał się dokoła.

Tunel był dobrze oświetlony na stacji, ale za ostatnim wagonem Malloy mógł dostrzec tylko ciemność. Mimo to puścił się sprintem w kierunku, z którego nadjechał pociąg. Kiedy już wydostał się ze stacji i wbiegł w głąb tunelu, zmuszony był zwolnić tempo na kilka przerażających chwil i usłyszał, że ktoś biegnie za nim. Maks? Mordercy? Policja? Nie mając ochoty się tego dowiadywać, przyspieszył kroku.

Światło było z początku blade, ale wystarczająco jasne, by mógł odróżnić cienie torów, kiedy dotarł do końca tunelu. Wciąż biegnąc najszybciej, jak tylko potrafił, wydostał się na światło dzienne. Obserwował wysokie betonowe mury nad głową. Po jakichś pięćdziesięciu metrach wspiął się na strome zbocze i przeciął mały skrawek ziemi. Przebiegł przez drogę dojazdową i znalazł się na parkingu Credit Suisse.

Nie tak dawno temu Szwajcarzy zostawiali kluczyki w stacyjkach. Niestety, te czasy już minęły. Teraz ich samochody miały alarmy i blokady kierownicy, jak w pozostałych krajach świata. Wszystkie drzwi były pozamykane, a większość nowych modeli nie dawała się uruchomić przez krótkie zwarcie kabli. Dodge Shadow stanowił jednak miły wyjątek od tych zabezpieczeń. Zobaczywszy taki właśnie samochód, Malloy uderzeniem pistoletu stłukł szybę i otworzył

drzwi. Wokół zamka stacyjki założona była obręcz z tworzywa sztucznego. Wytakając przedmiot o ostrej końcówce w stacyjkę i mocno pociągając w dół, powinien ją rozerwać i uzyskać dostęp do kabli zapłonu. Potrzebował tylko czegoś ostro zakończonego. Rozejrzał się wokół samochodu, ale nie zauważył nic odpowiedniego. Zdjął pasek od spodni, wetknął sprzączkę w stacyjkę i trzasnął pięścią w klamrę. Obręcz rozpadła się, odsłaniając kable. Chwilę później silnik zacharczał i przebudził się do życia.

Jeffrey Bremmer czekał, aż dwóch prywatnych ochroniarzy przyprowadzi do niego Nicole North. Kosztowało to mniej więcej po osiem tysięcy dolarów dla każdego z nich. Płacił, a oni nie zadawali żadnych pytań. Biuro należało do prawdziwego Rycerza Świątyni i miał je gratis.

Gdy tylko nadeszła, poprosił dwóch policjantów kantonalnych, żeby wyszli na zewnątrz i dopilnowali, by nikt mu nie przeszkadzał.

- Podróżowała pani z doktorem Starrem - odezwał się do niej po angielsku.

Pytanie to, z jakiegoś powodu, wytrąciło ją z równowagi.

- Co z tego?

- Gdzie on jest?

- O co tu chodzi? Kim pan jest? Chcę zobaczyć pańskie dokumenty.

Była to twarda mowa osoby, która zna swoje prawa, ale zdradzały ją oczy.,
Była przerażona.

- Muszę się skontaktować z doktorem Starrem.

- Nie mogę panu pomóc. Jeśli chce pan z nim rozmawiać, proszę go znaleźć.
Nie mam pojęcia, gdzie on jest. A teraz, czy mogę już iść? Muszę zdążyć na samolot.

Bremmer stanął za jej plecami. Smród strachu zaczął zagłuszać woń perfum kobiety.

- Musi pani mi pomóc, bo w przeciwnym razie nie przeżyje pani następnych piętnastu sekund. Radziłbym więc odpowiedzieć na moje pytanie.

North odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy, ale odwaga, podobnie jak krew z jej twarzy, zupełnie odpłynęła.

- Kim pan jest?

Bremmer zademonstrował jej obnażone ostrze brzytwy.

- Jestem człowiekiem, któremu odpowie pani na pytania i będzie posłuszna, jeśli chce pani bez odrazy zaglądać w przyszłości do lusterka. Więc gdzie jest doktor Starr?

Kobieta chwyciła się biurka, by nie upaść. Nie spuszczała wzroku z obnażonej brzytwy. Na błagania, by darował jej życie, Bremmer odpowiedział jedynie, aby podała mu informacje, których żąda.

- Miał śledzić kuriera, Thomasa Malloya. Chciał się upewnić, że nie będzie żadnych problemów.

Bremmer zadzwonił do kogoś. Mówił po niemiecku, by North nie mogła go zrozumieć. Jeśli Starr jest na lotnisku, Bremmer potrzebuje zespołu, który go natychmiast odnajdzie.

Nadeszła nieoczekiwana odpowiedź.

- Nie mamy nikogo pod ręką. Wszyscy szukają Malloya. Bremmer zachnął się gniewnie.

- Malloy? Co ty mówisz? Uciekł?

- Wszystkich dodatkowych ludzi, których mieliśmy na lotnisku, posłaliśmy, by go szukali.

- Tylko on naprawdę się liczył!

- Rozumiem to.

- Nie! Nie sądzę, żebyś rozumiał!

- Czy chce pan, żebym odwołał kogoś i wysłał na poszukiwanie Starra?

- Nie. Zadzwoń do mnie za dziesięć minut albo gdy tylko złapiecie Malloya.

Skończywszy rozmowę, Bremmer spojrzał na Nicole North i poczuł chwilowe wyrzuty sumienia. Sir Julian darował mu ją na to popołudnie - po przesłuchaniu mógł z nią zrobić wszystko, na co miał ochotę - wymagając tylko jednego: jej śmierć ma pozostawić jednoznaczne przesłanie: *Gare le Corbeau!* Od kilku dni nie mógł się doczekać tego popołudnia, a teraz nagle nic nie szło tak, jak trzeba. Malloy wymknął im się z portretem.

- Co chcecie ze mną zrobić? - spytała North.

Kate zadzwoniła do Ethana, kiedy właśnie umieszczał na drzwiach swojego zurskiego antykwariatu wywieszkę „zamknięte”. Sean, przyszły właściciel sklepu, na drugim piętrze starego budynku wyjmował z pudeł i rozmieszczał na półkach najnowsze zdobycze.

- Sprawdź swoje konto w banku - powiedziała mu Kate. Ethan nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Już sprawdziłem. Robi wrażenie.

Spojrzał w stronę regałów na drugim piętrze. Sean był i tak dość natarczywy w swoich pytaniach dotyczących sprzedaży sklepu. Chciał wiedzieć, co planuje Ethan? I co z Kate? Czy to naprawdę koniec? Rozmowa o ośmiu milionach dolarów mogłaby prawdopodobnie potwierdzić jego podejrzenia, że chodzi o coś innego niż nieoczekiwany spadek po krewnym.

- Szczęśliwy?

- To trudne pytanie - odparł Ethan. - Wiesz, że pieniądze szczęścia nie dają.

Kate zaśmiała się głośno.

- Ale z pewnością czynią nędzę łatwiejszą do zniesienia.

- Naprawdę?

- Myślałam... - odezwała się poważniejszym tonem. Ethan spodziewał się, że zaraz usłyszy słowo „koniec”.

- O nas?

- Właściwie to o porzuceniu takiego życia. Myślę, że możesz mieć rację. Lepiej wycofać się teraz, w momencie największego powodzenia.

- Mówisz serio? - Ethanowi zakręciło się w głowie z podniecenia. - Myślałem, że powiesz mi, bym o tym zapomniał.

- Też tak sądziłam, ale potem doszłam do wniosku, że pracując sama... pewnie dałabym się złapać.

- Jesteś na to za dobra.

- Być może masz rację. A tak naprawdę? Naprawdę... nie chcę cię stracić.

- Byłem pewien, że zadzwonisz i powiesz mi, że z nami koniec. To znaczy, właśnie przekazałem sklep Seanowi.

Kate roześmiała się.

- Każ mu go oddać!

- Nie. Chcę robić coś innego. Może skończyć studia i spróbować zostać wykładowcą.

- Gdzie?

- Nieważne gdzie. Byle być blisko ciebie.

- Może przyjechałbyś do mojego domku dziś wieczorem i porozmawialibyśmy o... no wiesz... alternatywach. Nie zamierzam siedzieć w domu i dziergać, kiedy ty będziesz się uczył.

Ethan roześmiał się, w podnieceniu postukując butem.

- Dziś po pracy idziemy z Seanem na piwo. Jutro rano, w kancelarii prawnej, przepisuję na niego interes... - Sean krzyknął z drugiego piętra. - To właśnie był Sean.

- Pozdrów go ode mnie.

- Pozdrowię. Więc może jutro po południu? Mogę dojechać do ciebie około pierwszej.

- Zgoda, będę czekać. Hej, jeszcze jedna rzecz. Weźmiemy ślub w przyszłym tygodniu?

Rozległo się pukanie do drzwi sklepu. Ethan, odwróciwszy się, zobaczył dwóch mężczyzn w garniturach. Obaj byli w średnim wieku. Jeden z nich miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Drugi był niski i zaokrąglony, ale nawet przez marynarkę Ethan widział, że sprawały to głównie mięśnie.

- Myślałem... - Myślał, że małżeństwo nie wchodzi w grę, że to ostatnia rzecz na świecie, jakiej by pragnęła. - Kate, to brzmi sensownie! Zróbmy to!

Wyższy z dwóch mężczyzn pokazał przez szybę w drzwiach legitymację detektywa.

- Posłuchaj, ktoś tu przyszedł. Muszę kończyć.

- Czy wszystko w porządku?

Niższy z dwóch mężczyzn obejrzał się na ulicę. Ethan zrobił krok w stronę drzwi i uniosł rękę w geście oznaczającym, że podejdzie, kiedy tylko skończy rozmowę.

- Więcej niż w porządku! Mówiłaś poważnie? To znaczy, masz na myśli dzieci i „żyli długo i szczęśliwie”?

- Dlaczego nie? Jeśli już mamy to zrobić, zróbmy, jak należy.

- Brzmi wspaniale! Porozmawiamy jutro.

Ethan wciąż jeszcze się uśmiechał, otwierając drzwi dwóm detektywom. Odezwał się w dialekcie wysokoniemieckim, żeby dać im do zrozumienia, że nie rozumie szwajcarskiego niemieckiego.

-Czym mogę panom służyć?

Wyobrażał sobie, że chodzi o jakiś świstek, którego nie wypełnił poprawnie na potrzeby biurokracji. To musiało być coś takiego. Szwajcarów nic tak nie ba-

wi jak papierkowa robota. Wyższy z dwóch mężczyzn schował swoją legitymację i podał dłoń Ethanowi. Była duża i miękka, ale oczy miał rozbiegane, podobnie jak oczy jego partnera, przeszukujące wnętrze sklepu każdym spojrzeniem.

-Zimmer - powiedział.

Niższy wystąpił naprzód i również podał mu rękę.

-Kemp.

On z kolei miał małą dłoń, ale uścisk wręcz brutalny. Przez krótką chwilę zatrzymał wzrok na Ethanie, tak jakby zdejmował miarę.

- Chcielibyśmy porozmawiać z panem o kilku sprawach - wyjaśnił detektyw Zimmer.

- Jakiego rodzaju sprawach?

Sean rozerwał tekturowe pudło. Obaj mężczyźni spojrzeli w górę, najwyraźniej zaskoczeni.

- Czy jest tu ktoś jeszcze? - zapytał Zimmer.

- Mój partner w interesach.

- Niech pan mu każe zejść na dół - zażądał Kemp. W jego sposobie mówienia nie było nic przyjemnego. Język niemiecki brzmi niekiedy szorstko, więc jego użytkownicy zazwyczaj wtrącają zwroty grzecznościowe, takie jak: „Czy byłby pan tak uprzejmy”, „Czy mogę prosić”, „Jeśli nie sprawi to kłopotu”. Kiedy Ethan zaczynał naukę tego języka, te sztuczne uprzejmości bardzo go bawiły. Po niemal dekadzie życia i pracy w otoczeniu niemieckojęzycznym rozumiał, że rozkaz Kempa nie miał w sobie nawet pozorów grzeczności ani szacunku. Był równie wdzięczny, jak powiedzenie: „Niech ruszy dupę i zejdzie tu na dół!”. Szwajcarscy policjanci nigdy tak się nie wyrażają.

Ethan przyjrzał się obu mężczyznom z nagłym przerażeniem. Pomyślał, że może Zimmer złagodzi ten rozkaz, ponieważ Szwajcarzy nadzwyczaj chętnie

pomagają innym, którym brak dobrych manier, ale wydawał się równie nieświadomy obrazy, jak jego partner.

- Sean - zawołał Ethan po angielsku, drżącym głosem. -Czy mógłbyś zejść tu na chwilę?

Sean przechylił się przez barierkę i zawołał po angielsku:

- Pewnie. A o co chodzi?

- Przyszli detektywi - odparł Ethan.

Sean zagadnął do nich wesoło w szwajcarskim niemieckim. Żaden z nich nie zareagował. Powiedział coś znowu, okrążając barierkę, żeby dojść do schodów. Ethan nie potrafił dokładnie tego zrozumieć, ale było to coś o przepisaniu tytułu własności. Znowu żaden z gości nie odpowiedział i Ethan nabrał podejrzeń, że ci szwajcarscy detektywi nie rozumieją szwajcarskiej odmiany niemieckiego.

Chciał krzyknąć do Seana jakieś ostrzeżenie, ale ten był już na dole schodów.

Kemp wyjął broń. Miała zamocowany tłumik.

- Niech pan stanie tam, obok kasy - powiedział do Seana w wysokoniemieckim.

Sean przeklął ze złością i wyrzucił z siebie coś w szwajcarskim niemieckim. Ethan powiedział mu po angielsku:

- Rób, co mówią. To jest kradzież z włamaniem. Oni chcą tylko pieniędzy.

Sam w to nie wierzył. Był teraz najzupełniej pewien, że nie ma to nic wspólnego z pieniędzmi - przynajmniej nie z tymi w kasie.

- Czy ma pan jakieś biuro, gdzie moglibyśmy porozmawiać? - zapytał Ethana Zimmer.

Ethan zerknął raz na przyjaciela.

- Na górze - odpowiedział.

- Chodźmy tam zajrzeć.

Zimmer również wyciągnął pistolet z tłumikiem. Ethan zaczął protestować, że sprawa nie dotyczy Seana, ale zupełna obojętność w oczach tamtego powstrzymała go. Odwrócił się i ruszył w stronę schodów. Miał teraz całkowitą pewność, że już nie będzie nimi schodził. Gdy dotarli na górę, usłyszał przyciszony dźwięk wystrzału broni z tłumikiem. Potem dał się słyszeć odgłos upadku ciała Seana na podłogę i dziwny brzdęk pustej łuski po naboju. Wystarczyła chwila i już nie miał przyjaciela.

Nie pomyślałszy właściwie o konsekwencjach, Ethan machnął łokciem w tył, uderzając Zimmera przedramieniem w nos. Osilek odruchowo chwycił się za twarz. Kiedy to zrobił, Ethan kopnął go w pierś. Zimmer stoczył się w dół schodów. Kemp wystrzelił raz z za lady. Ethan słyszał, jak pocisk przeleciał obok niego z trzaskiem. Drugi strzał nastąpił, kiedy wykonywał salto pomiędzy dwoma regałami.

Po każdej stronie balkonu na drugim piętrze było piętnaście rzędów regałów z otwartymi półkami, stłoczonych tak ciasno, że klienci ledwie mogli się między nimi przeciskać, by oglądać książki. Pod krótszymi ścianami ustawił jeszcze po cztery regały. Na szczycie schodów mały korytarzyk prowadził do jego biura, ale gdyby tam wszedł, znalazłby się w pułapce. Rozejrzał się dokoła. Lepiej będzie, pomyślał, zostać tutaj. Regały osłaniały go. Nie, żeby to było naprawdę ważne. Oni mieli broń. On miał tylko czas.

A ten upływał.

Sobrio, Szwajcaria

Do głównego wejścia posłali Helenę Chernoff. Helena wyglądała niczym prawdziwa niemiecka *Frau* z wyższych warstw klasy średniej. Nawet w jej chodzie, kiedy się postarała, było coś z pewnością siebie osoby w średnim wieku.

Miała na sobie luźną bluzę od dresu, która ukrywała jej kamizelkę kuloodporną, czarne obcisłe spodnie i buty do biegania. Wyglądała jak kolejny weekendowy najeźdźca z północy, jeden z tych, którzy dokonywali ostatnio inwazji na małe, górskie wioski południa Szwajcarii. Weszła z pośpiechem na kręte schody ogólnodostępnej trasy spacerowej przed posesją lady Kenyon i zawahała się. Miała do wyboru dwa małe domki. Obejrzała się za siebie nerwowo i zaczęła wspinać się po zboczu w stronę drzwi frontowych jednego z nich.

Sześciuosobowy zespół zabezpieczał tyły posesji, trzech ludzi było w sąsiednim domku i jeszcze trzech w lesie. Helena była sama. Ubezpieczał ją tylko mężczyzna, który miał ją, rzekomo, śledzić. Xeno czekał w domu naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Każde z nich miało dwie sztuki broni: jedną załadowaną kulami gumowymi - do obezwładniania, jeśli będzie to konieczne, i drugą - ze środkiem usypiającym. Dodatkowo Helena ukryła w rękawie bluzy paralizator. Jeżeli nie udałoby jej się skłonić Kenyon do otwarcia drzwi, zgodnie z planem, który opracował Xeno, zespół obstawiający tyły posesji włamać się do domku, ale Helena była pierwszą i najlepszą z możliwości. Dama w potrzebie.

Pierwszą oznaką kłopotów był fakt, że Kenyon nie otworzyła drzwi niewinnie wyglądającej kobiecie. Chernoff nerwowo przestępowała z nogi na nogę, pukając do drzwi i wołając po niemiecku:

- Hej! Jest tam kto? Proszę! Jakiś mężczyzna mnie śledzi! Żadnej reakcji.

Kenyon była w środku, tyle wiedzieli. Cisza

przedłużała się, dopóki Xeno nie wyszeptał swoich rozkazów.

- Tylne wejście, przygotować się! Helena zawołała z nutą rozpaczony w głosie:

- Czy ktoś mi pomoże?

Domek lady Kenyon był typowy dla tego regionu. Zbudowany około dwustu lat temu z grubych belek i kryty szarym łupkiem skalnym, stał na skraju wioski, a z jego okien roztaczał się widok na dolinę i góry poza nią. Za posesją, na prze-

strzeni kilkuset metrów, rozciągała się na stromym zboczu alpejska łąka, przechodząca w sosnowy las, do którego wiodła tylko jedna ścieżka. Na wypadek, gdyby Kenyon dotarła aż tutaj, czekał na nią trzeci zespół.

Dojście na pozycje nastęczało niejakich trudności ze względu na otwarty teren za domem, ale Xeno poprzedniego wieczoru po cichu rozmieścił swoich ludzi w dwóch domach. Pierwszy z nich znajdował się dokładnie naprzeciwko chaty Kenyon, choć nieco niżej, po drugiej stronie wąskiej drogi. Stąd właśnie Xeno kierował akcją. Drugi dom stał obok posesji.

- Zabezpieczyliśmy tyły - obwieścił w słuchawkach głos dowódcy zespołu znajdującego się przy tylnym wyjściu.

- Utrzymajcie pozycję.

Xeno z rosnącą frustracją obserwował grę Heleny przed domem. Poruszała się nerwowo, znowu wzywając pomocy i pokazowo oglądając się za siebie w stronę wioski, gdzie w polu widzenia pojawił się już jej partner i groźnie zbliżał się do niej. Przez ostatnich kilka lat często mieszkał na ulicy

i tak też właśnie wyglądał. Nie należał do mężczyzn, których zainteresowanie ucieszyłoby kobietę.

Xeno policzył jeszcze do pięciu. Kenyon nie otworzyła drzwi, więc powiedział do mikrofonu:

- Wkraczamy!

Helena na rozkaz odeszła sprzed domu i zabezpieczała jedną stronę. Xeno nic nie widział, ale słyszał, jak dwóch jego ludzi weszło do środka. Jeden z nich krzyknął w wyso-koniemieckim:

- Policja! Jest pani aresztowana! Drugi po chwili wyszeptał do Xeno:

- Wyjechała!

- Nie mogła wyjechać! Jest wewnątrz! - odpowiedział.

- Mówię ci...

We wnętrzu domu rozległy się cztery wystrzały i Xeno krzyknął do innych:

- Kryć się!

Zurych

Ethan usłyszał kroki na schodach i zobaczył ostrożnie poruszającego się Zimmera. Ten zdawał się nie być pewny pozycji swego przeciwnika. Kiedy już znalazł się na górze, ukrył się między półkami. Być może wyobrażał sobie, że Ethan ma tu gdzieś schowaną broń. Kemp zawołał do swojego partnera w języku, którego Ethan nie potrafił rozpoznać, jakimś słowiańskim, jak sądził. W odpowiedzi na to Zimmer cofnął się, a Ethan stracił go z oczu. Bojąc się, że przy ścianie nie jest już bezpiecznie, ruszył w kierunku barierki. Wtedy Kemp wyskoczył spośród regałów poniżej niego i strzelił dwukrotnie. Stłumiony dźwięk jego broni był ledwie słyszalny. Krzyknął coś i Ethan uświadomił sobie, że kieruje swego partnera do przodu. Pozbawiony osłony zarówno barierki, jak i ściany zewnętrznej, Ethan rzucił się w drugi koniec pokoju. Pod nim Kemp zajął nową pozycję, wystrzeliwując bez skutku cztery serie.

W dalekim końcu pokoju Ethan wślizgnął się znów pod ścianę. Obejrzał się za siebie i pobiegł do przodu, ale Zimmer zrobił koło w przeciwnym kierunku i czekał na niego. Jego pierwszy strzał, przez całą długość pokoju, prawie dwadzieścia pięć metrów, zakończyłby sprawę, gdyby Ethan nie wykonał salta. Znowu znalazł się pomiędzy dwoma regałami. Po chwili ruszył w stronę barierki w nadziei przedostania się przez pokój, ale spostrzegł, że Kemp przewidział jego posunięcie.

Przetoczył się więc z powrotem w bezpieczne miejsce, a Kemp oddał trzy strzały i znów coś zawołał. Nie potrzeba było tłumaczenia: Mamy go! Ethanowi pozostało tylko kilka metrów bezpiecznej przestrzeni po obu stronach. Kiedy

Zimmer nadejdzie, zniknie nawet i to. Jediną nadzieją, jedynym kierunkiem, jaki mu pozostał, była góra. Regały miały po dwa i pół metra wysokości, a ich półki, grube na półtora centymetra, wykonane były z drewna topoli. Wspiął się na nie bez trudu, jakby wchodził po drabinie, i dotarł na górę, podczas gdy Zimmer, niczego nie podejrzewając, szedł między regałami. Wiedzieli teraz, że nie ma broń, i jasne było, że znalazł się w pułapce wąskiego przejścia pomiędzy dwoma regałami, którego oba wyjścia zamykali.

Kemp krzyknął coś z dołu, ale jeśli nawet widział, co Ethan próbuje zrobić, nie miało to znaczenia. Nie było innych możliwości. Zimmer szedł do przodu z bronią wycelowaną w podłogę, wpatrując się w przestrzeń dokładnie poniżej Ethana. Kiedy zaczął podnosić wzrok, Ethan zeskoczył mu

na ramiona. Napastnik upadł, powalony siłą uderzenia. Kiedy padali, trzasnął głową mężczyzny o ceglaną ścianę.

Kemp znów coś zawołał, ale jego kompan był już wyeliminowany, z krwawiącą głową. Ethan odwrócił go i znalazł jego pistolet. Wrzucił broń i zapasowy magazynek do kieszeni kurtki i cicho poszedł w kierunku barierki, rzucając książkę ponad regałami, tak żeby wylądowała w znacznej odległości od jego nowej pozycji. Tego tylko potrzebował.

Dochodząc do barierki, zobaczył, że Kemp ruszył za dźwiękiem upadającej książki, trzymając broń obiema rękami. Podpierając sobie nadgarstek drugą dłonią, Ethan oddał jeden strzał i obserwował przeciwnika, który wzdrygnął się, jakby trafiony, ale zaraz wycofał się w bezpieczne miejsce. Ethan strzelił jeszcze dwa razy, a tamten odpowiedział mu intensywnym ostrzałem z dołu, spomiędzy regałów, zmuszając go, żeby przywarł do zewnętrznej ściany. Zaraz potem usłyszał, jak Kemp zmienia magazynek, rzucił się więc do przodu w nadziei, że uda się tamtego zaskoczyć, ale pomieszczenie wydawało się puste. Postanowił

sprawdzić Zimmera. Osilek leżał rozpostarty, tak jak go zostawił. Ethan zastygł w bezruchu, nasłuchując.

Szybko jednak wyszedł z ukrycia. Kempa wciąż nie było widać. Skrył się? Jest ranny? Martwy? Ethan szedł wzdłuż barierki, dopóki wystarczyło mu odwagi, potem wycofał się. Po chwili znowu podszedł do barierki i wystrzelił po jednej serii w obie strony pokoju na dole, w nadziei, że napastnik da się sprowokować do strzału, ale ten się nie ujawniał. Ethan pozostał na tej pozycji tak długo, jak się odważył, i ponownie się ukrył.

Kiedy już miał przekonać sam siebie, żeby spróbować zejść schodami, zobaczył coś, przez co włosy stanęły mu na głowie z przerażenia.

Sobrio

Kate zeskoczyła z grubych belek stropowych i wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, co się dzieje przed domem. Kobieta odeszła, ale mężczyzna, który rzekomo miał ją śledzić, rzucił się na trawnik, szukając osłony. Wycelowwała w jego szeroką pierś i wystrzeliła trzy serie, a potem wyrzuciła pusty magazynek, przeładowała broń i skierowała się do tylnych drzwi. Wychodząc, zobaczyła czwartego mężczyznę z boku domu i strzeliła do niego dwukrotnie - obydwie trafiła. Oddalając się od powalonego napastnika wzdłuż ściany domu, wskoczyła w wąską uliczkę pomiędzy swoją chatką a szopą do przechowywania ziarna. Idąc z wysuniętym coltem, miała nadzieję zobaczyć tamtą kobietę, ale się zawiodła. Odwróciwszy się, dostrzegła, że mężczyzna, do którego wcześniej strzeliła, celuje do niej z karabinu. Instynktownie odpowiedziała ogniem, mierząc najpierw w ramię, potem w głowę.

Mieli na sobie kamizelki. Tych dwóch wewnątrz domu było martwych, ale tamten przed wejściem... prawdopodobnie nie. A kobieta? Na chwilę odeszła, ale

może teraz okrąży dom, żeby odciąć Kate jedyną drogę prowadzącą prosto do lasu. Największe szanse daje jej szybkie ukrycie się między drzewami, zanim tamci uderzą z flanki. Jeśli dotrze do sosen, będzie mogła ich pobić, nieważne ilu by ludzi przeciw niej wystawili. Wbiegła na wzgórze, przecinając otwartą przestrzeń i nie oglądając się za siebie. Jeśli chodzi o broń krótką, w ciągu kilku sekund zdoła się znaleźć poza jej zasięgiem.

Nie widziała nikogo, ale upadając, słyszała za sobą odgłos strzału. Już na ziemi, czując piekący ból w zranionym biodrze, zobaczyła, że to jednak tamta kobieta podchodzi do niej.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zgubiła swoją broń. Usiadła, przeszukując ziemię wokół siebie, żeby ją znaleźć. Miała zawroty głowy. Na biodrze namacała pocisk z zastrzykiem usypiającym i zaraz po tym oczy rozjechały jej się, a szare niebo zaczęło wirować.

Ostatnia myśl przeraziła ją tak bardzo, jak nic innego od momentu śmierci męża: Corbeau chce ją mieć żywą!

Zurych

Dym wydostawał się z szybu wentylacyjnego pośrodku pomieszczenia. Ethan wciąż jeszcze mógł swobodnie oddychać, ale już go czuł. Instynktownie spojrzał w górę, z belek stropowych do świetlika, a stamtąd na dach: dym wkrótce stanie się tak gęsty, że Kemp nie zauważy go podczas wspinaczki. Po przeciwnej stronie pokoju zobaczył Zimmera, który szedł chwiejnym krokiem wzdłuż ściany zewnętrznej.

Nie szukał Ethana. Chciał się tylko wydostać z płonącego budynku. Ethan popatrzył w dół. Dym spowił już cały parter antykwariatu. W ciągu kilku minut musi podjąć decyzję i ruszyć - w dół albo w górę. Sam instalował świetliki i

przypominał sobie teraz, co mówił o nich sprzedawca. Nie może dać mu gwarancji, że nie pokona ich żaden włamywacz, bo nic nie daje takiej ochrony, ale są najlepsze z dostępnych na rynku. Wtedy wydawało mu się to zaletą.

Rozważania przerwał Ethanowi dźwięk strzału i krzyk, który rozległ się zaraz po nim. Usłyszał odgłos ciała staczającego się po schodach. Zrobił krok w przód, ale nic nie widział. Uświadomił sobie, że Kemp ma ten sam problem. Wziął swojego partnera za Ethana.

Cofnął się o cztery kroki, potem podbiegł do barierki i przeskoczył ponad nią z lewą nogą wyciągniętą do przodu, a prawą podkurczoną. Złączył je, opadając w biały dym.

Ręce miał rozłożone szeroko i luźno, a stopy przygotowane na zetknięcie z podłogą z dużym impetem. Kiedy w nią uderzył, resztę rozpędu wykorzystał, by przetoczyć się aż za ladę. Usłyszał strzyknięcie broni szukającego go Kempa.

Obok leżało ciało Seana z dziurą po kuli w głowie. Ethan precyzyjnie się aż pod okno wystawowe sklepu i usadowił w małej przestrzeni między biurkiem kasjera a głównymi drzwiami. Ta pozycja dawała mu dobre schronienie i możliwie najobszerniejszy widok na otwartą przestrzeń parteru. Przez długą chwilę nie było do oglądania nic prócz dymu. Musiał się wydostać i już rozważał, jakie miałyby szanse, gdyby zdecydował się stłuc szybę i wyskoczyć przez wystawę, gdy wtem dostrzegł Kempa biegnącego do tylnych drzwi. Był co prawda tylko niewyraźnym cieniem, ale Ethan strzelił w pośpiechu. Pierwszy strzał nie przyniósł efektu, lecz drugi powalił mężczyznę na podłogę. Przeskoczywszy nad biurkiem, Ethan pomknął naprzód, z bronią wciąż wycelowaną w plecy Kempa. Kiedy był już o trzy kroki od niego, tamten nagle się odwrócił i wystrzelił szybko, mierząc w głowę Ethana, który wzdrygnął się i pewnie tylko dlatego uniknął trafienia. Nie dał przeciwnikowi drugiej szansy - wpakował w niego całą resztę naboju. Wyrzucił pusty magazynek i załadował broń na nowo. Nie miał czasu sprawdzać kie-

szeni któregokolwiek z mężczyzn w poszukiwaniu dokumentów. Nie musiał tego robić. Wiedział, kto ich przysłał, i wiedział, że będzie ich więcej. Rzucił się przez otwartą przestrzeń i znalazł tylne drzwi. Chwilę później wytoczył się w czyste, październikowe powietrze.

Wykładaną kocimi łbami uliczkę wypełniał taki spokój, że Ethan o mały włos nie zauważyłby samochodu zaparkowanego tuż przed nim. Silnik był włączony. Kierowca, mrugając, wpatrywał się w niego niemądrze. Przez chwilę on sam również nic nie rozumiał. Nagle zobaczył, że kierowca sięga po coś na wysokość biodra. Ethan nie czekał ani nawet nie myślał. Uniósł pistolet Zimmera i wystrzelił. Widział, jak mężczyzna drgnął, a potem osunął się pod deskę rozdzielczą. Podeszedł bliżej i oddał jeszcze dwa strzały, a potem sięgnął do wnętrza samochodu i zabrał broń nieboszczyka, z zamocowanym już tłumikiem, oraz dodatkowy magazynek, który ten miał przy sobie. Wsunął mu rękę do kieszeni w poszukiwaniu portfela. Znalazł odznakę prywatnej firmy ochroniarskiej, a także identyfikator ze zdjęciem, wystawiony na nazwisko Rolf Lutz. Wziął portfel, odznakę i identyfikator. Wyciągnął zwłoki z samochodu, usadowił się za kierownicą i przez chwilę próbował myśleć. Jeśli pójdzie na policję albo da się złapać, Corbeau dobierze się do niego. Jego jedyną szansą jest odnalezienie Kate. Razem potrafią sobie z tym poradzić.

Wycofał się z wąskiej uliczki z nonszalancją człowieka, który jedzie do domu na lunch. Dojechał już do Bellevue Plaza nad jeziorem, zanim usłyszał wycie syren.

Jeziro Brienz, Szwajcaria

Wciąż jeszcze w granicach miasta, Malloy nacisnął numer komórki Jane Harrison w opcjach szybkiego wybierania. Było wpół do siódmej rano, ale Jane już nie spała. -Tak?

- Bob Whitefield nie żyje.

Jane wymknęło się przekleństwo. Chwilę później zapytała:

- Co się stało?

- Czekali na nas na lotnisku. Uderzyli, kiedy nasz pociąg właśnie wjeżdżał.

- Czy produkt jest bezpieczny?

- Produkt jest bezpieczny. Ja się nim zajmę. Chciałem tylko, żebyś wiedziała o Whitefieldzie. Musisz to rozpracować.

- Czy potrzebujesz transportu albo wsparcia taktycznego? Mogę sprowadzić oddział do zadań specjalnych ze Stuttgartu w dwie do trzech godzin.

- Niekoniecznie, ale powiedz naszym przyjaciółom w Nowym Jorku, że będzie pewne opóźnienie, dzień lub dwa, jak sądzę.

- Jestem tu, gdybyś mnie potrzebował.

Malloy rozłączył się. Powinien wrócić do Zurychu. To było najlepsze rozwiązanie i Jane też o tym wiedziała. Wyprowadził samochód z powrotem na drogę.

Godzinę później zatrzymał się na jednym z obszernych publicznych parkingów w pobliżu stacji kolejowej Interlaken Wschód i złapał autobus do Iseltwald nad jeziorem Brienz. Stamtąd miał do wyboru kilka ścieżek spacerowych prowadzących wzdłuż brzegu jeziora, w kierunku Axalp. Wybrał tę, która od razu wbiła się w góry.

Doszedłszy do posesji contessy, niemal godzinę później, ujrzał, jak René wychodzi z ogrodu i ociera sobie ręce z delikatnością, o jaką by go nie podejrzewał. Starzec nie wykonał żadnego gestu świadczącego o tym, że rozpoznaje Malloya, a ten, spojrzawszy mu w oczy, ruszył prosto do głównych drzwi willi. Contessa nie uśmiechała się tym razem.

W pełni świadom faktu, że powtarza dokładnie jej zdanie z tamtej nocy, kiedy złamała opór szwajcarskich bankierów, powiedział do niej:

- Potrzebuję pani pomocy.

Biorąc pod uwagę różnice między tamtą sytuacją a obecną, Malloy nie był pewien, czy contessa w ogóle otworzy mu drzwi, ale ona odpowiedziała spokojnie i bez wahania:

- Proszę wejść.

Kiedy przestąpił jej próg, spytała, czy chciałby coś zjeść.

Malloy rzeczywiście był bardzo głodny, ale nawet o tym nie pomyślał, dopóki nie zapytała. Przez ostatnie kilka godzin adrenalina trzymała go na wysokich obrotach, a jego umysł błąkał się w domysłach, próbując dociec, co poszło nie tak. Teraz to minęło, a on, bardziej niż czegokolwiek innego, pragnął snu.

- Wypiłbym filiżankę kawy, jeśli nie sprawi to kłopotu. Contessa uśmiechnęła się i zaczęła przygotowywać dwie

filiżanki espresso. Postawiła przed nim szklanę i dzbanek wody, koszyk chleba i misę owoców. Malloy jadł żarłocznie. Jednocześnie zaczął wyjaśniać, co się stało, ale contessa powstrzymała go. Najpierw niech zje, powiedziała. Potem porozmawiają. Wspólne milczenie dodało mu otuchy. Nie był pewien, co się wydarzyło ani nawet kto wydał rozkaz ataku, ale nagle uświadomił sobie, że nie opuści Szwajcarii, dopóki wszystkiego nie zrozumie. Może to zająć dzień lub dwa. A może nawet kilka tygodni. Nie dba o to. Nie może zaufać ani Richlandowi, ani nawet Jane Harrison, dopóki nie zdobędzie więcej informacji.

- A teraz - odezwała się contessa - proszę mi powiedzieć, dlaczego ma pan krew na płaszczu.

Wyciągnęła dłoń, dotykając delikatnie ciemnej plamy na skórze. Malloy opowiedział jej, co się zdarzyło, po prostu i bez upiększeń. Kiedy skończył, zapytała:

- Przyjaciele pana wystawili?
- Niekoniecznie. Jeśli ktoś wiedział, że biorę w tym udział, mógł monitorować mój pokój mikrofonem kierunkowym z drugiej strony ulicy.
- A kto wiedział, że bierze pan w tym udział?
- Moi przyjaciele. Nabywcy obrazu. Może sprzedawca.
- Jaki jest motyw, Thomas? Pokręcił głową.
- Nie wiem. Pieniądze, jak podejrzewam, ale może chodziło o Boba Whitefielda. Jest ważnym graczem. To on mógł być celem.

Wzrokiem przeskoczyła na pakunek, który Malloy wniósł do jej domu.

- Czy chce pan, żebym na niego spojrzała?
- Właściwie miałem nadzieję, że uda mi się namówić panią, by przechowała go przez kilka dni, do czasu aż się zorientuję w sytuacji.
- A gdybym chciała rzucić na niego okiem i przekonać się, o co właściwie mnie pan prosi?

Contessa wstała i podeszła do jednej z szuflad kuchennych. Wyjąwszy z niej ostry nóż, przecięła sznurki, którymi paczka była obwiązana. Pod papierem pakunkowym znaleźli coś, co zdawało się być kawałkiem deski, starannie owiniętej lnianą tkaniną. Contessa obejrzała jej splot, ale nic nie powiedziała. Wreszcie rozwinęła ją, wyjmując małą, czarną deseczkę. Przez jej środek, od góry do dołu, biegła rysa. Na każdym rogu i po brzegach drewno było wygładzone, wręcz wyślizgane, najwyraźniej od powtarzającego się dotyku rąk. Poza tym było bardzo niewiele uszkodzeń. Nawet bez raportu Marcusa Steinera o datowaniu izotopem węgla, nie byłoby wątpliwości, że jest to rzecz o niezwykle długiej historii.

Odwracając deseczkę, Malloy znalazł się twarzą w twarz z wizerunkiem Chrystusa w koronie cierniowej. Obraz był w świetnym stanie, a kolory żywe i pełne wyrazu.

- Właściciele przebadali wczoraj drewno - powiedział. - Pochodzi z i wieku.

- Nie wydaje mi się, żeby to była dwunastowieczna ikona - rzuciła contessa z typową dla naukowca, cierpką powściągliwością. - Proszę przynieść go tutaj, gdzie światło jest lepsze.

Wskazała na blat roboczy pośrodku kuchni.

Malloy podszedł do blatu i stwierdził, że nie jest w stanie oderwać wzroku od tej postaci, wpatrującej się w niego z dystansu dwóch tysiącleci. Obraz przedstawiał głowę i górną część ramion. W przeciwieństwie do portretów renesansowych, Chrystus nie był tu Europejczykiem. Miał ciemną skórę, a nos i usta o cechach ewidentnie semickich. Nie był też szczególnie młody, jak chciała tradycja. Bliżej mu było do sześćdziesiątki niż do trzydziestki i nie był przystojny. Twarz miał wymizerowaną, a skórę chropawą, ale oczy zdradzały moc i pewność siebie. Wieniec z cierni nosił niczym królewską koronę, a jego krew połyskiwała jak drogocenne kamienie.

-Perspektywa jest odrobinę skrzywiona. Widzi pan, że punkciki światła na cierniach, krwi i w oczach rozmieszczone są trochę przypadkowo?

Malloy nie zauważył tego wcześniej, ale zorientował się, co miała na myśli. Wyglądało to tak, jakby nie było jednego, zewnętrznego źródła światła.

- Czy to... dobry obraz?

- Typowy dla malarstwa rzymskiego. Ci artyści posługiwali się perspektywą, nie rozumiejąc jej.

- Uważa pani, że jest autentyczny?

- Owszem, z dwóch powodów. Po pierwsze, wykonany jest techniką enkaustyczną. Wszystkie dziewiętnastowieczne falsyfikaty, o których wiem, były namalowane przy użyciu tempery. Tempera to farba na bazie jaj, łatwa w użyciu. Farbę enkaustyczną robi się z wosku pszczelego. Trzeba ją nakładać szpatułką, na gorąco. Dwa tysiące lat temu najlepsi malarze pracowali techniką enkaustyczną z oczywistych względów. Trwałość koloru i połysk były nieporównywalne z

niczym, co wówczas istniało. Enkaustykę odkryliśmy na nowo dopiero w ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat. Jest oczywiście możliwe, że ktoś namalował obraz niedawno na niezwykle starym kawałku drewna, ale nie sędzę, żeby tak było w tym przypadku. Widzi pan, jak bardzo drewno jest wypolerowane przez dotyk? W tych samych miejscach farba jest przetarta. Ten obraz był w użyciu od bardzo wielu lat, na długo przed tym, zanim dwudziestowieczni artyści na nowo zaznajomili się z techniką enkaustyczną.

- Więc nie jest to falsyfikat z czasów średniowiecza lub renesansu?

- Myślę, że ten obraz jest dokładnie tym, czym się wydaje: ikoną z I wieku, prawdopodobnie pochodzenia egipskiego. Najlepszymi portrecistami byli zazwyczaj niewolnicy pochodzący z Egiptu lub tam wykształceni.

- Jest wart dwadzieścia pięć milionów?

- Wart jest tyle, ile tylko rynek zdoła za niego dać. Jest jedyny w swoim rodzaju.

Od wejścia odezwał się René:

- Wynoś się!

Malloy odwrócił się, zaskoczony. Contessa przykryła obraz i odpowiedziała w języku, którego nie potrafił rozpoznać. Do niego natomiast powiedziała:

- Na górze znajdzie pan ubrania, które będą na pana pasowały. Pokój na ostatnim piętrze, po prawej stronie. Proszę wziąć wszystko, czego pan potrzebuje. Obecny ubiór zaprowadziłby pana prosto do więzienia.

Malloy niepewnie wpatrywał się w René. Człowiek contessa nie chciał w domu jego lub jego obrazu. To było oczywiste.

- Jest pani pewna, że tak będzie dobrze?

- Przyjdę tam za chwilę. - Zobaczyła, że Malloy spogląda na ikonę. - Zajmę się pana obrazem. Proszę się nie martwić.

W pokoju na szczycie schodów Malloy znalazł cztery malowidła podobne w stylu i kompozycji do portretu Chrystusa, który wywiózł właśnie z Zurychu. Zdawały się być niezmiernie stare, najwyraźniej z czasów Imperium Rzymskiego, ale nie wyglądały na rzymskie. Przedstawione na nich postacie ubrane były kolorowo i miały ciemną cerę, a oczy czarne i lśniące. Pozowali do nich zwykli ludzie, prawdopodobnie z wyższych warstw klasy średniej.

Podziwiał je przez chwilę, zachodząc w głowę, jak też contessa je zdobyła, potem przeszedł do spraw bieżących. Znalazł kilka płaszczy, które pasowały lepiej, niżby to sobie wyobrażał. Wybrał jeden z nich, możliwie niezwracający uwagi. Nie leżał jak sztyty na miarę, ale dzięki swojej obszerności dobrze ukrywał kaburę na jego ramieniu. Malloy zastanawiał się, skąd te rzeczy. Z pewnością nie należały do Rene.

Obejrzał swoje pozostałe ubrania. Poza bluzą z dziurą po pocisku reszta nadawała się do noszenia.

- Nie wygląda to tak źle. - Malloy, zaskoczony, podniósł wzrok na contesse. Nie usłyszał, jak wchodziła po schodach ani jak szła po skrzypiącej podłodze. - Proszę się jednak pozbyć tej bluzy. Myślę, że mam po drugiej stronie korytarza coś, co mógłby pan włożyć zamiast niej.

Uśmiechnął się i zdjął kurtkę, kaburę naramienną i bluzę. Contessa popatrzyła na kamizelkę kuloodporną z dziurą po pocisku nad sercem, ale nie skomentowała tego w żaden sposób. Gdyby nie podsunęła mu obrazu jego samego leżącego we własnym grobie, nie poprosiłby o kamizelkę i teraz byłby już tylko jednym z kilku ciał na miejscu zbrodni.

- Muszę po prostu dostać się z powrotem do Zurychu. Powinna tam czekać na mnie walizka.

- Zadbajmy o to, żeby dostał się pan tam bezpiecznie - powiedziała i ruszyła do wyjścia z pokoju.

- Podobają mi się te obrazy.

Contessa zatrzymała się i odwróciła, by spojrzeć na nie z czułością kolekcjonera.

- Uważane są za egipskie portrety trumienne z II i III wieku, ale ja lubię o nich myśleć jako o swoich dzieciach.

- Czym są naprawdę?

- Oknami w przeszłość.

Weszła teraz z powrotem do pokoju i wskazała na jeden z obrazów. Malowowi trudno było śledzić ruch dłoni, gdyż podniecił go jej zapach.

- Widzi pan podobieństwo w stylu do pańskiego obrazu?

- To enkaustyka, prawda?

- Bardzo dobrze. Prawdę mówiąc, jedyna w tej grupie. Obrazy malowane temperą nie miały takiego połysku jak enkaustyczne.

- Więc co to są portrety trumienne? - zapytał.

- Gdzieś w u wieku Egipcjanie zaczęli zamawiać sobie portrety malowane na desce, a niekiedy na płótnie. Po ich śmierci krewni wsuwali taki portret pomiędzy bandaże mumii, przykrywając nim twarz, zamiast tradycyjnej maski. Pomysł wydaje się dziwny, ale efekt jest cudowny. Jeśli portret został zręcznie wykonany, odnosi się wrażenie, jakby ta osoba patrzyła na pana spomiędzy bandaży. Obrazy odkrył w XIX wieku archeolog, Flinders Petrie, który prowadził prace wykopaliskowe w ogromnej nekropolii w Fajum w Egipcie, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Kairu. Większość była oczywiście w okropnym stanie, ale kilka wyglądało tak, jakby dopiero co je namalowano. Rzecz jasna, kiedy zobaczyli je ludzie w Europie i Ameryce, powstał na nie ogromny popyt. Realia ekonomiczne są, jakie są, i przedsiębiorczy mieszkańcy Egiptu sprzedali kilka falsyfikatów jako oryginały. Z upływem lat nasze umiejętności datowania materiałów stały się

jednak całkiem wyrafinowane i sporo muzeów zostało zmuszonych do wycofania z ekspozycji obrazów uważanych niegdyś za arcydzieła z II lub III stulecia. Istnieje ich tylko około tysiąca. Falsyfikaty natomiast, po pewnej cenie, są osiągalne, jeśli dobrze się pan o nie postara. Ja właściwie nie dbam o to, kiedy zostały namalowane. Uwielbiam po prostu patrzeć na te twarze.

Wskazała na inne malowidło, kobietę spoglądającą na nich z wieczności.

- Ten powędrował do Petrie Museum w Londynie, ale uznano go za podejrzany, kiedy jeden z kustoszy odkrył, że nie ma podkładu gipsowego. Wszystkie oryginały miały taką warstwę. Jeśli przyjrzy się pan bliżej, dostrzeże pan, dlaczego.

- Przebija rysunek słojów drewna?

Skinęła głową jak nauczycielka zadowolona z odpowiedzi ucznia.

- Poza tym jest doskonały. Ten - wskazała na twarz mężczyzny - odnaleziono w bandażach zmumifikowanego ciała kobiety. Przez wiele lat eksponowany był w Luwrze razem z mumią, nim wreszcie ktoś zauważył tę rozbieżność i zbadał wiek deski.

Malloy wskazał obraz, o którym mówiła na początku. Przedstawiał młodego mężczyznę słusznej postury, około trzydziestki, o ciemnych oczach i gęstej brodzie. Model zaczynał łysieć, ale i tak był przystojny.

- Brzegi tego obrazu nie są zaokrąglone, jak innych - zauważył.

- W portretach trumiennych przycinano rogi deski, tak żeby dawały się wpasować pomiędzy bandaże bez wybrzuszeń, ale w tym nie.

- Więc to falsyfikat?

- Ale wygląda jak portret trumienny, nieprawdaż?

- Więc to jednak oryginał?

- Nie poddawałam go testom.

- Skoro wykonany jest techniką enkaustyczną...

- Pokażę panu coś, co pewnie się panu spodoba. Jeżeli farbę enkaustyczną potrzymamy kawałkiem tkaniny, wosk rozgrzewa się, tak że ciało wygląda prawie jak żywe. Proszę spróbować.

Malloy chwycił rękaw swojej bluzy i potarł, a po kilku sekundach zobaczył efekt.

- Proszę dotknąć - powiedziała.

Dotknął farby, poczuł jej ciepło i uśmiechnął się.

- To niesamowite!

- Prawie jak żywa istota, nieprawdaż? Chodźmy, znajdziemy koszulę i wyprawimy pana w drogę. René nie jest w tym momencie zbyt szczęśliwy, a nie sądzę, żeby dobrym pomysłem było nadużywanie jego cierpliwości.

- Czy jest pani pewna...

- Jestem to panu winna za pomoc w sprawie bankierów, Thomas.

- Wykonałem jeden telefon. Nie podejmowałem wielkiego ryzyka.

- To było o wiele więcej i wie pan o tym. Zaufał mi pan, a to znaczyło bardzo dużo.

Wychodząc, Malloy powiedział do contessy:

- Gdyby coś mi się stało...

Położyła mu na ustach koniuszki palców, gestem zbyt zażyłym jak na przyjaciół, ale nie cofnęła się ani nie wydawała się zakłopotana tym nagłym przejawem uczucia. Zamiast tego spojrzała na niego - jak mogłaby spojrzeć kochanka.

- Teraz ma pan oczy szeroko otwarte, Thomas. Nic się panu nie stanie.

Zurych

Ethan znalazł w schowku na rękawiczki telefon komórkowy i próbował dozwonić się do Kate, ale nie było odpowiedzi. Przez kilka minut skupił się na

drodze i planach podróży na południe. Sobrio było górską wioską, przytuloną do zbocza nad Doliną Lewantyńską. Przecinała ją szosa. Poza tym było to zupełnie pustkowie, usiane maleńkimi, pradawnymi wioskami. Z Zurychu jechało się tam dwie do dwóch i pół godziny, zależnie od natężenia ruchu w tunelach. Problem polegał na tym, że Ethan nie był nawet pewien, czy powinien tam jechać. Nie wiedział, co robić. Próbował znów wybrać jej numer, potem komórkę Rolanda. Kiedy żadne z nich nie odpowiadało, doszedł do wniosku, że Corbeau postanowił zaatakować całą ich trójkę w tym samym czasie. Im dłużej o tym myślał, tym większej nabierał pewności. Nie było sensu jechać na południe. Kate już tam nie było, uciekła w góry lub... nie żyła.

Ta myśl była nie do zniesienia. Niemal odruchowo spróbował jeszcze raz dozwonić się do niej. Usłyszał kilka sygnałów, a potem odezwała się jej sekretarka automatyczna. Mogła uciec, pomyślał, czując dreszcz nadziei, choć wiedział, że ludzi sam siebie. Ale to możliwe! Mogła zgubić telefon, uciekając. On nie miał swojego telefonu, a nie był martwy. Przynajmniej jeszcze nie.

Musiał spróbować szczęścia, musiał pojechać do Sobrio. Znalazł na skraju miasta właściwą drogę i wyruszył na południe. Spojrzał na zegarek. Może dotrzeć do domku Kate przed zachodem słońca. A potem? Po raz pierwszy w życiu nie mieli planu awaryjnego. Spróbował zadzwonić do Rolanda, ale on też nie odpowiadał. Sprawdził, jakie numery ma w książce Lutz. Nie było tam żadnych nazwisk, jedynie trzy numery komórkowe, wszystkie w Szwajcarii. Przy pierwszych dwóch dostał odpowiedź, że są poza zasięgiem. Trzeci zadzwieczył miło, po czym odezwał się ktoś mówiący wysokoniemieckim:

-I?

Ton mówiącego, bardziej niż samo słowo, wskazywał, że człowiek ten albo nie chce, by mu przerywano, albo oczekuje raportu bez zwyczajowych uprzejmości.

Ethan odpowiedział w wysokoniemieckim, równie ponuro.

- Brand nie żyje.

- Jakiś problem? - głos wydawał się nieco zaciekawiony. Kontakt telefoniczny pewnie był zarezerwowany tylko na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

- Zabił Zimmera i Kempa. Muszę wiedzieć, co chcecie, żebym teraz zrobił.

- Wiesz, co masz zrobić!

- Złapaliśmy Kenyon?

- Właśnie z nią nadlatują.

Ethan mruknął z satysfakcją „dobrze” i rozłączył się. Zjeżdżając na pobocze drogi, zaczął się trząść. Kate jest w rękach Corbeau. Co teraz? Patrzył bezmyślnie na znaki drogowe, potem na chłodne, szare niebo.

- Wiesz, co masz zrobić - wyszeptał.

Corbeau był właścicielem biurowca w przemysłowym mieście Zug. Miał też dom letniskowy w pobliżu St. Moritz. Ten pierwszy nie był dość osamotniony, jak na takie cele, a drugi nie dość obszerny. Jeżeli „nadlatują” z domku Kate, to znaczy, że Corbeau zabiera ją helikopterem do swojej willi nad Jeziorem Czterech Kantonów.

Ethan był o godzinę drogi stamtąd.

Zurych

Malloy złapał autobus z Axalp do Brienz. Tam wsiadł w pociąg do Lucerny, a potem w kolejny, do stacji Enge na przedmieściach Zurychu. Nie zdejmował płaszcza i kapelusza i zdołał z udawanym zainteresowaniem czytać „Zuricher Zeitung”. Do Marcusa Steinera zadzwonił z tramwaju.

- Zmiana planów.

- Chętnie posłucham, co masz do powiedzenia. Przez cały dzień sprzątam ten bajzel.

- Potrzebuję bezpiecznego domu.

- Zobaczę, co się da zrobić. Gdzie jesteś?

- Za kilka minut będę nad jeziorem, naprzeciw Domu Kongresowego.

- Maks może się tam zjawić za dwadzieścia minut. Przyjedzie czarnym mercedesem.

- Nie zapomnijcie mojego komputera i walizki.

Wysiadłszy z tramwaju na przystanku przy Domu Kongresowym, Malloy usadowił się na ławce wśród krzaków i jeszcze raz próbował przeanalizować, co poszło nie tak. Marcus nie był w to zamieszany, tyle wiedział. Gdyby przyjaciel chciał tego obrazu, on już by nie żył. Inaczej mają się sprawy z Jane. Dla niej misja zawsze była ważniejsza niż zaangażowany w nią personel. Wiedział o tym od zawsze. Było to coś, z czym każdy agent operacyjny stykał się wcześniej czy później. Niekiedy oznaczało to, że nie wszystko mu mówiła. W tym wypadku możliwe było, że Jane prowadzi grę, której on nie rozumie. Możliwe, ale niezbyt prawdopodobne.

Charlie Winger - to miało jeszcze mniej sensu. Podobnie jak Jane, gdyby chciał tego obrazu, prawdopodobnie inaczej by tym pokierował. Za niewinnością Wingera przemawiała jego długoletnia przyjaźń z Bobem Whitefieldem, nawet jeśli nie dogadywał się z Malloyem. Whitefield nie miał istotnych związków z tą misją, pełnił jedynie rolę zabezpieczenia na wypadek, niezbyt prawdopodobny, gdyby szwajcarscy celnicy mieli odkryć obraz przy wywożeniu go z kraju. No chyba że to Whitefield był celem ataku.

Mnóstwo się zmieniło, odkąd Malloy pracował wewnątrz Langley. Choćby to, że Whitefield był ostatnio bardziej niezależny niż na początku, kiedy przeprowadził się do Paryża. Ale zbyt niezależni szefowie biur, podobnie jak zbyt

samodzielni agenci, byli raczej przenoszani na inne stanowiska lub zmuszani do wcześniejszego przejścia na emeryturę. Jako zwierzchnik Boba Winger nie miał powodów, by chcieć jego śmierci, skoro z łatwością mógłby go po prostu przenieść. Poza tym, tu chodziło o obraz. Miał swoją wartość, a dla ludzi takich jak North, Richland i Starr był wprost bezcenny. To obraz był w centrum wydarzeń. Natomiast ci, którzy go przewozili, nie liczyli się.

W Stanach tylko garstka osób wiedziała o przysłudze, jaką wyświadczał Richlandowi, a nikt z nich nie miał pojęcia, kiedy i jak zamierzał dotrzeć na lotnisko w Zurychu. White-field irytował go jako przełożony, ale nic nigdy nie wskazywało, żeby jako szef paryskiego biura wykazał się brakiem doświadczenia. Informacje dotyczące spotkania z Malloyem na pewno zachowałyby dla siebie. Oznaczało to, że ktoś inny mógł dowiedzieć się, co ustalili, tylko przez inwigilację pokoju hotelowego, kiedy spotkali się z Whitefieldem i omawiali szczegóły przekazania obrazu. To z kolei było możliwe, tylko jeśli ktoś wiedział, że Malloy i Whitefield są w to zaangażowani. W jaki sposób ktokolwiek mógł przewidzieć, że Malloy będzie przeprowadzał tę operację?

Do głowy przychodziły mu jedynie dwie możliwości: ktoś wewnątrz agencji przekazał informację stronie trzeciej albo ktoś z kupujących coś chlapnął. Personel agencji mógł sprzedać informację za dobrą cenę, ale taka zdrada wymagała czasu. Skuszenie pracownika wywiadu z samego trzonu agencji do zdrady obietnicą doraźnego, szybkiego zarobku było właściwie niemożliwe. W takiej sytuacji o sukcesie decydowało odpowiednie podejście, a to wymagało miesięcy, nawet lat. Musiał istnieć pewien poziom zaufania, takiego jak to, które wytworzyło się pomiędzy nim a Claudią de Medici czy Marcusem Steinerem. Zważywszy na istotę tej pracy, taka ewentualność nie była prawdopodobna. Natomiast wypaplanie jego nazwiska - to był błąd, jakiego Malloy spodziewałby się po amatorze, takim jak na przykład żywiołowy J.W Richland.

W pewnej odległości pojawił się czarny mercedes z włączonym kierunkowskazem i Malloy podszedł do krawężnika.

- Dziękuję za pomoc w pociągu - powiedział, wsiadając do samochodu.

Maks obojętnie wzruszył ramionami.

- Po to tam byłem.

- Ale jak udało się panu uciec glinom?

- Bez wielkiego trudu. Malloy zaśmiał się cicho.

- Wersja oficjalna - wyjaśnił Maks - jest taka, że terroryści zabili amerykańskiego dyplomatę. Szwajcarska policja zareagowała w sposób miażdżący: pięciu terrorystów nie żyje, jeden zuryski detektyw przedstawiony do odznaczenia. A propos, w schowku na rękawiczki jest kolejny glock. Proszę go wziąć, a ja wezmę pański. Marcus może go dziś po południu podmienić na ten, który mu dałem jako dowód rzeczowy. Jeśli tego nie zrobimy, mój raport nikogo nie przekona.

Malloy wymienił się bronią, dokładnie starłszy swoje odciski palców ze sztuki, którą oddał Maksowi.

- Co ze świadkami? Będą stwarzać jakieś problemy?

- Obie osoby, które cię widziały, myślały, że jesteś jednym z czarnych charakterów.

- Rozmawialiście z Amerykanami?

- Ktoś rozmawiał. Pojawili się jakieś trzydzieści czy czterdzieści minut po strzelaninie.

- Czy ktoś mnie szuka?

Maks uśmiechnął się, trąc go w ramię.

- Przypuszczam, że koledzy tych nieboszczyków. Kiedy zbliżyli się do Bellevue Plaza, utknęli w korku.

- Ogień - zauważył smętnie Maks. - Jakiś antykwariat zapalił się około południa i droga wokół jeziora się zakorkowała.

Malloy przez chwilę wypatrywał źródła czarnego dymu.

- Brand Books?
- Zna go pan?
- Najlepszy w mieście sklep z angielskimi książkami.
- Już nie.

Brand spotkał się w niedzielę wieczorem ze Starrem i North, a w dwa dni później jego sklep spalił się do gołej ziemi: to nie był przypadek, raczej łańcuch przyczynowo-skutkowy. Właściciel antykwariatu był w to jakoś zamieszany. Malloy nie wiedział tylko, jak.

- Czy Marcus miał jakieś problemy ze znalezieniem dla mnie kryjówki?
- Powiedział, że nie dał mu pan zbyt wiele czasu.
- To nie brzmi dobrze.

Na ciemnej, zubożonej twarzy Maksa pojawił się krzywy uśmiech.

- To pewnie zależy od punktu widzenia. Moim zdaniem mieszkanie w burdelu ma swoje niewątpliwe zalety.

Zurych

10 października 2006 roku

Stare Miasto w Zurychu składa się z dwóch dzielnic. Niektórzy powiedzieli-
by: z dwóch Zurychów. Jeden proponuje eleganckie połączenie mody i finansów.
W jego centrum znajduje się zurycka Bahnhofstrasse, promenada kafejek i eks-
kluzywnych sklepów, gdzie wystawy kuszą zazwyczaj zegarkami po pięćdziesiąt
tysięcy dolarów i naszyjnikami tak bogato wysadzanymi klejnotami, że odnosi
się wrażenie, iż tylko koronowane głowy mogłyby je nosić, nie rumieniąc się.
Ludzie zaludniający tę ulicę bez reszty zaabsorbowani są biznesem. Tutaj pracu-
ją, i choć noszą się modnie, zdaje się, że ledwie zauważają złote pokusy, na które
w zasadzie byłoby ich stać. Niekiedy oczywiście można tam zobaczyć jakiegoś
turystę, źle ubranego, błakającego się szerokimi chodnikami równie bezcelowo
jak gołębie, ale w większości tłum ten składa się z ludzi młodych, z wielkomię-
skim sznytem, z wyższych warstw społecznych: miejscowej elity, przyjemnej
mieszanki narodowości i języków, a nawet kolorów.

Po drugiej stronie rzeki Limmat, u stóp katedry Gros-smiinster, leży Zurych
cyganerii. Budynki mają tu często po trzysta, czterysta lat, gargulce są chlebem
powszednim, a uliczki, brukowane kocimi łbami, kręcą się ze średniowieczną
fantazją. Jest to ta część miasta, gdzie znaleźć można unikatowe książki, stare
malowidła, zabytkowe szkło i porcelanę. Tutaj idealnie wypolerowane stoły po-
chodzą często z czasów rewolucji francuskiej, a sklepikarze bardziej przypomi-

nają wykładowców z Oksfordu niż kupców spieszących się, by sprzedać swój towar.

Jest w tym drugim Zurychu pewien stopień zamożności, który wręcz zaskakuje, zwłaszcza że dzielnica epatuje klubami ze striptizem, filmami erotycznymi i aktywną populacją prostytutek i narkomanów. Za dnia jest to interesujące miejsce, raczej bezpieczne i nie aż tak barwne, żeby jego dekadencja rzucała się w oczy, jeśli się człowiek zanadto nie rozgląda. Ale po zachodzie słońca pokazuje swoje drugie oblicze.

Maks przekazał swojemu pasażerowi wskazówki, dokąd ma pójść i co powiedzieć, a potem wysadził go w samym sercu tej dzielnicy. Malloy przeszedł tylko kilka przecznic, po czym wślizgnął się do małej, brzydkiej tawerny bez szyldu. Miał na sobie kurtkę w stylu robotnika z Europy Wschodniej, więc powinien był pasować do tego miejsca, ale walizka i komputer zdradzały go. Gdy tylko przestąpił próg, wszyscy w pomieszczeniu przerwali rozmowy i wpatrzyli się w niego.

- Mam nadzieję, że nie pomylił pan drogi - mruknęła wysokoniemieckim jakaś prostytutka.

Malloy przepchnął się przez tłum, nie odpowiadając, i zamówił u posepnego barmana butelkę piwa. Rzucając na bar dwadzieścia franków, kiedy dostał już piwo, powiedział szwajcarskim niemieckim:

-Aleksa jest dziś w pracy?

Barman na krótką chwilę skoncentrował spojrzenie na Malloyu, potem przeniósł wzrok na schody na tyłach sali. „Aleksa” była u siebie.

Drzwi trzech z czterech pokoiów na piętrze były zamknięte. Hasan Barzani czekał w czwartym. W poprzek łóżka leżał kałasznikow. Barzani był wysoki, miał dużą kanciastą głowę i głęboko osadzone czarne oczy. Ubierał się jak robotnik, w źle leżące dzinsy, zniszczone buty i tanią skórzaną kurtkę, choć wart

był ponad osiemdziesiąt milionów dolarów. Sposób, w jaki doszedł do tej fortuny, był uświęcony tradycją, choć nieładny: sprzedawał ciała kobiet, okradał ludzi z klasy średniej i mordował każdego, kto był tak niemądry, żeby wejść mu w drogę. Podobnie jak wszyscy bogacze, jakich Malloy kiedykolwiek poznał, Barzani ani myślał się tłumaczyć ze swoich metod zarabiania pieniędzy. Gdyby miał ku temu okazję, pewnie nawet popołudniowałby sobie w usprawiedliwieniach. Dbał przecież o ludzi. Wypłacał pensje rodzinom, których mężowie i synowie byli kiedyś wolnymi ludźmi, a teraz siedzieli cicho w więzieniach. Posiadał bogactwa, owszem, ale wziął też na siebie zobowiązania!

Wszystko to było prawdą. Jedyńm, czego Barzani nie musiał brać na siebie, było ryzyko. Nie dotyczyło go już od wielu lat. Był odizolowany od zbrodni, które popełniał. Kierował menedżerami, a ci z kolei podległymi im ludźmi - swoimi siatkami. To była prawdziwa korporacja. Konsultował się z prawnikami, a raz w tygodniu spotykał ze swoim osobistym bankierem. Początki były niełatwe, ale teraz już nie był przestępcą. Nie, patrząc ci prosto w oczy, powiedziałaby, że jest biznesmenem. A kiedy ludzie ginęli, bo ginęli czasami, cóż, biznesem rządzą twarde reguły.

Jego lojalność była jednak nie do podważenia i dla Malloya Hasan Barzani wyszedł znów na ulice. W końcu Malloy nie tylko zasilął go finansowo, kiedy był jedynie drobnym oszustem o wątpliwych powiązaniach z głównymi organizacjami przestępczymi za żelazną kurtyną, ale też właśnie nauczył giganta, jak unikać tego, co zdążyło już stać się kłopotliwie długą i zażyłą znajomością z policją w Zurychu. W zamian za to, przynajmniej na początku, Barzani niezbyt wiele miał do zaoferowania. Większość z tego, co słyszał, były to wiadomości przestarzałe lub po prostu nieprawdziwe. Malloy nie narzekał. Brał, co Barzani mu dawał, i hojnie za to płacił.

Jego cierpliwość się opłacała. Barzani stał się ważną figurą w Zurychu, z powiązaniem sięgającym aż do Moskwy. Na wiele tygodni przed upadkiem muru berlińskiego Barzani donosił, że warunki się zmieniają, łagodzone są restrykcje dotyczące podróżowania. Zawsze obecny strumyk Niemców ze wschodniej części, próbujących sforsować granicę austriacką, przemienił się w istny exodus. Kiedy mówił o Rosji, opisywał narastającą dekadencję, upadek instytucji społecznych i ten rodzaj świadomości spraw politycznych i troski o nie, który w każdym innym kraju oznaczałby rewolucję. Część rewelacji, które Malloy od niego słyszał, Langley odrzucało jako marny wywiad, uznając je za myślenie życzeniowe albo efekt dostosowywania się agenta do tego, co chciałaby usłyszeć osoba go prowadząca. Z czasem nawet Malloy nabrał wątpliwości, ale kiedy mur upadł, stało się jasne, że Barzani jest nadzwyczaj dobrze poinformowany. Na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy inni agenci przesyłali niepokojące raporty o tym, co zaczynało być znane jako mafia rosyjska, Malloy dostarczał konkretne nazwiska i funkcje w organizacji.

- Thomas! - wykrzyknął Barzani, a na jego twarzy pojawił się przerażający uśmiech. Uściskali się nawzajem wśród spontanicznego śmiechu. - Co też ja słyszę od Marcusa! Wróciłeś do pracy? Myślałem, że byczysz się w najlepsze!

- Prezydent poprosił, żebym załatwił mu jedną sprawę, jako osobistą przysługę.

Barzani wyglądał jak człowiek, który właśnie się dowiedział, że dostał ogromny i zupełnie nieoczekiwany spadek.

- Cóż, nie możemy zawieść prezydenta, prawda?

Jezioro Czterech Kantonów

Kate Kenyon powoli podniosła się do pozycji siedzącej. Nic nie widziała, ale czuła pod sobą żużel. Przez chwilę niemalże mogła sobie wyobrazić, że jest gdzieś pod gołym niebem, ale powietrze było zbyt nieruchome. Co...? Jeszcze nawet nie sformułowała tego pytania, kiedy przypomniała sobie ukłucie pocisku usypiającego i jego obezwładniający efekt.

Była w rękach Juliana Corbeau.

Ale gdzie? Ostrożnie wyciągnęła ręce w obie strony. Nic nie znalazłszy, sięgnęła ponad głowę. Kiedy to też nic nie dało, spróbowała wstać. Znowu wyciągając ręce, skoncentrowała się na utrzymaniu równowagi. Było to trudne w całkowitej ciemności, a jeszcze trudniejsze, kiedy uświadomiła sobie, że może się znajdować gdziekolwiek - nawet na skraju klifu.

- Zbudziłaś się.

Głos, który Kate usłyszała, należał do kobiety. Dochodzi z bliska, pomyślała, ale z jakichś przyczyn nie była w stanie określić kierunku. Nie była nawet pewna, czy ta kobieta stoi, czy siedzi.

- Obudziłaś się?

Przerażona kobieta. Czyli nie tamta, która ją schwytała.

- Obudziłam się. Kim jesteś?

- Nicole North.

- Od jak dawna tu jesteś? - zapytała Kate.

- Nie wiem. Która jest godzina? Kate zaśmiała się cierpko.

- Nie wzięłam zegarka.

Wiedziała, sądząc z napięcia mięśni i ogólnego odczucia wyczerpania, że nie przespała zbyt wielu godzin, jednak trochę czasu minęło. Trzy, cztery godziny? Może słońce właśnie zachodzi, może jest dziewiąta lub dziesiąta. Może północ. W ciemności i tak nie ma to wielkiego znaczenia, prawda?

- Jak cię złapali?

- Porwali mnie z lotniska dziś rano. Wsadzili mnie do samochodu i poczułam coś na karku. To ostatnia rzecz, jaką pamiętam, zanim obudziłam się tutaj.

Tutaj, doszła do wniosku Kate, to najprawdopodobniej donżon Corbeau. Przed sierpniowym włamaniem do jego willi, Kate przestudiowała pozwolenia na budowę, o które występowali w ciągu wielu lat ojciec i dziadek Corbeau. Ta część wieży, według oryginalnych projektów, ma tylko jedno wejście, przez podziemia. Zaprojektowana została jako piwnica do przechowywania win. Kate odrzuciła możliwość, że miałyby to być miejsce ukrycia obrazu, ze względu na jakość powietrza. Nie przyszło jej do głowy, że Corbeau mógłby używać wieży jako celi więziennej.

- Co się stało z twoim wujkiem?

- Nic. Nie mogli go znaleźć. Skąd wiesz o moim wujku?

- Jestem osobą, która dziś rano sprzedała ci obraz. Przez długą, przerażającą chwilę Nicole nic nie mówiła.

Potem, płacząc z cicha, wyszeptała:

- Zabije nas, prawda?

- Zanim do tego dojdzie, będziemy go błagały, żeby to zrobił.

Zurych

Malloy spał, kiedy zadzwonił telefon.

-Tak?

Odezwała się Jane Harrison:

- Mają Nicole North.

- Kto ją ma?

- Jeszcze nie wiemy. Richland zadzwonił do swojego kontaktu w Administracji, a dyrektor właśnie powiedział Charliemu, żeby się tym zajął.

- Czym się zajął?
- Masz dostarczyć produkt Jonasowi Starrowi. Kiedy już będzie go miał, załatwi uwolnienie doktor North.
- Udajmy na chwilę, że w to wierzę.
- Doktor Starr nie chce od nas żadnej pomocy, T.K.
- Jeśli dostarczę obraz Jonasowi Starrowi...
- Nie jeśli, tylko kiedy. To jest rozkaz, a nie temat do dyskusji. - Malloy milczał, dysząc złością. - Dostaniesz swoją dniówkę. Starr zapewnił nas, że wypłaca ci całą kwotę - kontynuowała Jane. - Słuchaj, on ma ze sobą oddział najemników. Ci ludzie znają się na rzeczy.
- Co on tu robi z oddziałem najemników?
- Sprowadził ich.
- Bardziej prawdopodobne, że próbował mnie śledzić, ale mu się nie udało.
- Przekaż mu produkt, T.K., i wracaj do domu. Wykonałeś, co do ciebie należało, i zaręczam ci, że twoje pieniądze będą na ciebie czekać.
- Czy wiesz, jak stary jest ten produkt?
- Wiem to, co mi powiedziano. Poza tym nic więcej mnie nie obchodzi i ciębie też nie powinno.
- Starr nie wymieni go na swoją bratanicę, Jane. Takie zachowania nie leżą w jego naturze.
- Zadzwoń do niego i zrób, co ci powie, T.K.
- Mam pozwolić, żeby North zginęła?
- Zapisz sobie jego numer.
- Ty do niego zadzwoń. Nie chcę, żeby ten człowiek znał mój numer. Powiedz mu, że spotkam się z nim jutro o wpół do ósmej przed galerią Rote Fabrik w Zurychu.
- Chce dostać obraz dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem jestem zajęty.

Jezioro Czterech Kantonów

Ethan Brand wybrał jako punkt obserwacyjny miejsce niedostępne dla kogoś, kto nie trenował wspinaczki skałkowej. Ze swego wzniesienia miał widok na fragment posesji Juliana Corbeau. Widział wejście do budki strażniczej i kawałek gruntu. Razem z Kate spędził wiele godzin ukryty wśród zarośli na szczycie tej skały, obserwując zwyczaje ochroniarzy Corbeau.

Pierwszą rzeczą, jaką teraz zauważył, był fakt, że wszystko się zmieniło. Poprzednio ludzie Corbeau skoncentrowani byli przede wszystkim na chronieniu jego osoby przed porwaniem. On sam nigdy nie opuszczał posiadłości inaczej niż w towarzystwie pięcioosobowego oddziału i zazwyczaj własnym helikopterem. Willę podczas jego nieobecności chroniło dwóch strażników. Oprócz muru wysokiego na ponad trzy metry, oświetlenia i systemu alarmowego włączanego przez detektory ruchu, były też dwa psy. Kate opracowała plan zarówno wywabienia strażników, jak i zneutralizowania psów. Od początku problemem nie było, jak się tam bezpiecznie dostać, ale jak się wydostać. Po pierwsze, droga biegnąca wokół jeziora była jedynym połączeniem pomiędzy Lucerną a wioską Meggen. Policja mogła ją zamknąć w ciągu kilku minut. Z jeziorem nie było wcale lepiej. Zakładając nawet, że zdołaliby dotrzeć do łodzi, musieliby się liczyć z natychmiastową reakcją policji.

Rozwiązanie, jakie wymyśliła Kate, było genialne. Zaczekają na letni pokaz fajerwerków. Wtedy, wśród setek łodzi zgromadzonych pośrodku jeziora, podpłyną do pontonu, dostaną się nim na brzeg, a potem powrócą znów na środek, gdzie ponton zatopią i wdrapią się z powrotem do swojej łodzi, zanim sztuczne ognie ucichną. Gdyby na jeziorze było wtedy pięćdziesiąt łodzi, policja mogłaby

się uciec do żmudnego przeszukiwania każdej z nich, ale letni pokaz sztucznych ogni gromadził ich tu raczej około pięciuset. W sprawach mniej istotnych niż zagrożenie bezpieczeństwa narodowego szwajcarska policja nie zdecydowałaby się kłopotać tak wielu obywateli - niezależnie od tego, jak bogatym człowiekiem był Corbeau.

Przez wiele miesięcy przygotowywali się do tego rajdu, nie mając nawet pewności, czy obraz w ogóle istnieje. Zaryzykowali życiem dla tej szansy i wygrali. Albo przynajmniej tak im się wydawało. W którymś momencie Corbeau poznał ich tożsamość i teraz wszystkie bogactwa świata nie uratują Kate przed jego zemstą. Jeśli nawet Ethanowi udałooby się dostać do wnętrza willi, nie uda mu się uwolnić Kate bez walki. Ale tym razem jego przeciwnikami nie będą jedynie dwaj strażnicy wspierani przez dwa dobermany.

Kilkugodzinna obserwacja posiadłości Corbeau przekonała go, że ma do czynienia z ufortyfikowanym obozem. Widział jakiś tuzin osobników poruszających się pomiędzy głównym budynkiem a budką strażniczą, ale mogło być ich tam dwukrotnie więcej. Z pewnością byli też inni w terenie. Nieustannie ktoś wchodził lub wychodził. Nie widział sposobu, żeby przedrzeć się do wnętrza. Ale powiedzmy, że zdołała tam wejść z odznaką Lutza i przepustką ochroniarską. Powiedzmy, że to możliwe. Wciąż jeszcze musiałby odnaleźć Kate i wydostać się za mur, a nawet wtedy walka by się nie skończyła. Corbeau posłużyłby się policją do zamknięcia drogi, a potem ruszyłby w pościg i tropił ich w lesie pomiędzy drogą a jeziorem.

Jedynym sensownym rozwiązaniem było zadzwonić na policję i powiedzieć im, co się stało. A gdyby użył tego sensownego sposobu? Policja oczywiście musiałaby przyjąć zgłoszenie. Kiedy Ethan przedstawiłby się mundurowym, Kate zdażyłaby zniknąć, a Corbeau postarałby się, by Ethana spotkał ten sam los. Mógł przekonywać samego siebie, że policja byłaby w całej tej sprawie neutral-

na, ale zbyt długo mieszkał w Szwajcarii, by w to uwierzyć. Korupcja, o czym wie cała reszta świata, w tej policji nie istnieje, a jednak ludzie zamożni cieszą się specjalnymi przywilejami. Nie do pomyślenia jest, żeby mogli być pokazani w mediach jak zwykli przestępcy. Byłaby to oczywiście niezła rozrywka dla mas, ale marny interes dla kraju, który dawał schronienie miliardernom.

Wezwanie policji nie wchodziło w grę, ale bezpośredni atak też nie. Co gorsza, na opracowanie planu miał godziny, a nie dni czy tygodnie. Pracował sam, mając ledwie kilka sztuk krótkiej broni, dwa tłumiki i jeden zapasowy magazynek. Na tej samotnej warcie łatwo mu było wyobrazić sobie brutalność, z jaką Corbeau będzie się mścił na Kate. Trudno było powstrzymać się przed straceńczym atakiem na bramę wjazdową.

Zurych

Malloy znalazł uliczkę i ruszył krętym, brukowanym szlakiem pod górę, do najbliższej drogi. Maks i Marcus Steiner czekali na niego.

- Jak ci się mieszka? - spytał Marcus.

- Nie mogę narzekać. Przyjaciel uśmiechnął się lekko.

- Zważywszy na reputację twojego gospodarza, rozumiem, że pewnie byś nie śmiał.

- Jak się skończyła sprawa na lotnisku?

- Wszyscy podchwycili tę samą historyjkę. Czynny zawodowo dyplomata pracujący w Paryżu spędza kilka dni w Zurychu przed odlotem do Stanów. Grupa neonazistów obiera go sobie za cel, jako Amerykanina pracującego dla rządu Stanów Zjednoczonych. W dzisiejszych czasach nie potrzebują szczególnego powodu. Ważna jest jednak nie historyjka, Thomas, tylko to, jak się dowiedzieli, że będziesz w tym pociągu.

- Prawdopodobnie wystawił nas Roland Wheeler. Jediną rzeczą lepszą niż dwadzieścia pięć milionów jest dwakroć po dwadzieścia pięć milionów. Sprzedać, ukraść i sprzedać jeszcze raz.

- A jak Wheeler się dowiedział?

- Myślę, że kupujący podali mu moje nazwisko, a on założył mi podsłuch w pokoju.

- Przypuszczam, że to możliwe. Wheeler zaczynał karierę w Hamburgu. Dwaj z tej grupy uderzeniowej, chłopaki z irokezami, byli narkomanami działającymi w śródmieściu Hamburga.

- To niedokładnie ten typ ludzi, którzy obracaliby się w tych samych kręgach, co Roland.

- Był w to zamieszany również pewien księgowy z Berlina. A Wheeler ma w Berlinie wielu klientów. Być może są jakoś powiązani przez niego?

- Co masz na temat pożaru w Brand Books?

- Śledztwo trwa, ale wygląda na to, że znaleźli trzy trupy wewnątrz budynku. Jak dotąd przyczyny śmierci nie są znane, dopiero jutro rano dostaniemy wyniki sekcji zwłok. Na zewnątrz, tuż obok tylnych drzwi, znaleziono jeszcze jednego martwego mężczyznę. Wydaje się to powiązane z tym, co działo się w środku. Miał trzy rany postrzałowe. Kaliber prawdopodobnie 9, tak sądzą.

- Musimy to monitorować. Jeżeli Brand był w zмовie z Wheelerem, możliwe, że Wheeler zwrócił się przeciw niemu.

- Naprawdę sądzisz, że to Wheeler stoi za atakiem na lotnisku?

- W tym tłumie to on jest złodziejem.

- Być może masz rację. Zniknął po dzisiejszym porannym spotkaniu. Ludzie w jego galerii nie wiedzą, gdzie jest. Przez całe popołudnie nie dotykał swojej karty kredytowej ani nie używał telefonu komórkowego.

- Od jak dawna obserwujecie jego dom?

- Maks wezwał tam dwóch zuryskich stójkowych po służbie około trzech godzin temu.

Maks odezwał się zza kierownicy:

- Sprawdziłem, co u nich, zanim podjechaliśmy po ciebie. Willa wygląda na pustą. Nie widzieli żywej duszy.

- Czy nie napytamy sobie biedy, zaglądając do domu bez zgody właściciela?

- Ma cichy alarm - odparł Maks. - Kiedy pojawi się patrol samochodowy, nasi ludzie pokażą im odznaki i powiedzą, że już się tym zajmujemy. A my tymczasem zatroszczymy się o nasze sprawy.

- Problem pojawi się - dodał Marcus - jeśli coś zabierzemy. W momencie gdy pan Wheeler złoży skargę, nasi ludzie będą musieli się tłumaczyć. Jeśli dojdzie do rozgrywki pomiędzy garstką policjantów a Rolandem Wheelerem, Wheeler wygra.

- Chcę tylko informacji. Niczego nie będziemy zabierać.

- A miałem nadzieję, że wezmę sobie jakiegoś Moneta - zażartował Marcus. - Jak sądzisz, ma takiego, którego by nie żałował?

Posiadłość Rolanda Wheelera leżała na wschodnim brzegu Jeziora Zuryskiego, w miejscu, które należało kiedyś do przedmieść. Decyzją władz miejskich teren otaczający jego willę przekształcono w park, dzięki czemu Wheeler miał niczym nieprzesłonięty widok na jezioro. Dom nie był zbyt obszerny jak na standardy amerykańskie, ale jak na zwyczaje Starego Świata - niezaprzeczalnie wielki. Była to budowla dwukondygnacyjna, z cegły, wykończona wapieniem. Miała fasadę z dużym portykiem, taras wychodzący bezpośrednio z pierwszego piętra, stromy dach kryty łupkiem i zwykły tutaj nadmiar gotyckich ornamentów. Posejse otaczało niewysokie ozdobne ogrodzenie. Maks wprowadził mercedesa w zatoczkę w pobliżu domu i niespiesznie przeszedł przez ulicę, by porozmawiać z zespołem prowadzącym obserwację.

-Wciąż nic się nie dzieje - poinformował ich, kiedy wrócił. Marcus posłużył się wytrychem przy jednym z bocznych

wejść. Była to pożyteczna umiejętność, którą opanował dawno temu. Kilka sekund później byli już wewnątrz domu. Powitał ich panel alarmowy, ale zignorowali ostrzegawcze piknięcia. Meble były w większości zabytkowe. Bardzo wiele z nich pochodziło z XVI i XVII wieku. Miały w sobie ciepło i urok rzeczy używanych na co dzień. Malloy zaczął od sypialni, przetrząsając szuflady i półki w poszukiwaniu notesu z adresami.

Kiedy dostrzegł znajome migotanie kolorowych świateł, rozświetlające wnętrze, podszedł do okna. Patrol samochodowy zareagował po czterech minutach, odkąd weszli do domu.

Jeden z detektywów, których Maks wynajął po służbie, przywitał nowo przybyłych. Wskazał na dom, a Malloy, wiedząc, że jest dla nich tylko zarysem sylwetki, uniósł dłoń na powitanie. Nie wrócili natychmiast do swego samochodu, ale też nie zamierzali kwestionować tego, co mówił im kolega oficer. Drugi z wynajętych policjantów powoli wyszedł na ulicę i cała czwórka rozpoczęła niezobowiązującą pogawędkę - najprawdopodobniej o pogodzie.

- Musisz zobaczyć jego biuro - powiedział Marcus, wchodząc do sypialni Wheelera. Malloy poszedł za nim bez słowa. Po drodze przyjaciel zaczął wymieniać żalobnym tonem nazwiska różnych malarzy, których Wheeler tak zwyczajnie powiesił sobie na ścianach.

- Cezanne... Gauguin... Picasso... Kandinsky... Klee... nawet mój Monet. Myślisz, że żałowałyby mi jednego małego Moneta, Thomas?

- Zawsze możesz tu wrócić.

- Jak to mówicie w Ameryce? - bez trudu przeszedł na angielski z wyraźnym, ale miłym szwajcarskim akcentem. -,Chcę mieć natychmiastową satysfakcję i

chcę jej już teraz!" W szwajcarskim niemieckim dodał: - Co znaczy „jutro” dla dziecka w sklepie ze słodyczami?

Biuro Wheelera było jedynym miejscem świadczącym o tym, że dom został przeszukany. Szafki na dokumenty były opróżnione, a w kominku znaleźli ślady spalonego papieru. Monitor od komputera pozostawiono, ale samego komputera nie było.

Kiedy kończyli poszukiwania w biurze, wszedł do niego Maks.

- Mam coś - obwieścił w charakterystyczny dla siebie, szorstki sposób. Malloy i Marcus spojrzeli na niego wyczekująco. - Pewnie będziecie chcieli sami to zobaczyć - powiedział.

W podziemnym gabinecie znaleźli ciało Rolanda Wheelera z udami przyciśniętymi do klatki piersiowej, piętami wciśniętymi w pośladki i brodą wepchniętą ciasno pomiędzy kolana. Handlarz dziełami sztuki wciąż miał na sobie ten sam grafitowy garnitur i szkarłatny krawat, w których przyjechał do banku. Jego zwłoki były zimne. Zdażyły już zeszywnieć. Zabito go strzałem w tył głowy z małej odległości.

Marcus krótko przypatrywał się ciału, potem spytał Malloya:

- Czy wciąż uważasz, że to on stoi za atakiem na lotnisku? Jezioro Czterech Kantonów

Kate usłyszała skrzypnięcie otwieranych stalowych drzwi i zobaczyła słaby, szarawy promień światła biegnący przez pokrytą żwirem podłogę. Mimo przerażenia, szybkim rzutem oka rozejrzała się po swojej celi więziennej. Sufit był około ośmiu metrów ponad nią. Jak się domyślała, była to wieża Corbeau, a dokładnie dolne dwie trzecie jej wysokości. Do ścian przyczepiono pół tuzina łańcuchów z kajdanami i kilka uchwytów na pochodnie. Poza mrokiem nad głową, gdyby zdołała wspiąć się tak wysoko po gładko łączonych kamieniach, czekał

gruby kamienny strop. Miała wcześniej nadzieję odkryć jakąś drogę ucieczki, ale nie było stąd wyjścia innego niż przez stalowe drzwi.

Gdy snuła te rozważania, do pomieszczenia weszło trzech umundurowanych strażników. Każdy z nich niósł płonąca pochodnię i pistolet automatyczny o skróconej lufie. Cienie mężczyzn tańczyły na ścianach w migoczącym świetle pochodni, a Kate przyszła do głowy przygnębiająca myśl, że w świecie Corbeau średniowieczne okrucieństwo ma do dyspozycji wszelkie zdobycze nowoczesnej technologii. Znalazła się w jakimś gotyckim koszmarze, uwięziona w niezdobytym średniowiecznym donżonie przez strażników, którzy mieli na sobie mundury firmy ochroniarskiej. Odrobina elektryczności mogłaby sprawić, że wszystko wyglądałoby niemal normalnie.

Kiedy już każdy z mężczyzn umieścił swoją pochodnię w uchwycie, wszedł, z jakimś dziwnie niepokojącym dostojeństwem, Julian Corbeau. Miał około pięćdziesięciu pięciu lat, był szczupły, drobny i nienaturalnie wyprostowany. Według wiadomości, jakie zdobył na jego temat Ethan, ten człowiek nie spędził ani dnia w wojsku, ale trudno było w to uwierzyć. Prezentował się zupełnie jak generał. Kate знаła arystokratów, a nawet członków rodziny królewskiej. Krewni jej męża byli ludźmi nadzwyczaj bogatymi, o wielkich wpływach politycznych. Znała kolekcjonerów każdej narodowości, ludzi, z którymi jej ojciec przez całe lata utrzymywał kontakty, mężczyzn i kobiety, poruszających się poza granicami prawa z nonszalancją rodzącą się ze świadomości, że mają polityków na swoje usługi, ale nigdy nie widziała człowieka emanującego taką pewnością siebie. Wyglądało to, jakby wierzył, że ma w sobie moc jakiegoś bóstwa.

Nie poświęcając North ani krzty uwagi, Corbeau patrzył na Kate, jakby kupował smakołyki. Nie dbał o to, czy się go bała. To nie był pokaz władzy. Chciał się tylko nacieszyć. Kiedy zdawało się, że już to osiągnął, zerknął w kierunku strażników, którzy ustawili się rzędem wzdłuż ściany. Jeden z nich wystąpił krok

do przodu i zaprezentował broń, jakby przedstawiał ją do inspekcji. Corbeau wziął pistolet i wymierzył w Nicole North, po raz pierwszy zwracając na nią uwagę.

-Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż zabicie pani, doktor North - obwieścił po angielsku. - Na szczęście dla pani, wciąż ma pani pewną wartość, jeśli wuj zdecyduje się wymienić pani życie na mój obraz. Co oznacza, że nie zależy mi szczególnie na tym, w jakim stanie będzie pani ciało, dopóki tylko jest pani żywa, więc dobrze by pani zrobiła, odpowiadając na moje pytania szybko i szczerze. Co do pani natomiast, lady Kenyon - powiedział, przechodząc na włoski, ale w żaden inny sposób nie odwracając uwagi od doktor North - sprawa przedstawia się inaczej. Przyznaję pani prawa i honory należne jeńcom wojennym. Jak na razie nie mam zamiaru zadawać pani bólu. Ani draśnięcia, o ile tylko będzie to ode mnie zależało. Nawet jeśli nie będzie pani współpracowała ze mną podczas przesłuchania, mówię otwarcie, zupełnie nic się pani nie stanie. - Przeniósł wzrok na Kate i nie uśmiechając się, zdołał jednak wyrazić swe rozbowienie. - Nie wygląda pani, jakby mi wierzyła.

-Nie wierzę - odpowiedziała Kate po angielsku. Corbeau skinął głową i strażnik, który wcześniej podał

mu broń, podszedł do niej, dotykając delikatnie jej ramienia i powiedział do niej po niemiecku:

-Proszę pod ścianę.

Poddała się presji koniuszków jego palców i poczuła na plecach chłód kamiennych murów. Strażnik znów odezwał się po niemiecku:

-Proszę podać mi dłoń.

Kate podała. Mogła sobie wyobrazić, że ten człowiek ma na myśli jej odcięcie. Taka była kara dla złodziei. Skoro jednak nie mogła zrobić nic, by temu zapobiec, po prostu przygotowała się na najgorsze - cokolwiek to będzie.

Delikatnie, z całą uprzejmością eskorty pomagającej damie wysiąść z samochodu, podniósł jej nadgarstek ponad głowę.

Zapięcie zamknęło się wokół niego z niespodziewaną łatwością. Kate spojrzała w górę i zobaczyła kajdany. Wolną ręką zamachnęła się wściekle na strażnika, chwytając go za nos z błyskawicznym trzaskiem. Młody człowiek zakrył rękami zakrwawioną twarz. Tylko jeden okrzyk bólu wyrwał mu się z ust, kiedy złamała mu nos, poza tym nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

- Zastrzelcie ją - powiedział Corbeau po niemiecku, z obojętnością człowieka, który taki rozkaz wydawał już wiele razy. Obaj strażnicy wycelowali broń i oddali po jednym strzale do Nicole North. Kobieta krzyknęła, kiedy impet rzucił ją o ścianę, a potem upadła na zwirową podłogę. Po chwili pełnego szoku milczenia, z bólem nabrała powietrza i wydała z siebie dziki, nieartykułowany wrzask.

- Gumowe kule - wyjaśnił Corbeau po włosku, patrząc Kate prosto w oczy z intensywnością kochanka. - Jak sądzę, w tej chwili pewnie myśli, że umiera. O ile mi wiadomo, tego bólu nie da się porównać z bólem palonego ciała. Być może znów odmówi pani współpracy, a wtedy doktor North będzie miała okazję przekonać się o tym. Teraz, jeśli będzie pani tak miła, proszę podać dłoń temu dżentelmenowi i ze względu na tę oto swoją przyjaciółkę, proszę nie kazać mi powtarzać tego dwa razy. Zapewniam panią, że obie zostaniecie rozkute, kiedy zakończymy rozmowę, ale oglądałem panią w akcji na taśmach z monitoringu i szczerze mówiąc, nie czułbym się całkiem bezpiecznie, gdyby miała pani swobodę ruchów.

North nadal leżała na podłodze, głośno jęcząc.

Corbeau po niemiecku kazał strażnikowi poprosić Kate, by podała mu rękę. Strażnik podszedł do niej spokojnie, choć z nosa wciąż kapała mu krew.

- Proszę?

Kate pozwoliła, by mężczyzna zapiął jej kajdany na drugim nadgarstku. Następnie zakuł po kolei obie kostki.

Nie ukoilo to jej strachu, gdy patrzyła, jak delikatny wobec niej strażnik brutalnie podnosi North za ramiona i rzuca nią o ścianę. Machał głową w przód i w tył, pozwalając, by krew z jego nosa rozpryskiwała się jej po twarzy. Podczas gdy ona kulila się i wrzeszczała, brutalnie zakuł w kajdany jej nadgarstki i kostki u nóg. Dokonawszy tego, zerwał z niej ubranie. Pewna, co nastąpi dalej, kobieta załamała się. Jej błagania o litość nic dla Corbeau nie znaczyły. Nawet na nią nie patrzył. Spojrzenie miał wciąż utkwione w Kate. Choć obiecywał coś przeciwnego, Kate była pewna, że Corbeau zamierza kazać je obie zgwałcić, zanim posłuży się bardziej wyrafinowanymi metodami inkwizycji.

- Zostawcie nas - powiedział po niemiecku. Kiedy trzech strażnicy wychodzili, oddał broń z powrotem jednemu z nich.

Gdy zostali sami, przeszedł, by obejrzeć rany North. Jęknęła z cicha, kiedy dotknął jej ciała.

- Czego pan chce? - zapytała. Corbeau powiedział do niej po włosku:

- Jeżeli poprosi mnie pani grzecznie, od razu każe przysłać pani świeże ubrania.

- Co pan mówi?! - krzyknęła w nagłej złości. - Proszę mówić po angielsku! Nie rozumiem pana!

Nie spuszczać spojrzenia z North, Corbeau mówił dalej po włosku:

- Jeśli powie jej pani, co przed chwilą mówiłem, dam jej ubranie nasączone kwasem.

- Czego on chce? - Nicole domagała się odpowiedzi od Kate. - Powiedz mi, co on mówi?

Odpowiedział po angielsku:

- Proszę się modlić do swego Boga, doktor North. Rozumiem, że to może być wielką pociechą w takich momentach jak ten.

Kobieta krzyknęła, jakby pchnął ją nożem, choć nie zrobił nic, by wywołać tę reakcję, poza wzmianką o Bogu.

Corbeau zostawił ją i podszedł do Kate. Krzyki North cichły z każdym krokiem, który oddalał od niej prześladowcę, ale nadal oddychała z wysiłkiem, płytko i szybko. Kiedy już stanął przed Kate, zapytał po włosku:

- Kto tego lata włamał się z panią do mojego domu? Kate odpowiedziała po angielsku:

- Człowiek, którego poznałam w Rzymie.

Corbeau podszedł do jednej z pochodni. Wziął ją, patrząc pieścotliwie na jasny, migoczący płomień, i skierował się ku doktor North. Jej krzyki przeszły w dziką panikę.

- Ethan Brand! - krzyknęła Kate.

Nic to nie pomogło. Corbeau przeciągnął pochodnię po stopach North. Wydawał się całkiem obojętny na zmianę tonu jej krzyków i miotanie się w paroksyzmach bólu. Głos Nicole nie przypominał niczego, co Kate dotąd słyszała, i coś wewnątrz niej się załamało. Do tej chwili wyobrażała sobie, że zdoła wytrzymać i bez względu na to, co Corbeau zrobi, nie da mu satysfakcji i nie będzie go o nic błagać. On jednak poznał jedyną jej słabość: Była człowiekiem.

- Niech ją pan zostawi!

Corbeau, wracając do Kate, przyniósł pochodnię ze sobą. Spojrzeniem omiół jej ramiona, biust, potem biodra i uda -czego znaczenie nietrudno było odgadnąć.

Mężczyzna uśmiechnął się niemal przyjaźnie.

- A jeśli zostawię?

- Czego pan chce?

- Chcę prawdy! Proszę nie sądzić, że zdradza pani swojego kochanka. On już nie żyje.

Oczy Kate zapłonęły. Gardło jej się ścisnęło. Przez straszną chwilę wydawało jej się, że nie zdoła ustać na nogach.

- Jeśli to panią pocieszy, zabił dwóch z trzech ludzi, których posłałem, by go przesłuchali i stracili. Pani kochanek był bardzo sprawnym mężczyzną. Życzyłbym sobie mieć go wśród moich ludzi.

Kate usiłowała powstrzymać się od płaczu. Do tej chwili nigdy nie zdarzyło jej się naprawdę kogoś nienawidzić. Uczucie to sprawiało, że kończyny miała lodowate, a środek ciała płonął. Nie obchodziło jej, że kosztowałoby ją to życie - gdyby była w tej chwili wolna, zabiłaby Juliana Corbeau. Trudno było natomiast zaakceptować fakt, że nic nie może zrobić. Ethan zginął, a ona nie mogła nawet płakać, żeby nie dać satysfakcji temu sadyście.

- Kim byli ludzie przy bramie wjazdowej?

Kate zerknęła na Nicole. Choć bardzo chciała, nie mogła odmówić Corbeau. Sama właściwie pragnęła bólu, byłoby to jakieś ujście dla jej wściekłości, ale nie mogła patrzeć na cierpienie North.

- Byli Austriakami. Nie znam nazwisk. Wybrał ich mój ojciec. Tylko raz się z nimi widziałam.

- Imion także pani nie zna?

- Nie używaliśmy imion.

Oczy Kate przeskoczyły na Nicole, która wpatrywała się w nią, przejęta trwogą. Najwyraźniej już zrozumiała, że jej cierpienia związane są z odpowiedziami Kate.

- Na pani miejscu nie martwiłbym się o nich zanadto. Oboje nie żyją. Helga sama się zabiła dziś po południu. Biedna kobiecina, nie była zbyt bystra. Wypiła jakiś rodzaj środka do przetykania rur. Z tego co wiem, bardzo cierpiała. Hugo

został odnaleziony około godziny temu w swojej ulubionej tawernie w Wiedniu. Ktoś go wykastrował w toalecie i porzucił, żeby się wykrwawił. Brudna robota, jak na mój gust.

- Ty żałosny bękarcie!

- Mam bardzo długie ręce, lady Kenyon, jeśli jeszcze pani tego nie zauważyła.

- Nie ujdzie to panu na sucho.

- Prawie to samo powiedział mi pani ojciec dziś po południu, zanim wpakowałem mu kulkę w łeb.

Z furią rzuciła się w jego stronę. Kiedy przytrzymały ją łańcuchy, o mało nie wyrwała sobie ramion ze stawów. Teraz ona wrzeszczała.

Corbeau przeszedł do Nicole, która zaczęła się trząść, gdy tylko zauważyła, że zbliża się do niej.

- Proszę wstać, doktor North.

North nie reagowała, wydawała się do tego niezdolna.

- Proszę wstać albo znów panią przypalę. Chciałaby pani tego?

Wstała, ale tylko na kilka sekund. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, wspierała się na łańcuchach.

- Skąd dowiedziała się pani o moim obrazie? - zapytał Corbeau, beztrąsco machając pochodnią w pobliżu jej włosów. Kobieta krzyknęła z cicha, przerażona już tak bardzo, że straciła wolę oporu, a z całą pewnością dar wymowy.

- To nie ona! - krzyknęła Kate. - Ethan go znalazł! Corbeau odwrócił się od North, ale pozostał na tyle blisko, by

zapalić jej włosy, gdyby nie spodobała mu się odpowiedź Kate.

- List Billa Landiego przechowywany na Uniwersytecie w Denver, jeśli dobrze rozumiem? - powiedział.

- Jeśli pan wie, po co pan pyta? Dlaczego ją pan straszy?

- Proszę mi opowiedzieć o tym liście.

- Landi w 1900 roku studiował malarstwo w Paryżu. Pewnego wieczoru spotkał w tawernie Oskara Wilde'a. Za cenę drinka Wilde opowiedział mu historię o portrecie Chrystusa, który Poncjusz Piłat kazał namalować w poranek ukrzyżowania. Człowiek posiadający go, powiedział, jest nieśmiertelny, jest wskrzeszonym duchem Jakuba de Molay. Landi sądził, że Wilde zmyśla, to znaczy, najwyraźniej częściowo zmyślał, ale napisał o tym bratu, podekscytowany poznaniem pisarza.

- Jak pan Brand natrafił na ten list?

- Powinien był pan go zapytać, zanim go pan zabił.

- Pytam panią.

- Ktoś napisał na jego stronę internetową z pytaniem o portret Chrystusa powstały z inicjatywy Piłata. Ethan nigdy o nim nie słyszał, ale był ciekaw, więc zaczął się rozglądać. W końcu coś na ten temat znalazł i odpisał, podając źródło. Tego właśnie ta osoba oczekiwała. Ethan z ciekawości zapytał autora e-maila, gdzie natrafił na wzmiankę o tym, a ten przesłał mu kopię listu Landiego.

- Czegoś mi pani nie mówi - odparł Corbeau.

- Mówię panu, co wiem. Landi odnosił sukcesy jako malarz i architekt w Denver. Kiedy umarł, dokumenty po nim zostały podarowane archiwum uniwersyteckiemu.

- Kto napisał do pana Branda?

- Nie wiem. On ma... miał... stronę internetową - zmagala się ze sobą, żeby głos jej się nie załamał. - Nieustannie dostawał listy od osób żądających informacji. W większości były to pytania, na które odpowiedź znaleźliby w podstawowych podręcznikach na temat średniowiecza, ale czasami natrafił na coś ciekawego. O tej sprawie z początku nic nie wiedziałam. Nie wciągał mnie w to, dopóki nie znalazł pana.

- Znalazł mnie. Tak po prostu? Ktoś niejasno wspomniał w Internecie o możliwości istnienia jakiegoś obrazu... a on znalazł mnie?

- Wiedział tyle: posiadacz portretu mieszkał w Paryżu w 1883 roku i gdzieś w Szwajcarii w roku 1899. Miał nazwisko Anglika, którego Wilde odwiedził w Szwajcarii w 1899 roku. Nie wiem, jaki jest związek pomiędzy tym Anglikiem a pańskim dziadkiem, ale Ethan coś znalazł.

- Kłamie pani, żeby kogoś ochronić. Kate powiedziała po włosku:

- Robię, co w mojej mocy, żeby kogoś ochronić w tej chwili, mówiąc panu prawdę! - Po angielsku dodała: - Być może Ethan o czymś mi nie powiedział, ale widziałam odbitkę listu Billa Landiego. To na pewno jest prawda.

- Ktokolwiek napisał do niego o tym liście, znał jego umiejętności złodziejskie.

- To niemożliwe.

- Jeśli ja was odnalazłem, ktoś inny mógł także.

- Uważa pan, że stał za tym ktoś z pańskich ludzi?

- Daję moim ludziom to, czego nie mogą osiągnąć na własną rękę, nawet z tym obrazem. Dlatego właśnie są mi oddani. To był ktoś spoza Zakonu, jakiś wróg.

- To był czysty przypadek.

- Nie ma czegoś takiego jak przypadek. Ale proszę pozwolić, że o coś zapytam. Ukradliście mi obraz... dla pieniędzy? Nie mieliście innych celów?

- Ukradliśmy go, żeby się przekonać, czy zdołamy. Corbeau zdawał się to przyjmować, a nawet doceniać

ten motyw.

- W takim razie sędzę, że zgodzi się pani ze mną: ponieśliście spektakularną klęskę.

- Czy mogę o coś pana zapytać? - Twarz Corbeau wyrażała co najmniej chęć zabawienia się jej dociekaniem. - Co stanie się z nami, kiedy już odzyska pan swój obraz?

Uśmiechnął się mrocznie.

- Doktor North zapewne poszuka pomocy lekarskiej ze względu na swoje poparzenia.

Kate zapytała po włosku:

- A co zamierza pan zrobić ze mną?

- To bardzo interesujące pytanie. - Corbeau uśmiechnął się ze słodyczą, która przejęła ją grozą. Przez moment zdawało się, że ma ochotę zaspokoić jej ciekawość, ale tylko pokręcił głową. - Myślę, że z odpowiedzią na nie poczekamy. Zresztą, nie uwierzyłaby mi pani, gdybym to wyjawiał.

Zurych

Maks odwiózł Malloya do jego kwatery tuż przed północą. Marcus Steiner przekazał miejsce zbrodni innemu detektywowi z wydziału zabójstw, twierdząc, że ma zbyt wiele do zrobienia w związku ze strzelaniną na lotnisku, a potem wrócił do swojego biura, żeby sprawdzić uaktualnione raporty na temat pożaru w Brand Books.

Malloy próbował dodzwonić się do Gwen i wreszcie mu się udało.

- Byłam w mieście - wyjaśniła, gdy poprosił, by mu powiedziała, co się z nią wcześniej działo. - A dlaczego pytasz?

- Nic. Po prostu... niepokoiłem się.

- Czy coś się stało?

- Nie... po prostu... jak zwykle. Ale możliwe, że będę musiał zostać tu jeszcze kilka dni. Nie chcę, żebyś się martwiła. Zadzwoń, kiedy już pozabawiam sprawę.

- Ile dni?

- Jeszcze nie wiem na pewno.

Rozmawiali przez kilka minut, potem się rozłączyli. Odkładając telefon, wyciągnął się na łóżku w nadziei, że teraz prześpi się godzinę albo dwie. Telefon odezwał się prawie natychmiast. Dzwonił Marcus.

- Mamy Marca Brunettiego. Ktoś poderżnął mu gardło dziś rano w dzielnicy finansowej. Miał broń w kaburze na ramieniu, a w kieszeni licencję na jej posiadanie. Zajął się tym kilku naszych detektywów. Zgadnij, kto go zatrudniał?

- Roland Wheeler.

- Właśnie przeglądam billingi Wheelera. Przedostatni telefon, jaki wykonał, był na komórkę Brunettiego, zaraz po spotkaniu z tobą, a ostatni - na telefon komórkowy Kate Kenyon.

- Dzwonił do córki.

- Wyciągnąłem teczkę lady Kenyon i dowiedziałem się, że policja kantonu Ticino uważa, iż porwano ją z jej dachy w górskiej wiosce Sobrio dziś, wczesnym popołudniem. A tu rzecz interesująca, Thomas. Poprosiłem o wykaz połączeń z jej komórki. Ostatnie było do Ethana Branda.

- Którego antykwariat spalił się dziś po południu...

- Wciąż nic nie wiem o tych trzech ciałach wewnątrz jego sklepu, ale człowiek znaleziony w uliczce nie był niewinnym przechodniem. Miał na sobie pustą kaburę. Nie wiemy, czy zabito go z jego własnej broni, czy też ktoś, kto go zastrzelił, zabrał mu broń później. Podaliśmy do Interpolu jego odciski palców i właśnie dostaliśmy nazwisko: Rolf Lutz. Drobnym rzezimieszkiem działającym pod Berlinem. Pięć lat w więzieniu za wymuszenie. Potem jeszcze kilka razy aresz-

towany, ale nie udowodniono mu winy. Na swoim koncie miał wszystko, od napałów po posiadanie narkotyków - relacjonował Marcus. - A, i jeszcze jedno. Dlatego właściwie dzwonię. Miał przyczepione do paska etui, ale nie było w nim telefonu. Może jakiś strażak go zabrał, a może uciekł z nim morderca. Tego nie wiem, ale dziś po południu około dziesięciu osób dzwoniło do Wheelera. Tylko jeden z tych telefonów pojawia się też na liście tych, którzy dzwoniли na komórkę Kate Kenyon. Ktokolwiek to był, próbował się do niej dodzwonić kilka razy w ciągu jakichś dziesięciu minut, a potem przestał. Nie był to numer komórki Branda, ale myślę, że mógł z niego dzwonić właśnie Brand.

- Myślisz, że Brand uszedł z życiem?

- Ktoś zabił Lutza.

- Więc mówisz, że on zabija Lutza, bierze jego telefon i zaczyna dzwonić do Kenyon i Wheelera?

- Jeżeli razem w tym siedzą, jest to najbardziej oczywista rzecz, jaką by zrobił.

- Dzwoniłeś pod ten numer?

- Pomyślałem, że zostawię tobie tę możliwość - Marcus przedyskutował mi numer. - Przy okazji, tym razem ja stawiam.

- Nie przy ryzyku, jakie podejmujesz!

- Zapomniałem ci powiedzieć, ludzie, którzy zastrzelili Wheelera, zabrali też jego Moneta.

Po chwili potrzebnej na przyswojenie tego, co mówił mu przyjaciel, Malloy po prostu pokręcił głową i zaśmiał się.

- Do czego to dochodzi na tym świecie?

Jeziro Czterech Kantonów

11 października 2006 roku

O wpół do dwunastej sprzed głównej bramy posiadłości Juliana Corbeau odjechał van z zabudowanymi oknami. Światła pozostały włączone jeszcze przez kilka minut, ale nikt nie przechodził z budki strażniczej do willi. Aktywność, której Ethan był świadkiem wcześniej, wyraźnie zmaląła. Ten van był pierwszym samochodem, jaki pojawił się w polu widzenia od ponad pół godziny.

Kiedy razem z Kate planowali włamanie do willi Corbeau, wiele godzin spędzili na obserwacji rytmu dnia strażników. Szef ochrony Corbeau zatrudniał ludzi na dwunastogodzinne zmiany, czasem po trzy dni w tygodniu, a czasem po cztery. Zespoły zmieniały się o północy i w południe. Strażnicy używali swoich własnych samochodów. Ten van był nowością, ale rozkład zdawał się pozostać ten sam.

Zanim zdecydowali się na termin letnich fajerwerków nad Jeziorem Czterech Kantonów, Kate uważała, że najlepszą porą na uderzenie byłby czas tuż przed końcem zmiany. Strażnicy czuliby się swobodnie, byliby znudzeni i aż zanadto chętni do przyjęcia najbardziej oczywistej wersji zdarzenia - dwojga pijanych przed bramą wjazdową. Jej pomysł trafiał w sedno, ale teraz Ethan miał przed sobą akcję innego rodzaju. Potrzebował tego momentu dezorientacji, który rodzi się z nieznaności otoczenia. Van, tego był pewien, przywoził nowych strażników i zabierał tych, którzy pilnowali willi Corbeau przez poprzednie dwanaście godzin. W tym momencie i ani chwili wcześniej zamierzał podjechać do bramy i przekonać strażników, żeby go wpuścili, lub zginać.

Kiedy czekał, starając się nie myśleć o tym, że mogą to być ostatnie minuty jego życia, w kieszeni zawibrował mu telefon Lutza. Wyjął go i z ciekawości sprawdził, kto dzwoni. Był to numer telefonu komórkowego z regionu Berna - nie żaden z numerów z książki telefonicznej. Przełożony? Może nawet szef ochrony Corbeau? Zapamiętał numer, ot tak, na wypadek gdyby okazał się przydatny, i odebrał.

- Lutz.

- Ethan - odezwał się jakiś Amerykanin, nieoczekiwanie zwyczajnym tonem.
- Mówi Thomas Malloy. Przychodziłem do pańskiego sklepu, kiedy mieszkałem w Zurychu.

Pierwszą reakcją Ethana było pełne zmieszania zaskoczenie. Zanim się odezwał, obwieszczając po niemiecku, że osoba dzwoniąca pomyliła numery, było już za późno. Jeśli Malloy miał wcześniej jakieś wątpliwości, Ethan przekonał go, że to właśnie on. Przechodząc nad tym do porządku dziennego, rzeczywiście przypominał sobie Malloya. Minęło już kilka lat, ale pamiętał tę twarz: starszy mężczyzna, ciemne włosy, ciemne oczy, szczupły, przystojny, spokojny, inteligentny. Samodzielny redaktor i tłumacz albo ktoś w tym rodzaju. Co też on robił pośrodku tego wszystkiego?

- Roland Wheeler nie żyje, Ethan. Kate zaginęła. Policja uważa, że może to być porwanie. W tej chwili wygląda na to, że pan i ja mieliśmy szczęście, ale nie sądzę, żebyśmy długo się nim cieszyli, jeżeli nie zaczniemy mówić sobie nawzajem, co wiemy.

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi - nadal posługiwał się niemieckim, ale Malloy uparcie mówił po angielsku.

- Potrzebuję nazwiska, Ethan. Proszę mi powiedzieć, kto próbuje nas zabić, a może będę w stanie uratować Kate.

Ethan odezwał się po angielsku:

-Proszę więcej do mnie nie dzwonić, panie Malloy. Gdy tylko się rozłączył, był pewien, że to Corbeau napuścił Malloya, by do niego zadzwonił - przyjazny głos, obietnica pomocy, pozór niewinności w niewiedzy, kto go ściga! Bremmer musiał się domyślić, że Ethan ma telefon Lutza. Śledząc jego połączenia, najprawdopodobniej. Być może śledząc i jego dzięki połączeniom...

Wyłączył telefon. Spojrzał na bramę odległą o jakieś sześćdziesiąt metrów i niewiele brakowało, a zrezygnowałby ze swoich planów. Nie przejedzie na odznakę Lutza. Znają prawdę, pewnie już zidentyfikowano ciała. Corbeau ma swoje źródła w zuryskiej policji. Maje wszędzie! Nawet Thomas Malloy - jakiś tam cudzoziemiec - jest na jego usługach! Ale jeśli stąd odjedzie? Co wtedy? Ile jeszcze życia mu pozostanie, ze świadomością, że pozwolił Kate zginąć?

Kiedy van powrócił, Ethan zaczął się modlić. Nie robił tego od czasu, kiedy utracił wiarę na trzecim roku podczas studiów na Uniwersytecie Notre Dame, ale teraz i tak się modlił. Tak, jak modlą się umierający. Zakończył modlitwę, jak wtedy, gdy wierzył, znakiem krzyża, i poczuł się niewytłumaczalnie pogodzony z decyzją, którą podjął. Wchodzi do posiadłości Corbeau. W samochodzie sprawdził amunicję i raz jeszcze przypomniał sobie rozkład pomieszczeń w domu. Kiedy van znowu odjechał, przypuszczalnie zabie rając do Lucerny pierwszą zmianę ochroniarzy, podjechał pod główną bramę.

Dwóch mężczyzn wymierzyło w niego swoje AK-47. Trzeci zbliżył się do samochodu z mroku pod murem. On też mierzył kałasznikowem w głowę Ethana. Ethan opuścił szybę w oknie i uniósł w górę odznakę ochroniarską Lutza, takim gestem, jaki obserwował u innych przez cały wieczór. Utrzymywał obojętny wyraz twarzy i ze zmęczeniem, którego nie czuł, mruknął nazwisko:

- Lutz.

- Gdzie masz identyfikator?

Ponieważ identyfikator był ze zdjęciem, nie mógł go użyć.

- Zgubiłem w pożarze.

- Lutz! - krzyknął strażnik do mężczyzn stojących za stalowymi prętami. - Odznakę ma, ale jest bez identyfikatora!

Jeden z nich posłużył się telefonem komórkowym i po chwili zawołał po niemiecku do tego stojącego przy samochodzie Ethana:

- Spytaj go, gdzie był! Ethan warknął ze złością:

- Byłem w ogniu. Straciłem dwóch ludzi. Co niby miałem robić? Przyjechać prosto tutaj i przywieźć ze sobą policję?

Strażnik powtórzył to swojemu przełożonemu i nagle, jakimś cudem, brama do posiadłości Juliana Corbeau otworzyła się. Strażnik, który wcześniej dzwonił, wskazał w stronę psiarni.

- Zaparkuj tam i natychmiast zamelduj się u pana Brem-mera. Chce wiedzieć, co wyciągnęliście z Branda.

Ethan potwierdził, że przyjął polecenie, znużonym skinieniem głowy. Jeden z psów wstał czujnie, kiedy Ethan parkował samochód. Drugi, ten, do którego strzelała Kate, wydawał się obojętny. Stał swoje odciski palców, wysiadł z wozu i ruszył w stronę bocznych drzwi domu, gdzie, jak wiedział, znajdowało się jedyne wejście do podziemi. Idąc, uważnie przyjrzał się murom zewnętrznym. Pomyślał, że może udałoby mu się wspiać na szczyt z rozbiegu, ale Kate potrzebowałyby czegoś, żeby się odbić. Blisko muru postawiono szopę. Mogłaby się przydać, pomyślał, ale znajdowała się w eksponowanym miejscu. Nieco dalej dom trochę lepiej by ich osłaniał. Za na wpół przymkniętymi drzwiami szopy zauważył taczki. Były przestarzałego typu, duże, głębokie i ciężkie. Idealne. Podszedł do szopy i otworzył drzwi, starając się nie zostawić odcisków palców.

Zwróciło to uwagę strażnika stojącego u drzwi do podziemi.

- Co robisz? - podobnie jak tamci przy bramie, mówił w wysokoniemieckim, bez zwykłego szwajcarskiego akcentu. Corbeau sprowadzał swoje talenty z zagranicy.

Ethan odciągnął taczki, zanim odpowiedział strażnikowi.

- Powiedzieli mi, że śmierdzą. Strażnik zarechotał.

Ethan posłał mu szorstki uśmiech.

- Więc zamierzam wyczyścić psiarnię i dać im to powąchać!

- Zapomnij o nich! Ale muszę ci powiedzieć, że aż stąd cię czuję. A w ogóle, co się stało?

Ethan beztroskim gestem obrócił taczki i kopnął je pod ścianę. Udawał, że niechętnie porzuca swój pomysł.

- Byłeś kiedyś wewnątrz płonącego budynku? - zapytał. Strażnik przestał się interesować taczkami.

- Tamten pożar - to ty?

Skinąwszy głową, Ethan podszedł do niego. Jedną ze sztuk broni miał za tkniętą za pasek dżinsów i częściowo tylko przesłoniętą flanelową koszulą. Jeśli nawet strażnik ją widział, nie miało to znaczenia. W końcu Lutz był mordercą.

- Mogę wziąć prysznic i przebrać się w świeże ciuchy na dole?

- Jasne. W pralni mają czyste mundury, jeśli nie przeszkadza ci, że będziesz wyglądał jak ochroniarz.

Ethan celowo zerknął na mundur strażnika.

- Nie mam nic przeciw. Od tego właśnie zaczynałem. Strażnik był młodym chłopakiem i z pewnością miał większe aspiracje. Uwaga Ethana wytworzyła więź pomiędzy nimi.

- Słyszałeś już o lotnisku? Malloy i jakiś zuryski policjant zabili pięciu naszych. Wyobrażasz sobie?

Ethan przystanął i popatrzył na strażnika spojrzeniem, które, jak miał nadzieję, mogło uchodzić za stroskane, ale w tym czasie intensywnie myślał... Malloy?

- Dobrze, że mnie tam nie było - mruknął wreszcie.

- Przecież ty sam straciłeś dwóch ludzi!

- Wchodząc w coś takiego jak to - odpowiedział z namysłem Ethan - myślisz, że potrafisz panować nad sytuacją, ale tak naprawdę nigdy nic nie wiadomo.

Strażnik skinął głową.

- Kiedy mi się znudzi siedzenie tutaj dziś w nocy, pomyślę sobie o tych chłopakach, którym się nie udało. Wiesz, o czym mówię? Mógłbym być teraz w plastikowym worku.

- I ty, i ja tak samo - odparł Ethan, ruszając z miejsca.

- A w ogóle skąd jesteś?

Odwracając się, by odpowiedzieć, Ethan trzymał dłoń w pobliżu pasa.

- Jestem Anglikiem. Strażnik uśmiechnął się.

- Właśnie myślałem, że mówisz z akcentem!

Gdy tylko drzwi do podziemia zamknęły się za nim, Ethan popędził schodami w dół. Wchodząc do świetlicy, zobaczył kilka szafek, z których większość była zamknięta na kłódkę. W następnym pomieszczeniu leżał stos czystych mundurów, dokładnie poskładanych i wykrochmalonych. Porwał bluzę, parę spodni i ręcznik. W kuchni znalazł nóż rzeźniczy i ukrył go w ręczniku.

Przy końcu długiego, wąskiego korytarza prowadzącego do wieży siedziało, grając w karty, dwóch umundurowanych strażników. Mieli przy sobie broń i najwyraźniej pilnowali wejścia do donżona Corbeau. Obok nich, pod ścianą, leżały trzy pistolety o skróconych lufach.

- Co tutaj robisz? - spytał jeden z nich. On też mówił wysokoniemieckim.

Ethan zbliżył się do niego, odpowiadając po niemiecku:

- Muszę wziąć prysznic.

- Właśnie minąłeś prysznic! - burknął niechętnie drugi strażnik. Mówił takim tonem, jakim się mówi do kretynów.

Udając niezdarę z prowincji, Ethan uśmiechnął się potulnie.

- Kpisz sobie ze mnie! Nie widziałem żadnych pryszniców! Mężczyzna wskazał na korytarz, skąd Ethan przyszedł.

W tym geście stał się bezbronny. Ethan wyciągnął nóż z ukrycia i przejechał nim po szyi strażnika. Kończąc, odwrócił się w stronę drugiego, który rzucił karty i właśnie sięgał po broń. Gwałtownie przebił ostrzem jego plecy, zakrywając mu twarz ręcznikiem, by zdusić krzyk.

Pierwszy z napadniętych wciąż jeszcze trzymał się za szyję. Drugi trząśł się w szoku. Jednocześnie stoczyli się z krzesel.

Ethan oczyścił rękojeść noża z odcisków swoich palców, a potem unosząc i odrzucając sztabę, otworzył stalowe drzwi i zawołał w ciemność:

- Dama?

- Walet?

Ten głos nie brzmiał nawet jak jej. Ethan słyszał chrobot żwiru, ale zobaczył ją dopiero, kiedy weszła w plamę światła padającą przez otwarte drzwi. Sweter miała poplamiony, dzinsy przebarwione, włosy rozczochrane, ale nigdy jeszcze nie wyglądała piękniej.

- Dobrze się czujesz?

- Ja świetnie - Kate obejrzała się w ciemność - ale ona nie.

- O czym ty mówisz?

- Jest tutaj Nicole North.

Ethan wszedł do wieży i znalazł North leżącą nago na żwirze, twarzą do ściany.

- Doktor North, wyciągniemy panią stąd, ale musimy się pospieszyć. Mam tu jakieś ubrania...

- Przypalił mi stopy, nie zrobię nawet kroku! - zawodziła, prawie nie odwracając się od ściany.

Ethan obejrzał się w stronę Kate i powiedział do niej po niemiecku:

- Musimy przeskoczyć przez mur. To jedyna droga ucieczki. Nie ma sposobu, żeby ona wydostała się tamtędy.

Kate odpowiedziała również po niemiecku:

- Nie możemy jej tu zostawić!

- Musimy!

- Nicole - odezwała się Kate - nie możemy cię zabrać ze sobą, ale chcę, żebyś mi obiecała, że będziesz się trzymać. Niezależnie od tego, co on ci zrobi lub powie, zaufaj mi, wrócę tu po ciebie!

- Jeśli chcecie mi pomóc, zadzwońcie do hotelu Plaza w Nowym Jorku - odparła Nicole. - Poproście pana Gedeona. - Spojrzała na Ethana. - Upewnijcie się, że wiecie, gdzie jestem, i że Corbeau jest gotów wymienić mnie na obraz. Jeśli to dla mnie zrobicie... dam wam wszystko, cokolwiek zechcecie!

- Zadbam, żeby pani ludzie się o tym dowiedzieli - zapewnił ją Ethan. - Proszę się tylko trzymać!

North spojrzała na Kate.

- Uciekasz stąd? - Kate skinęła głową. - Nie boisz się? Kate uśmiechnęła się do niej.

- Oczywiście, że się boję. Ale strach jest dobry. Dopóki się boisz, wiesz, że wciąż jeszcze żyjesz.

Kate naładowała obie sztuki broni, które zebrali zabitym strażnikom wraz z zapasowymi magazynkami, i spytała:

- Jaki jest plan?

Ethan wyciągnął oba pistolety ze swoich dzinsów i odbezpieczył je.

- Na zewnątrz, za drzwiami, którymi wychodzimy z podziemia, jest jeden strażnik. Pakuję mu kulkę w łeb i przeskakujemy przez mur. A potem zwiewamy co sił w nogach.

- I tyle?

- Jeśli użyjemy tłumika, mogą nawet przez kilka minut nie zauważyć, że uciekłaś.

Zdobyła się na uśmiech, nieco ponury.

- Mam nadzieję, że zdołam to wszystko spamiętać. Kate potrafiła miesiącami przyglądać się zadaniu, rozważając różne możliwości.

-Nie miałem zbyt wiele czasu, żeby coś zaplanować - powiedział.

Wzruszyła ramieniem.

- To pewnie i tak lepsze niż siedzieć w ciemności i czekać na śmierć.

- Tak też pomyślałem.

W świetlicy czekał na Ethana jeden z ochroniarzy Corbeau.

- Wreszcie jesteście! Bremmer chce...

Ethan nie potrafił dociec, czy ochroniarz zauważył Kate, czy też jego podejrzliwość wzbudził fakt, że Ethan ma dwie sztuki broni. Nieistotne było, co wywołało jego reakcję. W momencie, gdy tylko uświadomił sobie, że coś jest nie tak, sięgnął pod swoją kurtkę sportową. Ethan nie mógł zrobić nic innego, jak tylko unieść jeden z pistoletów i strzelić.

Broń wypadła ochroniarzowi Corbeau, kiedy osuwał się na podłogę. Zamiast po nią sięgnąć, dotknął urządzenia, które miał przypięte do pasa, i powiedział:

- Kenyon...

Powstrzymał go drugi strzał Ethana. Obok niego pojawiła się Kate. Razem spojrzeli z oczekiwaniem na sufit podziemi. Może przekaz nie wydał się sensowny albo człowiek Corbeau nie wcisnął guzika. Może wciąż jeszcze mieli szanse.

Kiedy kilka sekund później zawyła syrena, spojrzeli po sobie. Złapią ich. Ethanowi opadły ramiona. Gotów był dać za wygraną, ale Kate pokręciła głową. Miała ogień w spojrzeniu.

- Nie poddamy się. Obiecuj mi! Nie poddamy się, choćby nie wiem co!

Ethan przytaknął, zerkając bez przekonania w kierunku drzwi wejściowych do podziemi.

- Jeśli zdołasz tam dobiec - powiedział - o mur oparte są taczki, żeby dać ci punkt podparcia.

Kate skinęła głową w stronę drzwi na szczycie schodów.

- Otwórz i padnij - szepnęła.

Ethan wziął głęboki oddech i wbiegł na schody. Pchnął nasadą obu dłoni dolną część drzwi, które pod wpływem tego uderzenia otworzyły się gwałtownie. Strażnik, z którym wcześniej rozmawiał, stał jakieś trzy metry od wejścia, z kałasznikowem ustawionym na ogień ciągły. Kiedy pociski przelatwały nad głową Ethana, Kate oddała dwa strzały z pozycji dobrze poniżej progu. Strażnik upadł do tyłu. Ethan przeczołgał się przez próg i wycelował oba pistolety na front domu.

Kate weszła na schody, przeskoczyła ponad Ethanem i pobiegła w stronę muru. Odbiwszy się od taczek, chwyciła się obiema rękami dachówek na jego szczycie. Jedną nogę miała już na górze, kiedy trzech strażników pojawiło się na rogu domu. Ethan trafił pierwszego z nich, gdy ten unosił już broń w kierunku Kate, a potem zranił drugiego, który razem z trzecim, wycofał się w bezpieczne miejsce.

Strzelał, dopóki wystarczyło mu amunicji, a potem wstał. Kate, wisząc na szczycie muru i chroniąc się za nim, zaczęła strzelać ciągłym ogniem w kierunku frontu posesji. Kiedy Ethan uchwycił się już szczytu muru i przerzucił przez niego jedną nogę, z oddali zaklekotał kałasznikow. Pociski zdawały się wspinać w

śląd za nim i poczuł, jak odłamki kamieni kłują mu twarz, a potem usłyszał, że Kate skończyła się amunicja. Ogień maszynowy ustał i Ethan krzyknął:

-Uciekaj!!!

Razem skoczyli w las.

Jeśli wcześniej mogli korzystać choćby z przyćmionego światła, teraz, wśród drzew, nie było o tym mowy. Znaleźli się w zupełnej ciemności. Nie byli ubrani odpowiednio na chłody, ale ich sytuacja przedstawiała się tak marnie, że prawie tego nie zauważali.

- W którą stronę? - zapytał Ethan, umieszczając zapasowy magazynek w jednej ze sztuk broni, a z drugiej zdejmując tłumik i zostawiając ją wśród liści. Z posiadłości Corbeau można było uciekać w dwóch kierunkach: mogli wyjść z lasu w którymś punkcie drogi lub nad jeziorem. Gdyby nie zdecydowali się na żadną z tych możliwości, w końcu byłiby narażeni na atak z obu stron.

- Jezioro - sądząc po głosie, Kate odzyskała zwykłą pewność siebie.

- Weź mnie za rękę! - powiedział jej Ethan. Mieli jedynie kilka cennych minut, żeby oddalić się tak bardzo, jak tylko to możliwe, zanim nadejdą ludzie Corbeau, ale wewnątrz ciemnego lasu czas płynął inaczej. Nie mając ani latarki, ani noktowizora, byli zdani na wymacywanie drogi. Za każdym krokiem natrafiali na jakieś przeszkody, przeważnie gałęzie drzew, ale też kamienie i doły. Pośpiech tylko pogarszał sprawę. Mieli za sobą wiele nocy spędzonych w górach. Nieźle zarabiali na życie, pracując w ciemnościach, ale zawsze pomagało im w tym odpowiednie wyposażenie. Teraz nagle byli jak ślepcy, osaczeni ze wszystkich stron i zmuszeni poruszać się nadzwyczaj ostrożnie. Nie sposób było gnać na złamanie karku.

Ethan, kiedy nieoczekiwanie poczuł, że nie ma nic przed sobą, skorzystał z tego. Pierwsze kilka kroków przeszli po terenie w miarę równym - wydawałoby

się, że był to odpoczynek, którego tak potrzebowali. Przy następnym kroku znaleźli się w powietrzu, spadając na łeb, na szyję. Ethan dotknął ziemi o jakieś sześć metrów poniżej miejsca, gdzie postawił ostatni krok, a potem znowu spadł. Uderzywszy o skarpę z miękkiej glinki, ześliznął się kolejne pięćdziesiąt metrów w dół. Zanim jeszcze się zatrzymał, uświadomił sobie, że wyszedł z tego bez szwanku. Martwił się jedynie o Kate.

- Jesteś cała? - wyszeptał.

- Sprowadziłeś nas z klifu.

Była blisko niego, a jej ton wskazywał, że nie jest ranna.

- Miałem nadzieję, że tego nie zauważyłaś.

Kate zbliżyła się, jej ciało dotykało jego, jej czoło muskało mu szczęki. Chwilę później ustami dotknęła jego ust.

- Wyjdziemy z tego, Ethan.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Wciąż chcesz ślubu?

- Bardziej niż czegokolwiek na świecie. Kiedy mi powiedział, że nie żyjesz...

- Wiem. Czuję to samo, kiedy się dowiedziałem, że cię schwytał.

Ponad nimi Ethan usłyszał, jak ludzie Corbeau rozkładają blokadę na drodze.

W przystani zaryczały silniki Pantery i Fountaina. Zawyły WaveRunnery.

Kate i Ethan byli niedaleko jeziora, ale to już nie miało znaczenia. Corbeau zdołał ich okrążyć.

Woda błysnęła po raz pierwszy, kiedy motorówka Fountain Cruiser wypłynęła na otwarte wody i omiotła pejzaż reflektorem. Znaleźli sobie kryjówkę za zwałonym drzewem, tuż przy brzegu. Na tym akurat odcinku jeziora przeciwległy brzeg leżał o jakieś czterysta metrów przez wodę, a drogą prawie pięć kilome-

trów. W świetle reflektora Fountaina Ethan dostrzegł, że reprezentacyjną Panterą płynnie sternik i dwóch uzbrojonych mężczyzn. Obie łodzie zatrzymały się jakieś pięćdziesiąt do siedemdziesięciu metrów od wybrzeża, podczas gdy skutery wodne zaczęły przeczesywać linię brzegową. Ethanowi wystarczyło kilka sekund obserwacji, by się przekonać, że Corbeau spodziewa się po nich raczej ucieczki drogą lądową. Łodzie po prostu utrzymywały kontrolę nad terenem.

Kate wskazała na dwa WaveRunnery.

- Gotów jesteś złapać okazję?
- Zepchną nas do wody, jeśli to zrobimy!
- Daj mi ten dodatkowy tłumik.

Skutery nie miały włączonych świateł pozycyjnych, tylko po jednym reflektorze, więc trudno je było znaleźć, ale kiedy zalały je światła Fountaina, Ethan musiał tylko obniżyć celownik i na sygnał dany przez Kate delikatnie nacisnąć spust.

Ich pistolety trzasnęły z cicha niemal jednocześnie, a Wave-Runnery zakołysały się gwałtownie, szarpnięte przez spadających z nich mężczyzn. Kate strzeliła jeszcze sześć razy, zanim oświetlił ich reflektor punktowy Fountaina. Ułamek sekundy później z obu łodzi otworzono ogień w stronę brzegu. Strzelanina była przerażająco intensywna, ale kałasznikow w trybie automatycznym dobry jest tylko na kilka sekund. W momencie, kiedy ogień ustał, Kate wychyliła się i strzeliła w reflektory WaveRunnerów, a gdy ustała druga seria strzałów z łodzi, rozprawiła się z reflektorem punktowym Pantery, pogrążając jezioro w ciemności. Bandydzi zareagowali kolejną dziką strzelaniną, ale nie mogli się kierować ani dźwiękiem, ani rozbłyskiem z lufy.

Kate przeładowała broń i oboje opuścili kryjówkę, przy sporadycznie padających jeszcze strzałach. Przecięli odsłonięty kawałek wybrzeża i rzucili się w błoto kilkanaście metrów od WaveRunnerów. Ethan usłyszał, jak Kate wślizguje się

w lodowatą wodę, i poszedł w jej ślady. Wzdrygnął się i zwalczył w sobie odruch, by krzyknąć z zimna. Maszyny wciąż jeszcze stały beczynnie, kiedy wspięli się na ich siedzenia. Ethan przełożył broń do lewej ręki i przypomniał sobie godziny spędzone na nauce strzelania obiema rękami - był to pomysł Kate, która zawsze chciała mieć coś w zanadrzu. Kiedy silnik Kate zawył, Ethan przesunął przepustnicę w swoim skuterze

i poczuł, jak wynurza się z wody niczym żywy stwór. Nie widział Kate, ale płynął za dźwiękiem jej WaveRunnera. Kierowała się, stwierdził z pewnym zaskoczeniem, prosto na Panterę.

Uzbrojeni bandyci na łodzi wyścigowej pierwsi otworzyli ogień. Strzelali tam, skąd dobiegał ryk silników. Kate i Ethan celowali w rozbłyski z ich luf. Obaj mężczyźni padli, ale Kate dalej płynęła w stronę ich łodzi, strzelając, aż opróżniła magazynek. Ethan trafił sternika nabojem, który okazał się ostatnim. Wyrzuciwszy broń do jeziora, pochylił się do przodu i podkręcił maksymalnie obroty silnika.

W odpowiedzi zaryczały silniki Fountaina, ale była to duża łódź, długości niemal piętnastu metrów, i rozpędzała się powoli. Przez kilka sekund uwaga Ethana skupiała się na światłach maleńkiej wioski leżącej na przeciwległym brzegu. Trzysta metrów, dwieście metrów, sto...

Zaryzykował spojrzenie do tyłu i zobaczył, że Fountain nabiera prędkości, ale wyścig był już zakończony. Ethan wprowadził WaveRunnera na wybrzeże porośnięte trawą, obok pojazdu Kate. Razem skryli się w cieniu starej stodoły. Broń z Fountaina mogła ich łatwo dosięgnąć, ale strzelając z płynącej łodzi do ruchomych celów odległych o sto metrów, trudno było trafić. Ta szczęśliwa okoliczność wystarczyła Kate i Emanowi. Począwszy od starej stodoły, kolejne budynki zapewniały im całkiem porządną osłonę i wkrótce biegli już bezpiecznie, wąską uliczką w obrębie wioski.

Na dwupasmowej autostradzie Ethan uświadomił sobie, że choć nie mieli już broni, ten pościg wyszedł im na dobre. Znajdowali się u stóp Mount Rigi. Był to bezkresny obszar, usiany maleńkimi wioskami, samotnymi farmami, otwartymi łąkami i gęstymi lasami. W ciągu kilku minut wbiegli na wzniesienie. Dało im to dystans, którego potrzebowali,

i zapobiegło wychłodzeniu organizmów przez mokre ubrania. Kiedy dotarli do drogi w miarę płaskiej, biegli jeszcze przez prawie kilometr. Kilka minut później zobaczyli światła jakiegoś gospodarstwa i skierowali się w ich stronę. Pozwolili, by pies ujadał na końcu łańcucha, podczas gdy Kate, powodując krótkie zwarcie, uruchamiała starą ciężarówkę. Kiedy już ruszyli, włączyła ogrzewanie i wreszcie się odezwała:

- Fajny plan, skarbie!

Zurych

- Powiedz mi, że to nie ty dopiero co napadłeś na posiadłość Corbeau - odezwała się Jane Harrison.

Malloy wstał i zaczął przestępować z nogi na nogę w ciasnych zakamarkach pokoju.

- Corbeau? Kiedy to było?

- Tuż po północy twojego czasu.

Spojrzał na zegarek. Była czwarta rano, dla Jane wciąż jeszcze wieczór.

- Nic o tym nie wiem.

- Corbeau oświadczył policji, że C I A właśnie próbowało go porwać. Ambasador Szwajcarii chce zapewnień, że nie byliśmy w to zamieszani.

- Coś wskazuje, że może to mieć związek z obrazem?

- Ty mi powiedz.

- Nie mam pojęcia, ale gdybym musiał zgadywać...

- Przekaż produkt Starrowi, T.K., i wynoś się z tego kraju, zanim zostaniemy jeszcze bardziej wciągnięci w ten... bajzel!

Mercedes Jonasa Starra wjechał na mały parking przy Rote Fabrik, zlikwidowanej wytwórni ceramiki, w której miasto urządzało imprezy kulturalne. O wpół do ósmej rano było tu zupełnie cicho. Starr i jego kierowca zaczęli w samochodzie, a dwóch ochroniarzy wysiadło i podeszło do Malloya.

Byli potężnej postury, a z ich sposobu poruszania się wnosił, że służyli kiedyś w armii. Obaj mieli pistolety maszynowe MAC-10.

- Ręce do góry - zakomenderował jeden z nich.

Kiedy już rozbroili Malloya, Jonas Starr wysiadł ze swojego mercedesa. Był wysokim, chudym mężczyzną o ogorzałej twarzy. Miał na sobie kaszmirowy płaszcz i mógłby niemal uchodzić za zuryskiego biznesmena. Zdradzał go tylko głos. Miał akcent typowy dla mieszkańca Teksasu.

- Gdzie jest mój obraz, panie Malloy?

- Obraz jest bezpieczny, doktorze Starr.

Jonas Starr uśmiechnął się. W innych okolicznościach uśmiech ten mógłby wydawać się czarujący, lecz w tej chwili oznaczał przede wszystkim niecierpliwość.

- Niestety, moja bratanica nie jest.

- Jeśli zechciałby mi pan powiedzieć, kto ją porwał, może potrafiłbym pomóc.

- Jeśli dobrze rozumiem, pańscy ludzie polecieli panu przekazać mi obraz.

Proszę więc to zrobić, a rozstaniemy się jak przyjaciele.

- Nie zawierałem umowy z panem, doktorze Starr. Uzgadniałem tę sprawę z doktor North i wielebnym Richlandem. Tylko od tych osób przyjmuję rozkazy.

Starr zerknął na dwóch ochroniarzy stojących po obu stronach Malloya, a jego uśmiech przeszedł w grymas.

- Nie sądzę, żeby sytuacja, w jakiej się pan znalazł, pozwalała się panu targować.

- To dlatego, że nie orientuje się pan w mojej sytuacji. -Wskazał gestem na linie dachu najbliższego budynku, na której pojawiło się pięciu uzbrojonych ludzi.

Starr, widząc, że stoi na przegranej pozycji, wykrzyknął z oburzeniem: -Co to jest?

- Moja broń, panowie?

Archeolog zgodził się i ochroniarz trzymający broń Mal-loya zwrócił mu ją. Chowając do kabur sigmę i glocka, Malloy powiedział Teksańczykowi:

- Może pan zadzwonić i poskarżyć się na mnie, ale gdy tylko pan to zrobi, pański obraz zniknie w Rosji. Kiedy już raz się tam znajdzie, żaden z nas go więcej nie zobaczy.

- Proszę wymienić swoją cenę, panie Malloy. Ile potrzeba, żeby skłonić pana do odstąpienia od tego zamiaru?

Malloy uśmiechnął się.

- A gdyby tak Richland powiedział mi, co chce, żebym zrobił?

- Mówi pan poważnie?

Kiedy Malloy nie odpowiadał, Starr sięgnął po telefon komórkowy. Kilka sekund później powiedział:

- Jim, jestem tu z twoim bliskim przyjacielem, Thomasem Malloyem. Upiera się, że to ty masz mu powiedzieć, by przekazał mi obraz. - Podał telefon Malloyowi.

- Pastorze?

- Rozumiem, że wpakował się pan w jakieś tarapaty, panie Malloy - głos J.W. Richlanda brzmiał tak, jakby wielebny został właśnie wyrwany z głębokiego snu, ale starał się być wesoły.

- Ważne jest to, że mam pański obraz. Mogę go panu przywieźć, jeśli pan zechce, albo mogę wymienić go na życie doktor North. Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić.

- Myślałem, że jasno to powiedziałem ludziom, dla których pan pracuje, panie Malloy...

- Pracuję dla pana.

- Ma pan dać obraz doktorowi Starrowi! On zajmie się ustaleniami dotyczącymi uwolnienia doktor North.

- Tego zrobić nie mogę.

- Zechce mi pan powiedzieć, dlaczego nie?

- Doktor Starr nie jest zdolny do przeprowadzenia takiej operacji. Właśnie byłem świadkiem pokazu jego niekompetencji.

- To nie pan o tym decyduje!

- Ma pan rację. Wybór należy do pana. Czy mam przywieźć obraz do Nowego Jorku, czy też posłużyć się nim, by spróbować ocalić życie doktor North?

- Proszę zrobić, co panu kazano!

- Nie zrozumiał mnie pan, pastorze. Teraz proszę posłuchać uważnie: jeśli zwróci się pan do swoich przyjaciół albo jeśli powie mi pan jeszcze raz, żebym dał obraz doktorowi Starrowi, pański obraz zniknie. Co więc chce pan, żebym zrobił: przywiózł go do Nowego Jorku czy też użył go, żeby ocalić życie doktor North?

Kaznodzieja odparł z westchnieniem rezygnacji:

- Proszę przywieźć mi obraz, panie Malloy.

- A doktor North?

- Zrobimy, co w naszej mocy!

- Ten obraz może ją uratować, pastorze.

- Nie wie pan tego!

- Nie, nie wiem. Ale gotów jestem zaryzykować życie dla tej możliwości.
- Ja nie mogę tak zaryzykować.
- Zaryzykować co - moje życie?
- Zachowuje się pan, jakby mnie to cieszyło!
- To Julian Corbeau ją przetrzymuje, prawda?
- Nie mogę pozwolić, żeby miał go człowiek tego pokroju...
- Pastorze, mogę ją wyciągnąć. On się zgodzi na tę wymianę. Proszę nie ka-
zać jej umierać za obraz.
- Proszę przywieźć go do Nowego Jorku, panie Malloy. Malloy rzucił telefon
Jonasowi Starrowi i odszedł.
- Dokąd pan idzie? - zażądał Starr.
- Jeśli podpisze pan moje czeki, doktorze Starr, chętnie odpowiem na pańskie
pytania. W innym wypadku może pan iść do diabła.

Jezioro Brienz

Malloy wślizgnął się do czekającego vana i został zawieszony na jeden z podziemnych parkingów miejskich. Tam znalazł porsche Hasana Barzaniego. Pięć minut później jechał nim przez zatłoczone ulice Zurychu w kierunku miasteczka Brienz. Dojechawszy tam, okrążył jezioro i skierował się w górę, do Axalp. Zostawił porsche w lesie i zaczął schodzić w dół, w kierunku willi contessy. Ścieżka była stroma i kręta, chwilami biegła brzegami skały, chwilami łożyskiem potoku. W posesji contessy Malloy zastał Rene grabiącego teren.

- Czy jest w domu? - zapytał.

Rene odwrócił się tyłem i zajął liśćmi, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć.

- Chce pan odzyskać swój obraz? - spytała contessa, gdy zobaczyła go przy głównych drzwiach.

Malloy uśmiechnął się.

- Jeśli go pani nie sprzedała. Otworzyła drzwi, zapraszając go do środka.

- Nie sądzę, żebym miała z tym jakiegokolwiek problemy, gdybym chciała.

Wprowadziła go do salonu i wskazała na stół. Przepakowała obraz.

- Jak pani sądzi, ile osób kupiłoby go, wiedząc, że należał do Juliana Corbeau?

Uśmiech contessy zbladł.

- Świat jest pełen głupców, Thomas. Nie musiałabym daleko szukać.

Malloy wsunął pakunek do małego plecaka, który zarzucił sobie na ramiona.

- Wciąż próbuję dociec, dlaczego ktoś miałby płacić dwadzieścia pięć milionów dolarów za obraz, którego nigdy nie będzie mógł publicznie pokazać.

- Dla tego rodzaju kolekcjonerów taka tajemnica to dodatkowy dreszczyk emocji.

- Nie dla ludzi, z którymi mam do czynienia.

- Nie jestem pewna, czy rozumie pan, z czym ma do czynienia.

- Myślę, że tak. To portret Chrystusa sprzed dwóch tysięcy lat. Jego poprzedni właściciel gotów jest popełnić każdą zbrodnię, żeby go odzyskać, a przyszły właściciel przygotowany jest na wszelkie poświęcenia, żeby go zachować. Czego tu można nie rozumieć?

- Proszę mi opowiedzieć o ludziach, którzy go kupili.

- Czy słyszała pani kiedykolwiek o wielebnym J.W. Richlandzie?

Wyraz jej twarzy wskazywał, że wie, o kim mowa.

- Umierający człowiek.

- Co to znaczy?

- Ma raka. Myśli, że ten obraz ma moc przywrócić mu zdrowie.

- Nie może poważnie sądzić...
- Ludzie umierający są marzycielami, Thomas. On nie sądzi, on wierzy.
- Wierzy w co? Co ten przedmiot może dla niego zrobić? Przehandlowuje życie kobiety, która go kocha, za kawałek drewna!

Malloy nigdy nie podnosił głosu. W obecności contessy rzadko pozwalał sobie na stwierdzenie czegoś z taką pewnością. Wzburzenie, z jakim wypowiedział te słowa, zaskoczyło go samego. To nie spotkanie z Jonasem Starrem wytrąciło go z równowagi. Po Starze spodziewał się tego. Rozstroiła go uwaga Richlanda na temat ryzyka. Obraz znaczył dla niego więcej niż ukochana kobieta. O wiele więcej.

- O czym pan mówi? - zapytała contessa, okazując zaciekawienie.

Powiedział jej o porwaniu Nicole North, o swoim spotkaniu ze Starrem i rozmowie z Richlandem.

- Nie potrafi ich pan zrozumieć, prawda? - zapytała. Malloy pokręcił głową.
- Corbeau zgodzi się na tę wymianę. Ona nie musi umierać.
- Pewnie ma pan rację, ale pozostaje pytanie, co pan zrobi?
- To, do czego mnie wynajęto, zawiozę obraz do Nowego Jorku.
- A doktor North?

Malloy wpatrywał się w ogień na kominku, nie odpowiadając.

- Zamierza pan zostawić ją w rękach Corbeau?
- Nie ja podjąłem tę decyzję!
- Podejmuje ją pan teraz, Thomas.
- Wie pani, ilu ludzi mógłbym stracić, próbując ją uratować?
- Zastanawiam się, co pan straci, jeśli przynajmniej pan nie spróbuje.

Malloy spojrzał contessie prosto w oczy.

- Ona nie jest niewiniątkiem.
- Nie za wielu z nas jest.

Z wnętrza swojej szopy na narzędzia René dostrzegł człowieka zajmującego pozycję wysoko ponad willą, na drugim brzegu potoku. Człowiek ten poruszał się z żołnierską precyzją. Dwóch innych zeszło z góry, podczas gdy René wyszedł z szopy, wioząc swe narzędzia załadowane na taczkę. Ludzie ci wspięli się na skały ponad ścieżką, którą przed kilkoma minutami zszedł Malloy. Wreszcie, powoli wlokąc się do ogrodu, René zauważył kogoś idącego szlakiem znacznie poniżej willi contessy. Podobnie jak ten pierwszy, ów człowiek znajdował się po przeciwnej stronie potoku.

Z cierpliwością starego, zmęczonego służącego, René przemierzył most i wjechał swoimi taczkami do lasu. Chwilę później zaczął biec.

Malloy wyszedł z willi contessy i skierował się z powrotem pod górę, w stronę miejsca, gdzie zostawił porsche Hasana Barzaniego. O pięć minut drogi nad posesją contessy ścieżka oddalała się od potoku, biegnąc szlakiem zawieszonym nad głęboką skalną rozpadliną. Sam szlak pozostawał w tym miejscu stosunkowo szeroki i wygodny, ale w Malloyu odezwały się zarówno instynkt, jak i wyszkolenie. Bezpośrednio nad głową miał ścianę skalną. Po prawej stronie patrzył w stu - stu pięćdziesięciometrową przepaść o skalistym podłożu. Świetne miejsce na zasadzkę, z której nie miałby odwrotu. Kiedy chwilę wcześniej przyszedł tą drogą, nie niósł ze sobą obrazu i miał tę przewagę, że schodził z góry. Teraz przemierzał się, nie wiedząc, co dzieje się powyżej. Kiedy właśnie zrozumiał swój błąd, na skale ponad nim pojawił się pierwszy człowiek.

- Zatrzymaj się tam, gdzie stoisz, Malloy! - krzyknął. Malloy cofnął się pod ścianę skalną, ale było to tylko częściowe schronienie, a głos dalej wołał do niego:

- Chcemy tylko obrazu. Połóż go na ścieżce i odejdz, a darujemy ci życie.

Malloy widział, że napastnikowi łatwo byłoby go zastrzelić. Spojrzał na wierzchołki kilku młodych drzewek. Wyrastały ze skał poniżej jego szlaku i wznosiły się na jakieś sześć do dziesięciu metrów ponad nim. Nie zastanawiał się długo. Gdyby sprawę przemyślał, być może zawahałby się. Wziął rozbieg i rzucił się ku jednemu z drzewek, najbardziej obiecującemu. Uchwycił się go, kiedy zeskokczył ze ścieżki, i przelatując nad rozpadliną, wyjął z kabury na ramieniu swojego glocka. Oddał dwa strzały - jeden, do mężczyzny, który do niego wołał i drugi do jego kolegi. Był to najbardziej spektakularny moment tej wymiany ognia i niewiele brakowało, a przyniosłoby oczekiwany efekt. Malloy zobaczył pył kruszonych skał obok głowy każdego z napastników, ale po chwili jego jedyna szansa minęła. Puszczając broń, uchwycił się wolną ręką drzewka i trzymał, odbijając się z powrotem w stronę skał i modląc, żeby wytrzymało.

Kiedy wierzchołek drzewka zawisł poniżej jego korzeni, a delikatny pień wygiął się w wielki łuk, Malloy ocenił realistycznie swoją sytuację. Delikatnie mówiąc, była nie najlepsza. Znajdował się jakieś trzy metry poniżej ścieżki i zdołałby się uchwycić skał. Tamtych dwóch nie mogło dosięgnąć go strzałem w tym miejscu, ale też nie miał jak uciec. Droga w górę oznaczałaby powolną, niebezpieczną wspinaczkę wśród wielkich głazów z powrotem na ścieżkę, gdzie czekało dwóch uzbrojonych bandytów. Poniżej siebie widział prawie pionowy spadek. W razie gdyby po niego przyszli, wciąż miał swoją sigmę. Dzięki naturalnej osłonie, jaką dają skały, mógłby pewnie trzymać ich na dystans co najmniej przez kilka minut.

Wyglądało na to, że sytuacja jest w tej chwili patowa, ale ta chwila nie trwała długo. Pierwszy strzał z drugiej strony potoku poniósł się echem przez kanion. Trzeci uzbrojony bandyta zajął pozycję bezpośrednio naprzeciw niego i mógł go łatwo zastrzelić, sam korzystając z osłony gęstego lasu. Malloy został pokonany i w końcu uznał ten fakt.

- Dobrze! - krzyknął. - Dam wam ten obraz!

Rozległ się drugi strzał. Podobnie jak za pierwszym razem, pocisk nawet nie zbliżył się do pozycji Malloya i ten przez chwilę nie był pewien, co się dzieje. Nagle zobaczył, jak spomiędzy drzew wychodzi René, niosąc pistolet maszynowy MAC-10. Człowiek contessy spojrział na niego w sposób, który u kogoś innego oznaczałoby rozbawienie, i rzucił broń na kamienie poniżej. Potem odwrócił się i znowu zniknął w lesie.

Malloy, kiedy wreszcie zdołał się wspiąć na skały i wydostać z powrotem na ścieżkę, znalazł na niej dwóch martwych bandytów. Jeden z nich miał w kieszeni telefon komórkowy. Odnalazł wśród kontaktów numer Jonasa Starra, nacisnął guzik połączenia i usłyszał jego głos:

- Macie to?

Malloy rzucił telefon w głąb kanionu, nie odpowiadając. Porwał pistolet MAC-10 nieboszczyka i dwa zapasowe magazynki.

Przy głównych drzwiach domu contessy nikt nie odpowiadał. Malloy okrążył willę, szukając jakiegoś śladu włamania. Wreszcie wyważył tylne drzwi. Przeszukał parter, usiłując odnaleźć jakiś znak życia. Nawoływał, przechodząc z pokoju do pokoju. Na górze, tam, gdzie contessa posłała go, żeby się przebrał, zauważył, że brakuje jednego z falsyfikatów portretów trumiennych. Tego enkaustycznego. Niczego innego nie tknięto. Spróbował przypomnieć sobie twarz z portretu, ale nie potrafił. To była... po prostu twarz mężczyzny. Pozostało mu w pamięci jedynie to odczucie, kiedy dotykał jego woskowej powierzchni... i zapach, jaki unosił się wokół contessy, kiedy stanęła blisko niego.

Gdy otworzyły się główne drzwi, Malloy ustawił przełącznik swojej broni na ogień ciągły i wyjrzał z pokoju. Na dole stał Rene.

- Wynoś się! - krzyknął po niemiecku. - Dość już działałeś!

Malloy zszedł ze schodów.

- Gdzie jest contessa, Rene?
- Poszła.
- Poszła? Co ty mówisz? Nic jej się nie stało?
- Idź stąd, Malloy. Po prostu idź sobie.
- Rene, powiedz mi! Czy jest bezpieczna?
- Ona nigdy nie jest bezpieczna.
- Mogę jej pomóc.

Brzydka, okrągła twarz Rene zdawała się niemal uśmiechać.

- Widziałem twoją pomoc!

Malloy nie rozumiał, ale też nie była to jego sprawa. Contessa opuściła dom. Najwyraźniej była bezpieczna, przynajmniej w pewnym stopniu, a Rene dowiódł, że jest więcej niż zdolny ją ochronić. Tyle Malloy wiedział i tylko tyle miał prawo wiedzieć. Obejrzał się w stronę pokoju, gdzie trzymała falsyfikaty.

- Brakuje jednego z obrazów na górze.

René skinął głową, nie okazując najmniejszego zdziwienia.

- Czy to ona go wzięła?
- Jakie to ma znaczenie? Zmusiłeś ją do opuszczenia domu, sprowadzając tutaj tych bandytów! Więc chyba może przynajmniej mieć jeden obraz?

Malloy chciał dodać coś jeszcze, ale René odwrócił się i poszedł do kuchni. Rozmowa była skończona.

Interlaken, Szwajcaria

11 października 2006 roku

Malloy nie od razu odnalazł chip naprowadzający GPS , który ludzie Jonasa Starra przyczepili mu rano, kiedy oklepy wali go przed spotkaniem z archeologiem. Umieścili go pod pętlą paska w kaburze jego sigmy. Nawet wiedząc, czego szuka, o mało go nie przeoczył. Wrzucił chip do jeziora, wsunął pistolet maszynowy pod kurtkę i ruszył biegiem w kierunku Interlaken.

Czterdzieści minut później, prawie na krańcu jeziora, zatrzymał się w Iseltwald. Czekając na autobus, który miał przyjechać za dziesięć minut, zadzwonił do Marcusa Steinera.

- Chcę, żebyś dostarczył produkt do Nowego Jorku. Możesz to zrobić?

- Nie mogę teraz wyjechać, Thomas, ale mój brat pewnie mógłby jutro rano złapać samolot.

Matthias Steiner miał własną firmę i bardzo często podróżował. Jego nagła decyzja, by polecieć do Stanów, chyba u nikogo nie wzbudziłaby szczególnej czujności.

- Świetnie. Będę mógł zapłacić ci później. Może tak być?

- Ja za to zapłacę, Thomas.

- Monet?

- Moja żona go uwielbia.

- Za godzinę będę w Interlaken. Tam mogę ci go przekazać.

- Dotarcie do ciebie zajmie mi trzy godziny. Co mam powiedzieć? Praca papierkowa z powodu twoich wyczynów mnie zabija.

- Przynajmniej nie ma już mowy o zwolnieniach.

- To prawda.

- Będę czekał w barze w Jungfrau.

Następną osobą, do której zadzwonił, był Hasan Barzani. Powiedział mu, że pojawiły się pewne problemy i zmuszony był zostawić jego samochód na poboczu drogi do Axalp. Samochód nie jest ważny, odpowiedział Barzani. Chciał natomiast wiedzieć, jakiego rodzaju kłopoty miał Malloy.

- Z gościem, z którym robiliśmy interesy dziś rano. Namierzył mnie GPS-em przez chip i zastawił pułapkę.

- Nie brzmi to, jakby pułapka była zbyt dobra. Malloy roześmiał się.

- Była całkiem dobra, ale dostałem nieoczekiwaną pomoc.

- Nic ci się nie stało?

- Jak na razie nic.

- Jest coś, co mógłbym zrobić?

Malloy zawahał się. Całkiem sporo, pomyślał, ale postanowił zabrać się do tego powoli.

- Być może. Odezwę się.

- Powiedz tylko słówko, Thomas.

- Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, usłyszeć w tej chwili, że to mówisz.

- Nie możemy zawieść prezydenta!

Dwadzieścia minut później jego telefon zawibrował. Malloy nie znał tego numeru, ale odebrał.

- Mówi Kate Kenyon. Ethan powiedział mi, że telefonował pan wczoraj wieczorem i proponował, że mnie uratuje.

- Owszem, ale on zasugerował, żebym więcej do niego nie dzwonił.
- Sytuacja się zmieniła, panie Malloy. Przyda nam się pańska pomoc, jeśli wciąż jest pan gotów jej udzielić.
- Co mogę dla was zrobić?
- Julian Corbeau więzi Nicole North. Chcemy ją wydostać.
- Dlaczego jest pani zainteresowana Nicole North?
- Wczoraj wieczorem patrzyłam, jak Corbeau przypala jej stopy.
- O Boże!
- Dziś rano zadzwoniliśmy do ludzi, o kontakt z którymi North nas prosiła. Zachowali się, jakby nie wiedzieli, o czym mówimy. Najwyraźniej wybrali obraz i pozwolą, by Corbeau zabił Nicole.
- A pani nie chce do tego dopuścić?
- Powiedziałam jej, że ją stamtąd wyciągnę.
- Co dokładnie pani zamierza?
- Może spotkamy się i porozmawiamy o tym?
- Dziś wieczorem będę w Interlaken. Jeśli chcecie rozmawiać, musi to być tam.
- Świetnie.
- Spotkam się z wami o zmierzchu, w parku naprzeciw hotelu Jungfrau. I przyjdźcie sami, jeśli mógłbym prosić.

Malloy, wśród drinków i kanapek, przekazał Marcusowi obraz, a potem wyszedł z hotelu i przeszedł przez ulicę. Słońce skryło się już za górami, nadchodził zmierzch z lekką mgłą. Ręce trzymał w kieszeniach płaszcza. W prawej dłoni miał małą sigmę, lewa przechodziła przez podszewkę kieszeni i trzymała pod płaszczem pistolet maszynowy MAC-10.

W lecie park wypełnialiby turyści, ale w środku października był pusty. Malloy usiadł na jednej z ławek oddalonych od drogi i zastanawiał się, czy za chwilę popełni największy błąd w swoim życiu.

Kate Kenyon, podchodząc do niego, również trzymała ręce w kieszeniach.

- Wie pan, kim jestem? - zapytała.

- Lady Kenyon. Uśmiechnęła się.

- W takim razie pan jest Thomasem Malloyem.

- Gdzie Ethan?

- W tej chwili mierzy kałasznikowem w tył pańskiej głowy. Malloy pozwolił, by płaszcz odchylił mu się nieco, i pokazał swojego MAC-a.

- Dla pani bezpieczeństwa proponowałbym zrezygnować z umówionych sygnałów, jeśli scenariusz przewidywał takowe.

- Rozmawiał pan z Corbeau?

- Nie mam mu nic do powiedzenia.

Kenyon powoli wyciągnęła z kieszeni płaszcza telefon komórkowy.

- W tym telefonie jest numer, który prawdopodobnie zadziała. Chcę, żeby pan zadzwonił do niego i umówił się na wymianę na jutro rano.

- Jutro rano? To nieco wcześniej niż planowałem.

- Proszę mu powiedzieć, żeby przed szóstą miał helikopter pod domem, a pan zadzwoni do niego z instrukcjami pomiędzy szóstą a szóstą piętnaście. Proszę powiedzieć, że będzie miał kwadrans na dotarcie do miejsca, które pan wybierze, inaczej wymiana nie dojdzie do skutku.

Malloy zastanowił się.

- Co mu damy, kiedy tam dotrze?

Kate uśmiechnęła się.

- Jego obraz.

- Nie mam go.

- Czy on o tym wie?

- Nie.

- W takim razie proszę zadzwonić, panie Malloy. Wygląda pan na kogoś, kto całkiem dobrze umie grać w pokera.

- Zechce mi pani wyjaśnić, w jaki sposób przeprowadzimy wymianę bez obrazu?

- Najpierw się przekonajmy, czy połknie haczyk.

Ktoś, kto odebrał telefon, odezwał się w dialekcie wyso-koniemieckim, tonem człowieka, który odbiera meldunek od podwładnego.

-Tak?

- Poproszę z panem Corbeau - powiedział Malloy po angielsku. - Mam jego obraz, który, jak sędzę, chciałby odzyskać.

- Kto mówi? - odparł tamten również po angielsku.

- Thomas Malloy.

- Proszę podać mi numer. Ktoś oddzwoni do pana w ciągu godziny.

- Daj Corbeau do telefonu albo spalę obraz.

- To zajmie minutę!

- Tyle mogę poczekać.

Po niecałej minucie inny mężczyzna odezwał się po angielsku:

- Sir Julian jest nieosiągalny. Jeżeli ma pan coś do powiedzenia, upoważnił mnie, bym działał w jego imieniu. Nie zgodzi się jednak na haracz ani nie zaangażuje się w nic nielegalnego.

- Powinniście zobaczyć ognisko, które przygotowałem -odparł Malloy.

- Staramy się współpracować!

- Jakoś panu nie wierzę. Jeśli Corbeau nie chce rozmawiać, to znaczy, że nie zależy mu na obrazie.

Teraz odezwał się inny głos:

- Czego pan żąda, panie Malloy? Corbeau.
- Najpierw chcę informacji.
- Na temat?
- Doktor North.
- Mogę panu oddać doktor North w przyzwoitym stanie, zakładając, że dostanę coś w zamian.

Malloy spojrzał na Kate Kenyon. Nie lubił robić coś na wiarę, ale nie miał wyboru.

- Jutro rano między szóstą a szóstą piętnaście proszę mieć w pogotowiu swój helikopter i doktor North gotową do drogi. Dam panu piętnaście minut na dotarcie do miejsca, które wskażę. Jeśli się pan pojawi, dostanie pan swój obraz, a ja doktor North. Gdyby próbował pan jakichś sztuczek albo chciał zmienić warunki umowy... spalę obraz i zacznę strzelać.

- Spali pan obraz, a doktor North umrze.
- Albo nastąpi to jutro rano, albo nie mamy o czym rozmawiać.
- Piętnaście minut to niezbyt wiele czasu.
- Akurat tyle, ile będzie pan potrzebował. Chcę, żeby w helikopterze były maksymalnie cztery osoby, wliczając w to pilota i doktor North. Zjawi się pan tam, gdzie panu powiem, i każdy z nas odejdzie zadowolony.
- Skąd mam wiedzieć, że mogę panu zaufać? - zapytał Corbeau.
- To pan będzie w lepszej sytuacji. Jeśli nie spodoba się panu to, co zobaczy pan z góry, może pan odlecieć.

- A skąd pan wie, że może mi zaufać?
- Obstawiam, że bardziej zależy panu na obrazie niż na mojej śmierci.
- Muszę to przemyśleć, panie Malloy.
- Proszę myśleć, ile pan tylko chce, ale kiedy nadejdzie szósta, będzie pan musiał podjąć decyzję.

- Teraz trzeba się wynieść z miasta - oznajmiła Kate. Starła z telefonu odciski palców i zostawiła go na ławce. - Chodźmy.

Poszli przez park w kierunku jednej z bocznych uliczek. Ich celem był jakiś ciemny van.

-Może pan usiąść z tyłu.

Podchodząc do pojazdu, Malloy trzymał palec na spuście pistoletu maszynowego. Wewnątrz widział tylko jednego człowieka.

- Czy to Ethan?

- Skłamałam o tej broni. Pomyślałam, że szybciej namówię pana do współpracy, jeśli uzna pan, że się pana obawiam.

- A nie obawia się pani?

- Wiem z dobrego źródła, że Julian Corbeau chce pana zabić niemal tak bardzo, jak chce zabić nas. To sprawia, że jesteśmy... najlepszymi przyjaciółmi, choć właściwie w ogóle się nie znamy.

Ethan Brand zajmował miejsce za kierownicą.

- Przepraszam za to, jak pana potraktowałem wczoraj wieczorem - powiedział, gdy Malloy wszedł już do samochodu. - Złapał mnie pan w trakcie czegoś.

- Odbijania Kate?

Ethan uruchomił samochód i wyjechał z zatoczki.

-Przygotowań do jej odbicia. Kate odwróciła się na siedzeniu.

- Wczoraj wieczorem powiedział pan Ethanowi, że mój ojciec został zamordowany. Według wiadomości z dzisiejszego ranka, policja znalazła go dopiero wczoraj w nocy. Ciekawa jestem, skąd wiedział pan o tym tak szybko?

- To ja go znalazłem.

Kate zamrugła, nie całkiem udawało jej się powstrzymać łzy. Nie miała jeszcze sposobności pogodzić się z żalem po tej stracie.

- Corbeau powiedział mi, że to on strzelił mu w głowę.

- Niewątpliwie ktoś to zrobił.

Po długim, bolesnym milczeniu Malloy poprosił:

- Czy możecie mi zdradzić, co planujecie na jutrzejszy ranek? Nie czuję się zbyt pewnie, działając po omacku.

- Chcielibyśmy, żeby wykonał pan jutro rano jeden telefon. Poza tym pański udział jest nieobowiązkowy, choć oczywiście przyda nam się jeszcze jedna para rąk.

- Jakiego rodzaju udział?

- Proszę pozwolić, że powiem panu coś o Julianie Corbeau. Nawet gdyby miał pan obraz i dokonał wymiany, będzie pana później ścigał. Więc jedyną szansą każdego z nas jest zniknąć zupełnie albo skończyć z tym jutro.

- Macie zamiar go zabić?

- Właściwie, myśleliśmy raczej o tym, żeby go porwać. Malloy odchylił się, zaskoczony.

- Tego się nie da zrobić!

- Oczywiście, że się da. Musimy tylko przewieźć Corbeau przez granicę. Potem Stany mogą przeprowadzić jego ekstradycję. Ten człowiek wart jest milion dolarów, jeśli zdołamy to zrobić.

- Nie da się go wyciągnąć z jego posiadłości, a co dopiero ze Szwajcarii. Zdażecie sobie sprawę, ilu ludzi ma w tej chwili wokół siebie?

Ethan prowadził, słuchając, ale na to odpowiedział, zabawnie przeciągając sylaby, z wyraźnym, południowym akcentem:

- Jedyne, co wiemy na pewno, to że wczoraj miał ich o dobrych kilku więcej.

- Dokonał pan tego... sam? Corbeau twierdził, że próbowało go porwać CIA.

- Wszedłem sam. Wychodząc, miałem Kate.

- Więc ilu ludzi mu zostało?

- Sądźmy, że ponad tuzin - odpowiedziała Kate. - Może aż dwudziestu, ale nie wszyscy będą w jego willi. Ochroniarze pracują na zmiany, przywozi ich z miasta. Natomiast najemnicy wchodzą i wychodzą, jak im pasuje, przynajmniej wczoraj tak było.

- Ilu nas tam wkracza?

- Nas troje, jeśli zechce pan pomóc.

- Mogę sprowadzić tylu ludzi i tyle broni, ile potrzebujemy. Wystarczy, że zadzwonię.

- Zakładając, że pan się zgłasza, mamy tyle osób, ilu potrzebujemy. Jeśli będzie nas zbyt wielu, istnieje niebezpieczeństwo, że za wcześnie odkryjemy karty.

- Troje przeciw dwudziestu?

- Liczby nie są takie ważne - oznajmiła Kate. - Ważne jest to, że go złapiemy, kiedy będzie się spodziewał czegoś innego.

- Wymiany?

- Czy ma pan pojęcie, co mu ukradliśmy? - spytała.

- Portret Chrystusa sprzed dwóch tysięcy lat.

- Tu chodzi o coś więcej - stwierdził Ethan.

- Wygląda na to, że mamy trochę czasu. Może mi o tym opowiecie?

- No więc, przede wszystkim, to nie jest jakiś portret, to jest ten portret.

Jezioro Czterech Kantonów

Corbeau skończył rozmowę telefoniczną i poprosił Jeffrey'a Bremmera, by posłał po Helenę Chernoff i Xeno. Bremmer powrócił z nimi i wszyscy troje stanęli przed Wielkim Mistrzem. Dwaj ochroniarze Corbeau także zajmowali swoje stałe miejsca w pokoju, plecami do ściany. Corbeau zrelacjonował rozmowę z Malloyem, po czym zapytał Helenę:

-Co on planuje?

- Spodziewa się, że polecą pan gdzieś i dokona wymiany. Corbeau zerknął na Bremmera, a ten skinął głową, przytakując.

W pobliżu wznosiło się pięć gór, na które łatwo można było się dostać helikopterem w ciągu kwadransa, i może jeszcze kilka trochę dalej. Każda z nich oznaczała alpejskie łąki, wielkie głazy, mnóstwo kryjówek i wiele kilometrów pustkowiec. I każda z nich zajmowała obszar na tyle duży, że nie sposób było przewidzieć, gdzie Malloy zamierza dokonać wymiany, a do porządnego obsadzenia wszystkich pięciu potrzeba byłoby znacznie więcej ludzi, niż Corbeau w tej chwili zatrudniał. Kiedy rozważał różne możliwości, najbardziej logiczne wydawało mu się działanie uczciwe, jeśli tylko Malloy także dotrzyma umowy.

- Co stracimy, jeśli oddamy mu North? Bremmer pokręcił głową.

- Nic prócz czasu.

- A jeśli to pułapka?

- Gdyby poprosił o pomoc policję, wiedzielibyśmy o tym - stwierdził Bremmer.

- Niebezpieczeństwo polega na tym - wyjaśnił Corbeau - że on zabierze nam zakładniczkę, a my nic nie zyskamy.

- Jak na razie nie mamy za wiele z tej zakładniczki - zauważył Bremmer, wzruszając ramionami. - Skontaktowaliśmy się z Richlandem w Nowym Jorku i dotąd nie dostaliśmy odpowiedzi. Tak jakby mu w ogóle na niej nie zależało.

- Malloy zajmuje się tym na zlecenie pastora - rzucił Corbeau po chwili namysłu. - Przypuszczam, że poinstruował Richlanda, by nam nie odpowiadał.

- Malloy nie ryzykowałby utraty zakładniczki dla obrazu - oświadczyła Chernoff. - Jest zawodowcem. Skoro uznał, że wymiana jest możliwa, będzie się tego

trzymał. Ryzyko pojawia się, jeśli spróbujemy jakichś sztuczek. Na pewno coś ma w zanadrzu, tak na wszelki wypadek.

- Będzie miał wsparcie?

- Ma swoje zasoby wewnątrz kraju. Na pewno może je zorganizować. Przypuszczam, że weźmie kogoś ze sobą, ale nie będzie ryzykował życiem zakładniczki, skoro wierzy, że wymiana dojdzie do skutku.

Corbeau zwrócił się do Bremmera:

- Zaufam mu. To największa szansa, jaką mamy w tej chwili. Wezwij mojego pilota i dopilnuj, żeby jutro przed szóstą rano był tutaj, gotowy do wylotu.

Interlaken

- Templariusze? - zapytał Malloy sceptycznie. Usłyszał właśnie opowiedzianą z grubsza historię portretu Chrystusa namalowanego na polecenie Piłata: od Jerozolimy do Edessy, gdzie przez trzy stulecia ukryty był w murach miejskich, aż do przypadkowego odkrycia go przez robotników naprawiających fortyfikacje, i wreszcie pozyskania obrazu, w 1098 roku, przez krzyżowca Baldwina de Boulogne.

- Baldwin stworzył ten zakon, by strzegł portretu. Kiedy templariusze zostali zniszczeni dwa wieki później, księża, którzy znaleźli obraz, nie rozpoznali w nim Bafometa, głowy, którą rzekomo czcili templariusze, więc odesłali go, razem ze wszystkim innym, do archiwów watykańskich. Pięćset lat później Napoleon opłomował Watykan i przeniósł dzieła templariuszy do Biblioteki Arsenau. Zgodnie z tym, co Oskar Wilde powiedział młodemu malarzowi w Paryżu na miesiąc przed swoją śmiercią, byli w tym mieście ludzie, którzy rozpoznali, czym naprawdę jest ten obraz, i zaczęli używać go w obrzędach związanych z nekromancją - wywoływaniem duchów zmarłych. W którymś momencie do tych kręgów dołą-

czył dziadek Corbeau. Wskrzesał Zakon Rycerzy Świątyni i ogłosił, że wcielił się w niego duch Jakuba de Molay, ostatniego Wielkiego Mistrza templariuszy.

- Jaki był związek Wilde'a z tą sprawą?

- Corbeau najwyraźniej rekrutował członków swego bractwa spośród najznamienitszych rodzin w Europie... i ludzi utalentowanych. Wilde należał do tej drugiej kategorii. Jego popularność i talent pisarski, jak i umiłowanie dekadencji, czyniły go bardzo obiecującym kandydatem.

- Ale czy nie zaprzysięgłby, że dochowa tajemnicy?

- Jak twierdzi jego biograf, Wilde uwielbiał sekrety, tylko nie za bardzo umiał ich dochowywać. Poza tym, kiedy powiedział Billowi Landiemu o obrazie i o tym, że stał się dla niego inspiracją do stworzenia postaci Doriana Graya, był już człowiekiem umierającym. Nie miał nic do stracenia i byłbym skłonny sądzić, że przejrzał, kim jest naprawdę Corbeau.

- Szarlatanem?

- Potworem. Templariusze sprzed prawie tysiąca lat byli mocno pogrążeni w okultyzmie. Oficjalne zarzuty, jakie postawiono zakonowi, obejmowały składanie ofiar z niemowląt. Nie sądzę, żeby było to zgodne z prawdą, ale na pewno jej bliskie. Widzi pan, duch może kimś zawładnąć na dwa sposoby. Jeśli nastąpi to tymczasowo, a tak jest najczęściej, duch po prostu okupuje ciało żyjącego człowieka i mówi przez niego. Bardziej trwale opętanie następuje, kiedy czarownik oszustwem skłoni ofiarę, by uwierzyła, że nie żyje. Wtedy dusza opuszcza ciało, a w rzekome zwłoki może wkraść się inny duch, który żyje w ciele ofiary. Natomiast wygnana dusza błąka się w tym czasie pomiędzy życiem a śmiercią.

- Chyba nie wierzycie naprawdę w te nonsensy?

- Można odebrać duszę na bardzo wiele sposobów, panie Malloy. Nie potrzeba magii, żeby zabić małe dziecko. Sądzę, że współcześni templariusze po prostu zrytualizowali ten proces. Zabierają jakieś dziecko i wychowują je w

przekonaniu, że ma w swym sercu ducha poległego Rycerza Świątyni. Jeśli chodzi o naszego Corbeau, był wprowadzany w tajemne rytuały magiczne od najwcześniejszego dzieciństwa, uwodzony przez cienie i dziwne dźwięki. Uczono go pamiętać, jak został spalony na stosie, dawano mu zakosztować władzy i podjudzano do zemsty na urojonych wrogach. A do tego wszystkiego jedyna prawdziwa podobizna Chrystusa. Dlaczego nie miałby uwierzyć, że jest Jakubem de Molay?

- Chce pan powiedzieć, że wychowano go na szaleńca?

- Psychopaci są najlepszymi generałami.

- Powiedzmy, że przyjmuję trop templariuszy i niektóre z tych rzeczy, jakie mówi mi pan o Corbeau. Przynajmniej on w to wierzy, jeśli nie ja. Wciąż jednak nie mieści mi się w głowie, że ten obraz miałby być portretem Chrystusa. Mówi pan, że człowiek, który został później pierwszym chrześcijańskim królem Jerozolimy, pojawia się w Edessie i znajduje go?

- Mamy potwierdzenie z niezależnych źródeł, że taki obraz istniał w Edessie. Nie jest to tylko teoria.

- Ale to nie oznacza, że obraz jest autentyczny. Mogła to być po prostu ikona z i wieku. Nic nie łączy portretu Chrystusa z Poncjuszem Piłatem prócz legendy.

- Istnieją dwa źródła, które stwierdzają, że jakiś portret Chrystusa „nie ludzką ręką uczyniony”, cokolwiek miałyby to oznaczać, pochodził z Jerozolimy i dostał się w posiadanie króla Edessy, Abgara, w I stuleciu. Inna wzmianka, u świętego Ireneusza, dotyczy portretu Jezusa wykonanego na polecenie Piłata, kiedy Chrystus żył jeszcze na tym świecie.

- Ale ten materiał jest... spisany kilkaset lat po fakcie?

- Święty Ireneusz pisał około półtora stulecia po ukrzyżowaniu Chrystusa.

- No dobrze, cóż to jest kilkaset lat pomiędzy przyjaciółmi?

- Zgoda. Punkt dla pana. To szmat czas.

- Zwłaszcza w porównaniu z życiem człowieka.

- Wilde mówił o nim jako o portrecie Chrystusa wykonanym na polecenie Piłata. Nie wiem, skąd taka informacja, ale logika podpowiada, że od dziadka Corbeau.

- Który miał ją z drugiej ręki od templariuszy. Pozwoli pan, że o coś zapytam.

- Dobrze.

- Dlaczego Piłat miałby chcieć, żeby namalowano Jezusa?

- W niektórych tradycjach Wschodu zarówno Piłat, jak i jego żona, są świętymi, gdyż bronili Jezusa przed Żydami.

- Piłat miał żonę?

- Ewangelia według świętego Mateusza: żona Piłata miała sen, że Piłat ma właśnie stracić niewinnego człowieka, i przesłała swemu mężowi wiadomość, błagając go, by tego nie czynił.

- Ale dlaczego Piłat miałby chcieć, żeby mu namalowano portret człowieka, którego zamierzał właśnie skazać na śmierć?

- Tu nie mogę panu pomóc. Wiem tylko, że wzmianka o tym obrazie poprzedza wszelkie inne legendy o Prawdziwym Obliczu. Nie oznacza to, że on istnieje, ale oznacza, że wielu ludzi uważało, że może istnieć. Ostatni krok, uznanie, że powstał za przyczyną Piłata, to już kwestia pańskiej wiary - jeśli zdecyduje się pan ten krok zrobić.

Powiedziawszy to, Ethan zjechał z autostrady i skierował się w stronę małego prywatnego lotniska. Hangar był zamknięty, światła pogaszone.

- Jesteśmy na miejscu - odezwała się Kate. - Jeśli potrafi pan się trochę prześpać, to jest pewnie najważniejszy moment. Jutro od czwartej rano sprawy nabiorą tempa.

- Oferta przyjęta.

- W hangarze jest łożko polowe. - Podała mu klucz. - Proszę czuć się jak u siebie w domu.

- A gdzie będziecie wy dwoje?

- Mamy namiot rozbity w lesie, jakieś półtora kilometra stąd.

Cezarea Nadmorska

Lato A.D. 29

Ubrany w togę zwykłego obywatela rzymskiego, senator Publiusz Witeliusz przyплыł do Cezarei na statku handlowym. Piłat dowiedział się, że znakomity gość jest w mieście, kiedy zobaczył woskową pieczęć z jego senatorskim sygnetem. W momencie, kiedy tylko go rozpoznał, odwołał wszystkie inne swoje poranne zobowiązania.

W młodości Witeliusz był przyjacielem księcia Germanika, później - najbardziej zaufanym z jego generałów. Po śmierci księcia - która, zdaniem wielu, nastąpiła na rozkaz samego Tyberiusza - imperium znalazło się na skraju wojny domowej. Zamiast podburzyć tłumy i zebrać legiony pod własnym sztandarem, Witeliusz poszukał pokojowego rozwiązania - takiego, które oszczędziło cesarzowi upokarzających oskarżeń, lecz doprowadziło przed sąd człowieka, posłanego przez Tyberiusza, by zamordował księcia.

W następstwie tych wydarzeń Witeliusz stał się bliskim sprzymierzeńcem cesarza i został obdarzony zaszczytem posiadania willi położonej najbliżej Tyberiuszowej Willi Jowisza na wyspie Capri. Pomimo to, obaj nigdy się do siebie nie zbliżyli. Tyberiusz był zbyt przebiegły, by obnażyć się przed człowiekiem, któremu zamordował najbliższego przyjaciela.

Rzymianie mogą prowadzić ze sobą interesy, ale nigdy nie zapominają długu krwi.

Piłat po raz pierwszy spotkał Witeliusza, kiedy dowodził strażą eskortującą szczątki Germanika z Brundisium do Rzymu. W ciągu tej miesięcznej podróży

rozmawiali ze sobą tylko dwa razy, ale to wystarczyło senatorowi, by docenił potencjał Piłata. Kiedy byli już w Rzymie, Witeliusz, wykorzystując swoje wpływy, pomógł młodemu ekwicie w karierze.

Pomimo patronatu, jaki rozciągnął nad nim Witeliusz, Piłat nie spodziewał się spotkania z senatorem. Właściwie wolałby nigdy już nie oglądać tego człowieka.

- Całkiem dobrze się urządziłeś, prefekcie - stwierdził miło Witeliusz, kiedy spotkali się *in camera*, w gabinecie Piłata przylegającym do atrium. Witeliusz znacznie się postarzał, odkąd ostatni raz się widzieli. Włosy mu posiwiały, cera straciła koloryt, ale w istocie pozostał tym samym człowiekiem: elokwentnym, przenikliwym i niebezpiecznym.

Piłat nie potrafił odgadnąć, w jakim celu Witeliusz przybył do Judei, odpowiedział więc z największą skromnością skorumpowanego urzędnika państwowego:

- Moim jedynym dążeniem jest służyć Rzymowi, senatorze.

- To dobrze, prefekcie, bo Rzym potrzebuje takiej lojalności.

Takie stwierdzenie nieuchronnie wymagało od kogoś poświęcenia własnego życia, Piłat poczuł więc, że przejmują go dreszcze.

- Zrobię, co w mojej mocy, jednak nie muszę przypominać ci, panie, iż dowodzę jedynie połową legionu Rzymian. Syryjska kawaleria, jak wszystkie oddziały naszych najemników, jest lojalna tylko w świetle dnia.

- Nie będziesz potrzebował armii, jedynie odrobiny dyskrecji.

- Senator wie, że może mi zaufać.

- Powiedz mi, Piłacie, czy słyszałeś o Żydzie zwanym Jezua? Pochodzi z Nazaretu, jak sędzę.

Piłat poczuł, że napięcie go opuszcza.

- Słyszałem o tym człowieku, ale nie miałem z nim do czynienia. Wzbudza niepokój w górzystej krainie Galilei, nie w Judei. Antypas znosi go, niewątpliwie dlatego, iż boi się wszystkich świętych mężów. Co w związku z nim?

- Stał się zagrożeniem dla pokoju.

- Nie dla pokoju moich prowincji. Witeliusz naciskał w tej sprawie.

- Jest wielu takich, którzy sądzą, że człowiek ten czyni przygotowania, by się ogłosić żydowskim mesjaszem.

Piłat uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Jeśli nawet to zrobi, cóż z tego? Jest ubogi. Nie ma bazy poza Galileą, nie ma broni ani nawet zaczątków wojska! Jak rozumiem, idą za nim jedynie biedacy, desperaci i mnóstwo kobiet. Jeżeli ogłosi się królem żydowskim, zareaguję, o ile Antypas nie będzie potrafił lub nie zechce sobie z tym poradzić. Do tego czasu...

- Człowiek zwany Judaszem Iskariotą został jednym z jego wyznawców, prefekcie.

- Nie znam tego imienia.

- Naprawdę? Byłem pod wrażeniem sposobu, w jaki przywołałeś go do porządku. „Najniebezpieczniejszy człowiek w Judei”, tak, zdaje się, określiłeś go w jednym ze swych pierwszych raportów.

- Ach, ten Judasz. Oczywiście, tego znam, i pozostaję przy swej opinii. To wielkie niebezpieczeństwo. Ale, jeśli wolno mi zapytać, senatorze, czy twoje źródła w Galilei mają całkowitą pewność, że to nie Nazarejczyk podporządkował się Judaszowi?

- Przyjaciele w Galilei mówią nam, że Nazarejczyk jest kimś więcej, niż się wydaje.

- Nawet jeśli tak, Judasz nie wyglądał mi na czyjegokolwiek wyznawcę.

- Być może znalazł kogoś, kto go inspiruje.

- Jeśli naprawdę tak jest...

- Mamy doniesienia, że Jezua wskrzesił zmarłą dziewczynkę, dokładniej mówiąc, córkę zwierzchnika synagogi w Kafarnaum.

Piłat uśmiechnął się, kręcąc głową.

- Na Wschodzie, senatorze, tego rodzaju historie opowiada się o magach i samozwańczych świętych mężach. Nie trzeba przywiązywać do nich zbyt wielkiej wagi.

- To coś więcej niż plotka. Żona Antypasa, kobieta bardzo rozsądna, jeśli choć odrobinę umiem oceniać ludzi, rozmawiała z ojcem tej dziewczynki. Niechętnie potwierdził prawdę, dopiero kiedy poddano go torturom. Przy innej okazji Jezua nakarmił pięć tysięcy ludzi kilkoma bochenkami chleba i garstką ryb. To może być zupełny nonsens, ale jeśli ten człowiek jest tak niewinny, na jakiego wygląda, to co robi z pięcioma tysiącami na pustyni?

- Rozumiem problem! Natychmiast przyjrzę się tej sprawie.

- Nie ma takiej potrzeby. Sposób działania został już ustalony. Ty musisz jedynie przycisnąć Antypasa, by aresztował tego Jezua tak szybko, jak tylko to możliwe, i dostarczył ci go do Jerozolimy. Kiedy już się tu znajdzie, chcę, żebyś dokonał jego egzekucji. Będzie to przykład dla ewentualnych następnych mesjaszów.

To nie wydawało się zbyt wielką trudnością.

- Zaraz wyślę posłańca do Antypasa.

- Więc rozumiemy się. Chcę też, byś dopilnował, aby wyznawców Jezui pozostawiono w spokoju.

- To błąd, senatorze. Witeliusz zamrugał, zaskoczony.

- Mam na myśli wypuszczenie Judasza. Znacznie lepszym pomysłem byłaby egzekucja Judasza wraz z jego mistrzem. Miałem do czynienia z tym człowie-

kiem! Wierz mi, senatorze, nie chciałbyś, aby był na wolności i wzbudzał niepokoję, zwłaszcza tu, w Jerozolimie!

- Stanowisko dowódcy dodało ci pewności siebie.
- Dziękuję, senatorze. Witeliuszowi twarz pociemniała.
- Nie zamierzałem cię chwalić. Dostałeś rozkazy. Bacz, byś je wykonał.

Kiedy Witeliusz go opuścił, Piłat rozważał swą żałośnie kłopotliwą sytuację. Tyberiusz wyobrażał sobie, że to prosta sprawa, ot, publiczna egzekucja, żeby dać ostrzeżenie ewentualnym naśladowcom, ale nie widział dziesięciu tysięcy ludzi podstawiających szyje pod rzymskie miecze tylko dlatego, że Judasz Iskariota dał im przykład! Nie miał pojęcia, jaką pasję mają w sobie ci Żydzi i jak zupełny brak troski o swe życie przejawiają, kiedy krew się w nich wzburzy.

Wezwawszy Korneliusza, Piłat wyjaśnił, jakie otrzymał rozkazy.

- Czy pozwolisz, bym mówił otwarcie, prefekcie?
- Oczywiście.
- Myślę, że Herodiada odkryła, przy którym ogniu upiec swą pieczeń.
- Mów jaśniej.
- Na wojnie w Judei skorzystać może tylko Sejan i dom Heroda. Myślę, że Herodiada znalazła kogoś zdolnego tę wojnę wzniecić.

- Tego Jezuę?

- Ciebie, panie. Przy takim stosunku sił, jaki mamy, nie zdołamy powstrzymać powstania, które Judasz może poprowadzić przeciw naszym garnizonom, kiedy ukrzyżujemy tego żydowskiego mesjasza. A twoja śmierć będzie pretekstem, którego Sejan potrzebuje, by wyruszyć na Jerozolimę. Kiedy już cię pomści i rzuci miasto na kolana, co zawsze chciał uczynić, Tyberiusz nie zdoła mu się przeciwstawić. Sejan będzie miał za sobą wojsko i lud i zmusi Tyberiusza, by go usynowił.

- Ale ten rozkaz pochodzi od Tyberiusza!
- Czy jesteś tego całkowicie pewien, prefekcie? Piłat westchnął.
- Nie, jeśli jednak spróbuję dotrzeć do cesarza, by zapytać, czy to on go wydał, Sejan dowie się o tym.
- W takim razie postąpisz, jak ci powiedziano, panie... i przygotujesz się na najgorsze?
- Myślę, że muszę.

Cezarea Nadmorska Jesień i zima

A.D. 29-30

Mimo iż Piłat żądał od Antypasa, by ten aresztował Jezusę, ów święty mąż nadal działał otwarcie w Galilei. Dociekając przyczyn tej zwłoki, Piłat dowiedział się, że Jezua nabrał zwyczaju, by przez kilka godzin przebywać wśród tłumu, a potem szybko się oddalać, zawsze o krok przed agentami Heroda.

- To jak szukanie wiatru w polu - relacjonował *in camera* wysłannik tetrarchy w kilka miesięcy po tym, jak Piłat poprosił Antypasa o pomoc.

Później, sam na sam z prefektem, Korneliusz błagał o możliwość wypowiedzenia swej opinii. Piłat czuł napięcie z powodu tej nieoczekiwanej zwłoki i chętnie przystał na propozycję.

- Jak najbardziej, mów, co o tym myślisz!
- Jeśli ktoś pragnie złapać wiatr, prefekcie, nie może głupio się za nim ugańnić, jak to czyni Antypas. Musi zbudować łódź i oczekiwać przyjemności żeglowania.

- Przewidywać jego ruchy, chcesz powiedzieć? Ależ to niemożliwe! Patrole odnajdują złodziei, którzy założyli obozowiska na pustkowiu, ale ten człowiek jedną noc spędza tu, drugą tam. Nie ma stałego obozu, nie ma domu. Nie da się

przewidywać ruchów kogoś takiego! Wiem tylko, że unika Tyberiady, Cezarei i Jerozolimy.

- Nie mogę nic powiedzieć o tym Jezui, ale Judasz nie jest głupcem. Jeżeli wie, że Antypas ściga jego mistrza, wie też, że czas ucieka. Jeśli pozostanie zbyt długo na pustyni, będzie skończony, ale w Jerozolimie, w czasie Paschy, znajdzie armię, pragnącą tylko swego króla.

Jerozolima

Święto Paschy A.D. 30

Nikodem, kiedy usłyszał, że Piłat wraz ze swym dworem przebywa w Jerozolimie, zaprosił prefekta na kilka dni do swej wiejskiej posiadłości. Przybywszy w południe, z niezwykle silną eskortą, Piłat spędził w luksusowych prywatnych łaźniach przyjaciela długie popołudnie, po którym nastąpiła wieczorem uczta ku jego czci.

Następnego ranka Nikodem i jego syn zabrali gościa na pustynię, by pokazać mu cuda dokonane za sprawą akweduktu. Zmiany czyniły silne wrażenie i Piłat gratulował przyjacielowi.

- Jesteś wizjonerem, Nikodemie! - wykrzyknął.

- Przeciwnie, mój przyjacielu, to ty przydałeś zamożności całej Judei.

- Obawiam się, że Judea woli śmierć od zamożności.

- Nie jestem pewien, czy cię rozumiem.

- Wiele się dziś mówi o królu żydowskim, długo wyczekiwanym mesjaszu z dawnych prorocत्व. Czy ludzie, Nikodemie, są naprawdę tak naiwni, by wierzyć, że potrafią wyzwolić się spod władzy Rzymu, po prostu ufając człowiekowi, który udaje, że czyni cuda?

- Istnieją mężowie, którzy podburzają tłumy, ale to w większości banici. Źródłem ich siły są wioski, gdzie ludzie chodzą w łachmanach i przez cały dzień pracują na kawałek chleba, jakiego ty, panie, ani ja, nie chcielibyśmy nawet rzuć naszym psom. W miastach nie znajdują posłuchu.

- Kilka lat temu spotkałem człowieka, który wydawał się zdolny podburzyć ludzi w mieście.

- Fanatycy tego rodzaju są nieliczni i o wiele bardziej niebezpieczni dla pokój.

- Ciekaw jestem, czy go znasz. Nazywa się Judasz Iskariota. Oczy Nikodema zaślniły, gdy wymienił to imię.

- Jest synem zamożnego kupca. Jeśli dobrze sobie przypominam, zadał się z pewnymi radykalnymi elementami i został z tego powodu wydziedziczony.

Odezwał się syn Nikodema:

- Judasz jest uczniem rabbiego, o poznaniu którego ci mówiłem, ojcze.

- Tego, który pogardza pieniędzmi?! - wykrzyknął Nikodem ze śmiechem. - Powtórz prefektowi, co on ci powiedział.

- Podróżując w interesach, usłyszałem, jak ów człowiek przemawiał. Im dłużej słuchałem, tym bardziej podobało mi się to, co mówił. Nie był jednym z tych, którzy chcą pozbyć się Rzymian, mówił raczej o Królestwie Bożym. Potem poszedłem do niego. Myślałem, by mu jakoś pomóc, ale gdy zapytałem, co mógłbym dla niego zrobić, powiedział, żebym sprzedał wszystko, co posiadam, i rozdał ubogim, a potem dołączył do niego na pustyni.

- Wyobrażasz to sobie? - zareagował starszy Nikodem. Piłat nie odpowiedział, lecz spojrział znów na syna, który

stwierdził z całą powagą:

- Byłem bliski usłuchania go.

- Dlaczego? - zapytał Piłat. Był przede wszystkim ciekawy. Młody człowiek uśmiechnął się tajemniczo, z wyrazem

szczęścia na twarzy.

- Pewnie dlatego, iż nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mógłbym to zrobić.

- On chce zniszczyć Rzym - powiedział Nikodem. - Ludzie tego pokroju wszyscy są tacy sami!

- Mój ojciec i ja nie jesteśmy zgodni co do tego rabbiego.

- To dlatego, że mój syn był jeszcze dzieckiem, kiedy Judasz Galilejczyk przejął Świątynię. Nie pamięta, jak to wtedy było.

- Słyszałem te opowieści, ojcze.

- Opowieści to jedna sprawa. Krew to co innego! Kiedyś byłem wręcz pewien, że Jerozolima stanie się drugą Kartaginą: jej ludność wymordowana, miasto zrównane z ziemią, ziemia pokryta solą.

- On mówił o Bogu, nie o rebelii!

- Czy potrafiłbyś znaleźć tego człowieka, gdybyś chciał? - zapytał Piłat. Nikodem i jego syn odwrócili się i spojrzeli z zaciekawieniem na prefekta. - Jeśli jest tak wielkim uzdrowicielem, jak o nim słyszałem - wyjaśnił Piłat - mógłbym skorzystać z jego usług.

- Trudno go znaleźć - odpowiedział młody człowiek, nieco wymijająco.

- A może mógłbyś mnie zawiadomić, jeśli przybędzie do Jerozolimy?

Młody Nikodem pokiwał głową, jakby to nie było dla niego żadną wielką trudnością.

- Jeśli będziemy mogli pomóc, wiesz, panie, że to zrobimy. Na osobności Piłat wyznał prawdę starszemu Nikodemowi.

Ten wysłuchał wszystkiego z namysłem, po czym przedstawił własną opinię.

- Sądzę, że twój setnik ma rację. Sejan chce wojny. Wie, że ty odegrasz swoją rolę, ponieważ musisz, i ma nadzieję, że Judasz zareaguje odpowiednio, ponieważ może. Wciąż ma bardzo wielu przyjaciół w Jerozolimie.

-Nie mogę zignorować bezpośrednich rozkazów.

- A gdybym ja zajął się Judaszem? Pozostali wyznawcy Jezui to prości ludzie. Bez swojego rabiego, a z pewnością bez Judasza, nie byłiby zdolni wywołać powszechnego powstania przeciw garnizonom rzymskim.

- Dostałem wyraźne rozkazy, Nikodemie. Wyznawców mam pozostawić w spokoju. Jeżeli Judasz okaże się mordercą, Sejan będzie wiedział, kogo obwinie. Jeżeli ja zamorduję Judasza, równie dobrze mogę podciąć sobie żyły.

Nikodem w ciszy rozważał sprawę, po czym rzekł Piłatowi:

-W takim razie musisz, prefekcie, wykonać swoje rozkazy.

Twarz Piłata zdradzała jego podniecenie. Do tego momentu stał wobec perspektywy śmierci - albo z rąk Żydów, albo własnych, jeżeli utraci swe wojska.

- Masz jakiś pomysł?

- Nazwijmy to szansą - dla nas obu i dla naszych rodzin... i dla Jerozolimy.

Ludzie zaczęli opuszczać miasto, gdy tylko słońce, zachodząc, oznajmiło początek szabatu. O świcie dobrze ponad pięćdziesiąt tysięcy z nich ustawiło się wzdłuż drogi prowadzącej do bramy Susim - Bramy Królewskiej. W południe ich mesjasz przejechał wśród nich po drodze wyłożonej liśćmi palm, podążając w stronę Jerozolimy na grzbiecie osła.

- Wiatr się zbliża - zauważył dziwacznie Korneliusz. Piłat poważnie skinął głową, nie mogąc oderwać oczu od tego widoku.

- Mam nadzieję, że nie złapaliśmy go więcej, niż zdoła przyjąć nasz żagiel.

- Jeżeli tak, to zginiemy jak Rzymianie, prefekcie.

- Zważywszy na wszystkie okoliczności, setniku, wolałbym raczej żyć jak Rzymianin.

Niewolnicy Nikodema, w poszukiwaniu Judasza Iskarioty, obserwowali dom jego rodziców. Judasz pojawił się po zmroku, drugiego wieczoru ich straży, i wszedł bocznym wejściem. Godzinę później wyszedł znów na ulicę. Niewolnicy czekali na niego. Wręczyli mu zwój zapieczętowany woskowym odciskiem sygnetu Nikodema. Rozpoznawszy go, Judasz niecierpliwie otworzył list i przeczytał przy świetle pochodni trzymanyh przez niewolników:

Królestwo Boże jest w zasięgu ręki, mój przyjacielu.

Nikodem

Spojrzał pytająco na niewolników, a ich przywódca powiedział mu:

- Mój pan chciałby pomówić z tobą dziś wieczorem, jeśli to możliwe.

Poszedł za niewolnikami do jakiegoś domu w mieście i wkrótce stanął przed starszym Nikodemem.

- Twojego mistrza poszukują Rzymianie, Judaszu - oświadczył na powitanie Nikodem. - Nie zostało mu zbyt wiele czasu.

- Antypas tropił go przez większą część zeszłego roku, bez skutku.

- Antypas to stary lis, któremu zęby wygniły od jedzenia padliny, ale Piłat - nie. Piłat go znajdzie... wcześniej czy później.

- A może wcześniej my znajdziemy Piłata.

- Macie armię zdolną do tego. Wydaje się wstydem, że wasz król waha się jej użyć. - Judaszowi oczy zabłysły na tę obelgę, ale się nie odezwał. - Żydzi nigdy nie byli bardziej gotowi do walki ani bardziej przekonani, że nadszedł czas - cią-

gnął dalej starszy mężczyzna. - Chcą tylko inspiracji i dowódcy, by ich poprowadził!

- Rzym zawsze był dla ciebie łaskawy, Nikodemie - zauważył Judasz. Powiedział to zwykłym tonem, ale wyraził, co zamierzył. Nie ufał Nikodemowi.

- Dobrze płacę za tę łaskawość, ale jestem nią zmęczony. Ich chciwości nie nasyci. Raczej opłacę armię, by go pokonać, niż zapłacę Piłatowi choćby grosz więcej za jego dobrą wolę.

Judasz uśmiechnął się.

- Są w okolicy jakieś armie na sprzedaż?

- Heroda Antypasa łatwo przekupić.

- Niczego nie chcemy od tego człowieka!

- A on niczego nie sprzedaje. W momencie, kiedy zwrócicie się przeciw rzymskiemu garnizonowi, zarządca Syrii rozkaże, aby trzy z jego legionów pomaszerowały na południe, na Jerozolimę. Jako wsparcie doda im trzy jednostki pomocnicze syryjskiej kawalerii - trzydzieści tysięcy ludzi pod bronią. Dodatkowo poprosi Antypasa, by wprowadził armię na pole bitwy, zanim on sam uda się do Jerozolimy. Jeżeli Antypas się opóźni, Rzymianie będą czekać. Wtedy właśnie uderzycie.

- Czy rozmawiałeś z Antypasem?

- Moje złoto powie wszystko, co konieczne, ale nie będę go tracił na marzydzieli i fanatyków. Muszę zobaczyć człowieka, który potrafi poprowadzić Judeę przeciw Rzymianom, zanim wydam pieniądze na rewoltę.

- Ten człowiek jest teraz wśród nas! Nikodem pokręcił głową.

- Ludzi takich jak twój mistrz widziałem więcej razy, niż mam ochotę liczyć. Posiadają wszelkie cnoty, jakie tylko Pan może dać człowiekowi, a potem wahają się w decydującym momencie. Narody powstają i upadają z powodu ich niezdeterminowania. Kto wie, co ich powstrzymuje przed wykorzystaniem chwili? Z

pewnością nie brak odwagi. Być może myślą, że z czasem ich szanse wzrosną. Nie wiem, ale wiem jedno: naród Izraela nie może się odrodzić bez przelania krwi zarówno Rzymian, jak i Żydów. Pozwól, by Piłat pojmał twego mistrza. Pozwól, by go powiesił, tak jak zamierza, na rzymskim krzyżu. Pozwól, by to zrobił na oczach wszystkich Żydów, w dzień naszej Paschy.

- Nie mówisz poważnie!

- Widziałeś, jak ludzie przyjęli go w Jerozolimie. Widziałeś nadzieję w ich twarzach. Powiedz, czy nie będą boleć nad utratą takiego przywódcy?

- Zapłoną wściekłością - mruknął Judasz - tak jak zawsze, gdy widzą, że Rzymianie nas poniżają.

Nikodem poważnie skinął głową, swoimi ciemnymi oczami napotykalając spojrzenie młodszego mężczyzny i nie spuszczał wzroku.

- Niektórzy ludzie są stworzeni, by przewodzić, Judaszu, a niektórzy - by dawać natchnienie. Odkąd byłeś bardzo młody, ludzie wiedzieli, że przywództwo leży w twojej naturze. Dlaczego się wahasz, gdy widzisz, do czego natchnieniem będzie śmierć twojego mistrza? Czyż nie pamiętasz Mojżesza? Umieścił węża na krzyżu i ukazał go swojej armii. Tak też będzie, kiedy ukazesz śmierć swego mistrza naszemu ludowi. Nadszedł czas, byś wypełnił swe przeznaczenie, Judaszu. Królestwo Boże jest w zasięgu ręki. Wydadź Piłatowi Jeshuę, a Piłat da ci Jerozolimę.

- Nie mogę wydać Piłatowi Jeshui, a potem poprowadzić do boju jego armii!

- Dlaczego nie? To, co wydarzy się pod osłoną ciemności, pozostanie w ciemności. Nikt się nigdy nie dowie. Poza tym, to nie jego armię poprowadzisz. Kiedy będziesz królem Izraela, ludzie zapomną już nawet imię Jeshui. Będą mówić o Judaszu Iskariocie jako o Mesjaszu z proroctw. I będą mieli rację!

Kiedy Judasz rozważał tę perspektywę, że mógłby stać się prawdziwym Mesjaszem, oczy zabłysły mu podnieceniem.

- Czy potrafisz przekupić Antypasa?

-To będzie dosyć łatwe. On już jest w Jerozolimie. Młodszego mężczyznę opadła nagle chmura zwątpienia.

- Rzym tego nie zniesie. Wyślą przeciw nam więcej niż garść legionów, jeżeli pokonamy te, które stacjonują w Syrii.

- Ucz się na błędach przeszłości, a zachowasz to, co zdobyłeś. Kiedy już unicestwisz siły Piłata i pokonasz legiony syryjskie, możesz czekać, by cię zmiażdżono, lub pomaszerować na Egipt. Egipcjanie zobaczą twoją odwagę i sami powstaną przeciw Rzymianom. Kiedy to się stanie, możesz zawrzeć z nimi przymierze i dokończyć dzieła, które oni rozpoczęli. Potem dobrze zrobisz, jeśli skusisz Partów, by się przyłączyli do twojej sprawy. Są zaciekłymi wrogami Rzymu i nie zmarnują okazji, którą im podsuniesz. Zjednoczona pod twoim dowództwem armia może przemknąć przez Afrykę, pokonując legiony, zanim Tyberiusz obudzi się z popołudniowej drzemki.

- Mówisz, jakby to było łatwe.

- Nigdy nie jest łatwo poświęcić tych, których kochamy, choć wiemy, że jest to konieczne. Mówię, jakby to było możliwe. Bo jest. Rzym panuje nad nami, ponieważ mu na to pozwalamy. Upadnie, kiedy odmówimy padania na kolana przed jego władzą. W tej chwili potrzeba tylko człowieka, który miałby odwagę wykorzystać sposobność, i wizji, która sprawi, że ludzie pójdą za nim. Czy to na niego patrzę, czy też mamy czekać kolejne pokolenie, zanim zrzucimy rzymskie jarzmo?

Po chwili milczenia Judasz odparł:

- Powiedz mi, co mam zrobić.

- Nie jest bezpiecznie pozostawać w Jerozolimie, pani.

Prokula popatrzyła niepewnie na setnika Korneliusza. Wycofała się już do swej sypialni, gdzie przy świetle świec czytała o żydowskiej Passze. Wielka sylwetka Korneliusza wypełniała otwór drzwi.

- O czym ty mówisz?

- Piłat aresztuje dziś w nocy żydowskiego mesjasza. O świcie całe miasto będzie już o tym wiedziało. Kiedy tak się stanie, jest bardzo prawdopodobne, że będą szturmowali pałac. Nie zdołam cię ochronić, pani, kiedy to się zdarzy, więc zorganizowałem twoją ucieczkę jeszcze dziś wieczorem. Proszę, byś ubrała się w szaty podróżne i poszła za mną.

- Czy przysyła cię Piłat?

- Przyszędłby osobiście, ale ten wieczór zadecyduje o naszych szansach.

- Odpowiedz mi na pytanie: czy przysyła cię Piłat?

- Nie, pani.

- I nie powinien tego robić. Jestem Rzymianką, tak jak ty sam i Piłat, i wszyscy w tym wstrętnym pałacu. Nie będę uciekać od losu, który inni muszą znieść.

Wielką, okrągłą twarz setnika oblał rumieniec irytacji.

- Nie chciałyś tu jutro być, pani. Nie widziałaś, jak żołnierze postępują z kobietami po bitwie.

- Cóż Piłat takiego zrobił, żeby to na nas sprowadzić?

- Twój mąż, pani, wypełnia rozkaz cesarski, nic więcej.

- Dotyczący żydowskiego mesjasza?

- Powiedziałem już więcej, niż powinienem.

Bez wątplenia to przeczucie tego, co miało nastąpić, wywołało sen Prokuli, choć ona sama wierzyła, jak było wówczas w zwyczaju, że sen zesłali bogowie.

Była to wizja nieskomplikowana, ale straszna: człowiek ukrzyżowany, jak wielu już przed nim. Ale ten był inny. Ci, którzy na niego patrzyli, nie trzymali

się z dala, jak powinni byli, ale stali pod krzyżem i łapali jego krew, rozsmarowując ją najpierw na swoich czołach, a potem na głowach innych, którzy nie mogli dotrzeć dość blisko.

Budząc się nagle, Prokula wyszeptała w noc:

- On jest Barankiem Paschalnym!

Wychodząc z łoża, powiedziała niewolnicy śpiącej na podłodze w rogu pokoju, że musi natychmiast rozmawiać z dowódcą straży. Dziewczyna wybiegła szybko z pokoju i powróciła po kilku chwilach z trybunem i eskortą strażników.

- Muszę porozmawiać z Piłatem - oświadczyła Prokula, narzucając w pośpiechu płaszcz na nocne ubranie.

- Prefekt jest zajęty, pani.

- Jest środek nocy!

- Wkrótce świt, pani, i jest już zajęty obowiązkami.

- Zabierz mnie więc do niego.

- To nie jest możliwe. Prefekt zasiada w sali przyjęć. Nikt go stamtąd nie wywoła, nie jest też dozwolone, aby weszła tam kobieta.

- Zabierz mnie więc do Korneliusza.

- Pani, nie jestem upoważniony...

- Nie proszę o przysługę, trybunie. Wydaję ci rozkaz!

- Setnik towarzyszy twemu mężowi.

- W takim razie zaprowadź mnie tak blisko, jak wolno mi podejść, i powiedz setnikowi, że czekam, by z nim pomówić. Korneliusz sam może zdecydować, czy zechce wyjść z sali. Młody dowódca krótko rozważył, jak powinien postąpić, po czym oschle skinął głową i poprosił Prokulę, by poszła za nim.

Pałac Heroda był ogromnym budynkiem, wypełnionym wszędzie próżnymi, nic nieznaczącymi freskami roślin i wyobrażonych pejzaży, pozbawionych wizerunków ludzi i zwierząt. Jeden wielki pokój po drugim otwierał się na puste ko-

rytarze, których jedynym zadaniem było wzbudzanie respektu. Szli niemal dziesięć minut, zanim dotarli do atrium.

Prokula czekała kilka chwil, nim pojawił się Korneliusz.

- O co chodzi, pani?

- Piłat nie może zabić żydowskiego mesjasza!

- Nie ma wyboru.

- Ten człowiek jest niewinny!

- To nic nie znaczy dla rzymskiego prefekta. Ze względów politycznych stanowi on...

- Nic nie rozumiesz! Miałam sen, widziałam, co się stanie! Ten człowiek jest ofiarą paschalną!

Korneliusz pokręcił głową.

- Sny nie zawsze...

- Jego krew naznaczy tych, którzy mają być oszczędzeni, kiedy nadejdzie Anioł Śmierci! Tak jak w Egipcie, zanim Mojżesz wyprowadził na wolność swój lud, ominie tylko tych, którzy będą naznaczeni jego krwią. Pozostali zginą! Nie pierworodni, ale my wszyscy - cały nasz świat! Jeżeli Piłat zabije tego człowieka, Rzym upadnie!

- Powiem mu o twoim śnie, pani, ale to nic nie zmieni. Korneliusz oddalił się, a trybun, który przyprowadził Prokulę, rzekł jej:

- Prefekt nie ma wyboru w tej sprawie. Żydzi sami tego żądają.

- Żądają czego?

- By uzurpator został skazany na śmierć. Twój mąż, pani, opiera im się. Mówi, że nie znajduje w tym człowieku żadnej winy, ale oni grożą mu gniewem cesarza, jeżeli odmówi.

- Żydzi powołują się na cesarza?

- Twój mąż, pani, wcześniej już odesłał Jezusę do Heroda Antypasa, w nadziei, że on go osądzi, lecz Antypas odmówił mu tej przysługi.

Drugi oficer, słuchający tego, dodał:

- Słyszę, że namiestnik wciąż odmawia stracenia tego człowieka. Mówi, że zaprowadzi go przed samych Żydów i pozwoli im zdecydować. Kapłani są wściekli z tego powodu, lecz twój mąż, pani, nie ulega ich wpływom. Uratuje tego człowieka, jeśli będzie mógł.

Prokula nie odpowiedziała młodym oficerom, ale nie wierzyła, by Piłat bronił jakiegoś Żyda. Z jej doświadczeń wynikało, że ludzie nie zmieniają się bez powodu. Jeżeli Piłat wszedł w spór z kapłanami w sprawie pojedynczego Żyda, musiał mieć ważny powód i nie była nim łaskawość ani poczucie sprawiedliwości. Piłat nie posiadał tych cnót. Knuł coś złego. Ale co - nie potrafiła nawet zacząć zgadywać.

Teofanes wziął się do malowania o pierwszym brzasku. Piłat chciał Króla Żydowskiego, a nie przestępcę, i właśnie takim malarz go uczynił. Jego model miał prawdopodobnie trzydzieści pięć lub trzydzieści sześć lat. A może był młodszy o rok lub dwa. Twarz miał ogorzałą od ciągłego przebywania na pustyni. Łysiał nieco, a na jego skroniach widać było odrobinę siwizny. Teofanes uchwycił go dokładnie tak, jak wyglądałby przed aresztowaniem: człowiek, który lubił jeść i pić, i śmiać się dla poprawy nastroju - nie żaden z tych brzydkich, wychudłych, ascetów o smętnych obliczach, nienawidzących dobrej ziemi, na której Bóg ich umieścił!

Niewolnik malował szybko, nie dlatego, że Piłat się spieszył, lecz ponieważ wymagała tego technika, której używał. Kiedy tylko nałożył gorącą farbę enkaustyczną na rozgrzaną zagip-sowaną deskę, zaczynała ona stygnąć. A w miarę, jak stygła, coraz trudniej było się nią posługiwać. Gdyby wybrał temperę, oszczędzi-

łoby mu to trudu. Tempera była mniej wymagająca, lecz enkausta, właściwie stosowana, dalece ją przewyższała. Tak wiernie naśladowała rzeczywistość, jak tylko można było to osiągnąć w malarstwie, i zachowywała w nieskończoność kolory i blask. Teofanes zostawiał temperę ludziom mniejszego kalibru. Sam pracował tylko w wosku.

Kiedy skończył malowanie portretu, Piłat podszedł, by wygłosić swoje zwyczajowe narzekania.

- Czy ci, którzy widzieli go za życia, rozpoznają go na tym portrecie, Teofanesie?

Piłat przedstawił tłumowi na wielkim placu przed Świątynią czterech ludzi, obwieszczając, że każdego z nich skazał na śmierć, lecz by uczcić Święto Paschy, Żydzi mogą uwolnić jednego z przestępców.

Tłum był niewielki i opryskliwy, po większej części zgarnięty z ulicy, a Żydzi stanowili w nim chyba nawet mniejszość, ale ludzi było wystarczająco dużo, by nazwać ich tłumem. Ci, którzy przypominali sobie masakrę dokonaną w tym samym miejscu, a tego ranka niemal każdy o niej myślał, nawet nie spoglądali na przestępców. Śledzili oczami syryjską kawalerię rozlokowaną w szyku bojowym po dwóch stronach placu i trzy centurie rzymskiej piechoty w pełnym umundurowaniu bojowym, które obsadzały pozostałe boki kwadratu wokół nich. Korneliusz stawał po kolei za każdym przestępcą i wznosił swój miecz. Dostali po kilka dzikich okrzyków poparcia, z wyjątkiem człowieka zwanego Jezua, za którym nie ujął się nawet pojedynczy głos.

- Czyż on nie jest Królem Żydowskim?! - krzyknął do nich Piłat. - Nikt nie opowiada się za swoim królem? Ani jeden z was?

Milczeli. Prawie nie oddychali. Piłat mógł dosłyszeć uderzenia końskich kopyt o bruk, gdzieś na krańcach placu.

-Czyż ten człowiek ma umrzeć, ten, którego uwielbialiście jako swojego Mesjasza zaledwie kilka dni temu?

Kapłani wznieśli okrzyk, a inni szybko go podchwycili: „Ukrzyżuj go!”. Kiedy ktoś krzyczał, następny dołączał do niego, aż wszyscy zgodnie wołali:

-Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj go!

Piłat dał znak Korneliuszowi, by uciszył tłum. Sam podszedł do misy, którą wniósł teraz jeden z jego oficerów.

-Ten człowiek jest niewinny - oświadczył pompatycznie. - Jeżeli Żydzi chcą jego śmierci, umrze, lecz ja umyvam ręce od tej sprawy.

Grom uderzył z furją ścierających się armii i wyzwolił głęboko w sercu Piłata zwierzęcy strach. Wyszedłszy na jeden z tarasów, spojrział w górę, na wciąż błękitne niebo, i zastanawiał się, skąd mógł pochodzić ten dźwięk.

Odpowiedź nadeszła w pół godziny później, gdy uderzyła burza. Nadeszła z wiatrem i deszczem. Ziemia zatrzęsa się tak, że w atrium belki pospadały z sufitu. W obawie o swoje życie, Piłat wybiegł z budynku w wyjący wiatr. Tam zobaczył upadające drzewa, ich gałęzie i liście niesione przez wichur w dzikim pędzie, niczym strzały na polu bitwy. Nie mógł dojrzeć wielkiej Świątyni żydowskiej, deszcz był zbyt mocny, i przez chwilę pomyślał, że to pustynny bóg został przebudzony ze swego długiego snu.

Prokula znalazła go na ganku, który tylko częściowo chronił przed deszczem. Wichur wciąż zawodził. Burza wygnała ludzi z placu i zmusiła rzymskich strażników, by się schowali, stali więc samotnie przed pałacem, a towarzyszyli im jedynie niewolnicy.

-Zamordowałeś niewinnego! - krzyknęła Prokula. - I oto co się dzieje! - Wyciągnęła rękę, wskazując burzę i ciemność.

- Nie zabiłem go, Prokulo. Zrobili to Żydzi!
- Czy to właśnie powiesz w Rzymie?
- Nie miałem wyboru. Żydzi zmusili mnie, bym to uczynił! Musiałem utrzymać pokój, nieprawdaż?
- Żydzi cię zmusili? Kto rządzi Żydami, Piłacie? I jaką śmiercią zginął ten człowiek, jeśli nie rzymską?
- Próbowałem go ratować, ale nie pozwolili na to!
- Opowiadaj swe kłamstwa komuś, kto nie zna cię tak dobrze!
- Uważaj, kobieto albo.
- Albo co? Czy Żydzi zażądają, abyś i mnie zabił?

Syn Nikodema odwiedził Piłata w towarzystwie innego zamożnego człowieka. Prosił o ciało rabiego. Polityka Rzymu przewidywała pozostawianie przestępców na krzyżach dotąd, aż minął smród rozkładającego się ciała, a ptaki zakończyły swą ucztę. Piłat mógł dość łatwo odmówić, powołując się na prawo, ale był poruszony obecnością młodszego Nikodema, którego przychylność chciał zachować, i polityką chwili. Rzucił wyzwanie narodowi żydowskiemu i wygrał, umiejętnie przerzucając winę w tej sprawie na nich samych. Nie opłacało się obnosić przed nimi ze swym zwycięstwem.

Lepiej, pomyślał, zakończyć rzecz całą prędko i po cichu. Nie wyruszą przeciw niemu aż do jutrzejszego zachodu słońca, z powodu swojego szabat. Do tego czasu jednak mogą się znów zorganizować, mogą znaleźć kogoś zdolnego wzniecić w nich żądzę krwi, nawet jeśli Judasz został zdyskredytowany. Piłat nie musiał dawać im punktu zaczepienia dla ich wściekłości. Powiedział Korneliuszowi, że jego wolą jest, by tych trzech ludzi dobito i zdjęto z krzyży przed zachodem słońca.

- Tamtych dwóch złodziei rzuć do dołu, szczerom na pożarcie, ale dopilnuj, by ciało, którego żądają ci mężowie, zostało im wydane.

Nikodem, zanim wyszedł, poprosił o chwilkę rozmowy na osobności. Piłat uczynił zadość temu życzeniu, z szacunku dla jego ojca.

- Doceniam to, co dziś zrobiłeś, panie - powiedział młodzieniec. - Wiem, że ze względów politycznych byłoby ci łatwiej, gdybyś nie przeciwstawiał się władzom Świątyni.

- Czasami nie wystarczy po prostu chcieć tego, co właściwe - odparł Piłat.

- Ależ wystarczy! Tylko to się liczy. Tego właśnie nauczał nas rabbi! Tym, kim jesteśmy, nie czynią nas nasze zwycięstwa i porażki, ale nasze intencje. To, co mamy w sercach, to jedyne działanie, które się liczy!

Nie było uprzejmej odpowiedzi na taką naiwność, więc Piłat zachował milczenie, jak gdyby kontemplował jakąś wielką mądrość.

Kiedy słońce zaszło i zaczął się żydowski szabat, pojawił się starszy Nikodem. Ponieważ Prokula odmówiła przyłączenia się do niego, Piłat jadł samotnie i pozostawił swój posiłek, by spotkać się z przyjacielem.

- Kapłani wezwali do siebie Judasza i zapłacili mu za wydanie im Jezui.

- Przyjął pieniądze?

- Rzucił je w nich i wybiegł na ulicę. - Piłat uśmiechnął się na te słowa. - Już rozpuścili plotkę, że Judasz wydał swego mistrza za parę srebrników - mówił dalej Nikodem. - Jest skończony i wie o tym.

- A inni?

- Każ swoim oddziałom, by były widoczne przez kilka dni, a więcej nie usłyszysz o tych ludziach.

- Nie będzie powstania?

- Kto miałby je poprowadzić? I przeciw komu? Żydzi zabili swojego mesjasza, nie Rzymianie. Słyszałem, panie, jak sam wyrzekłeś te słowa.

Jezioro Czterech Kantonów

12 października 2006 roku

O wpół do czwartej Kate zapukała do drzwi hangaru, w którym Malloy spędził noc, i przywitała go termosem gorącej czarnej kawy zaparzonej przy ognisku. Wskazała na las za małym lądowiskiem i powiedziała:

- Mamy bekon, kiełbaski i jajka, i więcej kawy, proszę przyjść, kiedy będzie pan gotowy. - Rzuciła mu gogle noktowizyjne. - Niech pan po prostu weźmie nos za przewodnika!

Dołączył do nich kwadrans później. Ethan przygotował dla niego trzy jajka i ułożył je na mięsie.

- Śniadanie z Tennessee!

- On myśli, że to z Tennessee. Wciąż mu mówię, że to angielskie śniadanie.

Malloy spojrzał z powątpiewaniem na wieprzowinę. Ze względu na Gwen zaczął przestrzegać żydowskich zwyczajów żywieniowych, choć nie podzielał ich wiary.

- Nie wiem - powiedział, zsuwając mięso ze swojego talerza z powrotem na patelnię. - Jestem dziś trochę spięty. Myślę, że jajka mi wystarczą.

- Kiedy skakał pan ostatnim razem? - zapytał Ethan. - Skakał?

- Na spadochronie.

Malloy spojrzał na nich w migoczącym świetle ognia.

- Gdzie mamy skoczyć?

- Złożymy wizytę sir Julianowi - wyjaśniła Kate. - Chyba nie sądził pan, że zajdziemy przed główną bramę, prawda?

- Ostatni skok wykonałem jakieś ćwierć wieku temu.

- Trenował pan na okrągłych spadochronach? Malloy skinął głową i pociągnął łyk kawy.

- Ostatnich z tego starego typu.

Wciąż pamiętał siłę uderzenia przy lądowaniu. Nawet dla młodego chłopaka nie było to przyjemne, a kiedy pomyślał o tym teraz, rozboleły go kolana.

- Używał pan kiedykolwiek prostokątnego skrzydła?

- Po przejściu szkolenia spadochronowego nie skakałem już nigdy więcej. Jeśli do jakiegoś zadania potrzebny był wariat, zwykle go wynajmowałem.

- Dobra nowina jest taka - powiedziała Kate - że polubi pan te nowe skrzydła. Nie ma czego się obawiać. Pamięta pan dawne buty dla komandosów? Wyszły z użycia. Ludzie skaczą dziś w tenisówkach. Nawet nowicjusze potrafią ustać lądowanie... z uśmiechem. Manewrowanie też jest łatwiejsze. W taki poranek jak dzisiejszy, bez wiatru, jeżeli wyląduje pan na drzewie, to tylko dlatego, że pan tak zechce.

- Zazwyczaj, kiedy ktoś mówi o dobrej nowinie, jest też jakaś zła.

- Niewielki problem ze strefą zrzutu - przyznał Ethan.

- Niewielki?

- Ma pan od dwudziestu do trzydziestu metrów pomiędzy klifem a helikoptrem Corbeau. Brzmi to jak mnóstwo miejsca...

- Nie za bardzo.

- Wystarczy, ale musi pan być ostrożny. Podchodząc za nisko, rozbije się pan o ścianę klifu. Podejdzie pan za wysoko, a wkręcą pana łopaty wirnika. Innych problemów - uśmiechnął się - nie ma.

- Proszę jeść jajka - rzuciła Kate ze śmiechem - i nie martwić się tym skokiem. Są szanse, że wszystkich nas zastrzelą, zanim wylądujemy.

Szybko zwinęli obozowisko. Kiedy skończyli, Kate wyjęła z vana trzy spadochrony.

- Nie składaliśmy ich sami - powiedziała - więc poskładamy je teraz, w rękawiczkach.

Malloya zaskoczyły niewielkie rozmiary nowoczesnych spadochronów. Zarzucało się je na plecy w pokrowcu mniejszym od przeciętnego plecaka. Prawie nic nie było takie jak dawniej, choć sam spadochron składało się równie trudno jak zawsze. Problemem było pozbycie się powietrza. Wymagało to umiejętności i cierpliwości, a Malloy o wpół do piątej rano nie miał ani jednego, ani drugiego. Ethan podszedł i pomógł mu.

- Nie widzę uchwytu - zauważył Malloy.

- Nie ma go. Z dołu pokrowca wyciąga pan pilocik, który łapie powietrze i ciągnie za sobą taśmę łączącą. Taśma z kolei wyciąga zawleczkę zamykającą pokrowiec i wtedy wysuwa się osłona czaszy, a z niej - spadochron.

- Często to robicie?

- Kate całkiem sporo skacze z pewną grupą. Ja przyłączam się do nich niekiedy w weekendy.

O piątej przyjechał pilot i zaczął przygotowywać Cessnę C-182 stojącą w hangarze, gdzie Malloy przespał tę noc. W tym czasie Kate robiła przegląd arsenału, który ona i Ethan zorganizowali poprzedniego dnia, korzystając z uprzejmości przyjaciela z Zurychu dysponującego dobrymi kontaktami. Nawet jak na standardy Malloya zgromadzili imponujące uzbrojenie. Były tam trzy kamizelki kuloodporne Viper z panelami chroniącymi boki i okolice krocza, hełmy bojowe i cztery kałasznikowy AKS-74 - model stworzony dla wojsk powietrznodesantowych, ze składaną kolbą - i sześć pistoletów maszynowych Steyr TMP. Cztery z nich Kate włożyła do kabur, które miała na sobie: dwa znalazły się na udach, a dwa na pasie w talii, z rękojeścią na zewnątrz, żeby łatwo było je chwycić skrzy-

żowanymi rękami. Załadowała też dwa dodatkowe magazynki amunicji kalibru 9 mm. Poza tym mieli pół tuzina granatów zaczepnych MK3 A 2, po trzy dla Kate i Ethana, trzy zestawy słuchawkowe z mikrofonami do porozumiewania się i trzy pary kajdanek, jedne dla pilota, drugie dla Corbeau, a trzecie na wszelki wypadek, i po kilka długości liny. Oprócz czterech pistoletów maszynowych w kaburach, Kate zatknęła za pas na plecach navy colta, a jednego z kałasznikowów przewiesiła w poprzek klatki piersiowej. Ethan miał na sobie dwa kałasznikowy przewieszane przez klatkę piersiową i dwa steiry w kaburach na udach. Miał też linę wspinaczkową upchniętą w pokrowcu spadochronu, a za pasem czekan, który nosił jak pistolet. Oboje, Kate i Ethan, mieli po nożu bojowym w prawym bucie, a każde z nich włożyło rękawiczki i ciasno dopasowaną kominiarkę.

Podając Malloyowi kamizelkę kuloodporną i jeden z kałasznikowów, Kate powiedziała do niego:

- Ja jestem Damą, on jest Waletem, a pan - Jokerem. Nie używamy nazwisk, nie pokazujemy twarzy, nie zostawiamy odcisków palców i miejmy nadzieję, nie przelewamy krwi. Możemy swobodnie porzucać broń i magazynki. Każda sztuka została już zgłoszona jako skradziona. A co z pańską?

- Jest czysta - odparł Malloy, ścierając ze swojej broni odciski palców.

- Pańskim zadaniem będzie opanowanie helikoptera, najlepiej z żywym pilotem. Kiedy już pan to zrobi, proszę utrzymać pozycję. Niech pan użyje swojego MAC-a, jeśli będzie pan musiał strzelać serią. Kałasznikowa ma pan ustawionego na pojedyncze strzały. Zabezpiecza pan naszą drogę odwrotu. Jeśli nie zdołamy stamtąd odlecieć, nie uda nam się wydostać inaczej.

Malloy zlustrował swoją broń i w sumie był z niej zadowolony. Inaczej niż w amerykańskim M-16, w kałasznikowie na pierwszej pozycji był ogień ciągły, a dopiero na drugiej pojedyncze strzały. Poza tym oba karabiny były w miarę po-

równywalne, choć model rosyjski nieco lżejszy i bardziej niezawodny, ale trudniejszy do utrzymania w pozycji poziomej ze względu na długość magazynka.

- Corbeau ma lądowisko dla helikoptera pośrodku ogrodu za domem. Jego pilot zawsze nadlatuje od strony jeziora i staje przodem do budynku. Pan wylądował za jego pozycją, na kilka sekund przed nami. Będzie wciąż jeszcze ciemno, ale światła powinny być zapalone ze względu na helikopter, a to oznacza, że nie włączymy alarmu, kiedy wylądujemy. Przez ostatnie piętnaście metrów będzie nas widać, jeśli ktoś spojrzy w górę, ale dziś rano ma być lekka mgła, więc może uda nam się wykorzystać element zaskoczenia. Jeśli dobrze wyliczyliśmy czas, w momencie naszego lądowania doktor North powinna być gdzieś między domem a helikopterem. Ethan i pan możecie zlikwidować eskortę, najlepiej strzałami w głowę. Jeżeli ktokolwiek będzie miał na sobie kamizelki kuloodporne, to właśnie ludzie eskortujący zakładniczkę. Zadba pan, żeby North dotarła do helikoptera. Jeśli okaże się, że ma problem z chodzeniem, będzie jej pan musiał pomóc. Ethan może pana nieco osłaniać, gdyby pan tego potrzebował, ale trzeba zakładać, że przynajmniej część ognia będzie dochodziła z takich pozycji, że tylko pan zdoła na niego odpowiedzieć. Kiedy North znajdzie się już wewnątrz helikoptera, jego lekka osłona powinna ją zabezpieczyć przynajmniej przed ogniem z pistoletów. Przewidujemy trzy, może cztery minuty wewnątrz domu. Będą się pewnie dłużyć niczym dziesięć, więc proszę trzymać się tuż przy ziemi i znaleźć sobie wygodną pozycję. Mamy tylko tę jedną szansę, żeby złapać Corbeau. Jeśli go dzisiaj wypuścimy, będzie nas ścigał i nigdy nie przestanie.

W maleńkiej Cessnie Malloy poznał pilota, lotnika amatora z Berna, bliskiego przyjaciela Ethana. Był nadzwyczaj wesoły jak na tę porę.

Niecałą minutę później byli już w powietrzu i przelatywali obok ciemnego kształtu, którym była góra Pilatus, później zawrócili łukiem pod szczytem Stanserhornu. W miarę jak samolot nabierał wysokości, wszyscy milkli. Kiedy prze-

kroczyli trzy tysiące metrów, pilot skręcił w stronę góry Rigi i zawołał do Kate. Przez chwilę sprawdzała ich położenie względem jeziora, potem spojrzała na Malloya i Ethana. Wszyscy byli gotowi do skoku.

- Niech pan zadzwoni - zwróciła się do Malloya. - Proszę powiedzieć, żeby spotkał się z panem na górze Pilatus, nad jeziorem Pilatus. Rozpali pan ognisko, żeby mógł pana znaleźć.

Kiedy Malloy nacisnął przycisk szybkiego wybierania, Kate dała pilotowi znak, żeby wyłączył silnik. Szybowali w ciemnościach, nie widząc, gdzie kończy się niebo, a zaczyna ziemia.

Corbeau zgłosił się od razu.

- Tak? - odezwał się po angielsku.

- Spotkam się z panem na górze Pilatus, nad jeziorem Pilatus. Rozpaliłem ognisko, więc łatwo mnie pan znajdzie. Jeżeli nie zobaczę pańskiego helikoptera do... szóstej dwadzieścia, proszę się już nie fatygować.

- Musimy porozmawiać, panie Malloy - odpowiedział Corbeau.

- Nie, nie musimy. - Malloy rozłączył się i wyłączył telefon. Potem spojrzał na swoich nowych współników. - Zegar tyka, moi drodzy.

Corbeau skończył rozmowę i spojrzał na Bremmera, a ten pokręcił głową.

- Za krótko to trwało, ale mają numer i próbują go namierzyć. Za kilka minut powinni mieć jego położenie.

Corbeau skinął głową i omiótł wzrokiem regały z książkami. Siedział za swoim biurkiem. Xenó, Jeffrey Bremmer i Helena Chernoff stali na wprost niego. Dwóch umundurowanych strażników zajmowało swoje pozycje w drugim końcu pokoju.

- Coś jest nie tak - obwieścił Corbeau. Mówił to z namysłem, tak jakby wciąż próbował złożyć w całość swoje wrażenia. - Głos Malloya nie był taki, jak powinien.

- Jest zdenerwowany - zasugerował Xeno. Dowodził zespołem zabierającym North do helikoptera i miał już na sobie kamizelkę kuloodporną.

Corbeau pokręcił głową.

- To nie to. Brzmiał raczej jak... ktoś, kto blefuje. Nie sędzę, żeby miał ten obraz. - Powiedziawszy to, spojrział na Chernoff, oczekując potwierdzenia.

- To możliwe - przytaknęła. - Nawet jeśli przesłał już obraz do Nowego Jorku, wciąż może próbować ocalić North.

Corbeau spojrział na Bremmera.

- Co robi ktoś, kto nie ma pieniędzy, żeby zapłacić okup? Bremmer uśmiechnął się.

- Napełnia torbę gazetami i zabiera ze sobą broń.

- Malloy zastawia na nas pułapkę. Nie ma obrazu. - Corbeau nagle odzyskał pewność siebie. - Chcę, żebyś zostawił

North tutaj, a zamiast niej zabrał Helenę - powiedział do Xeno. - Kiedy przyłecisz na miejsce, jeśli Malloy nie będzie osłonięty, zastrzel go i wynoś się stamtąd. Jeśli będzie ukryty, poczekaj na niego, ale nie ląduj. Będzie miał ze sobą ludzi, ale nie zaatakują cię, dopóki zakładniczka nie będzie bezpieczna. Dobrze to przeprowadź, a będziesz już poza ich zasięgiem, zanim się zorientują, co zrobiłeś.

- A pozostali? - zapytała Chernoff.

- Nie interesują mnie. Chcę Malloya.

- Może jednak ma ten obraz - upierał się Xeno. Corbeau pokręcił głową.

- Nie ma.

- Powiedz pilotowi, że polecicie nad jezioro Pilatus - dodał Bremmer. - Będzie wiedział, gdzie to jest.

- Zna pan ten teren? - zapytał Xeno.

- To jest gdzieś na górze Pilatus, więc domyślam się...

- Na północnym stoku - wpadł mu w słowo Corbeau - i nie jest to tak naprawdę jezioro. Raczej bagno, uważane za ostatnie miejsce spoczynku Poncjusza Piłata, stąd nazwa. To odosobnione miejsce, pełne drzew, skał i wysokich pagórków otaczających odkrytą łąkę. Oznacza to, że Malloy będzie miał przewagę, jeśli wylądujesz, więc pamiętaj, żebyś tego nie robił.

Bremmer spojrział na zegarek.

- Macie dwanaście minut. Nie każmy mu czekać. Kiedy Chernoff i Xeno wyszli, Bremmer zapytał:

- Czy doktor North jest nam jeszcze potrzebna?

- Nie sędzę.

- Miałem obiecać popołudnie z nią.

- Weź cały dzień - powiedział Corbeau. - Jak się okazuje, pani doktor nie ma dla nas żadnej wartości. Ale kiedy skończysz, zostaw ciało w miejscu, gdzie zostanie szybko odnalezione. Jeśli nie w inny sposób, to śledząc tych, którzy zgłoszą się po jej zwłoki, dotrzemy do Richlanda i Starra.

Zadzwoił telefon Bremmera.

- Pewnie namierzyli komórkę Malloya - powiedział i sięgnął po telefon, ale wtem zatrzymał się z oczami utkwionymi we mgle tuż za oknem biblioteki, tak jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

- O Boże - wyszeptał.

Pęd zimnego powietrza na twarzy na chwilę zdezorientował Malloya, ale w słuchawce usłyszał głos Kate:

- Niech pan po prostu spada, a my pana dogonimy.

Na dalekim krańcu jeziora kilka światełek przelazających przez mgłę znaczyło położenie Lucerny. Na wschodzie horyzont ogarniała blada poświata. Poza tym cały pejzaż - góry, jezioro i niebo - pogrążony był w nieprzeniknionej czerni. Ethan pojawił się, opadając, obok Malloya.

- Kierujemy się tam - powiedział do mikrofonu i wskazał na plamkę światła.

Swobodne spadanie z trzech tysięcy metrów trwa nieco ponad pół minuty z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Pomimo sensacji odczuwanych jak zwykle podczas skoku, Malloy miał też dziwne poczucie, że kontroluje sytuację. Do pewnego stopnia było to prawdą. Mógł obracać się, wykonywać salta, rzucać się na główkę, żeby przyspieszyć, albo zwalniać. Ważne było tylko, żeby ustabilizować pozycję przed otwarciem spadochronu, i tę jedną rzecz starał się osiągnąć przez cały czas, od momentu, gdy wyskoczył z samolotu. Kiedy Kate pojawiła się po jego prawej stronie, jej głos zabrzmiał mu w słuchawkach:

- Otwieramy spadochrony na „pięć”, panowie.

W trakcie odliczania, ona i Ethan oddalili się łukiem.

Malloy instynktownie sięgnął po uchwyt i na moment ogarnęła go panika. Nie ma uchwytu... ani spadochronu zapasowego. Po chwili opamiętał się, sięgnął za siebie i wyciągnął pilocik, który od razu złapał powietrze i zaczął wyciągać z pokrowca taśmę łączącą. Malloy usłyszał, jak rozwija się jego skrzydło, po czym odczuł znajome przeciążenie, kiedy materiał wypełniał się powietrzem. Spojrzał w górę, ale nie mógł dojrzeć osłony czaszy zwisającej wśród linek. Bez osłony spadochron otworzyłby się natychmiast i wyhamował prędkość spadania zbyt szybko, by sprzęt mógł to wytrzymać. Dzięki osłonie linki się nie plątały, a prędkość zmniejszała stopniowo. Kiedy spadochron otworzył się już całkowicie, Malloy chwycił kołki sterownicze i próbował wyczuć swój sprzęt. Wiatr teraz świsnął, a nie wył wściekle, ale świat poniżej wydawał się niesamowicie spokojny.

- Musi pan przyspieszyć - powiedziała Kate. - Proszę ciągnąć za jeden kołek, aż wykona pan pełen obrót. Nie za mocno! Grzecznie i delikatnie, o, właśnie tak. Teraz proszę po prostu opadać i sterować w stronę tego światła.

Kiedy się zbliżyli, Malloy rzeczywiście zobaczył klif wznoszący się nad jeziorem, helikopter, wysokie mury otaczające posiadłość, willę i wieżę - wszystko okryte lekką mgiełką. Wciąż jeszcze byli powyżej plamy światła, wciąż niewidoczni z ziemi, ale kiedy już wleczą w zasięg reflektorów, zachwycają, jącą ciszę świata rozciągającego się pod nimi przerwie terkot karabinów maszynowych.

Kate mocno pociągnęła za lewy kołek, przez co wprawiała się w szybki ruch do tyłu, w lewą stronę. Skutek był dwojaki. Po pierwsze, obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni o wiele gwałtowniej, niż zrobił to Malloy kilkaset metrów powyżej. Po drugie, kiedy już wyszła z tego skreću, siła rozpędu wystrzeliła ją do przodu z prędkością niemal pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Manewr ten, nazywany wśród pasjonatów *turf-surf*, zwykle wykonywany był trochę bliżej ziemi i pozwalał skoczkowi przelecieć tuż nad koniuszkami traw jeszcze jakieś trzydzieści metrów. Ryzykowało się przy tym niezamierzone zetknięcie z ziemią, ale Kate groziło teraz inne niebezpieczeństwo: leciała prosto w okna biblioteki Corbeau, znajdującej się na pierwszym piętrze. Gdyby wymierzyła odrobinę za wysoko lub za nisko, uderzyłaby w kamienną ścianę. Jeśli trafi w cel, stłucze szybę.

Światło było włączone, Corbeau siedział za swoim biurkiem. Przed nim stał Bremmer, a dwóch umundurowanych strażników, na baczność, przy drzwiach.

Podlatując do okna, Kate uniosła nogi o dziewięćdziesiąt stopni w stosunku do reszty ciała.

Śmigło helikoptera Bell 407 już wirowało, kiedy Malloy zbliżył się do niego bardziej, niżby sobie życzył. Pilot majstrował przy swojej tablicy sterowniczej, nie myśląc o tym, co znajdowało się poza polem widzenia. Najprawdopodobniej niczego się nie obawiał. Malloy, gdy tylko dotknął ziemi, a jego spadochron wciąż jeszcze trzepotał napęczniony powietrzem, odciął linki i pobiegł w kierunku drzwi helikoptera. Wyszarpnął z kokpitu szczupłego, wysportowanego mężczyznę, który mógł być jego rówieśnikiem, rzucił go na ziemię, skuł mu ręce kajdankami i związał nogi w kostkach.

Ethan podszedł do lądowania na dachu nieco wyżej, niż zamierzał. Pociągnął mocno oba kołki. Ściągnęło to czaszę i spowodowało nagły spadek. Ethan uderzył w łupkowy dach z taką siłą, jakby spadł z dwóch metrów.

Zrzucił z siebie spadochron i chwycił jeden z kałasznikowów. Kiedy Kate wpadła do biblioteki Corbeau, Ethan spokojnie podszedł do brzegu dachu. Na dźwięk strzelniczy Kate zlikwidował dwóch strażników przed bramą wjazdowej, a potem odwrócił się, żeby uchwycić w biegu pierwszego ochroniarza, opuszczającego budkę strażniczą. Powalił go dwoma strzałami. Następny strażnik był już przy drzwiach, zanim zorientował się, że to zasadzka. Pierwsza kula Ethana trafiła go w szyję, druga w czoło. Teraz wrzucił granat przez okno budki strażniczej i pobiegł wzdłuż brzegu dachu na drugą stronę domu. Z boku budynku, bezpośrednio nad wejściem do podziemi, zobaczył pod sobą dwóch ludzi. Kolejny był już na otwartej przestrzeni i zmagał się z przygotowaniem swojego kałasznikowa do strzału. Wszyscy trzej mieli na sobie kamizelki kuloodporne, ale nie było z nimi North. Malloy zlikwidował ich dowódcę strzałem w głowę. Ethan rzucił granatem w pozostałych dwóch, a potem dobił ich, również celując w głowy.

Odwrócił się w drugą stronę i zobaczył, że na taras na piętrze wybiegło dwóch ochroniarzy, którzy zaczęli strzelać do niego ogniem ciągłym. Unieszkodliwił jednego, a Malloy zajął się drugim.

Wpadając przez okno, Kate skrzyżowanymi rękami wyjęła z kabur dwa pistolety maszynowe Steyr TMP. Lewą ręką skosiła dwóch strażników, którzy właśnie podnieśli kałasznikowy, a Bremmera, sięgającego po broń, którą nosił u boku, zastrzeliła prawą. Kiedy opróżniła już oba pistolety, wyrzuciła je i wyjęła kolejne steiry z kabur na udach. Dobiła strażników i Jeffreya Bremmera, kierując się w stronę Corbeau, który wstał zza biurka, ale nie próbował się bronić.

- Na podłogę! - krzyknęła do niego Kate. Kiedy się zawahał, lewą ręką wyciągnęła navy colta i strzeliła mu w nogę. Corbeau ciężko upadł, krzycząc nieskładnie. Kate kopnęła go w twarz, łamiąc mu nos.

Rzuciwszy na bok pistolet, szarpnęła jego ręce na plecy i spięła nadgarstki kajdankami. Położyła steyra na podłodze, a potem linką związała stopy Corbeau.

- Walet, twój pakunek jest w bibliotece - obwieściła.

- Na dole spokojnie, Damo - odpowiedział Ethan.

- Joker? - zapytała Kate.

- Ani śladu North - odparł Malloy.

- Znajdziemy ją.

Kate podniosła steyra i ruszyła w kierunku wąskiego przedpokoju, którym wychodziło się z biblioteki.

- Oczyszczam piętro, panowie.

Z granatem w ręku skierowała się w stronę głównego holu, przygotowana na opór, ale korytarz przed schodami był pusty. Przeszła przez drugą kondygnację, pokój po pokoju, znacząc wnęki, szafy i drzwi małymi seriami z broni maszynowej, zanim je otworzyła.

Kiedy już się upewniła, że nie ma nikogo za plecami, przeładowała broń i poszła do schodów.

- Druga kondygnacja bezpieczna, panowie - szepnęła.
- Wchodzę - oznajmił Malloy.
- Niech pan trzyma pozycję! - zaprotestowała Kate.
- Pozycja jest bezpieczna.

Chernoff i Xeno byli na dole schodów, kiedy usłyszeli dźwięk broni automatycznej z biblioteki Corbeau. Xeno ruszył z powrotem, ale Chernoff chwyciła go za ramię. Było za późno, żeby pomóc Corbeau, i oboje o tym wiedzieli. Usłyszeli jeszcze więcej strzałów, tym razem z dachu, a potem odgłos granatu wybuchającego w pobliżu budki strażniczej.

Trzech mężczyzn podbiegło do schodów, ale Xeno ich zatrzymał.

- Zaczekajcie na nich tutaj - powiedział, dając im znak, żeby rozstawili się po obu stronach klatki schodowej.

Dał też znak Helenie, żeby sprawdziła tył domu. Przez okna wychodzące na ogród zobaczyła pilota w trawie. Obok niego klęczał jakiś człowiek w hełmie i kominiarce. Helikopter był pusty, jego śmigło wciąż się obracało. Usłyszała strzały i jeszcze jeden granat, eksplodujący po przeciwnej stronie domu. Przebiegła przez główne pomieszczenie, w stronę okna wychodzącego na dziedziniec.

- Jeden na tyłach! - zawołała.

Zewnętrzna brama była wciąż zamknięta, ale dwaj strażnicy leżeli na ziemi.

- Obaj strażnicy przy bramie zastrzeleni!

Wymykając się z boku budynku, niedaleko wejścia do podziemi, Chernoff znalazła jeszcze trzech zabitych. Przycisnęła się do ściany domu i spojrzała w górę, na dach. Jeden człowiek trzymający pilota. Dwóch lub trzech na dachu. Kolejna para na drugiej kondygnacji...

Przeciw trzykrotnej przewadze! To nie miało sensu. Musiała być jakaś druga fala, która nadejdzie tunelem od strony jeziora lub uderzy na główną bramę - a może i jedno, i drugie.

A to znaczyło, że czas uciekać. Wzięła mur z rozbiegu, chwytając się dachówek na jego szczycie i przerzucając jedną nogę. Wyciągnawszy swojego glocka, przepatrywała las poniżej, ale nie dojrzała niczego prócz cieni przedświtu i smug mgły.

Ze swojej pozycji na szczycie muru widziała poprzez liście helikopter i pilota, ale nie tamtego drugiego człowieka. Czyżby ją dostrzegł? Czy właśnie nadchodzi?

Czekała, obserwując ogród na tyłach domu z bronią gotową do strzału. Kiedy wyłonił się zza zasłony drzew rosnących pod murem, biegł w stronę domu. Chernoff strzeliła do niego trzy razy, dwukrotnie w pierś, żeby go powalić, i raz w głowę, kiedy już upadł na ziemię. Potem wycelowwała w pilota i umieściła jeden pocisk w jego czaszce. Na wypadek, gdyby mieli nadzieję posłużyć się nim, żeby stąd odlecieć.

Usłyszała pojedynczy wystrzał gdzieś z okolic bramy wjazdowej, ale nie mogła dojrzeć, kto strzelał. Nie miało to znaczenia. Przerzuciła obie nogi przez mur i skoczyła w zarośla. Podobnie jak wcześniej Brand i Kenyon, Helena Chernoff skierowała się w stronę jeziora.

- Zastrzelili Jokera! - krzyknął Ethan. Kiedy tylko to powiedział, dostał w plecy. Impet uderzenia posłał go głową w dół, w stronę skraju dachu. Gdy ocknął się z pierwszego szoku, uprzytomnił sobie, że wprawdzie trafienie nie przebiło kamizelki, ale jeśli zaraz czegoś nie wymyśli, zginie wskutek upadku na głowę. Gwałtownym ruchem porwał czekan z za pasa i zamachnął się ostrym końcem w

łupkowe płytki przez co jego ciało natychmiast ześlizgnęło się w bok. Chwycił się czekana obiema rękami, a nogi zatoczyły łuk i zawisły nad rynnami dachu.

Kiedy podciągnął się z powrotem i zdołał znowu stanąć, zobaczył, że jego kałasznikow spadł w krzaki. Zdjął z ramion drugi karabin, z trzaśnięciem rozłożył jego metalową kolbę i wspiał się po stromej pochyłości na szczyt dachu. Człowiek, który do niego strzelał, był już przy głównej bramie i zmierzał w stronę domu. Niespokojny duch. Ethan położył go strzałem w głowę, a następnie przerzucił karabin z powrotem przez pierś.

Rozwinąwszy linę, zamocował jeden z jej końców wokół komina i trzymając drugi, przeszedł na skraj dachu. Zsunął się w dół, rozbujał linę i wpadł przez okno do biblioteki. Wylądował zaledwie o metr od samego diabła.

Kate potoczyła granat zaczepny w dół głównej klatki schodowej, a potem wyjęła drugiego steyra. Z pistoletami w rękach bez przeszkód dotarła prawie na sam dół schodów, gdy nagle z dwóch różnych korytarzy wysunęło się na pozycje dwóch mężczyzn - jeden przed nią, drugi za jej plecami.

Widząc przed sobą rozbłysk z lufy kałasznikowa, Kate przeskoczyła przez poręcz, a upadając, otworzyła ogień. Jednego z mężczyzn ciężko zraniła, ale drugi zdążył się wycofać.

Przetaczając się, odrzuciła puste i bezużyteczne już steiry, odpięła swojego kałasznikowa i usiadła plecami do ściany.

- Myślę, że przydałoby mi się jakieś wsparcie - szepnęła.

Pociski Kenyon raz po raz trafiały w kamizelkę kuloodporną Xeno, zmuszając go do wycofania się w bezpieczne miejsce. Odczekał chwilę, czując ból w klatce piersiowej, oddech miał płytki i przyspieszony. Usłyszał, że Kenyon wzy-

wa pomocy i dał znać mężczyźnie stojącemu obok, że na piętrze jest ktoś jeszcze.

- Zaczekaj na niego - mruknął, wysyłając partnera w inny korytarz.

Ethan przerzucił sobie Corbeau przez ramię i dotarł już do szczytu schodów, kiedy usłyszał, że Kate prosi o pomoc.

Zrzucił mężczyznę na podłogę i zszedł ze schodów ze swoim AKS -74 ustawionym na ogień ciągły.

- Jestem na schodach - powiedział. - Joker, dostałeś? Nie było odpowiedzi.

Xeno przywarł do ściany, trzymając broń tuż przy klatce piersiowej, z uniesioną lufą i palcem na spuście. Usłyszał nad sobą głos Branda:

- Jestem na schodach. Joker, dostałeś?

A teraz Brand zszedł ze schodów. Podobnie jak Kenyon, ostatnie dwa metry pokonał, skacząc i mocno uderzając o podłogę.

W tym właśnie momencie Xeno wychylił się, z bronią wycelowaną i ustawioną na ogień ciągły.

Ethan zobaczył Kate na podłodze, ramionami opartą o ścianę. Miała jedną sztukę broni, a dwa korytarze do objęcia ogniem. Przeskakując nad barierką, pokonał ostatnie dwa metry. Kiedy to zrobił, w polu widzenia, w salonie, pojawił się umundurowany strażnik z bronią. Pierwszym strzałem dosięgnął Ethana, ale padł, gdy ten otworzył ogień. Drugi mężczyzna prześlizgnął się po podłodze na plecach, strzelając seriami z kałasznikowa i kryjąc się za ciałem tego, który upadł chwilę wcześniej. Ethan skierował na niego lufę swojej broni, ale skończyły mu się naboje. Usłyszał, że Kate strzela tuż pod nim, lecz nie zdawał sobie sprawy z obecności jeszcze jednego kałasznikowa za swoimi plecami aż do momentu, gdy

seria pocisków rzuciła go twarzą na ścianę. Padł w poprzek Kate, odrzucając opróżniony karabin i wyjmując jeden ze steyrów. Człowiek w salonie pojawił się znowu, przeładowawszy wcześniej broń, i zaczął strzelać, ale Ethan dosięgnął go długą serią ze steyra.

Kiedy odwrócił się, by mieć w zasięgu ognia drugi korytarz, Kate osunęła się bezwładnie na podłogę.

- Trafili Dame! - zawołał, dotykając rozerwanej kamizelki nad jej sercem. - Odezwij się, Joker! Powtarzam. Trafili Dame!

Kiedy zaczęła się strzelanina, Xeno poczuł dziwne klucie w okolicy biodra, a także w ramieniu. Gdy przetaczał się w bezpieczne miejsce, dostał jeszcze z pół tuzina trafień w klatkę piersiową i bok.

Sprawdził swoje rany, jedną na ramieniu i drugą w okolicy biodra, poniżej linii kamizelki - i jeszcze jedną, jak się zorientował, pośrodku klatki piersiowej, gdzie pocisk przedostał się przez kamizelkę.

Ta ostatnia przeraziła go, ale przynajmniej wciąż jeszcze był na nogach.

Malloy usiadł jak człowiek przebudzony z głębokiego snu.

- Idę - mruknął i usiłował wstać, bez większego sukcesu. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest, i wydawało mu się, że może być pijany, przynajmniej do momentu, kiedy się rozejrzał i dostrzegł swój hełm, słuchawki i AKS-74.

Uświadomił sobie, że ktoś go trafił w hełm, co tłumaczyło zamroczenie i ból głowy. Podnosząc swoją broń, niczym chłopiec zbierający zabawki z piaskownicy, zdał sobie sprawę, że głos, który przywołał go do przytomności, nie mógł dochodzić ze słuchawek, które zgubił, kiedy go trafiono.

Musiało to być wspomnienie budzącej go Gwen. Uśmiechnął się na myśl o tak wielu porankach, kiedy budził się powoli: ona namawiała go, żeby wreszcie wstał z łóżka, a on ją, żeby jeszcze się położyła...

Usłyszał odgłos strzału, nie wiedząc, skąd dochodzi. Nawet wyraźny trzask pocisku przelatującego mu tuż przy twarzy i głuchy odgłos, kiedy uderzył w ziemię kilkadziesiąt centymetrów za jego plecami, nie zrobił na nim jakiegoś

wrażenia. Następny pocisk uderzył go prosto w pierś. To wreszcie uświadomiło mu fakt, że jest odsłonięty, a ktoś próbuje go zabić.

Przetoczył się mocno w lewo i kontynuował ten ruch, słysząc dalsze strzały. Kiedy się zatrzymał, wyjął swój pistolet, zlokalizował po rozbłyskach z lufy człowieka stojącego na skraju domu, i wycelował w niego. Poczul potężny cios, gdy pocisk trafił go w mocno opancerzone miejsce na ramieniu. Bandyta mierzył w głowę. Malloy odpowiedział serią, która uderzyła najpierw w ścianę, potem w jego ciało. Mężczyzna obrócił się wokół własnej osi niczym tańczący derwisz, rozłożył ręce i padł na żwir.

Malloy podniósł się powoli. Czuł gwałtowne pulsowanie w głowie. Ładując nowy magazynek, zaczął biec w stronę domu, choć grunt chwiał mu się pod nogami. Dotarłszy na taras, nie trudił się otwieraniem drzwi, tylko włamał się, rozbijając szybę. Zobaczył Ethana pochylającego się opiekuńczym gestem nad sylwetką Kate leżącej na brzuchu i natychmiast zrozumiał, że coś jest nie tak.

Obaj odprężyli się, kiedy rozpoznali się nawzajem. W tym samym momencie pojawił się bandyta z kałasznikowem. Malloy rzucił się na podłogę i z pozycji siedzącej wystrzelił pełną serię. Jednocześnie kilka pocisków zabębniło w jego kamizelkę. Bandyta upadł, a Malloy wyrzucił opróżniony pistolet. Podmuch zwałił go z nóg, a klatka piersiowa i brzuch falowały. Przeczółgał się przez pokój i dołączył do Ethana.

Xeno chwiejnym krokiem wycofywał się wzdłuż ściany, szukając innych, ale nikt mu nie został. Na dziedzińcu domu dostrzegł trzech martwych ludzi, zastrzelonych tuż obok otwartej bramy. Jeśli ktoś z napastników był jeszcze na dachu, próba dotarcia do samochodów oznaczałaby samobójstwo.

Pomyślał o przeskoczeniu przez mur, ale uświadomił sobie, że z tymi ranami nie da rady tego dokonać.

Usłyszał dźwięk tłuczonego szkła, odgłos strzałów, krzyk trafionego człowieka, a potem uderzenie broni rzuconej na podłogę.

Jego jedyną szansą było dostanie się do tunelu i dotarcie do łodzi. Stamtąd mógł przepłynąć na drugi brzeg jeziora.

Cicho zamknął drzwi do podziemi i powoli schodził, utykając, po drewnianych schodach. W połowie drogi zatrzymał się i sięgnął pod kamizelkę, żeby dotknąć krwi. Sprawdził jej kolor - była ciemna. Znaczyło to, że kula nie przebiła płuca. Jeszcze raz sięgnął pod kamizelkę i namacał wbity w kość pocisk. Jeżeli nie był to tylko fragment, wyjdzie z tego. Rany bolały, jakby miał zaraz umrzeć, ale nie były śmiertelne. To tylko złamany mostek, jedno ramię i biodro. Xenos wziął długi, bolesny oddech i zszedł z pozostałych stopni. Zmagając się z mdłościami i zawrotami głowy, oparł się o poręcz, próbując odzyskać jasność umysłu. Wciąż jeszcze ma czas, ale ten ~ ucieka. Musi się ruszyć. Musi się stąd wydostać. Musi tylko pozbyć się tych mdłości, a nic mu nie będzie.

Wziął głęboki oddech i spojrzał przez podziemia w stronę drzwi do tunelu. Zrobił krok, ale podłoga usunęła się mu spod nóg, a korytarz zawirował. Był jeszcze przytomny i wciągał powietrze, kiedy uderzył o beton, potem wszystko ogarnęła ciemność i chłód.

- Ona nie żyje - wyszeptał Ethan. Jego głos zabarwiony był grozą. Wyglądało to, jakby nigdy nie brał pod uwagę możliwości, że Kate może umrzeć.

Malloy dotknął jej kamizelki. Podobnie jak Ethana i jego własna, była porzywana kilkoma seriami amunicji z kałasznikowa.

Przynajmniej nie było krwi. Albo może jak dotąd nie znalazł rany. Zdjął z głowy Kate kominiarkę, odsłaniając szyję i szczęki. Ściągnął rękawiczkę i przyłożył palce do jej szyi, modląc się, żeby się mylić, ale w tętnicy szyjnej nie wy-czuł pulsu.

XI

Spojrzał na Ethana, którego oczy pod kominiarką były rozszerzone i wilgotne, a następnie upewnił się, że Kate nie ma nic w ustach i w gardle. Zatykając jej nozdrza, przytknął usta do zimnych warg i dmuchnął. Odchylił się, a potem jeszcze raz wdmuchnął jej powietrze w płuca. Słyszał modlitwę Ethana i sam szeptał własną.

Po trzecim wtłoczonym w jej płuca oddechu Kate poruszyła się. Chwilę później zamrugła, otwierając oczy. Zakasłała i wciągnęła powietrze gwałtownym, desperackim wdechem.

- Musimy ją zawieźć do szpitala! - krzyknął Ethan.

- Żadnych szpitali - zaproponował Malloy.

- Co... co się stało?

- Przestałaś oddychać - wyjaśnił. Nie powiedział nic o jej sercu.

Kate leżała na plecach, patrząc w sufit.

- Musimy iść - odezwała się po chwili. Wzięła głęboki, urywany oddech. - Weźmy Nicole i wynośmy się stąd!

Ethan zawahał się.

- Idziemy! - przynagliła go Kate. - Policja może tu być w każdej chwili!

Zdawało się, że na wzmiankę o policji Ethan wybudził się z transu. Wstał, ale zanim ruszył na poszukiwania Nicole North zorientował się, że Malloy nie ma broni. Zostawił mu jeden ze swoich steyrów, a drugi wyjął z kabury i skierował się do podziemi.

Światła były zapalone, ale wokół panowała cisza. W przeciwieństwie do wyższych pięter domu, powietrze było tu czyste, niezadymione.

Skąd więc świeża krew na schodach? Przypatrywał się kroplom i smugom na stopniach i poręczy. Na podłodze tuż za schodami dostrzegł dużą lśniąca plamę jeszcze niezastygłej czerwieni.

Przykucnął, patrząc na podłogę korytarza, ale ślad kończył się na dole schodów.

Zrobił jeszcze jeden krok w dół, przepatrując zakamarki i cienie wokół siebie. Ślady krwi, które zaczynały się i kończyły na schodach...

Rozejrzał się na obie strony i nagle dotarło do niego oczywiste rozwiązanie tej zagadki: pod schodami!

Kałasznikow zaczął strzelać w momencie, gdy Ethan zeskoczył z ostatnich sześciu stopni i przetoczył się przez podłogę. Podnosząc się do pozycji kucznej, dostrzegł dziwnie roztrzaskujące się odłamki, kiedy pociski uderzały w stopnie schodów. Delikatnie nacisnął spust swojego steyra, pakując w drewniane schody serię w kształcie poszarpanej ósemki.

Ogień z kałasznikowa ustał wcześniej, ale tylko o ułamek sekundy. Ethan usłyszał, jak broń upada na betonową podłogę, i sam odrzucił własną, wyciągając z pochwy przy bucie nóż bojowy.

Jednocześnie tamten wynurzył się chwiejnym krokiem spod schodów. Trzymał pistolet, unosząc go powoli. Był ranny i opierał się o schody, ale Ethan nie miał osłony. Nie miał też innego wyboru, jak tylko zaatakować.

Pocisk uderzył w jego kamizelkę niczym pięść, kiedy Ethan zwał się z przeciwnikiem. Trzymał nóż nisko, teraz dźgnął nim w górę, pod taśmę kamizelki. Czuł, jak mięśnie niechętnie ustępują przed stalowym ostrzem. Usłyszał okrzyk bólu. Ciało mężczyzny zwiotczało, a potem krew zalała jego dłoń ubraną w rękawicę.

Usłyszał uderzenie broni o podłogę i zobaczył, że oczy tamtego pociemniały. Umierający człowiek wyrzucił z głębi gardła jakiś zdławiony dźwięk, po czym zsunął się po piersi Ethana, jego biodrach i nogach.

- Walet, co się dzieje? - niepokoili się Kate w słuchawkach.

XI

Przez chwilę Ethan nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wpatrywał się tylko w leżącego mężczyznę i w sterczący z jego ciała, zakrwawiony nóż.

- Walet! Odezwij się! Odpowiedział, że wszystko dobrze.

- Jakieś kłopoty? Ethan podniósł pistolet.

- Już nie.

Sprawdził magazynek i zabrał pistolet ze sobą, idąc w stronę wieży.

Przeczesał pomieszczenia, byle jak, tylko na wszelki wypadek, Ethan słyszał, że Kate mówi do Malloya, by zabrał Corbeau.

Uniósł sztabę i otworzył stalowe drzwi, prowadzące do wieży. Nicole North stała w ciemności. Miała na sobie płaszcz, ale żadnych ubrań pod spodem. Drżała, jej włosy były potargane, a oczy rozszerzone ze strachu. Nie miała pojęcia, czy zostanie zaraz stracona, wymieniona czy też uratowana.

- Spokojnie - odezwał się Ethan, pamiętając, że jest w kominiarce i wyobrażając sobie, jak musi wyglądać. - Jesteśmy tu, żeby zabrać panią do domu.

Kiedy usłyszeli strzały w podziemiu, Malloy ruszył w tamtą stronę, ale Kate przytrzymała go, chwytając za ramię. Wciąż miała na sobie słuchawki. Powiedziała do mikrofonu:

- Walet?

Strzelanina ustała, ale potem usłyszeli pojedynczy wystrzał z pistoletu.

- Walet! - krzyknęła Kate. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. - Co się dzieje? Walet! Odezwij się!

Słuchała.

- Jakieś kłopoty? - zapytała, a potem wyraźnie się rozluźniła i rzuciła do Malloya: - Musimy zabrać Corbeau.

Wciąż jeszcze oddychała z trudem, ale już siedziała.

- Jest pani ranna? - spytał.

- Nic mi nie jest - mruknęła, ale nie wyglądała tak, jakby nic jej nie dolegało. Poruszała się powoli i zdawało się, że przytomność umysłu chwilami ją opuszcza, chwilami wraca. Wyglądała na kogoś, kto powrócił ze śmierci do życia i wciąż jeszcze układa sobie priorytety.

Przebiegła nerwowym spojrzeniem po pokoju.

- Była tu kobieta. Malloy pokręcił głową.

- Nie widziałem jej.

Kate usiłowała sięgnąć po jeden z opróżnionych pistoletów. Malloy wręczył jej steyra, którego dał mu Ethan, a sam wyjął swoją sigmę.

Na piętrze, tak jak na parterze, nadal unosił się w powietrzu dym, a wraz z nim smród broni palnej, nie do pomylenia z żadnym innym zapachem.

W bibliotece Malloy znalazł ciała trzech mężczyzn, ale brakowało samego Corbeau. Wrócił na korytarz i zaczął przeszukiwać pokoje.

- Corbeau uciekł! - krzyknął. Z dołu usłyszał:

- Wieża!

Wszedł znowu do biblioteki. Ktoś wbiegał po schodach, jakiś głos krzyczał. Czyżby gliniarze byli już u bramy? Pomyślał, żeby się wycofać, wydostać się stąd, dopóki to możliwe, ale nie można było zostawić Corbeau. Lepiej już oddać się w ręce policji.

Podszedł do małych drzwiczek i wyciągnął dłoń w stronę jednej z główek kruków. W tym samym momencie Ethan wpadł do pokoju, krzyząc „Nie!”.

Malloy zatrzymał się, z ręką ledwie o centymetry od uchwytu.

- O co chodzi? - zapytał.

- Proszę stamtąd odejść - nakazał mu Ethan i chwycił książkę. Podszedł i rzucił nią w odlaną z żelaza główkę kruka. Z jej dziobka wychyliła się długa na centymetr, maleńka, lśniąca igła, na której końcu uformowała się kropla przezro-

czystej płynnej trucizny. - *Gare le Corbeau!* - powiedział, z oczami utkwionymi w kruku.

Malloy odruchowo przetłumaczył to zdanie:

- Strzeż się kruka!

- Ma to wypisane na tarczy herbowej - dodał Ethan, przechodząc do obrazu wiszącego niedaleko drzwi i wyciągając go ze ściany. W murze ukryty był uchwyt, który Ethan pociągnął i przekręcił. Drzwiczki otworzyły się, a w ciemnym pomieszczeniu, w górnej części wieży stał Julian Corbeau, z rękami wciąż skutymi na plecach i nogami związanymi w kostkach.

- Jak pan się tu dostał? - zapytał Ethan, ale Corbeau milczał, patrząc chłodno i beznamiętnie.

Ethan przerzucił go sobie przez ramię jak worek zboża i wyszedł z biblioteki. Kate już stała, kiedy zeszli ze schodów, a obok niej Nicole North. North była bo- so i najwyraźniej nie miała nic pod płaszczem. Podchodząc bliżej, Malloy dostrzegł oparzenia na jej stopach, a wyżej na nogach - spalone ciało.

Kiedy zobaczyła Corbeau, jej oczy zaokrągliły się z przerażenia, ale nic nie powiedziała. Miała obok siebie Kate i to zdawało się dodawać jej nieco odwagi.-

Malloy, osłaniając ich odwrót, wszedł do helikoptera ostatni. Podchodząc, zobaczył, że pilot leży w trawie, twarzą do ziemi.

- Pilot dostał kulkę - powiedział Ethan, gdy Malloy gramolił się do kokpitu. - Umie pan latać takimi maszynami? - Malloy pokręcił głową. - Wczoraj ściągną-łem z Internetu podręcznik - oświadczył Ethan. - Nie wydaje się to zbyt trudne, ale tak na wszelki wypadek, niech pan lepiej usiądzie z tyłu i zapnie pasy.

Malloy wycofał się do kabiny i usiadł naprzeciw Juliana Corbeau. W oddali słychać było wycie policyjnych syren, dobiegające z drogi z obydwu kierunków. Niebo wciąż było puste i ciche.

Kate siedziała obok Corbeau. North zajęła miejsce na drugim końcu kabiny, tak daleko od swojego prześladowcy, jak tylko było to możliwe.

- Ethan właśnie stwierdził, że po prostu przeczytał wczoraj podręcznik lata-
nia którąś z tego typu maszyn – odezwał się Malloy do Kate. - Proszę mu powie-
dzieć, że ma chore poczucie humoru.

- Mówiłam, żeby zachował pan pilota przy życiu. Helikopter uniósł się na
metr nad betonowym lądowiskiem, a potem dziwnie się przechylił i pognął dziko
w stronę klifu. Kiedy minęli mur oporowy, nagle mieli wysokość, jakiej po-
trzebowali, ale próba zwiększenia prędkości spowodowała, że Bell opadł w
ciemność. Ethan zdołał go z tego wyprowadzić i leciał przez kilka sekund tuż nad
powierzchnią wody, po czym wreszcie wyczuł maszynę i zaczął się wznosić.
Kiedy nie wisiało już nad nimi widmo natychmiastowej katastrofy, Malloy zerk-
nął na zegarek. Cała operacja trwała niecałe dwanaście minut.

- Lecimy z powrotem na lotnisko. Cessna zabierze Ethana i mnie, razem z
tym tutaj naszym przyjacielem, do Mediolanu. Pan niech weźmie vana i zadba,
żeby Nicole dotarła do Nowego Jorku.

- Wszyscy macie paszporty? - zapytał Malloy.

- Wczoraj odebraliśmy swoje - odpowiedziała Kate - a sir Julian nie będzie
potrzebował żadnego.

Malloy spojrział na Nicole North. Pokręciła głową. Pomyślał, że będzie musiał
zwrócić się do Jane, by załatwiła coś dla niej w konsulacie amerykańskim w
Bernie. Sam też nie miał przy sobie dokumentów, ale mógł zadzwonić do Hasana
i poprosić, żeby ktoś przywiózł mu na lotnisko paszport, bagaż i komputer.

- Zanim zaczniecie wydawać pieniądze z nagrody - powiedział do Kate - za-
dam sir Julianowi kilka pytań. Jeżeli nie spodobają mi się odpowiedzi, zrzucimy
go do jeziora.

XI

Corbeau uśmiechnął się. Nie kupował tego. Malloy wyjął swoją sigmę i wymierzył z niej w głowę Corbeau.

- Skąd pan wiedział, że miałem wsiąść do pociągu, który rusza z Zurychu na lotnisko trzy po dwunastej?

Corbeau patrzył na Malloya bez strachu. Wreszcie posłał mu cień uśmiechu.

- Drogi panie, przesłuchiwali mnie specjaliści. Niech pan nie sądzi, że wymachując bronią, wyciągnie pan ze mnie, co zechce.

Kate jedną ręką wyjęła nóż z buta, a drugą chwyciła ucho Corbeau.

- Amerykański prokurator zapłaci mi, jeżeli tylko będzie pan żywy. Nie sądzę, żeby go obchodziło, ilu części ciała będzie brakować.

Krew odpłynęła z twarzy Corbeau.

- Co chcecie wiedzieć?

- Jak nas pan znalazł?

- Znalazłem lady Kenyon... kierując się intuicją. Kiedy już ją miałem, moi ludzie dość łatwo odkryli, kto należy do jej zespołu. Śledząc połączenia i podsłuchując telefony, nietrudno było ustalić tożsamość nabywców. Na tym etapie...

Spojrzenie Corbeau przeskoczyło na jakiś punkt za plecami Malloya. Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia, a potem padł strzał.

Pocisk trafił Corbeau między oczy. Jego głowa odskoczyła w tył, a później całe ciało upadło gwałtownie do przodu. Malloy szybko przesunął swoją sigmę, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to North przechwyciła jakąś broń. Wciąż ją trzymała i wpatrywała się obłąkańczo w Corbeau, jakby się spodziewała, że może rzucić się na nią. Kate przeskoczyła przez siedzenia i zabrała jej pistolet, ale było już po fakcie.

Nicole North zemściła się na nim i nic nie można było na to poradzić.

Nowy Jork

Piątek 13 października 2006 roku

Malloy zadbał, żeby Nicole North dotarła bezpiecznie do Berna, i zarządził na późny wieczór następnego dnia spotkanie z nią, Richlandem i Starrem w pewnym mieszkaniu w Upper East Side. W hotelu Plaza, powiedział, nie jest już bezpiecznie.

Mieszkanie należało do pewnego luzaka żyjącego z ryzykownych inwestycji, którego prywatne konta bankowe w Szwajcarii przydarzyło się Malloyowi wykryć ponad dziesięć lat temu. Zamiast poinformować o swoich odkryciach ludzi z kontroli skarbowej, Malloy, jak mawiano w slangu służbowym, pozyskał człowieka. Człowiek ów wiele podróżował, miał kontakty w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Indonezji. Czasami coś wiedział, a co tylko wiedział, sumiennie przekazywał. Malloy delikatnie przeprowadził to wymuszenie. Jego agent uważał się za patriotę i przyjaciela. Prośba o użyczenie mieszkania była trochę nietypowa, ale choć ustalenia zapadły w ostatniej chwili, obyło się bez zrzędzenia. Tak właśnie postępują patrioci.

Apartament zapewniał wszelkie udogodnienia, w tym także działający kominek wykończony florenckim marmurem. Kiedy przybyła Nicole North ze swoją świtą, ogień palił się już jasnym płomieniem. Jonas Starr wyglądał posępnie, jak ktoś, kto spodziewa się oskarżeń. J.W. Richland miał przyklejony swój telewizyjny uśmiech, a Mike, jego ochroniarz, zdawał się porządnie poinstruowany na wszelkie możliwe okoliczności. Na dole czekało więcej ochroniarzy. Starr, Richland i North nie po to zadali sobie tyle trudu, żeby teraz stracić obraz na ulicach Nowego Jorku, z drugiej jednak strony nie było przyjęte zapewnianie pokoju

agentami ochrony. Zresztą Malloy zostawił doktor North szczegółowe instrukcje. Aby wymiana w ogóle nastąpiła, konieczna była obecność Richlanda, Starra i jej. Dodatkowo pozwolił im przyprowadzić jeszcze jedną, dowolnie przez nich wybraną, osobę. Mogli przyjść uzbrojeni lub nieuzbrojeni - o to nie dbał - ale bez telefonów i wszelkich urządzeń nagrywających.

Ochroniarz Richlanda, ów Mike o cichym głosie, trzymał pieniądze. Malloy pokazowo sprawdził, czy nie mają przy sobie urządzeń nadawczych, i zauważył, że zarówno Jonas Starr, jak i Mike, są uzbrojeni. Była pewna przesada w tym popisowym przeszukiwaniu ich, ale przynajmniej doktor North i wielebny Richland, pamiętając, jak zafundowali mu podobne poniżenie, poddali się tej niedogodności ze stosowną do sytuacji ironią.

Kiedy już wydostali się z przedpokoju i weszli do salonu, od razu zobaczyli obraz. Malloy umieścił go na stole i podparł tak, by wszyscy mogli go widzieć w odbitej poświacie płomieni, gdy tylko wejdą. I Starr, i North badali go w Zurychu w świetle jarzeniówek. Teraz, w blasku ognia, kolory migotały, oczy jakby ożyły, strużki krwi drgały. Nietrudno było wyobrazić sobie, że obraz ten posiada boską moc. Był cudowny i przerażający i nawet zagorzałego sceptyka kusilo, by paść na kolana w jego obecności. Jego piękno i dostojność zdawały się pochodzić nie z ludzkiej ręki.

Richland nie potrafił się opanować. Przeszedł przez pokój i ukląkł przed obrazem, wybuchając improwizowaną modlitwą, która wkrótce stała się niezrozumiała. Mówił językami. Obraz należał do niego, a w jego podnieceniu było coś więcej niż tylko umiłowanie starożytności czy też powiew legendy. Con-tessa miała rację. Naprawdę wierzył, że oblicze Jezusa - tego Jezusa namalowanego na drewnie - uleczy go z raka. Skończywszy modlitwę, kaznodzieja ze łzami zwrócił się do North.

- To przewyższa wszystko, co kiedykolwiek widziałem, Nikki!

- Czy jest pan zadowolony? - zapytał go Malloy. Richland odwrócił wzrok od Nicole i podniósł się z klęczek.

- Bardzo zadowolony, panie Malloy. Zrobił pan... dokładnie to, co nam pan obiecał!

- Chcę, żeby wielebny zadzwonił do Jane Harrison. Proszę jej powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Jeżeli coś się panu nie podobało w sposobie przeprowadzenia przeze mnie tej operacji, proszę jej również o tym powiedzieć.

Z drugiego końca pokoju odezwał się Jonas Starr:

- To nie było częścią naszej umowy.

Kiedy Malloy nie odpowiadał, Richland przerwał ciszę:

- W porządku, Jonas. Mieliśmy parę trudnych momentów, ale myślę, że tyle możemy zrobić dla pana Malloya.

- Ustalał pan sprawy z osobami o wiele ważniejszymi ode mnie. Niektórzy mogliby pomyśleć, że nie zrobiłem wszystkiego, co w mojej mocy, żeby dostarczyć panu ten obraz zgodnie z warunkami umowy. Jeśli pan do nich nie zadzwoni, zawsze coś z tego będzie nade mną wisiało.

- Całkowicie pana rozumiem.

Malloy nacisnął klawisz szybkiego wybierania w swoim telefonie i podał go Richlandowi. Ten był pełen wdzięczności i przyjaznych uczuć. To nie tylko dobra robota, powiedział.

Biorąc pod uwagę okoliczności, zadanie wykonane zostało wspaniale! Żadnych skarg! Z całą pewnością. Oczywiście były pewne kłopoty, ale nie wynikały one ze złej woli pana Malloya! Nie, zachował się jak profesjonalista w każdym calu. Ponad wszelkie oczekiwania!

Nie można było odmówić Richlandowi wrodzonej elokwencji, świetnego głosu i stylu. Kiedy skończył, spojrzął Nicole North w oczy i skinął głową. Kobieta dała znak Mike'owi, by przekazał pieniądze.

- Obraz należy do państwa - oświadczył Malloy, przyjmując zapłatę. - A ja nie jestem już za niego odpowiedzialny. Tak jak było przewidziane w umowie.

W tym momencie do pokoju weszli Kate i Ethan. Jonas Starr wrzasnął ze złością:

- A to co?!

Ethan podszedł do portretu, znajdującego się wciąż w rękach Richlanda.

- To? To jest moje.

Richland uśmiechnął się nerwowo.

- Obawiam się, że nie, młody człowieku.

Gestem zwrócił się do ochroniarza po pomoc. Mike sięgnął pod kurtkę sportową, ale Kate wyjęła pistolet z taką szybkością, że patrzył w lufę jej broni, zanim jeszcze zdążył dotknąć swojej.

- Nicole, powiedz temu młodemu człowiekowi, że nie musi dziś wieczorem umierać.

- W porządku - powiedziała North do Mike'a. Młodzieniec z powrotem opuścił dłoń.

- Możesz mierzyć do nas z broni, młoda damo - burknął Starr - ale zapewniam cię, że nie wyjdiesz z tego budynku z obrazem! Na zewnątrz czeka na nas dwudziestu ludzi!

Ethan podszedł do Nicole, zatrzymując się w odległości wyciągniętego ramienia od niej.

- Powiedz mu. Powiedz mu, co obiecałaś tamtej nocy, kiedy znalazłem cię w wieży.

North wydawała się niezdecydowana.

- Nie wiem... nie wiem, o czym mówisz.

- Powiedziałaś, że dasz mi wszystko, co zechcę, jeśli tylko zadzwonię do hotelu Plaza i poproszę pana Gedeona.

- Nie miałam na myśli tego!

- Powiedziałaś to i miałaś na myśli. Wszystko. Cóż, chcę właśnie tego.

- Nie pamiętam! Byłam w rozpaczliwej sytuacji! Powiedziałabym cokolwiek!

Spoglądała niespokojnie na Richlanda i swego wuja. Kate schowała pistolet do kabury.

- Ja pamiętam. Pamiętam też, że pan Gedeon nie podszedł do telefonu. Osoba, która odebrała, powiedziała nam, że jest zajęty. Wyjaśniliśmy, w jakiej sprawie dzwonicy, i odpowiedziiano nam, że tę kwestię już rozwiązano.

Nicole spojrziała na Richlanda.

- Jeśli nawet ktoś dzwonił, nie słyzałem o tym - oświadczył.

- Proszę jej powiedzieć, jaka była pana decyzja - zażądał Malloy.

- Nie wiem, o czym pan mówi! - Richland próbował się uśmiechać, ale wymagało to pewnego wysiłku.

- Co mu powiedziałaś?

Kaznodzieja, podenerwowany, dźgnął palcem Malloya.

- Nie chciał oddać Jonasowi obrazu, żebyśmy mogli negocjować twoje uwolnienie!

- To nie jest cała prawda, wielebny pastozze. Proszę położyć dłoń tam, na portrecie Jezusa, i powiedzieć jej prawdę.

- Jak pan śmie!

- Co mu powiedziałaś? - chciała wiedzieć North.

Gdy Richland nie mógł zdobyć się na odpowiedź, zrobił to w końcu Malloy.

- Dałem mu łatwy wybór. Powiedziałem, że mogę się posłużyć obrazem, by wynegocjować uwolnienie pani, albo mogę go przywieźć do Nowego Jorku. Powiedziałem też, że jeśli nie podoba mu się żadna z tych dwóch możliwości, nigdy już nie zobaczy obrazu.

- Co odpowiedział? - North mówiła do Malloya, ale wzrok miała utkwiony w Richlandzie.

- Kazał mi przywieźć obraz do Nowego Jorku.

- Mój obraz - dodał Ethan.

Jonas Starr ruszył gniewnie w ich stronę.

-Nie zabierzecie go!

- Daj mu obraz - powiedziała North. Richland wahał się. Jonas Starr krzyknął:

- Nie!

- Daj mu go! - powtórzyła Nicole. Richland wydawał się niezdolny do reakcji. Archeolog sięgnął po broń, ale Ethan wyciągnął swoją tak szybko, że starszek nie miał szans.

-Czy naprawdę zamierza pan to zrobić? - zapytał. Gdy Starr jeszcze się wahał, Ethan podszedł i odebrał mu pistolet.

- Czego chcecie? Podajcie cenę! - wykrzyknął Richland. - Dam wam wszystko prócz obrazu!

- Obraz jest moją ceną.

- Daj mu go, Jim! - krzyknęła North. - To ja za niego zapłaciłam. Jeśli chce właśnie obrazu, dostanie obraz.

Ethan włożył swoją broń do kabury i rozładował pistolet Starra, chowając magazynek do kieszeni i rzucając broń w kąt. Następnie rozbroił Mike'a. Wreszcie wziął zabytek z rąk Richlanda. Przez chwilę wydawało się, że kaznodzieja nie zdoła się zmusić do oddania go, ale kiedy w końcu to zrobił, Ethan zapytał:

- Jest mój?

- Jest twój - odpowiedziała North. Mówiąc to, wpatrywała się w twarz Richlanda. Patrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy.

Ethan spoglądał na obraz przez długą, smutną chwilę, potem podszedł do kominka i wrzucił go w płomienie.

Richland wrzasnął i rzucił się do przodu. Objął rękami deskę, a wosk topił się i spływał mu po dłoniach i ramionach.

Kaznodzieja upuścił obraz i tarzał się po podłodze, krzycząc z bólu. Nicole, która z własnego doświadczenia wiedziała, jak musi cierpieć, podeszła do niego i tuliła go, płaczącego.

Wciąż trzymała go w ramionach, kiedy Malloy, Kate i Ethan wyszli z pokoju.

Nowy Jork

2 grudnia 2006 roku

Malloy stał na zewnątrz Rockefeller Centre, obserwując Gwen jeżdżącą na łyżwach z Paulem Sorrento. Popisywali się przed nim, ale faktycznie całkiem dobrze sobie radzili. Centrum było już udekorowane lampkami na Boże Narodzenie. Ludzie kłębili się na brzegach lodowiska, a on na chwilę po prostu zapomniał o tym tłumie.

- Rozumiem, że mnie pan szuka.

Głos, który odezwał się za nim, należał do contessy Claudii de Medici. Malloy odwrócił się z nadzieją.

- Mój Boże...

Starając się wyglądać jak zamożne mieszkanki Nowego Jorku w średnim wieku, contessa miała na sobie czarny płaszcz z kaszmiru, szal, beret i rękawiczki. Kiedy obserwowała reakcję Malloya, zaskoczenie połączone z radością, w jej oczach pojawił się znajomy figlarny błysk.

Zniknięcie contessy de Medici zostało w mediach przyćmione przez śmieszny atak na willę Corbeau, ale Malloy dokładnie przypatrywał się dochodzeniu. Wrócił nawet do Szwajcarii, by prześledzić tropy finansowe, do których wykrycia szwajcarska policja, jak wiedział, nie była zdolna. Nic przez to nie osiągnął. Contessa zniknęła. Jej pieniądze leżały na kontach nietknięte. Tydzień temu szwajcarska policja wreszcie się poddała, uznając Claudię de Medici i jej pracownika za „ofiary przestępstwa”.

- Niechże pan nie będzie taki zdziwiony, Thomas. Kto, jeśli nie pan, powinien wiedzieć, że nie zostałam bez środków...

- Cieszę się po prostu, że jest pani cała i zdrowa - mówiąc to, Malloy oderwał wzrok od contessy, próbując odnaleźć w tłumie jeszcze jedną znajomą twarz.

- Przyszłam tutaj sama, ale René wciąż jest ze mną, jeśli to pana ciekawi. Ciężko mu idzie nauka angielskiego, ale cóż, z niemieckim też nie radził sobie najlepiej.

Malloy uśmiechnął się z rozrzewnieniem.

- Mimo wszystko, umie być komunikatywny.

- Tak, to potrafi.

- Co się z panią stało? - zapytał. - Kiedy wróciłem do pani willi po... - Rozejrzał się wokół. Zbyt wiele osób mogło ich słyszeć, a nie był pewien, jak zakończyć to pytanie.

Contessa dała mu ręką znak, by poszedł za nią, i przebili się przez tłum. Kiedy byli już sami, powiedziała:

- Gdy usłyszałam strzały, pomyślałam, że nadeszli ludzie Corbeau. Spod domu odchodzi stary tunel, to nim uciekłam. Kiedy odnalazł mnie René i gdy pojęłam, co się stało, uświadomiłam sobie, że nie mogę już tam wrócić.

- Przy pani kontaktach w kraju...

- Nie miałam ochoty mówić policji, w co pan i ja byliśmy zamieszani, a jeżeli René miał pozostać na wolności, trudno byłoby mi uniknąć składania zeznań. Pozostawało mi jedynie zniknąć.

Malloy pokręcił głową.

- Nigdy nie powinienem był pani w to wciągać.

- Gdyby nie przyszedł pan do mnie, pewnie już by pan nie żył.

- To byłby mój problem, nie pani.

Beztrosko wzruszyła ramieniem, jak gdyby straty, które poniosła, nie były zbyt wielkie.

- Wiedziałam, co ryzykuję, gdy zdecydowałam się zapolować na Corbeau.

- Nie rozumiem. Pani polowała na Corbeau? Uśmiechnęła się przeprasząco.

- Jest kilka rzeczy, o których nie wspomniałam przy naszej poprzedniej rozmowie. - Contessa przerwała na chwilę, przeczesując wzrokiem tłum. Nie widząc nic niepokojącego, powiedziała: - Mniej więcej rok temu Ethan Brand za pośrednictwem swojej strony internetowej otrzymał e-mail z pytaniem, czy wie cokolwiek na temat portretu Jezusa, namalowanego w pałacu króla Heroda w poranek przed ukrzyżowaniem.

- To pani napisała ten e-mail?

Dziwił się teraz, dlaczego nie podejrzewał, że to ona wprawiła wszystko w ruch. Miała motyw, okazję i środki, by to zrobić, a jemu to umknęło. Czy wyobrażał sobie, że rzuciła szwajcarskich bankierów na kolana po to tylko, by wycofać się z życia publicznego?

- Poprosiłam René, by go wysłał. Możliwość wiarygodnego zaprzeczenia, jak to, zdaje się, nazywacie w branży edytorskiej^ jeśli się nie mylę. W każdym razie, ponieważ przychodziłam do jego antykwariatu jako ekspert, Ethan pewnego popołudnia zapytał mnie o tę legendę, a ja, oczywiście, powiedziałam mu, co mogłam.

- Wiedziała pani, że będzie próbował go ukraść?

- Spodziewałam się, że razem z lady Kenyon zrobią o wiele więcej niż tylko spróbują.

- Owszem, są dobrzy.

- Corbeau trzeba było powstrzymać, Thomas. Nie byłam jedyną osobą, która tak uważała, ale ja wiedziałam, jak to zrobić.

- A co z listem, który czytał Ethan, listem chłopaka, który rozmawiał z Wilde'em? Był sfabrykowany?

Pokręciła głową.

- Kilka lat temu prześledziłam losy obrazu templariuszy od Edessy do dwiętnastowiecznego Paryża, ale odtąd szczęście mnie opuściło. Byłam najzupełniej pewna, że Oskar Wilde miał z nim do czynienia albo przynajmniej rozmawiał z kimś, kto go widział...

- Z powodu *Portretu Doriana Graya*?

Contessa uśmiechnęła się czule, niczym na wspomnienie starego przyjaciela.

- Za każdym razem, gdy ktoś pytał Wilde'a, jak wpadł na pomysł napisania o tym magicznym obrazie, opowiadał inną historyjkę. Wiedziałam, że na początku lat osiemdziesiątych x i x wieku spędził jedną zimę w stolicy Francji, gdzie spotkał wielu ludzi powiązanych z modnymi wówczas tajnymi i okultystycznymi stowarzyszeniami. Przyglądałam się różnym osobom w Paryżu, ale jeśli nawet coś się działo, uczestnicy zachowywali to w tajemnicy. Wreszcie postanowiłam przyjrzeć się znajomym Wilde'a i natrafiłam na Billa Landiego. Landi pojawia się w biografii pisarza tylko dlatego, że jego rodzice, gdy dowiedzieli się, iż poznał tego niesławnego Wilde'a, zatelegrafowali do niego, by wracał do domu najbliższym statkiem. To, oczywiście, niezła historia, ale gdy o tym czytałam, uświadomiłam sobie, że oni dwaj spędzili razem niemal cały wieczór w pewnej tawernie, i że był to ostatni wieczór, kiedy Wilde nie był jeszcze w łóżku z powodu choroby. Pomyślałam, że mógł być w odpowiednim nastroju, by zwierzyć się komuś z sekretu, zaczęłam więc tropić Landiego. Okazało się, że kilka lat później stał się wybitnym malarzem, a kiedy umarł, jego dokumenty powędrowały do Denver. To w nich właśnie znalazłam najbardziej wiarygodną wersję, jaką Wilde kiedykolwiek opowiedział, w liście, który Landi napisał do brata następnego ranka po spotkaniu z pisarzem. Mając ją i pewne szwajcarskie rejestry podatkowe, mogłam już prześledzić losy obrazu aż do dziadka Corbeau, także o imieniu Julian. Zmuszono go do wyjazdu z Paryża ze względu na pewne podejrzane działania i zamieszkał nad Jeziorem Czterech Kantonów. Nagle mnóstwo

plotek na temat jego wnuka zaczęło mi brzmieć sensownie, postanowiłam więc doprowadzić do jego upadku.

- Czy Ethan od początku był w to wprowadzony?

- Nie miał pojęcia, że wiem, co zamierza zrobić. Sądził, że jestem raczej naiwnym źródłem informacji, które może wykorzystać, nie ujawniając swoich prawdziwych planów.

Malloy uśmiechnął się.

- Założę się, że była pani zaskoczona, widząc mnie u swoich drzwi.

- Raczej zaniepokojona niż zaskoczona, Thomas. Prawdę powiedziawszy, sądziłam, że sprawa jest już zakończona, że Corbeau będzie przez jakiś czas szukał wiatru w polu i nigdy nie odnajdzie swego obrazu. Nie miałam pojęcia, że ten wciąż jest jeszcze w kraju.

- Uważała pani, że nie powinienem być się w to angażować?

- Najwyraźniej już pan był zaangażowany. Wiedziałam, że nie zrezygnuje pan z podjętych zobowiązań, więc jedyne, co mogłam zrobić, to przypomnieć panu, że jest pan śmiertelny.

- Jeżeli celem było wyeliminowanie Corbeau - powiedział Malloy - dlaczego nie przysłała pani po prostu do mnie czy też do innego ze swoich przyjaciół? Porwanie go mogło wydawać się niewykonalne, ale zabójstwo nie nastęczałoby zbyt wielkich trudności.

- Celem, Thomas, była kradzież obrazu. Był on centrum rytuału i magii templariuszy, racją bytu tego zakonu.

- Spaliliśmy ten portret, contesso.

W jej oczach odmalowała się ciekawość, nic więcej. Malloy pokręcił głową.

- Myśl, że Richland pokazywałby twarz Jezusa w telewizji i sprzedawał wiernym jej kopie, była gorsza niż wszystko, co tylko potrafiliśmy sobie wyobrazić.

- Spodziewałabym się, że tamta trójka postanowi raczej trzymać go z dala od oczu postronnych. Że tak powiem, na wyłączność dla wybranych wiernych.

- Całkiem jak templariusze... Uśmiech contessy stał się chłodny.

- Błogosławieni czystego serca... - zaczęła, a Malloy pokręcił głową z niesmakiem. - Czy nie zaciekawilo pana - spytała - że portret Zbawiciela zmieniał wyznawców w potwory, natomiast nie wywarł wpływu na pana, Ethana, lady Kenyon, Rolanda Wheelera czy choćby Hansa Goetza?

- Wyznawcy chcieli cudu. Dla nas jedyną magią tego kawałka drewna były pieniądze, jakie mógł nam przynieść. Ale chciałbym wiedzieć, w jaki sposób pani mu się oparła? Jeżeli dobrze zrozumiałem, poświęciła pani całe lata na poszukiwanie Świętego Oblicza, a odnalazszy, zamiast pozyskać je w jakiś sposób dla siebie, zaaranżowała to pani tak, by z rąk jednego przestępcy trafiło do drugiego. To musiało być trudne dla osoby wierzącej.

- Skąd pan wie, że nie miałam pokusy?

- Ze sposobu, w jaki obchodziła się z nim pani, kiedy oglądaliśmy go u pani w kuchni. Widziałem, że była pani ciekawa, ale nie zachowywała się tak jak inni. Nie obawiała się pani, że teraz, gdy już jest w pani rękach, ktoś go pani odbierze.

Skinęła głową. Wydawała się zadowolona, że zrozumiał jej reakcję.

- Mieszkańcy Edessy nie bez powodu zamurowali ten obraz w obwarowaniach swego miasta, Thomas. Wystarczy tylko spojrzeć na owoce, jakie przyniósł w ciągu kilku dni - śmierć i zdradę - by wiedzieć, że było to obrzydlistwo.

- Ale nie uważa pani naprawdę, że obraz był czymś złym.

- Bynajmniej. Zło istniało w sercach tych, którzy go czcili. Obraz jedynie dawał im impuls do działania.

- Jak pani sądzi, czy to była twarz Jezusa?

- Chce pan wiedzieć, czy popełnił pan straszną zbrodnię? Uśmiechnął się potulnie.

- Pewnie to właśnie miałem na myśli.

- Corbeau zasłużył na to, co go spotkało, Thomas. Jeśli o mnie chodzi, diabeł, do którego się modlił, może iść do piekła razem z nim.

- Więc to był zwykły obraz jakiejś tam twarzy?

- Kto wie? Może to był uzurpator, szarlatan, który podawał się za zmar-twychwstałego Chrystusa. Z pewnością wielu było takich.

Malloy odwrócił wzrok.

- Jakie ma pani plany, contesso? - zapytał.

Oschłość, która owładnęła jej rysami, złagodniała teraz, gdy myślała o swojej przyszłości. Patrzyła na sylwetki mijających ich ludzi, na jasne lampki choinko-we i roześmiane dzieci.

- Teraz, gdy w Europie uważana jestem za zmarłą i żyję jako imigrantka w średnim wieku, bez grosza przy duszy, w krainie wielkich możliwości?

Malloy roześmiał się.

- W pani ustach brzmi to wręcz romantycznie.

- Sprawy nie wyglądają tak rozpaczliwie, jakby się wydawało. Może porzuci-łam fortunę, ale większą jej część mogę odzyskać, zanim zostanę prawomocnie uznana za zmarłą. A co nieco mam też przy sobie.

- Obraz, który zabrała pani, uciekając? Contessa uśmiechnęła się.

- René mówił mi, że chciał pan wiedzieć, dlaczego wybrałam właśnie ten ob-raz, a inne zostawiłam.

Malloy znów odwrócił wzrok, obserwując tłum. Wciąż nie był pewien, czy wierzy we wszystko, co mówi mu contessa.

- Niemal już przekonałem samego siebie, że położyła pani rękę na Prawdzi-wym Obliczu, a my wszyscy uganiaлиśmy się za portretem jakiegoś uzurpatora z i wieku.

- Zabrałam właśnie ten obraz, a inne pozostawiłam, z tej prostej przyczyny, że to nie jest falsyfikat. Wraz ze starożytnym pierścieniem i naszyjnikiem, który miałam, pozwolił mi bez większych niedogodności zmienić miejsce zamieszkania.

- Sprzedała pani swój obraz? - Malloy był zaskoczony.

- Thomas, niechże pan nie mówi nonsensów. Posłużyłam się nim i biżuterią jako zabezpieczeniem pożyczki, którą zaciągnęłam u przyjaciela w Genewie. - Ruchem głowy wskazała w stronę lodowiska. Gwen przestała jeździć i rozglądała się za nim. - Powinam już iść. Pańscy przyjaciele zauważyli właśnie, że nie ogląda pan ich popisów.

- Zobaczymy się jeszcze?

Ich oczy spotkały się i nieuniknione pragnienie zawładnęło Malloyem.

- Oto jest pytanie, nieprawdaż? - powiedziała. Figlarny błysk zniknął. Długa historia przyjaźni i sojuszu łączyła ich wręcz namacalnie.

- Oto jest pytanie - powtórzył za nią.

Contessa pochyliła się i pocałowała go w policzek, z posmutniałym nagle spojrzeniem.

- Na razie - stwierdziła - niech to będzie pożegnanie. A co do przyszłości... pozostawmy ją w rękach Boga, dobrze?

Odsunawszy się na odległość ramienia, ogarnęła Malloya spojrzeniem swoich ciemnych lśniących oczu. Trwało to stanowczo zbyt krótko. Potem odwróciła się.

Chwilę później contessa de Medici wmieszała się w tłum i zniknęła.

Epilog

Cezarea Nadmorska,

Samaria i Rzym A.D. 30-41

Nie mówiono głośno o pierwszym niepowodzeniu Piłata w zarządzaniu, wynikłym z niefortunnej próby wywieszenia wizerunku Tyberiusza w Jerozolimie, ale wszyscy dobrze rozumieli aluzję, gdy patrzyli na portret człowieka zwanego Jezua w triclinium pałacu prefekta.

- Może w Jerozolimie - obwieszczał Piłat każdemu, kto zauważał portret wiszący na sztandarze, a zauważali wszyscy, którzy chcieli przypodobać się cesarskiemu prefektowi - Rzymianom nie wolno wywieszać wizerunku imperatora, lecz w Cezarei Rzymianie wykazują niedoścignioną otwartość, umieszczając na poczesnym miejscu wśród rzymskich sztandarów wizerunek Króla Żydowskiego.

Piłat czerpał przyjemność z tego żartu przez wiele tygodni, nim kazał Korneliuszowi oddać sztandar do naprawy, a portret nieżyjącego Żyda wyrzucić.

Rok po tych wydarzeniach bratowa Tyberiusza, Antonia, przyjęła posłańca z Cezarei z listem, który przekazała imperatorowi. Wymienione w nim były niektóre działania „najbardziej zaufanego sługi” cesarza, w tym ukrywana próba wywołania wojny z Żydami. Tyberiusz ocknął się z letargu i zdołał bez większych trudności pozbyć się Sejana i jego sprzymierzeńców, także senatora Witeliusza. Potem wygnał Antypasa i Herodiadę do Galii. Następnie znowu wycofał się z oficjalnego życia publicznego na wyspę Capri, gdzie żył jeszcze pół tuzina lat.

W tym okresie Piłat pozostawał prefektem Judei, Samarii i Idumei. Wydarzeniem, które w końcu skłoniło go do rezygnacji, było pojawienie się kolejnego mesjasza: samarytańskiego świętego męża zwanego Szymonem Magiem. Szymon miał armię, która czciła różnorakie jego wizerunki w wielu formach. Był wśród nich także portret Szymona w koronie cierniowej, gdyż głosił on, że jest największym z proroków, większym nawet od osławionego Jezui, przez niektórych, jak mówił, mylnie uważanego za mesjasza.

Wyznawcy Szymona modlili się do jego podobizn rano i wieczorem, w przekonaniu, że dzięki temu nie zestarzeją się ani nie umrą. Ponieważ zaś uważali się za nieśmiertelnych, byli zaciekli, choć dość niezdiscyplinowani w boju. W kluczowym momencie zabrakło jednak ich przywódcy. Mając do dyspozycji jakieś trzy tysiące żołnierzy, a więc niemal dwukrotnie więcej niż było buntowników, Piłat bez trudu pokonał radykalną sektę, unicestwiając ją w jednym starciu. Ukrzyżował wszystkich, którzy nie polegli na polu bitwy, i rozkazał wytropić Szymona Maga. Ten uciekł jednak do Syrii, gdzie jego kult przetrwał wiele stuleci, gdyż był człowiekiem wymownym i niespotykane utalentowanym magiem, nauczywszy się sztuki nekromancji w Egipcie, gdzie kapłani wciąż czcili Herme-sa Trzykroć Największego.

Tak się złożyło, że Piłatowi zwycięstwo w Samarii zepsuła głęboka rana, zadana w pachwinę. Choć bolesna, nie wydawała się z początku groźna dla życia. Infekcja jednak, która się z niej rozwinęła, o mało go nie uśmierciła. Lekarze prefekta nie dawali Prokuli żadnej nadziei, kiedy ten zapadł w śpiączkę jakieś pięć dni po bitwie. Proponowali, by złożyła ofiarę w świątyni Asklepiosa, boga medycyny, gdyż miało to być jedyną szansą dla jej męża.

Kiedy i to nie pomogło, Prokula wezwała Korneliusza, który, choć zwolniony już z czynnej służby, nadal mieszkał w Cezarei, gdzie praktykował swe umiejętności medyczne, takie, jakie posiadał, wśród biedoty. Odkąd opuścił stanowisko

u Piłata, stał się Żydem, ale prócz kawałka napletka, który poświęcił, pozostał tym samym człowiekiem, o wielkiej, ciężkiej sylwetce, bezgranicznie oddanym żonie Piłata. Przybywszy jedynie z odrobiną maści, którą sporządził z plonów własnego ogrodu, stary setnik nałożył ją na zaognioną ranę i w ciągu kilku minut zbił gorączkę. Godzinę później Piłat przebudził się z długiego snu, odświeżony i wesoły.

Po kilku tygodniach, choć w pełni odzyskał siły, zrezygnował ze stanowiska w Judei, powołując się na swą niedyspozycję. Stan zdrowia cesarza Tyberiusza pogarszał się i mówiono, że nowym imperatorem zostanie syn sławnego Germanika. Rzym oczekiwał odrodzenia, a Piłat nie miał ochoty go przegapić.

Kiedy Kaligula rozpoczął panowanie, liczył sobie dwadzieścia pięć lat. Był przystojny i lubiany, a skarbiec miał wypełniony po brzegi, bo Tyberiusz wzbierał się wydawać zgromadzoną w nim fortunę. Nie było już wśród żywych Sejana, Senat utracił resztki swej władzy, a świat cały gotów był spełniać zachcianki człowieka, który zasiadł na imperialnym tronie.

Kaligula, przez lata de facto więzień na Capri, przybył do Rzymu niczym wygłodniały tygrys. Chciał przyjemności i uczt - uczt, jakich świat nigdy jeszcze nie widział - i chciał, by go czczono jak boga. Wyobraźnię miał wybujałą, jej koszty były oszałamiające i w niedługim czasie doprowadził imperium niemalże do bankructwa. Przestrzegany, jak niebezpiecznie jest wydawać więcej, niż się posiada, Kaligula odmówił oszczędzania. Zamiast tego zaczął przemyśliwać, jak ponownie zapełnić cesarski skarbiec.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Z pałacu popłynęły do dobrze urodzonych zaproszenia na ucztę, w których udziału niebezpiecznie było odmówić. Kaligula wybierał jednego spośród gości - zawsze najbogatszego, a zazwyczaj też najbardziej skorumpowanego, i zachęcał go do podpisania testamentu, w któ-

rzym ów pozostawiał cały swój majątek cesarzowi. Zachętą bywała obietnica zamordowania na oczach nieszczęśnika tylko kilkorga, a nie wszystkich jego dzieci, lub zgwałcenia jedynie żony i najstarszej córki, a oszczędzenia młodszego potomstwa.

Ci, którzy stawiali opór mimo tych rozsądnych zachęt, byli torturowani dotąd, dopóki nie zgodzili się złożyć swego podpisu. Kiedy ostatnią wolę sprawdzili już liczni świadkowie, Kaligula mógł się zająć wymyślaniem widowiskowego zakończenia życia swej ofiary, które zawsze następowało przy gościach. Jeden został utopiony w saganie zupy, innego zamieniono w żywą pochodnię, podczas gdy Kaligula udawała że studiuje jego testament. Niektórzy grali w gry, które pozwalały im żyć tak długo, jak długo nie opuszczało ich szczęście. Ktoś musiał naśladować Adonisa, ktoś Attisa, a jeszcze inny Herkulesa w zatrutej tunice, którą dała mu żona. Kogoś żywcem upieczono na rożnie, a potem podano przerażonym gościom Kaliguli, „bardzo krwistego”, jako przystawkę.

Senatorowie i ekwici, kiedy wreszcie zrozumieli, że imperium rządzi szaleniec, odkryli też fakt jeszcze bardziej przerażający: plebs rzymski tak namiętnie ich nienawidził, że wręcz świętował zbrodnie Kaliguli, żądając jedynie przywileju oglądania jego pomysłowych egzekucji na arenie Circus Maximus.

Publiczność w pełni doceniająca jego geniusz dodawała Kaliguli skrzydeł.

Gdy pewnego ranka zaproszenie do pałacu dotarło także do Piłata, poczekał, aż Prokula wyjdzie z domu, a potem, nikomu nic nie mówiąc, schronił się w swej łaźni i otworzył sobie żyły.

Pozbawiony tego, co powszechnie uważane było za wielki spadek, Kaligula odmówił rodzinie Poncjuszów pozwolenia na pochówek Piłata, nalegając, by Prokula - jedyna dziedziczka mężowskiej fortuny - przysłała w pojedynkę do pa-

łacu z prochami zmarłego. Imperator pragnął opłakiwać go na osobności, wraz z kuzynką.

Po przygnębiająco prostej ceremonii żałobnej Prokula wróciła do miasta. Jeszcze na placu przed wielkim domem, który kupił dla nich Piłat po powrocie z Judei, uwolniła niewolników, pożegnała się z rodziną Poncjuszów i wzięła urnę zawierającą prochy męża.

Przekręcała właśnie klucz w bramie frontowej, kiedy z cienia późnego popołudnia wyłonił się Korneliusz.

- Setniku! - odezwała się zaskoczona. Nie widziała Korneliusza od ponad dwóch lat i przypuszczała, że nadal przebywa w Cezarei. - Co tutaj robisz?

- Straż pałacowa czeka wewnątrz twego domu, pani. Nie pozwolę, byś odebrała sobie życie, jeśli to jest twoim zamiarem.

Prokulę ogarnęła na moment panika, lecz opanowała się z dzielnością, jakiej należało oczekiwać po rzymskiej matronie.

- Zechciej dać mi swój miecz - oznajmiła - a nie pozostawię im w tej kwestii nic do powiedzenia!

- Uczynię coś lepszego, pani. Wydostanę cię z Rzymu.

- Jeżeli ludzie cesarza są wewnątrz mojego domu, są też na ulicach! - Rozejrzała się po placu i ujrzała kilka grupek mężczyzn zajętych rozmową. Niektórych spośród nich widziała już wcześniej w ciągu dnia, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie był to przypadek.

- Setniku, proszę! Daj mi swój miecz!

Korneliusz chwycił jej dłoń i umieścił ją sobie delikatnie na przedramieniu. Zważywszy na swój wyższy status, Prokula powinna była poczuć się obrażona czy wręcz znieważona, w rzeczywistości jednak znalazła pociechę w jego dotyku.

- Nie pozwolę ci umrzeć, pani, ale musisz mi zaufać. Gdy tylko Korneliusz i Prokula odwrócili się od domu

i weszli na plac, szpiedzy Kaliguli ruszyli w ich kierunku. Nadchodzili z początku powoli, ostrożnie okrążając swą zdobycz, jak wygłodniałe wilki obawiające się pułapki. Dwóch skradało się za nimi, dwóch innych nadchodziło z prawej i lewej strony. Trzech szło prosto na nich. Krąg zacieśnił się na środku placu. Korneliusz wydawał się nie zauważać niebezpieczeństwa nadciągającego z tyłu. Obserwował mężczyzn, których miał przed sobą, spokojnym spojrzeniem człowieka, który przeżył już wiele bitew. Prokula jednak wiedziała, że pierwszy krok uczynią ci skradający się z tyłu. Dlaczego, zastanawiała się, setnik wybrał na swą ostatnią walkę otwartą przestrzeń?

Zasadzka na ludzi Kaliguli ujawniła się nagle: w powietrzu zaświstało pół tuzina strzał wystrzelonych z różnych dachów. Po tym ataku trzech napastników rzeziło na kamieniach bruku. Zanim ich towarzysze zdolali choćby pojąć, co się stało, setnik uderzył jednego z idących za nim, ruchem tak szybkim, że Prokula w ogóle nie widziała, kiedy wyjął miecz.

Pozostali trzej nie czekali, aż łucznicy Korneliusza po raz kolejny wypuszczą strzały, lecz odwrócili się i uciekli, ratując życie.

Ponieważ pretorianie przeszukiwali wszelkie pojazdy przy każdej z bram, wydostanie Prokuli z Rzymu zajęło dwanaście godzin. W końcu towarzysze Korneliusza - Ludzie Drogi, jak ich nazywał - spuścili ją z murów miejskich w koszu zawieszonym na linie. Na wybrzeżu jego przyjaciele zorganizowali im przewóz statkiem towarowym aż do Genui. Stamtąd wędrowcy udali się jeszcze bardziej na północ, w Alpy. Podróż była uciążliwa i powolna, ale po drodze zawsze znajdowali przyjaciół. Jednej nocy Prokula spała w stodole, innej w pałacu.

W Helwecji zaniósła prochy Piłata na samotną górę i rozrzuciła je wśród alpejskich błot.

Tamtego wieczoru wróciła do wioski dosyć późno, lecz Korneliusz prosił o pozwolenie, by porozmawiać z nią na osobności. W sprawie raczej istotnej, jak powiedział.

Kiedy pozwoliła mu wejść do swych skromnych pokoi, starszy mężczyzna wyjął spod płaszcza niewielkie malowidło na desce.

- Czy pamiętasz tego człowieka? - zapytał.

Prokula wzięła od niego obraz i przypatrywała się wizerunkowi. Nie pamiętała tej twarzy, ale wciąż brzmiał jej w uszach hałaśliwy śmiech, jaki żart Piłata wywoływał wśród jego rzymskich gości - król żydowski ze swoim własnym portretem na sztandarze!

- To jest człowiek, którego nazywasz Jezusem - powiedziała.

- Kiedy stanął przed Piłatem - rzekł jej Korneliusz - ci, którzy znali go najlepiej, pozwolili, by zginął, nie protestując nawet słowem. Nie mieli odwagi prosić Piłata o miłosierdzie.

Ty jednak wstawiłaś się za nim. Nazwałaś go Barankiem Ofiarnym na żydowskie Święto Paschy i powiedziałaś, że jeśli Piłat go zabije, będzie to koniec naszego świata.

Prokula pozwoliła sobie dotknąć palcami woskowanej powierzchni i uśmiechnęła się smutno.

- Wyraźniej pamiętam dni, które nastąpiły potem - odparła. - Kiedy świat istniał jak przedtem, a ja czułam się głupią, przesadną kobietą, która wtrąciła się w sprawę swojego męża.

- A jednak sprawdziło się wszystko, co powiedziałaś.

Z pozoru stwierdzenie Korneliusza mogło się wydawać niedorzeczne. Rzym wciąż był centrum świata. Chełpił się tak wielką liczbą świątyń, poświęconych

tylu bogom, jak jeszcze nigdy wcześniej w historii. Wszyscy jego wrogowie zostali pokonani. Świat żył w pokoju i był to świat rzymski, od Azji aż po wielkie morze za Słupami Herkulesa, od Afryki po ziemie nad Renem.

- Czy sądzisz, że cokolwiek naprawdę się zmieniło od ukrzyżowania tego człowieka?

- Ci, którzy ukryli się przed Piłatem w dzień śmierci Jezusa na rzymskim krzyżu, teraz stają w świetle dnia, wykrzykując prawdę.

Prokula uśmiechnęła się smutno. Trudno było to uznać za zmianę godną świętowania.

- I cóż wyzwala tę nową odwagę?

- Jest w Kabale fragment, który mówi, że nie rozpoznamy obecności Boga, dopóki nie odejdzie.

Prokula przyjrzała się rysom twarzy sportretowanego mesjasza. Z pewnością nie wyglądał jak bóg - ani nawet jak król, jeśli już o to chodzi. Wyglądał raczej na człowieka, który prowadziłby żniwa lub budował świątynię. Wobec przyjaciół byłby szczery, a kiedy dobiłby z kimś targu, dotrzymałby umowy.

- Żałuję, że go nie znałam - powiedziała. Próbowала oddać obraz setnikowi.

- Chcę, byś go zachowała - rzekł jej Korneliusz. Prokula pokręciła głową, ale jej spojrzenie znów padło na obraz.

- Nie jestem godna - stwierdziła. - Zwłaszcza jeżeli był tym, kim go nazywasz.

- Poprowadziłem go na śmierć bez żadnego prześlisku sumienia. Przyjaciele zaparli się go w jedynym momencie, kiedy naprawdę ich potrzebował. Jego najbardziej oddany wyznawca sprzedał go kapłanom Świątyni za kilka srebrników. Powiedz mi, pani, gdzie mam znaleźć kogoś, kto jest bardziej godny?

Prokula była właśnie w Koryncie, w nadziei na dalszą podróż do Jerozolimy, kiedy dowiedziała się o śmiertelnym zamachu na życie Kaliguli.

Najpierw przyszła jej do głowy praktyczna myśl: teraz mogła bezpiecznie powrócić do Rzymu. Była najzupełniej przekonana, że Klaudiusz, nowy imperator, zadba, by przywrócono jej posiadłości i majątek Piłata. Oznaczało to koniec z pracą dla innych i liczeniem monet na targu, gdy trzeba było kupić coś do jedzenia. Gdyby chciała, mogłaby nawet powtórnie wyjść za mąż. Była wciąż dość młoda, a z pewnością wystarczająco bogata, by przyciągnąć uwagę mężczyzn z najznakomitszych rzymskich rodów.

Myśl o bogactwie otrzeźwiła ją. Jak wielu ludzi Piłat obrabował dla tego złota? Ilu Żydów zostało zamordowanych, by wybudować akwedukt dla przyjemności przyjęcia łapówki od bogacza?

Przez całe swoje życie małżeńskie odwracała wzrok od przestępstw Piłata. Mówiła sobie, że to nie ona dokonywała tych czynów, ale kiedy straciła wszystko, poznała prawdę. Za bogactwem Piłata szły jego grzechy i dopóki posiadała tę fortunę lub poddawała się od czasu do czasu żalowi po jej utracie, dopóty była związana z każdą zbrodnią, jaką popełnił.

W Jerozolimie byłaby bez środków do życia, ale znalazłaby się wśród tych, którzy słyszeli słowa Jezusa...

- Dopilnuję, byś bezpiecznie dotarła do Rzymu, pani - powiedział jej Korneliusz - jeżeli tam właśnie chcesz się udać.

- Nie wracam do Rzymu - oznajmiła.

I mówiąc to, Prokula zostawiła za sobą świat cesarów, kierując spojrzenie ku odległej Jerozolimie, z jej prorokami, apostołami... i jej wskrzeszonym Mesjaszem.

Noty historyczne

Wszystkie sceny i szczegóły historyczne przedstawione w tej powieści oparte są na wydarzeniach rzeczywistych lub istniejących w przekazach. Józef Flawiusz i Filon nieco odmiennie relacjonują sposób postępowania Piłata z protestującymi w Cezarei. Flawiusz opisuje spotkanie w Jerozolimie, które zakończyło się masakrą. Niewykluczone, że to samo wydarzenie wspomniane jest w Nowym Testamencie, kiedy mowa jest o krwi na schodach Świątyni.

Szymon Mag to samarytański czarownik, który łatwowiernym ludziom sprzedawał swój wizerunek w różnych pozach wraz z zapewnieniem, że ci, którzy modlą się do niego, będą żyli wiecznie, nigdy się nie starzejąc.

Nikodem był najbogatszym człowiekiem w Judei za panowania Tyberiusza. Istniał także zamożny Nikodem, przyjaciel Jezusa.

Tacyt daje pełne sprawozdanie na temat Tyberiusza i Sejana - ich współpracy, którą zniweczyły nadmierne ambicje tego drugiego. Cesarz został przedstawiony przez Tacyta i Swetoniusza jako rozpustnik i pedofil (najwyraźniej w starszym wieku nabrał nieco spaczonych upodobań). Był alkoholikiem, jakich niewielu w historii, a jednocześnie bardzo kompetentnym uczonym (szczególnie jeśli chodzi o Homera) i po śmierci matki, Liwii, żony Augusta, także najzręczniejszym politykiem swoich czasów. Wiemy, że choć Tyberiusz i Sejan zgadzali się w większości spraw, to w odniesieniu do Jerozolimy Tyberiusz chciał kontynuować politykę Augusta, podczas gdy Sejan wolał podburzyć miasto do powstania i zrównać je z ziemią. Ten ostatni zamiar, rzeczywiście zrealizowany, nim upłynęło czterdzieści lat od ukrzyżowania Jezusa, zmienił bieg historii.

Senator Publiusz Witeliusz, który na chwilę tylko pojawia się w naszej opowieści, odegrał interesującą rolę w historii Tyberiusza i Sejana. Służąc pod komendą księcia Germanika, był sprzymierzony politycznie przeciw Tyberiuszowi,

aż do nieoczekiwanej śmierci Germanika (przeważnie uważa się, że Tyberiusz kazał otruć księcia). Jednak po tym zajściu Witeliusz uratował cesarza i stał się jednym z jego najbardziej zaufanych przyjaciół. Po upadku Sejana, A.D. 31 Witeliusz odebrał sobie życie, przypuszczalnie dlatego, że wcześniej zmienił sojusze: odwrócił się od Tyberiusza i współpracował z Sejanem.

Powszechnie zakłada się, że Piłat mówił biegle po grecku, gdyż każdy wykształcony Rzymianin uczył się starożytnej i klasycznej greki. Opierając się na własnym doświadczeniu w kontakcie z tym językiem, uznałem, że mogło być inaczej. Czym innym jest czytać dzieła pisane greką klasyczną, a zupełnie czym innym - mówić tym językiem czy też, dokładniej, posługiwać się *koine* z czasów Nowego Testamentu. Co więcej, niektórzy administratorzy rzymscy mogli mieć nawet problemy z czytaniem po łacinie, gdyż nie istniało coś takiego jak para okularów ani, jak wiemy, w ogóle szkło. Przypisałem więc Piłatowi trudności z greką i kazałem mu nalegać na używanie starej dobrej łaciny. A ponieważ był tylko człowiekiem, mogło niekiedy dochodzić do nieporozumień z tłumaczami.

Sprzedajność Piłata to kwestia mniej sporna. Choć nie mamy relacji o tym, by był osobą szczególnie skorumpowaną, zwyczajem jego czasów, po wypełnieniu misji w prowincjach wracało się do Rzymu ze sporym majątkiem. Mówiono, że Tyberiusz trzymał swych namiestników przez długi czas w jednym miejscu, żeby nie czuli się zmuszeni zbyt szybko zdobywać fortuny.

Jest niemal truizmem nazywanie ówczesnej Judei pustynią kulturalną, aleja nie znajduję na to dowodów. Wschód, jak mi się wydaje, żywił Rzym nie tylko finansowo i także dosłownie, ale również kulturalnie. Cezarea, jak dziś wiemy, była miastem niezwykłym - modelowym przykładem rzymskiej sztuki inżynierijnej, ustępując jedynie syryjskiej Antiochii w ostentacyjnej prezentacji swego bogactwa. A kompleks Świątyni w Jerozolimie był jednym z najwspanialszych dzieł starożytnego świata - i nie ufundował go Rzym, ale sami Żydzi.

Choć powszechnie się zakłada, że Kajfasz był w Jerozolimie człowiekiem wielkiego autorytetu, w rzeczywistości winien był posłuszeństwo swemu teściowi, poprzedniemu arcykapłanowi, Annaszowi. Kajfasza ustanowił arcykapłanem najprawdopodobniej nie Piłat, lecz jego poprzednik, Gratus, po tym, jak skłócił się z Annaszem. Małżeństwo Kajfasza z córką Annasza nastąpiło natychmiast po tej nominacji i uczyniło go odpowiedzialnym przed teściem.

Jest rzeczą wręcz pewną, że odnoga akweduktu jerozolimskiego opłacona została z funduszy Świątyni.

Istnieje pewna liczba starożytnych relacji na temat żony Piłata - wszystkie legendarne. Poza tym, że miała sen wspomniany w Ewangelii św. Mateusza, nic o niej nie wiemy, nie znamy nawet jej imienia. Legenda nazywają Klaudią Prokulą, przypisując jej pochodzenie z rodu Klaudiuszów. W ortodoksyjnym kościele wschodnim jest świętą. Wiemy, iż żony rzeczywiście podróżowały wraz z rzymskimi urzędnikami do podbitych prowincji. Wiele z nich tworzyło sobie własne dwory i zdobywało władzę nieustępującą władzy ich mężów. Tradycja przypisuje

Prokuli dwoje dzieci, ale wielu rzymskich patrycjuszy w tamtych czasach było bezdzietnych, często z wyboru.

O setniku Korneliuszu wspominają Dzieje Apostolskie, mówiąc o nim jako o pierwszym poganinie, który nawrócił się na Drogę (terminów chrześcijaństwo i chrześcijanie jeszcze wtedy nie ukuto; było to przed nawróceniem św. Pawła). Korneliusz miał widzenie Chrystusa (być może na krzyżu) i mógł być tym samym setnikiem, który uczestniczył w ukrzyżowaniu. Św. Piotr nawrócił go w Cezarei.

O istnieniu portretu Chrystusa sporządzonego na polecenie Piłata wspomina w II wieku św. Ireneusz - jednak żadnej późniejszej relacji historycznej o tym obrazie nie udało mi się znaleźć. Św. Ireneusz mówi, że sekta gnostyków, która posiadała to malowidło na desce, wierzyła, iż ktokolwiek modli się do niego (tryb czasownika wskazuje na czynność ciągłą lub regularnie powtarzaną), będzie żył wiecznie i nigdy się nie zestarzeje.

Historia Świętego Oblicza z Edessy, o wiele bardziej skomplikowana, jest mieszanką weryfikowalnych faktów i legend, którym nie sposób zaprzeczyć. Według jednej tradycji Jezus posłał tkaninę, którą dotknął wcześniej swej twarzy, do Edessy, by uleczyć tamtejszego króla z trądu. Kiedy król Agbar (lub Abgar) ujrzał tę tkaninę, zobaczył także twarz Jezusa i został uzdrowiony. Według innej relacji św. Paweł posłał królowi Edessy malowidło na desce (?) „nie ludzką ręką uczynione”. Obie te opowieści (a także pewien syryjski tekst, opowiadający te same zdarzenia nieco inaczej) są wcześniejsze niż odnalezienie tegoż wizerunku czy też malowidła, wmurowanego wewnątrz fortyfikacji miejskich Edessy.

Niektórzy uważają, że wizerunek Chrystusa, który odnaleziono w Edessie, to Całun Turyński (zabrany przez templariuszy do Francji, a obecnie przechowywany we Włoszech, w Turynie); inni snują domysły, że tkanina z obrazem Chrystusa została przesłana do Konstantynopola, a potem do Rzymu, gdzie stała się

znana jako Chusta Weroniki. Trzecia teoria mówi, że wizerunek ten stał się inspiracją dla jednej ze słynnych ikon rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, a jeszcze inna wiąże Święte Oblicze z najstarszą znaną ikoną Jezusa, malowidłem z VI wieku, które obecnie znajduje się w monasterze św. Katarzyny na górze Synaj. Pomysł, że to był właśnie Bafomet, obraz, który czcili templariusze, jest, z tego, co mi wiadomo, całkowicie oryginalny.

Według mojej wiedzy nikt nie wiązał Baldwina I, władcy pierwszego państwa łacińskiego na Wschodzie, panującego od roku 1100 do 1118, ze Świętym Obliczem, z Graalem ani z legendą o Królu Rybaku - choć idealnie do nich pasuje.

W ciągu XIX wieku w Bibliotece Arsenалу w Paryżu (z uprzejmości Napoleona) znajdowały się Archiwa Watykańskie, zawierające wszelkie znane dzieła na temat magii, a także wszystkie zapisy i przedmioty należące do templariuszy.

Uczyniło to Arsenal miejscem odradzającego się okultyzmu - miejscem publicznych i prywatnych pokazów nekromancji (wywoływania duchów) i narodzin współczesnych wierzeń magicznych i okultystycznych. Zarówno Oskar Wilde, jak i jego żona, przez całe życie utrzymywali silne związki z grupami okultystów, choć w ostatnich godzinach życia Wilde nawrócił się na wiarę katolicką - moim zdaniem było to szczere nawrócenie, które dokonywało się od lat.

Wilde rzeczywiście tuż przed śmiercią spotkał w Paryżu młodego malarza nazwiskiem Armstrong, w następstwie czego rodzice nakazali Armstrongowi powrót do domu najbliższym statkiem (by ratować go przed wpływem grzesznego pisarza). Wiemy, że Wilde w ostatni wieczór, który spędził poza łóżkiem, siedział bez swoich zwykłych przyjaciół w jakiejś nieuczęszczanej tawernie (oczywiście nie będąc w stanie zapłacić rachunku) i mógł wtedy rozmawiać z innym młodym malarzem, zwanym Billem Landim, ale to już tylko spekulacje gawędziarza.

Pod koniec XX stulecia Szwajcaria została zaatakowana przed sądami za niewypłacanie środków zgromadzonych w bankach Żydom ocalałym z Holocaustu i spadkobiercom jego ofiar. Banki utrzymywały, że utraciły zapisy dotyczące tych kont. Pewnej nocy ochroniarz w jednym z banków znalazł mnóstwo rejestrów tychże, pozostawionych wraz z poleceniem, by spalić je następnego ranka. Ochroniarz ukradł kilka stron, by dowieść prawdziwości swojej relacji, i znalazł kogoś, kto pomógł mu przebić się z nią do świata. Bankierzy szwajcarscy, cieszący się od trzech stuleci nieposzlakowaną opinią, zostali przyłapani na kolektywnym kłamstwie i poszli na ugodę. W następstwie tego skandalu zawarto kilka nowych traktatów, zobowiązujących banki do współpracy w przypadku międzynarodowych śledztw dotyczących podejrzanych kont. Można przypuszczać, że tajemnica bankowa w tym kraju należy już do przeszłości.

Przebywają z pewnością w Szwajcarii zbiegowie z miliardowymi fortunami, agenci wywiadów, pozbawieni praw obywatelskich arystokraci, zamożni handlarze dzieł sztuki, mistrzowscy złodzieje, alpiniści i oczywiście niezależni księgarze, ale ci, których opisałem w *Przeklętym Zakonie*, są wytworem mojej wyobraźni.

Więcej informacji na temat *Przeklętego Zakonu* na stronie: www.craigsmithnovels.ch